

A woman with blonde hair, wearing a dark blue lace dress with a floral pattern at the bottom and a light blue sash, stands in profile. To her left is a mannequin wearing a white lace dress with a light blue sash. The background shows a city street with tall buildings and a yellow taxi.

STEPHANIE
LEHMANN

Butik
na ASTOR PLACE

STEPHANIE
LEHMANN

Butik
na ASTOR PLACE

przełożyła
Anna Rajca-Salata

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Tytuł oryginału: *Astor Place Vintage*

Projekt okładki: *Katarzyna Konior*

Redakcja: *Lech Staszkiel*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Ewa Mościcka*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© Luba V Nel/Shutterstock

© Rob van Esch/Shutterstock

© Daria Minaeva/Shutterstock

© 2013 by Stephanie Lehmann.

Originally published by Touchstone,

A Division of Simon & Schuster, Inc.

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2015

© for the Polish translation by Anna Rajca-Salata

ISBN 978-83-7758-914-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2015

Wydanie I

Pamięci mojego ojca

Spis treści

WTOREK

12 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 1

Amanda

Rozdział 2

Olive

Rozdział 3

Amanda

Rozdział 4

Olive

Rozdział 5

Amanda

Rozdział 6

Olive

Rozdział 7

Amanda

Rozdział 8

Olive

Rozdział 9

Amanda

Rozdział 10

Olive

Rozdział 11

Amanda

Rozdział 12

Olive

Rozdział 13

Amanda

Rozdział 14

Olive

Rozdział 15

Amanda

Rozdział 16

Olive

ŚRODA

13 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 17

Amanda

Rozdział 18

Olive

Rozdział 19

Amanda

Rozdział 20

Olive

Rozdział 21

Amanda

Rozdział 22

Olive

CZWARTEK

14 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 23

Amanda

Rozdział 24

Olive

Rozdział 25

Amanda

Rozdział 26

Olive

Rozdział 27

Amanda

Rozdział 28

Olive

Rozdział 29

Amanda

Rozdział 30

Olive

PIĄTEK

15 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 31

Amanda

Rozdział 32

Olive

SOBOTA

16 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 33

Amanda

Rozdział 34

Olive

Rozdział 35

Amanda

Rozdział 36

Olive

Rozdział 37

Amanda

Rozdział 38

Olive

Rozdział 39

Amanda

Rozdział 40

Olive

Rozdział 41

Amanda

Rozdział 42

Olive

Rozdział 43

Amanda

Podziękowania

Rozmowa ze Stephanie Lehmann

Przypisy

WTOREK
12 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 1

Amanda

Umówiłam się na spotkanie w Stewart House – wieżowcu z białej cegły na Dziesiątej Ulicy, niedaleko Broadwayu, zbudowanym w latach sześćdziesiątych. Przechodziłam obok niego kilka razy, ale nigdy nie byłam w środku. Narożne balkony, okrągły podjazd i wiszące w holu kryształowe żyrandole sprawiały, że moja odległa o zaledwie kilka przecznic kamienica wydawała się obiektem z zamierzchłej epoki, choć za mieszkanie w niej płaciłam całkiem współczesny czynsz.

Wjechałam na piętnaste piętro. Na końcu długiego korytarza obwieszonych oprawionymi plakatami z wystaw impresjonistów zobaczyłam w otwartych drzwiach bosoego mężczyznę ubranego w dżinsy i T-shirt. Choć był już chyba po czterdziestce, najwyraźniej wciąż uważał się za dwudziestolatka. A może przenosiłam na niego własne odczucia? Dziś były moje urodziny i to, że skończyłam właśnie trzydzieści dziewięć lat, zbytnio mnie nie cieszyło.

– Jestem umówiona z panią Jane Kelly – powiedziałam. – Dzwoniła do mnie w sprawie ubrań.

– Proszę wejść.

Gdy przestąpiłam próg, obrzucił mnie taksującym spojrzeniem. Nie wiedziałam, czy był zadowolony z wyniku oględzin. Ale co mi tam. Wydawał się dość atrakcyjny, chociaż nie w moim typie. Opalony brunet z brodą. Nie przepadam za brodacami – za bardzo drapią.

Wprowadził mnie do schludnego salonu z tekowymi meblami w duńskim stylu. Stojący przed kanapą stolik w kształcie ameby i krzesło z wygiętym oparciem wyglądały na projekt Eamesów. Sprzedawcy mebli już przebieraliby nogami, ale ja nie przyszłam tu z powodu stolików i krzeseł. W kącie drobna kobieta z rozwichrzonymi siwymi włosami siedziała zgarbiona przy biurku i wpatrywała się w ekran komputera.

– Babciu? Przyszła pani w sprawie ubrań.

Zabawne słyszeć, jak dorosły mężczyzna nazywa kogoś babcią. Z drugiej strony ktoś mający tak starą babcię mógł być członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Emerytów. Czy z nią mieszkał? Był dobrym chłopcem opiekującym się starą krewną – czy też po prostu żerującym na niej pasożytem?

– Ze sklepu ze starzyzną? – zapytała, nie odrywając wzroku od ekranu.

Wolę określenie „sklep z ubraniami vintage”, ale nie sprostowałam.

– Jestem Amanda Rosenbloom z butikiu Astor Place. Prosiła pani, żebym przyszła.

– Chciał zadzwonić do Armii Zbawienia – oznajmiła, przewijając w dół pierwszą stronę NYTimes.com. – Może to pani sobie wyobrazić?

Wnuk uniósł zachęcająco kciuk w górę i wyszedł z pokoju. Staruszka nawet się nie odwróciła. Wyjrzałam przez trójdzielne okno. Wychodziło na północ, więc pokoju nie ogrzewały promienie słońca, za to z wysoka można było podziwiać Union Square, Flatiron i Empire State Building...

– Ładny widok – powiedziałam. Znów żadnej reakcji. Podeszłam bliżej i odchrząknęłam. Oglądała stronę z nekrologami. Może miała zły słuch? Zbliżyłam się jeszcze bardziej i zapytałam głośniej: – Czy zechciałaby pani pokazać mi rzeczy?

– Nie wiem, jak taki sklep wiąże koniec z końcem. – Kliknęła w nagłówek nekrologu Pana Czarodzieja prowadzącego w latach pięćdziesiątych w telewizji program popularnonaukowy. – Ile można dziennie sprzedać starych ubrań?

Milczałam. W końcu odwróciła się i spojrzała na mnie przez okulary. Potem wstała, przytrzymując się oparcia krzesła chudymi piegowatymi dłońmi. Była taka krucha. Zbyt chuda. Już niewiele życia jej zostało. Mimo woli pomyślałam o szkieletach.

– Pozbywam się wszystkiego – oświadczyła, sięgając po opartą o biurko metalową laskę. – Rak. Nic się nie da zrobić.

– Przykro mi. – Niestety, do typowych zadań w mojej branży należy uwalnianie klientów od dobytku, gdy zbliża się ich koniec.

– Żadna tragedia. Nie w moim wieku. Mam dziewięćdziesiąt osiem lat – oznajmiła dumnie, po czym dodała z goryczą: – Liczyłam, że dociągnę do setki.

Punkt widzenia pani Kelly z pewnością pomagał z wiekiem spojrzeć na problem z właściwej perspektywy.

– Pokażę pani moje stroje – powiedziała. – Niektóre są dziełem wybitnych projektantów. Nawet Rudiego Gernreicha. Wie pani, jaka to dziś rzadkość? Armia Zbawienia, też coś!

– Muszę je obejrzyć i ocenić, które znajdą nabywców. Wtedy uzgodnimy cenę. – Sięgnęłam po leżącą na stoliku torbę hobo i małymi kroczkami wyszłam za panią Kelly z pokoju, starając się iść w tym samym tempie co ona. – Zauważyłam, że budynek nazywa się Stewart House. Czy to z powodu dawnego domu towarowego?

– Dom towarowy A.T. Stewarta stał dokładnie w tym miejscu. Oczywiście zamknięto go jeszcze przed moim urodzeniem i otwarto tu sklep Wanamakera.

– Dom towarowy Wanamakera mieścił się chyba po przeciwnej stronie ulicy. – Byłam tego pewna. Jedno z wyjść stacji metra Astor Place prowadziło bezpośrednio

do sklepu. Teraz do Kmartu.

– Tamten budynek stanął później – wyjaśniła. – Tu mieli swoją pierwszą siedzibę.

– Ach tak. – Byłam zła na siebie, że się pomyliłam. – Nie wiedziałam, że sklep miał dwa budynki. – Nałogowo korzystałam z Google’a, a ulubionym celem moich poszukiwań była historia Manhattanu, zwłaszcza ustalanie, gdzie co było.

– Nazywali go Żelaznym Pałacem. Spalił się w latach pięćdziesiątych. Taki piękny gmach i nic po nim nie zostało.

Wyobraziłam sobie płomienie strzelające w niebo w miejscu, gdzie teraz stałam.

– I nikt już nie pamięta o istnieniu domu towarowego Wanamakera, nie mówiąc o A.T. Stewarcie.

– Czemu mieliby pamiętać? – Pani Kelly rozsunęła drzwi do garderoby. Na drewnianych wieszakach wisiał w nienagannym porządku bogaty wybór strojów. – Proszę odłożyć rzeczy, za które można dostać dobrą cenę. A potem porozmawiamy – powiedziała i pokuśtykała z powrotem do salonu.

Sprzedaję szczególny towar. „Stroje vintage” to eufemizm na określenie „ubrań noszonych przez osoby, które prawdopodobnie już nie żyją”. W przeciwieństwie do innych staroci ubrania okrywały człowieka – przylegały do skóry, wchłaniały pot i ogrzewały ciało. Często jednak zapominam o tych niepokojących skojarzeniach, gdy podniecona, niczym myśliwy na łowach, oglądam potencjalny towar i przerzucam sztuki odzieży w nadziei, że odkryję coś cennego i wyjątkowego.

Jane Kelly umiała się kiedyś wspaniale ubrać. Z trudem wyobraziłam sobie jej skurczoną postać w strojach wiszących teraz na wieszakach. Odłożyłam na bok kilka codziennych sukienek z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Powinny się sprzedać. Wspaniała kolekcja sukni koktajlowych z lat sześćdziesiątych sugerowała, że dochody Jane rosły w tandemie z bogatym życiem towarzyskim.

Kreacja projektu Rudiego Gernreicha wyglądała fantastycznie: dzianinowa suknia o linii A, długa do ziemi i w idealnym stanie. Głęboki dekolt ozdobiony był wzorem szachownicy, czarnymi kwadracikami na fioletowym tle. Od empirowej talii do kolan ten sam wzór powtarzał się w większym rozmiarze, a od kolan do ziemi przybierał odwróconą postać fioletowych kwadratów na tle czerni. Bardzo w stylu lat sześćdziesiątych, bardzo op-artowsko. Powinnam bez trudu sprzedać tę suknię za pięćset, sześćset dolarów.

Seksowna sukienka o kroju klepsydry sprawiała wrażenie, jakby uszyto ją specjalnie dla mnie, a szafirowy kolor wspaniale podkreśliłby bladość cery i czern włosów. Postanowiłam – jeśli tylko uda mi się dobić targu z panią Kelly – podarować ją sobie w prezencie. Świetnie nadawała się na urodzinową randkę. Do tego białe

pantofle bez palców oraz szkarłatna szminka i lakier do paznokci w tym samym kolorze.

Po przejrzeniu wszystkich rzeczy i dokonaniu wyboru określiłam kwotę, którą gotowa byłam zapłacić, mając nadzieję, że jest wystarczająco wysoka. Mogłam podnieść ją maksymalnie do tysiąca trzystu dolarów za całość, gdyby właścicielka bardzo nalegała. Przeniosłam naręcza ubrań do salonu. Pani Kelly siedziała na kanapie z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Nie bardzo wiedząc, jak ją obudzić, zwróciłam się do niej tak, jakby nie spała.

- Jestem gotowa zapłacić pani tysiąc dolarów.
- Za którą suknię? – Natychmiast otworzyła oczy.
- Za wszystkie. – Stłumiłam uśmiech.
- Oszalała pani?
- To ja będę je sprzedawać. – Skrzyżowałam ręce na piersiach.
- Dwa tysiące – powiedziała.
- Tysiąc dwieście, to wszystko, na co mnie stać.

Wyciągnęła ze stosu ubrań sukienkę z lat sześćdziesiątych, w typowy dla tamtego okresu wzór w biało-czarne kwiatki, uroczą, ale, niestety, z plamą na biuście, którą miałam nadzieję usunąć.

– Tej chyba pani nie chce? To była moja ulubiona sukienka. Kiedyś na przyjęciu roześmiałam się z jakiegoś głupiego żartu i wylałam na nią czerwone wino... nie mogłam sobie tego darować.

– Spróbuję ją wyczyścić.

– Jeśli nie szkoda pani czasu. – Rzuciła mi sukienkę. – Za tysiąc osiemset dołożę kuferek. – Wskazała stary kufer podróżny z płaskim wiekiem. Był trochę odrapany i podniszczony, jednak odrobina oliwy z sokiem cytrynowym mogłaby zdziałać cuda. Niestety, nie miałam go gdzie postawić, a poza tym nikt już nie używał takich rzeczy.

– W środku też są ubrania – poinformowała mnie pani Kelly. – Bardzo stare. Z czasów edwardiańskich. Namyśliłam się i oddam pani wszystko za tysiąc dziewięćset dolarów.

Zdumiewające. Nawet stojąc nad grobem, ludzie chcą się targować.

– Mogę zajrzeć do środka?

– Bardzo proszę. – Znow zamknęła oczy, a jej głowa opadła na oparcie kanapy.

Uklękłam na parkiecie, zdjęłam z kufra stos „New Yorkerów” i otworzyłam wieko. W nozdrza uderzyła mnie woń kurzu i znajoma mieszanka zapachów naftaliny i pleśni. Na górnej wyjmowanej półce leżały guziki, motki koronek i wstążek, białe

jedwabne rękawiczki oraz wypłóviały parasol w urocze paski.

Główną część kufra wypełniały ciasno upakowane rzeczy. Jakaś sprytna osoba – zapewne pani Kelly – powkładała ubrania do poszewek na poduszki. To dobry sposób na to, by je bezpiecznie przechować. W jednej znalazłam kilka białych płóciennych nocnych koszul. W innej – staniki i halki. W jeszcze innej zdumiewający skarb – futrzaną etolę z mufką do kompletu. Etola miała prawie metr długości. Z jednej strony była zakończona głową lisa i dwiema łapkami, a z drugiej pozostała parą łapek i ogonem. Czarne szklane paciorki oczu patrzyły na mnie nieobecny spojrzaniem, a małe białe kły jakby szykowały się do ugryzienia. Na metce widniał napis C.G. GUNTHER'S SONS, FIFTH AVENUE, NEW YORK. Z taką metką wartość etoli rosła. Wsunęłam ręce w mufkę i natrafiłam na coś twardego.

Dziwne.

Zajrzałam do środka. Czarną atłasową podszewkę ktoś rozpruł na szwie, a potem zaszył nierównym ścięciem. Czyżby ukrył coś w środku? Może plik banknotów?

Spojrzałam ukradkiem na panią Kelly. Pochrapywała cicho z otwartymi ustami. Czy starczy mi odwagi, żeby sprawdzić? Przemknęłam po cichu przez pokój po swoją torbę. Duża brązowa skórzana hobo należała kiedyś do mojej matki. Kupiła ją w latach siedemdziesiątych podczas jednej z naszych wspólnych wypraw do domu towarowego Altmana, a kilkadziesiąt lat później ocaliłam ją od zapomnienia, wyciągając z górnej półki szafy. Teraz miękki worek towarzyszył mi wszędzie, wraz z przechowywanymi w środku przyborami do szycia.

Usiadłam po turecku na podłodze obok kufra i wygrzebałam z torby stare metalowe pudełko po cukierkach Schraffta, w którym trzymałam przybory. Rozprułam szew na tyle, by wydobyć ukryty wewnątrz przedmiot: oprawny w czarną skórę zeszyt.

Na wewnętrznej stronie okładki ujrzałam wykonany staranną kursywą podpis: *Olive Westcott*. Przewróciłam kartkę i uświadomiłam sobie, że to dziennik. Dlaczego zaszyto go w mufce?

Ogarnęło mnie uczucie *déjà vu*, jakbym oglądała zeszyt już wcześniej, tu, w tym pokoju. Otrząsnęłam się i przeczytałam pierwszy wpis.

18 września 1907 roku

Mam ten zeszyt od wieków. Dostałam go od ojca na dwunaste urodziny, ale nigdy nie chciało mi się prowadzić dziennika. Teraz, gdy skończyłam dwadzieścia lat, wreszcie zdarzyło się coś wartego zapisania. Od dziś jestem oficjalnie mieszkanką Nowego Jorku! Ojciec został kierownikiem sklepu Woolwortha na Trzydziestej Czwartej Ulicy i właśnie wprowadziliśmy się do

hotelu na rogu Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i Madison Avenue. Mamy wspaniale umeblowany, nowoczesny apartament – z telefonem, elektrycznością, ciepłą i zimną wodą, ogrzewaniem parowym oraz luksusem nad luksusami – codziennymi usługami pokojówki. Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę nowe życie!

Chciałam przeczytać więcej. Przygody młodej kobiety, która właśnie zamieszkała na Manhattanie, od razu mnie zainteresowały. Może poprosić panią Kelly o wypożyczenie dziennika? Ale co będzie, jeśli odmówi? Czy w ogóle wie o jego istnieniu? Najlepiej będzie po prostu go zabrać i później zwrócić. Nikomu to nie zaszkodzi.

Upewniwszy się, że staruszka śpi, wsunęłam dziennik do torby – było to postępowanie impulsywne, niewłaściwe i całkiem do mnie niepodobne, zupełnie jakby na chwilę o władnęła mną jakaś obca siła.

Potem wróciłam do kufra i znów zabrałam się do przeglądania jego zawartości. Rzeczy przed schowaniem uprano, były w dobrym stanie, bez śladów wilgoci czy robactwa. Popołudniowa suknia z białej koronki mogła znaleźć nabywcę, niektóre kobiety wkładały je teraz na ślub. Poza tym nie znalazłam jednak niczego, co zainteresowałyby moje klientki. Długie spódnice były ciężkie i niezgrabne. Białe bluzki z bufiastymi rękawami zniekształcały sylwetkę. W ostatniej poszewce odkryłam najładniejszy strój: wspaniałą zieloną atlasową suknię z fioletową szarfą. Uniosłam ją i obejrzałam z podziwem.

– Jest w idealnym stanie – odezwała się pani Kelly, niemal przyprawiając mnie o atak serca. Ostry ton głosu nie wskazywał na to, że w ogóle spała.

– Niezupełnie – odparłam. – Materiał jest bardzo delikatny, a plam z potu pod pachami nie da się wywabić.

– Można ją nałożyć i iść prosto na obiad do hotelu Plaza.

– Gdyby nie został właśnie zamknięty. Przerabiają go na apartamentowiec.

– Świat schodzi na psy – stwierdziła z krzywym uśmiechem staruszka. – Na szczęście ja wysiadam.

Westchnęłam ze współczuciem, przygotowując panią Kelly na werdykt. Ubrania sprzed 1920 roku nadają się raczej do oglądania niż do noszenia. Wkładanie ich na siebie i narażanie delikatnego materiału i wykończeń na uszkodzenie to niemal okrucieństwo. Denerwowałabym się, gdyby klientki je przymierzały.

– W zasadzie nie sprzedaję tak starych ubrań. Kocham stroje z tamtych czasów, lecz nie mam klientów, którzy by je kupili.

Wolę handlować ubraniami z okresu od lat trzydziestych do sześćdziesiątych i to takimi, jakie mnie się podobają. Mam słabość do minispódniczek, kozaczków na obcasie i czarnych rybaczek. Zabawne, jaką uwodzicielską aurę nostalgii roztaczają fasony z czasów naszych rodziców. Modne stroje z lat późniejszych nigdy nie robiły na mnie takiego wrażenia. Lata siedemdziesiąte zostały praktycznie zmarnowane przez poliester. Materiał ten przetrwa zapewne wraz z karaluchami, podczas gdy ludzkość zniknie z powierzchni Ziemi za sprawą globalnego ocieplenia lub następnej epoki lodowcowej – nie wiadomo, co wydarzy się wcześniej.

– Niech mi pani po prostu zapłaci dwa tysiące dolarów za wszystko – zaproponowała pani Kelly. – Umowa stoi?

Znów wróciłyśmy do dwóch tysięcy?

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

– Nie uważa pani, że te cudowne stroje, mimo wieku, są tyle warte?

– Mają wartość – niekiedy całkiem dużą. Po prostu źle się sprzedają. Proszę posłuchać, oto co możemy zrobić. Zapłacę za wybrane ubrania tysiąc dwieście dolarów, a rzeczy z kufra wezmę w komis. Jeśli zdołam je sprzedać, podzielimy się pieniędzmi. Sam kufer proszę zatrzymać. Nie mam gdzie go postawić.

– Jak się podzielimy?

– Sześćdziesiąt do czterdziestu procent.

– Sześćdziesiąt dla mnie?

– Dla mnie – uśmiechnęłam się. To nie podlegało dyskusji.

– Zgoda, niech je pani zabiera – powiedziała starszka, jakby nagle cała sprawa przestała ją obchodzić. – Nie chcę ich więcej oglądać.

– Przed wyjściem sporządzą dokładną listę rzeczy wziętych w komis i poproszę panią o podpisanie umowy.

– Bardzo proszę. – Wycelowała pilotem w telewizor. – Niech pani robi to, co do niej należy.

Podczas gdy pani Kelly oglądała talk show *The View*, sporządziłam listę wszystkich edwardiańskich strojów z kufra. Potem wręczyłam ją właścicielce wraz z egzemplarzem umowy i piórem. Włożyła okulary i dokładnie przeczytała umowę przed popisaniem. Nie zawracała sobie głowy sprawdzaniem listy.

– Kilka sztuk mogę wziąć teraz – zaproponowałam. – Czy pozostałe może mi pani odesłać do sklepu?

– Poproszę wnuka, żeby przewiózł resztę rzeczy.

– Znakomicie – powiedziała i starając się nie pokazywać dziennika, otworzyłam

torbę. Włożyłam do niej suknię o linii klepsydry, poplamioną suknię o linii A i na końcu etolę i mufkę. – Kiedy się zgłosi, wypiszę mu czek na resztę ubrań. Oto moja wizytówka z danymi kontaktowymi.

– Wiem, jak panią znaleźć. – Odprawiła mnie ruchem ręki.

– W takim razie do widzenia. – Ruszyłam do wyjścia. Pani Kelly najwyraźniej nie miała zamiaru się ze mną pożegnać, dodałam więc bardziej z własnej potrzeby: – Miło mi było panią poznać.

Wnuk gdzieś zniknął. Spróbowałam sama otworzyć drzwi frontowe, ale okazało się, że są zamknięte na zamek. Przekręciłam zasuwkę. Bez skutku.

– Ja to zrobię. – Brodacz zjawił się w przedpokoju.

– Nie trzeba. Już wiem. – Przekręciłam dolny zatrask, ale drzwi nadal stawiały opór.

Ustawił górną zasuwkę w pierwotnej pozycji. Drzwi się otworzyły.

– Bardzo proszę.

– Dziękuję – odparłam, żałując, że nie pozwolił mi zrobić tego samej, choć pewnie starał się być uprzejmy.

– Powodzenia – powiedział.

– Nawzajem. – Kiwnęłam mu głową.

Ruszyłam korytarzem do windy, mijając impresjonistyczne plakaty, a on zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 2

Olive

– Zdarzyło się coś ciekawego? – zapytałam, smarując bułkę masłem.

– Niewiele – odparł ojciec znad gazety. – Wiadomości z giełdy zdają się nieco lepsze. Dużo piszą o odrabianiu strat.

Położyłam na maśle odrobinę marmolady.

– Słyszeliśmy to już wcześniej.

Zaledwie przed dwoma tygodniami ojciec i ja przenieśliśmy się na Manhattan z Cold Spring, miasteczka leżącego dwie godziny drogi pociągiem na północ od Nowego Jorku. W nowo wybudowanym hotelu najbardziej podobały mi się śniadania, które co rano dostarczano nam windą. Jajka na miękko, koszyk z chlebem, dzbanek z kawą, masło, marmolada, gazeta „Sun” i wazonik z bukietem kwiatów. Wystarczyło tylko przenieść tacę na stół.

– W każdym razie – powiedział ojciec, składając gazetę – rynek zamknął się nieźle.

– Miejmy nadzieję, że to się utrzyma.

– Nie martw się, Olive. Bessa nie potrwa długo.

Ojciec, jak wielu innych, stracił w marcu na giełdzie sporo pieniędzy. Nie wiedziałam dokładnie ile. Rzadko ujawniał szczegóły swoich inwestycji, ale ja całkowicie ufałam jego doświadczeniu. W sprawach finansowych zawsze postępował niezwykle rozważnie. Jako kierownik sklepu Woolwortha zarabiał około dziesięciu tysięcy dolarów rocznie, co wystarczało aż nadto na wygodne życie. Nie mieliśmy więc powodu, by niepokoić się o przyszłość. Teraz, gdy wszyscy wokół zamartwiali się stanem gospodarki, handel tanimi towarami święcił triumfy. Imperium Woolwortha przeżywało rozkwit.

– Masz jakieś specjalne plany na dzisiaj? – zapytał ojciec. – Czy wybierasz się na kolejną inwentaryzację?

Określał w ten sposób moje częste wyprawy do domów towarowych. Całymi godzinami mogłam przyglądać się towarom i porównywać ich ceny.

– Prawdę mówiąc, zostało mi jeszcze sporo rzeczy do sprawdzenia – odparłam tonem fachowca.

– Powinnaś kupić sobie nową suknię. W przyszłym miesiącu idziemy na przyjęcie.

– Jest tato bardzo hojny, ale mam kilka ślicznych sukienek.

Frank Woolworth zamierzał wydać w swojej rezydencji przy Piątej Alei przyjęcie na cześć ojca. Byłaby to wspaniała okazja, by poznać różne ważne figury z nowojorskiego towarzystwa. Jednak ojcu chyba bardziej zależało na tym, żebym to ja pokazała się miejscowym kawalerom do wzięcia. Chociaż nie miałam nic przeciwko temu, by poznać mężczyznę, dla którego stracę głowę, dotychczasowe doświadczenia nastroiły mnie pesymistycznie. Nigdy dotąd nie byłam zakochana i zastanawiałam się, czy spotkam kiedyś człowieka, który wzbudzi we mnie takie uczucia.

Prawdę mówiąc, sama także nie zawróciłam w głowie żadnemu z chłopców z Cold Spring. Może jestem zbyt wysoka, a może zbyt popisywałam się inteligencją, zamiast flirtować, jak się tego po mnie spodziewano.

– Nie chcę być nudny, Olive, ale jesteś bardzo ładna, a zachowujesz się, jakbyś chciała, żeby nikt tego nie zauważył.

– Myśli tato tak tylko dlatego, że jestem jego córką – odparłam nadąsana.

– Bzdura. Nie bądź taka skromna. Nowa garderoba to najlepszy sposób, by nabrać pewności siebie. Miej trochę radości z tego, że jesteś teraz młodą damą w Nowym Jorku.

Ojciec wbił sobie do głowy, że powinnam wcielić się w rolę modnie wystrojonej pierwszej naiwnej. Ja zaś wolałam proste spódnice i bluzki. Bardziej ceniłam wygodę niż wygląd. Nie zwracałam też sobie głowy gorsetem. Po co krępować sobie ruchy konstrukcją z koronek i fiszbinów, skoro i tak moja figura przypomina – jak słyszałam – fasolową tykę.

– Jest tato kochany – odparłam – ale nie muszę dla poprawy nastroju wybierać się na zakupy.

– Chwała Bogu, że nie wszystkie moje klientki tak myślą. Swoją drogą czas się ubrać, bo spóźnię się do pracy.

Szybkim krokiem poszedł do sypialni. Nalałam sobie drugą filiżankę kawy. Dorastałam w pobliżu kierowanego przez ojca sklepu Woolwortha, co niewątpliwie ochłodziło mój stosunek do zakupowych emocji. Przez wiele lat podczas weekendów i po lekcjach pomagałam za ladą, jeśli było dużo klientów albo któraś ze sprzedawczyń zachorowała. Lubiłam poczucie sensu, jakie dawało mi to zajęcie, a także, jak przypuszczam, poczucie wyższości nad klientkami. Wydawały się zupełnie bezbronne, gdy biegały po sklepowych alejkach w poszukiwaniu okazji i tanich skarbów.

Konkretna praca w sklepie pociągała mnie bardziej od studiów akademickich. Po ukończeniu szkoły średniej, za namową ojca, spędziłam rok w Lenox w stanie Massachusetts, w prywatnej szkole panny Hall przygotowującej do życia w wielkim

świecie. Męczyłam się na zajęciach dla dam, ucząc się dobrych manier, historii sztuki i właściwego nakrywania do stołu. Wyniosłam stamtąd przede wszystkim jedno: przekonanie o całkowitym braku zdolności do prac domowych. Wróciłam do domu bogatsza o wiedzę, że dużo szybciej odniosę sukces, prowadząc nie dom, a firmę.

Teraz pragnęłam lepiej poznać sposób myślenia klientów. Co sprawia, że dana rzecz wydaje się godna pożądania i nieodzownie potrzebna? I dlaczego zaraz po zakupie traci ona swój czar? Czy ludzie ulegają jakiemuś przymusowi, powtarzając rytuał zakupów pomimo tak krótkotrwałej satysfakcji – czy też z jej powodu?

Ojciec wrócił do salonu, zapinając po drodze mankiety koszuli, ja zaś stanęłam przy drzwiach, trzymając w pogotowiu fedorę i płaszcz. Mimo woli ogarnęła mnie duma – w wieku czterdziestu dwóch lat był przystojny i w świetnej formie, miał gęste falujące brązowe włosy i zdrową cerę. Choć bardzo pragnęłam go zadowolić, wiedziałam, że nigdy nie zdołam dostosować się do jego wyobrażeń o tym, jak powinna wyglądać i zachowywać się młoda dama. Byłby doprawdy bardzo nieszczęśliwy, gdyby usłyszał, że bardziej zależy mi na znalezieniu pracy niż męża.

– Martwi mnie, że tyle czasu spędzasz sama – rzekł, narzucając płaszcz. – Jaka szkoda, że nie mamy tu już żadnej rodziny. Zamierzam odszukać kilku starych znajomych. Może będą mogli cię przedstawić jakimś młodym ludziom.

– Już to obiecywałeś – powiedziałam czule, podając mu kapelusz. Ojciec wychował się w Greenwich Village, ale przed ponad dwudziestu laty wyprowadził się stamtąd i nie podtrzymywał dawnych znajomości. – Proszę, nie martw się o mnie. Wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że mogę tu mieszkać.

– Może wyobrażałaś sobie coś więcej. – Spojrzał w wiszące przy drzwiach lustro i przygłodził wąsy.

– Jeszcze nie miałam okazji, by się o tym przekonać.

– W każdym razie – dodał, całując mnie w czoło – jeśli nie wrócę dzisiaj zbyt późno, wybierzemy się na obiad do jakiejś przyjemnej restauracji.

– Świetny pomysł.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, znów usiadłam przy stole i zaczęłam przeglądać w gazecie ogłoszenia w dziale „Dam pracę”. Gdy je czytałam, raz budził się we mnie optymizm, to znów ogarniało mnie poczucie beznadziejności. Ojciec nie do końca się mylił, mówiąc, że jestem samotna. Choć otaczały mnie tysiące ludzi, zaczynałam się czuć nieco wyobcowana. Obowiązki towarzyskie nie rozwiązywały problemu. Wierzyłam jednak, że w końcu znajdę pracę i moje kłopoty się skończą.

Niestety, ogłoszenia okazały się równie mało obiecujące jak życie miłosne. Wśród ofert dla stenotypistek, robotnic fabrycznych i telefonistek trafiały się propozycje

pracy dla ekspedientek, ale ja miałam większe ambicje, niż po prostu tkwić za ladą. Pragnęłam zostać specjalistką do spraw zakupów w jednym z domów towarowych. Z lektury prenumerowanego przez ojca pisma „Dry Goods Weekly” dowiedziałam się, że na tych stanowiskach często pracują kobiety i w porównaniu z innymi dostępnymi dla nas zawodami zarabiają naprawdę dużo. Może nie miałam kwalifikacji, które pozwoliłyby mi od razu objąć wymarzoną posadę, ale na pewno poszukiwano też asystentek. Jednak dotąd nie natrafiłam na ani jedną ofertę.

Tego ranka moje oczy spoczęły w końcu na ogłoszeniu, które zdawało się wprost wymarzone dla mnie. *Poszukiwana asystentka specjalistki do spraw zakupów w dziale bluzek, zgłoszenia w domu towarowym Macy’ego.*

Oczami duszy widziałam już, jak spotykam się ze sprzedawcą z Chicago, a on pokazuje mi fasony bluzek modne w następnym sezonie. Potem rozmawiam o pomysłach na nową reklamę do gazet. Wreszcie dowiaduję się, że czeka mnie kolejny wyjazd na zakupy do Europy.

Oczywiście nic podobnego nie nastąpi, jeśli będę tylko bujać w obłokach i nie dostanę w końcu tej przekłętej pracy. Poszłam przygotować sobie kąpiel. Gdy z niklowanego kranu płynęły potoki wody, wspominałam naszą okropną łazienkę w Cold Spring. Starą blaszaną wannę w drewnianej obudowie przypominającej trumnę i linoleum na podłodze, które wydawało się brudne bez względu na to, jak gorliwie się je szorowało. Teraz mogłam z rozkoszą pławić się w lśniącej czystości porcelanowej wannie. Białe kafelki na ścianach połyskiwały, woda podgrzewała się niemal od razu, a w drzwi wprawiono wielkie lustro.

Prawdę mówiąc, mogłabym się obyć bez niego. Zawsze unikałam widoku swego nagiego ciała, a teraz wciąż miałam je przed oczami. Nigdy nie czułam się swobodnie bez ubrania i nie pamiętam, żeby ktoś mnie taką oglądał. Nawet lekarz podczas badania pozwalał mi zostać w halce i staniku. Sama także nie widziałam dotąd nagiego człowieka. Gdyby nie muzea, nie miałabym pojęcia, co kryje się pod męskim garniturem.

Rozkoszując się ciepłą kąpielą, zastanawiałam się, co włożyć na rozmowę w sprawie pracy, i wybrałam elegancką granatową suknię z krótkim żakiem wykończonym białą koronką. Dzięki pannie Hall potrafiłam ubrać się wytwornie i odpowiednio do okazji. Przyszły pracodawca zobaczy wysoką młodą damę, przystojną, jeżeli nie piękną, dobrze wychowaną i o doskonałym guście.

Gdy jednak skończyłam się ubierać i byłam gotowa do wyjścia, miejsce pewności siebie zajęło zdenerwowanie. Pobiegłam do biurka, gdzie w odziedziczonej po mamie mufce przechowywałam dziennik.

2 października 1907 roku

W końcu idę na pierwsze spotkanie w sprawie pracy. Powinnam wierzyć w siebie. Dlaczego, do licha, nie mieliby mnie zatrudnić? Moje kwalifikacje są aż za wysokie – to oczywiste. Po prostu muszę zachować spokój i nie robić z siebie głuptaski.

Zjechałam windą do wyłożonego marmurem holu hotelu Mansfield. Na dole przywitał się ze mną rudowłosy odźwierny.

– Wezwać taksówkę, panienko?

– Dziękuję, nie trzeba.

Nigdy go o to nie prosiłam, a jednak oferował swoją pomoc za każdym razem, gdy wychodziłam z domu. Może nie aprobował młodych kobiet spacerujących samotnie po mieście – a może tak mi się tylko wydawało, gdyż nie przywykłam do swobody. Zresztą co mi tam, to głupota przejmować się opinią odźwiernego.

Gdy przechodziłam obok Madison Square Garden, transparenty zapowiadające pokaz jazdy konnej łopotały na wietrze. Pewnie powinnam była wziąć parasolkę. Deszczowe chmury zupełnie zakryły słońce. Minęłam wspaniałą kościół na rogu i przypomniałam sobie, że wciąż nie odpowiedziałam na list ciotki Idy. Moja pobożna ciotka, młodsza siostra ojca, po śmierci matki zamieszkała z nami. Nie umiałam jej napisać, że po przeprowadzce do Nowego Jorku nie zawracaliśmy sobie głowy chodzeniem na nabożeństwa.

Przede mną wznosiła się ku niebu stalowa konstrukcja Metropolitan Tower, wspaniałego, choć wciąż nieukończonego przyszłego najwyższego budynku na świecie. Bloki marmuru i stalowe sztaby z placu budowy tarasowały chodnik, przeszłam więc na drugą stronę ulicy i ruszyłam przez Madison Square Park.

Wtedy usłyszałam krzyki jakiejś kobiety. Czy coś się stało? Podeszłam bliżej i zobaczyłam damę wygłaszającą przemówienie. Stała na mównicy otoczona grupką ludzi. Miała na sobie biały kostium i kapelusz, z którego spływały długie żółte pióra. Za nią na żółtym transparencie widniał napis: PRAWO GŁOSU DLA KOBIET.

– Zaklinam was, dopuście do głosu wasze kochające matki i żony!

Rozejrzałam się po zebranych, byli tu niemal sami mężczyźni, i zaczęłam się zastanawiać, czy jej słowa robią na nich wrażenie.

– Nie odmawiajcie swoim córkom podstawowego prawa należącego się każdemu obywatelowi tego kraju.

Stojący obok mnie młodzian rzucił ogryzkiem jabłka, który świsnął kobiecie koło ucha. Nie zwróciła na to uwagi.

– Nic się nie zmieni, jeśli nie przystąpicie do walki! – mówiła. – Przyszłość jest w waszych rękach!

Uznałam, że to nie w porządku, aby sami mężczyźni decydowali o tym, czy przyznać kobietom prawa wyborcze. Czy nasza przyszłość nie powinna być w naszych rękach?

Kobieta uniosła w górę zaciśniętą pięść i zakończyła:

– Pozwólcie kobietom głosować!

Kilka osób w tłumie zagwizdało, ale większość uprzejmie klaskała. Zebrani zaczęli się rozchodzić, a ja ruszyłam Broadwayem, upojona tym, że żyję w samym środku wydarzeń. Ojciec lubił narzekać, iż od czasów jego młodości miasto podupadło, jednak według mnie okolica, w której mieszkaliśmy, nie ustępowała paryskim bulwarom. Co prawda nigdy nie byłam w Paryżu, ale panna Hall zabrała kiedyś naszą klasę do galerii sztuki w Pittsfield, żebyśmy obejrzały francuskich impresjonistów. Moja najlepsza przyjaciółka Daisy rozplýwała się nad pięknem obrazów. Miała talent do rysunków i pragnęła zostać artystką.

Daisy. Gdybym mogła mieć ją teraz u boku! U panny Hall byłyśmy nierozłączne. Jako przyjaciółki wspaniale się uzupełniałyśmy: ona była niska, ja wysoka, ona twórcza, ja praktyczna, ona miała tylko matkę, a ja ojca. Obie wyznawałyśmy ideę równości kobiet, którą zaszczyliły nam takie pisarki jak Charlotte Perkins Gilman czy Harriet Martineau. Zamierzałyśmy też być niezależne. Wymagało to przekonania rodziców, by pozwolili nam wspólnie wynająć mieszkanie w Nowym Jorku. Pragnęłyśmy odrzucić tyranię małżeństwa i poświęcić się karierze zawodowej. Daisy miała zostać wielką artystką, a ja osiągnąć sukces jako businesswoman.

Wyszłam z parku, przystanąłam i szykowałam się do przejścia przez ulicę. Na skrzyżowaniu Piątej Alei i Broadwayu, przed Flatironem, ryczały klaksony, dzwoniły dzwonki i trzaskały baty. Gdy wreszcie jezdnia na chwilę opustoszała, zesłam z chodnika. Tymczasem z prawej strony, wykorzystując tę samą chwilę spokoju, ruszył pojazd pełen turystów. Odskokczyłam, a kierowca nacisnął na hamulec. Przewodnik siedzący na platformie wraz ze zwiedzającymi wrzasnął do megafonu: „Naprzód, panienko, byle z życiem!”. Może starał się być uprzejmy, a może ciekawiło go, czy dotrę cało na drugą stronę.

Podtrzymując ręką kapelusz, ruszyłam przed siebie. Lawirowałam między ręcznym wózkiem najeżdżającym na mnie z lewej strony, ciężarówką dostawczą z prawej i kupką końskiego nawozu pod nogami. Zwycięsko przedostałam się na chodnik, wmieszałam w tłum przechodniów i ruszyłam dalej Broadwayem. Musiałam iść szybko, jeśli chciałam nadążyć za innymi.

Po zakończeniu nauki w szkole panny Hall Daisy wyjechała z matką na wycieczkę

do Europy. Pod koniec lata dostałam od niej list, pełen przeprosin, w którym poinformowała mnie, że plany wspólnego zamieszkania w Nowym Jorku musimy na razie odłożyć. Trafiła jej się możliwość studiowania przez rok malarstwa w prestiżowej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Londynie. Ucieszyłam się ze względu na nią i zmartwiłam ze względu na siebie. Rok dawno minął, a Daisy nadal mieszkała w Londynie, choć już mnie za to nie przepraszała. Nasze nowojorskie plany okazały się miłym, lecz przelotnym marzeniem.

Zbliżałam się do Trzydziestej Czwartej Ulicy. Wiedząc, że w pobliżu mieści się sklep Woolwortha, mimo woli szukałam w tłumie twarzy ojca, choć wiedziałam, że nasze spotkanie jest mało prawdopodobne. Przeszłam przez szeroką ulicę i włączyłam się w strumień kobiet, ginący w podwójnych drzwiach domu towarowego Macy'ego. W informacji urzędował mężczyzna z różowymi policzkami. Zapytałam, gdzie mieści się dział zatrudnienia.

– Proszę wjechać ruchomymi schodami na piąte piętro – powiedział. – Przejsć na sam koniec sklepu i wejść przez zielone drzwi.

Podziękowałam mu i ruszyłam w stronę schodów, ale zboczyłam z drogi, gdy usłyszałam popularną piosenkę, śpiewaną tenorem. Skuszona głosem dotarłam do stoiska z nutami, gdzie śpiewał przystojny młody człowiek w czarnym smokingu, przygrywając sobie na pianinie.

Wyjedź ze mną, o Lucille, czeka ślubny oldsmobile...

Ojcu spodobałaby się ta piosenka. Jako pierwszy w Cold Spring kupił sobie automobil. W tym samym tygodniu, w którym miejscowy kowal zainstalował pompę z benzyną, ojciec pojechał do Poughkeepsie i kupił oldsmobile'a runabout, który teraz stał pod wiatą obok naszego dawnego domu. Wiedziałam, że bardzo trudno było mu rozstać się z ulubioną zabawką.

W nim pomkniemy w siną dal, ty i ja wśród życia fal...

Obok mnie stały dwie kobiety, którym muzyka nie przeszkadzała w rozmowie. Nie mogłam się oprzeć i zaczęłam słuchać, o czym mówią.

– Mój mąż jest zrozpaczony sytuacją na giełdzie – powiedziała jedna z nich. Miała na głowie kapelusz z dużym rondem, ozdobiony sztucznymi owocami. – Obawia się, że jeśli akcje nie pójną szybko w górę, będziemy musieli wyprowadzić się na przedmieście.

Do kościoła jedźmy bram, dzwon weselny zabrzmie nam...

– Przeniosłabyś się tam? – zapytała ją towarzyszka w toczku z piórami.

– Wolałabym umrzeć.

Kapelusze się zakołysały, przytakując sobie w pełnej zgodzie.

Spędźmy wiele pięknych chwil, ty i ja, i oldsmobile...

Miałam ochotę zostać i jeszcze trochę popatrzeć na przystojnego śpiewaka, ale poranne godziny mijały tak szybko. Przemogłam się i podążyłam ku ruchomym schodom, które miały zawieźć mnie na piąte piętro.

Rozdział 3

Amanda

Po wyjściu od pani Kelly zostało mi trochę wolnego czasu przed następnym spotkaniem. Była to wizyta u hipnotyzera – prezent urodzinowy od mojej najlepszej przyjaciółki Molly. Hipnotyzer miał mi pomóc w kłopotach z zasypianiem. Byłam nastawiona sceptycznie, ale Molly uwielbiała tego faceta – dyplomowanego lekarza, który pomógł jej rzucić palenie. Ponieważ próby wytłumaczenia Molly, że od palenia papierosów będzie miała raka, zmarszczki i głos jak marynarz Popeye z kreskówki, nie wywarły nigdy żadnego skutku, może rzeczywiście coś w tym było. Przynajmniej czekała mnie niezła zabawa.

Gabinet hipnotyzera mieścił się kilka przecznic dalej, przy MacDougal Street, po przeciwnej stronie Washington Square Park. Wędrowałam Piątą Aleją zadowolona, że ciepłe, niezbyt wilgotne wtorkowe popołudnie mogę spędzić na dworze. Był drugi dzień mojego „weekendu”. W soboty i niedziele pracowałam w sklepie. Postanowiłam odpocząć w parku i jeszcze raz rzucić okiem na dziennik. Z pustej ławki roztaczał się piękny widok na Łuk Waszyngtona. Gdy tylko otworzyłam zeszyt, usiadła obok mnie matka z wózkiem. Wpatrywała się w dziecko dumnym, rozpromienionym wzrokiem, więc postanowiłam również wyrazić swój podziw:

– Cóż za słodkie maleństwo. W jakim jest wieku?

– Skończyła sześć miesięcy.

Buzia dziecka rozszerzyła się w rozkosznym bezzębnym uśmiechu.

– Urocza. – Tak urocza, że aż sprawiało to ból. Zbliżałam się do czterdziestki i nie potrzebowałam przypomnienia, że nie zdążyłam jeszcze się rozmnożyć. Nagle bez widocznego powodu uśmiech przeszedł w złość i dziecko zaczęło wyć jak potępieniec.

– Powinna się przespać – powiedziała żałośnie matka. – Ale nie chce.

Popatrzyłam na nią ze współczuciem. Ja przynajmniej mogłam uciec. Spojrzałam na wyświetlacz komórki z miną osoby spieszącej na jakieś pilne spotkanie, włożyłam dziennik do torby i życzyłam przypadkowym towarzyszkom miłego dnia.

Gabinet doktora Markoffa mieścił się w przedwojennym budynku na rogu ulicy. Portier wpuścił mnie do środka, a ja wkroczyłam do poczekalni gotowa wyjaśnić recepcjonistce, że zjawiłam się za wcześnie. W środku było jednak pusto, tylko z generatora dochodził biały szum. Usiadłam na krytej zielonym materiałem kanapie i ziewnęłam. Gdybym tak mogła zachować senność, która prześladowała mnie

w ciągu dnia, i wykorzystać ją w nocy!

Kiedy jednak otworzyłam dziennik, zapomniałam o zmęczeniu, pochłonięta czytaniem o Olive Westcott i jej ambicjach, by zostać specjalistką do spraw zakupów. Kiedyś sama się zastanawiałam, czy nie pójść tą drogą. W czasach mojego dzieciństwa domy towarowe na Manhattanie uchodziły jeszcze za atrakcję. Trasy dla turystów, oprócz przedstawień na Broadwayu, restauracji i muzeów, uwzględniały słynne nowojorskie sklepy. Centra handlowe na przedmieściach nie miały już takiego uroku, historii ani charakteru. Ogólnokrajowym sieciówkom brakowało duszy.

Macy's, Altman's, Lord & Taylor, Bloomingdale's... Jako mała dziewczynka uwielbiałam chodzić tam z mamą. Zapach perfum, piękne, wyrafinowane kobiety w stoiskach z kosmetykami, jasne światła, błyszczące lustra, połyskujące gablotki z biżuterią. Wszystko wyglądało wyjątkowo – zupełnie jakby święta trwały tam cały rok. W dziale ubrań dla dziewcząt mama pozwalała mi przymierzać jedną sukienkę po drugiej. Teraz nie mogłam się nadziwić jej cierpliwości. Czy zachowałabym się podobnie wobec własnej córki? Czy będę miała szansę się o tym przekonać?

Gdy stałam się nastolatką i zakupy z mamą przeistoczyły się w klasyczną próbę sił, chodziłam do domów towarowych z koleżankami, albo, jeszcze chętniej, sama. A kiedy skończyłam dwadzieścia lat, nawet sklepy w śródmieściu straciły blask i wszyscy jakby zapomnieli, dlaczego wcześniej warto było je odwiedzać.

Chrząknięcie przywołało mnie z powrotem do rzeczywistości.

– Panna Rosenbloom?

– To ja.

Spodziewałam się kogoś w miarę młodego, może z kozią bródką, ubranego w czarny golf i czarną marynarkę. Tymczasem doktor Markoff wyglądał na około siedemdziesiąt lat – był wysoki, kościsty, miał siwe włosy, a na skórze plamy wątrobowe. Nosił ciemny garnitur, białą koszulę i, ku memu zachwytowi, czerwoną muszkę. Zaprosił mnie do gabinetu, a ja przywitałam go z wesołym uśmiechem, jakbym nie miała żadnych trosk.

Na pierwszy rzut oka gabinet wyglądał elegancko i konwencjonalnie. Był tam niebiesko-czerwony wschodni dywan i biurko w stylu chippendale z nogami zakończonymi zwierzęcymi szponami. Na ścianie spostrzegłam starą tablicę frenologiczną przedstawiającą ludzką głowę z mózgiem podzielonym na obszary rzekomo odpowiadające za różne cechy charakteru.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie w dwóch fotelach: on w dużym, skórzanym, ja w nieco mniejszym, krytym mikrofibrą i domagającym się nowego obicia. Na półce za fotelem doktora stały dwie podpórki na książki w kształcie przeciętej na pół ludzkiej głowy.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał.

– Mam problem z zasypianiem.

– Cierpi pani na bezsenność?

Nie lubiłam tego słowa. Sprawiało, że mój kłopot kojarzył się z chorobą.

– Cóż, jest tak od paru miesięcy. Nie mogę zasnąć do czwartej, piątej nad ranem, a potem przez cały dzień czuję się zmęczona.

– Tak, to bezsenność. Rozumiem, że próbowała już pani różnych rozwiązań?

– Nic mi nie pomaga. Moja przyjaciółka Molly, która umówiła mnie na to spotkanie, powiedziała, że pomógł jej pan rzucić palenie. Przez pewien czas zażywałam zolpidem, ale już na mnie nie działa. Może powinnam spróbować innych środków nasennych?

– Od tabletek na sen można się uzależnić. Zalecam je tylko na krótko, gdy pacjent musi się szybko czymś wspomóc. Ale hipnoza mogłaby okazać się pomocna, zwłaszcza jeśli problem związany jest z powracającymi obsesyjnie przykrymi myślami. Ma pani ochotę spróbować?

– Nie wiem. Może powinnam obsesyjnie porozmyślać o tym przez tydzień? – Wyszczrzyłam zęby, dając do zrozumienia, że żartuję.

Uśmiechnął się uprzejmie.

– Ważne, by pacjent był gotowy na zmianę i wierzył, że jest ona możliwa. Będzie mi łatwiej pomóc, jeśli dowiem się, o czym pani myśli. Proszę spróbować określić, jakie problemy lub ważne decyzje nie pozwalają pani w nocy zasnąć.

Omawiałam te sprawy milion razy z moim byłym terapeutą i nie miałam ochoty odślaniać się przed obcym człowiekiem, ale wyglądało na to, że muszę zdradzić kilka brzydkich sekretów.

– No cóż – zaczęłam. – Mam romans. Z żonatym mężczyzną. Spotykamy się od sześciu lat. Od pięciu próbuję z nim zerwać. Terapia miała mi pomóc w odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie mogę tego zrobić.

– I pomogła?

– Niezupełnie. – Tyle razy analizowałam tę sprawę pod wszelkimi możliwymi kątami, że na myśl o kolejnej rozmowie robiło mi się niedobrze. W dodatku nie podjęłam żadnych działań, zaczęłam jedynie unikać nieprzyjemnego tematu podczas sesji terapeutycznych, przez co czułam się nieswojo, i postanowiłam to zakończyć. Terapię, nie romans. Przynajmniej Jeff wydawał teraz pieniądze na mnie, a nie na psychologa. – Pomogła mi zrozumieć sytuację, ale i tak niczego w niej nie zmieniłam.

– A co pani zrozumiała?

– Krótko mówiąc, jestem zła na siebie, że marnuję najlepsze lata życia na związek z żonatą mężczyzną. Pociąga mnie, ponieważ jest nieosiągalny jak mój ojciec, który sprawił, że czuję się niegodna miłości, bo porzucił mnie i matkę dla innej kobiety, i tak dalej, i tak dalej. – Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z doktorem Markoffem w milczeniu. Założyłam nogę na nogę. – Co pan myśli o xanaksie?

– Jak powiedziałem, nie rozwiąże pani problemów psychicznych, nie docierając do tego, co się za nimi kryje. Może zechce pani nakreślić mi ogólny obraz małżeństwa swoich rodziców?

– Zgoda. – Zmieniłam ułożenie nóg. – A więc w lecie, tuż przed rozpoczęciem przeze mnie nauki w szkole średniej, matka odkryła, że ojciec ma romans. Ponieważ nasze mieszkanie było małe, a oni głośno krzyczeli, dowiedziałam się o wszystkim. Wzięłam stronę mamy i czułam się odrzucona razem z nią.

– Musiało to być dla pani bardzo przykre. – Popatrzył mi z powagą prosto w oczy.

Skinęłam głową i mówiłam dalej, nie zwracając uwagi na oczywistą próbę skłonienia mnie do płaczu poprzez okazanie współczucia.

– Wyprowadził się. Potem rodzice się rozwiedli. Taki był koniec.

– Właśnie miała pani rozpocząć naukę... w jakiej szkole?

– La Guardia.

– To szkoła publiczna? Z zajęciami teatralnymi?

– Mieliśmy też lekcje tańca, muzyki, wychowania plastycznego... Tam spotkałam Jeffa. Pochodził z bogatej rodziny, ale miał dość szkół prywatnych. Poza tym wychowanie artystyczne było u nas na wysokim poziomie. Tak się poznaliśmy. Na zajęciach z malarstwa.

– Jakiego rodzaju była to znajomość?

– Bardzo bliska. Zaczęliśmy ze sobą chodzić w trzeciej klasie. Straciłam z nim dziewictwo i byliśmy razem na studniówce. Nasz związek trwał dwa lata.

– A potem?

– Po skończeniu szkoły średniej Jeff wyjechał, by studiować architekturę w Rhode Island School of Design. Ja zostałam w Nowym Jorku i studiowałam biznes i modę w Fashion Institute of Technology. Nasze rozstanie było smutne, ale nie okropne. Przecież byliśmy młodzi i nie planowaliśmy małżeństwa. Od czasu do czasu, gdy Jeff wpadał do miasta, umawialiśmy się na kawę. Po pewnym czasie straciliśmy ze sobą kontakt, a moja przyjaciółka przeczytała w „New York Timesie” zawiadomienie o jego ślubie. Ożenił się z potomkinią J.P. Morgana. Mieli wesele w hotelu Pierre. Jak się potem dowiedziałam, zamieszkali w Westchester, a Jeff projektował domy dla bogaczy. Pewnie w szkole średniej obniżył dla mnie swoje oczekiwania.

– Jak nawiązaliście ponownie kontakt?

– Mniej więcej przed sześciu laty byłam kierowniczką sklepu z ubraniami vintage na Mott Street. Jeff przeczytał w „New Yorku” artykuł, w którym polecano mój butik jako jedno z najlepszych miejsc na zakupy w SoHo. Przyszedł pod pretekstem szukania prezentu dla żony. Potem zaprosił mnie na obiad.

– I?

– Od tamtej pory się spotykamy – odparłam takim tonem, jakbym nie miała nic więcej do dodania. Nie chciałam zagłębiać się w przykre szczegóły.

– A co z pani ojcem? – zapytał doktor Markoff.

– Mieszka w Kostaryce. W jurcie.

– W jurcie?

– Aha. – Powstrzymałam się od przewrócenia oczami.

– Widzę, że trudno pani o tym mówić, więc dziękuję za podzielenie się ze mną owymi szczegółami. Czy chciałaby pani mnie o coś zapytać?

– Co będzie, jeśli pan mnie zahipnotyzuje, a ja się nie obudzę? Albo coś złego stanie się z moim umysłem?

– Hipnoza tylko pomoże się pani odblokować. Gdy umysł się otworzy, spróbuję pomóc pani skoncentrować się na krępujących ją lękach i niepokojach. Jeśli nie będzie się pani podobał kierunek, w którym zmierzają myśli, albo nie będzie pani chciała pozostawać w transie, zawsze można z niego wyjść. Nie będę miał władzy nad pani mózgiem.

Skinęłam głową, więc uznał, że się uspokoiłam.

– Ale – dodał – jeśli metoda ma zadziałać, musi się pani naprawdę otworzyć.

Chciałam się otworzyć. Przynajmniej spróbować ze względu na Molly. Poznałyśmy się na studiach w FIT. Teraz, kilka ulic od mojego sklepu, prowadziła własny – małąkłą dziuplę ze starymi guzikami.

Poza tym doktor Markoff nosił muszkę. Muszki nigdy nie powinny wychodzić z mody.

– Spróbuję.

Doktor wskazał mi kanapę.

Położyłam się, obciągając spódnice wokół nóg, i spojrzałam w sufit. Zaskoczyło mnie, jak bezbronna się czuję, leżąc tak na widoku.

– Będę nagrywał nasze spotkanie – powiedział. – Może pani potem zabrać kasetę do domu i przesłuchać ją przed pójściem spać. Pomoże osiągnąć stan relaksu. Zanim

zaczniemy, chciałbym, żeby pomyślała pani o miejscu, w którym czuje się swobodnie i bezpiecznie.

– Może być moje mieszkanie?

– Chodzi o miejsce, które jest ucieczką przed codzienną rutyną. Na przykład plaża, las, góry...

– Przyroda działa mi na nerwy.

– Jakaś świątynia.

– Nie jestem religijna.

– Każde miejsce, w którym zapomina pani o kłopotach.

– Najlepiej działa na mnie kupowanie ubrań.

– Sklep? Może być. Który?

Dał się nabrać? Właściwie żartowałam. Rzadko kupowałam sobie nowe ubrania. Większość miała absurdalnie wysokie ceny i była zbyt pospolita. A w sklepach z używaną odzieżą, choć bardzo je lubiłam, zwykle nie pachniało zbyt miło. Chodziło mi raczej o szukanie rzeczy na sprzedaż, a nie dla siebie.

– Każde miejsce, w którym czuje się pani bezpiecznie – powiedział doktor.

W jego głosie pojawił się ton zniecierpliwienia. Najwyraźniej ta część spotkania nie miała być aż takim wyzwaniem. Mogłam wymienić dom towarowy, lecz zapamiętany z przeszłości, a nie jeden z dzisiejszych. Jednak ten, który najbardziej przemawiał do mojej wyobraźni, od dawna nie istnieje.

– Myślałam o domu towarowym Altmana, ale już go zamknęli.

– Niech będzie. Istnieje w pani myślach, w pamięci, a to wszystko, czego nam trzeba. Czego chcemy. Zaczynamy?

Rozdział 4

Olive

Wjeżdżałam schodami na drugie piętro, stojąc za dziewczynką, która domagała się nowej lalki. Matka jednak oświadczyła, że córka ma dosyć lalek. Mała zaczęła wyc jak opętana. Chyba nie starczyłoby mi cierpliwości, by zostać rodzicem. Jestem jedynaczką i nigdy dotąd nawet nie trzymałam na rękach niemowlęcia.

Niektóre koleżanki z Cold Spring zostały już matkami. Gdy opowiadały o rzekomych osiągnięciach swego potomstwa, z trudem udawałam zainteresowanie. Nigdy nie pasowałam do dziewcząt z miasteczka i często zastanawiałam się, czy nie jestem dziwaczką.

Potem, kiedy poznałam Daisy i zaprzyjaźniłam się z nią, uznałam, że to dziewczęta z Cold Spring są zbyt konwencjonalne, i przestałam się martwić swoim dziwactwem. Wszystko było w porządku, dopóki mieszkałam w internacie szkoły panny Hall, jednak po powrocie do domu z jeszcze większym trudem odnajdywałam wspólny język z dawnymi koleżankami.

Spędzałam czas, pomagając ciotce Idzie w pracach domowych albo siedząc na ganku i gapiąc się na drzewa. W miarę jak mijało lato, ogarniała mnie coraz większa melancholia. Ciotka miała swoje utarte nawyki i próby znalezienia dla mnie jakiegoś zajęcia raczej jej przeszkadzały, niż pomagały. Zdawała się czerpać prawdziwą satysfakcję z czyszczenia i odkazania wszystkiego, mnie zaś przy takich czynnościach ogarniało poczucie beznadziejności i nieudolności, jak gdyby próby pozbycia się z domu wszelkich zarazków stopniowo wymazywały stamtąd także mnie samą. Postanowiłam poprosić ojca, żeby dał mi prawdziwą płatną pracę w sklepie.

Gdybym była synem, zatrudnienie mnie w charakterze pomocnika uważałby za coś naturalnego. Jednak nawet nie przyszło mu na myśl, że mógłby „poniżyć” własną córkę i pozwolić jej pracować za stawkę godzinową.

– Przestań płakać! – wrzasnęła matka do dziewczynki. – Albo zaraz wracamy do domu!

Mała zawyla jeszcze głośniej. Na szczęście dotarliśmy na drugie piętro. Tam moje towarzyski zeszyły z ruchomych schodów i skierowały się w stronę salonu z obuwem, a ja pojechałam wyżej we względnej ciszy i spokoju.

Postawa ojca niewiele się różniła od poglądów jego szefa, Franka Woolwortha, który uważał, że miejsce kobiety jest w domu, chociaż zatrudniał setki sprzedawczyń. Zgodnie ze swoją filozofią nigdy ich nie awansował i płacił im stałą, niską pensję.

Podobno robił to dla dobra kobiet, pragnąc, by praca stanowiła dla nich jedynie etap przejściowy przed zamążpójściem. Przede wszystkim korzystał na tym jednak on sam, gdyż wiele ekspedientek latami pracowało u niego bez podwyżki.

Nie mając do roboty nic poza zajęciami domowymi, w sierpniu, gdy zbliżały się moje urodziny, czułam się już zupełnie bezużyteczna. Urodziny nigdy nie były dla mnie szczególnie radosnym dniem, ponieważ wypadała wtedy rocznica śmierci matki. W tym roku jednak okazały się szczególnie przykre. Skończyłam dziewiętnaście lat, tyle, ile miała mama w chwili śmierci. Trudno o wyraźniejszy dowód, jak niesprawiedliwie krótkie było jej życie: skończyło się i dokonało w tym samym wieku, w którym ja, jej równolatka, beztrudnie trwoniłam kolejne dni. Po cóż za mnie umarła? Żałowałam, że nie mogę cofnąć czasu i zamienić się z nią na miejsca.

Na trzecim piętrze grupka kobiet tłoczyła się za starszą damą, która stała przed jadącymi na górę ruchomymi schodami. Miała taką minę jak człowiek próbujący zdobyć się na odwagę przed wskoczeniem do wagonika kolejki w lunaparku. Podeszłam do niej i wyciągnęłam rękę.

– Może wejdziemy razem? – zaproponowałam.

Wsunęła mi pod ramię kruchą dłoń i obrzuciła pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Dziękuję, kochanieńka.

Niczym w tańcu zrobiłyśmy krok do przodu. Kiedy tak stałam obok, mimo woli ogarnęła mnie tkliwość względem mojej słabowitej towarzyszki.

– Wszystko dzisiaj porusza się dużo szybciej, prawda?

– Przerazające, jak wiele się zmieniło od czasów mojej młodości.

– Wyobrażam sobie – powiedziałam, rezygnując z zachwalania zalet postępu. – Wspaniale, że mimo wszystko odważyła się pani wyjść z domu.

– A cóż mam robić? – spytała. – Siedzieć cały dzień w czterech ścianach?

Pod koniec lata w ogóle nie miałam ochoty opuszczać swojego pokoju. Czasem nie chciało mi się nawet wstać z łóżka. Skoro nie było dla mnie żadnego sensownego zajęcia, po cóż robić cokolwiek? Nic nie wydawało się warte wysiłku. Wszystko było stratą czasu. Nie miałam apetytu, a moja szczupła sylwetka stała się koścista. Czasem ni z tego, ni z owego wybuchałam płaczem.

Ciotka Ida wezwała w końcu naszego rodzinnego lekarza. Zalecił leżenie w łóżku i przystawianie pijawek, a gdy zobaczył piętrzący się na szafce nocnej stos egzemplarzy „Dry Goods Weekly”, zabronił mi czytania.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała staruszka, gdy ruchome schody dowiozły nas na czwarte piętro. Zeszliśmy razem, a ona puściła mój łokieć i życzyła mi miłego dnia. Następnie oddaliła się w stronę działu delikatesów, ja zaś pojechałam wyżej.

Na wspomnienie porady doktora wciąż ogarniała mnie wściekłość, choć na swój sposób pomógł mi wtedy dojść do siebie. Gniew wywołał zdrowy przypływ energii, której nie zapewniłby mi najdłuższy nawet odpoczynek. Nie zgodziłam się na przystawianie pijawek, kazałam zostawić tygodniki na swoim miejscu i wstałam z łóżka. Idiotyczne wiktoriańskie poglądy lekarza przypomniały mi, że czuję się bezwartościowa, gdyż społeczeństwo ogranicza kobietom pole działania.

Tego samego dnia postawiłam ojcu ultimatum. Albo sam da mi pracę, albo obejdę wszystkie sklepy przy Main Street, pytając o posadę, a pierwsze kroki skieruję do głównego rywala taty, pana Gottlieba, właściciela sklepu wielobranżowego po drugiej stronie ulicy.

Ojciec zgodził się na kompromis i postawił mnie za ladą, lecz chcąc, by nic nie uchybiało mojej czci, wytłumaczył współpracownikom oraz znajomym, że pracuję tylko dla przyjemności. Chociaż nie dostawałam wynagrodzenia, mój nastrój się poprawił. Zastanawiałam się jednak, czy jestem skazana na to, by resztę życia spędzić w Cold Spring.

W końcu dotarłam na piąte piętro. Triumfalnie, niczym wspinacz stający na szczycie góry, zeszłam z ruchomych schodów i z bijącym sercem odszukałam zielone drzwi prowadzące do działu zatrudnienia.

Przekreśliłam gałkę i znalazłam się na korytarzu, gdzie młoda kobieta najpierw nakazała mi ustawić się w kolejce i odebrać formularz od recepcjonistki, a potem przejść do pokoju, w którym wypełniało papiery kilkanaście innych kobiet. Z niepokojem zauważyłam, że jestem przesadnie wystrojona. Niemal wszystkie moje rywalki nosiły proste spódnice i bluzki.

Po wypełnieniu formularza zaprowadzono mnie do następnego pokoju, gdzie ze zdumieniem ujrzałam rzędy ławek wypełnione kobietami. Kolejne tłoczyły się z tyłu niepewne, gdzie mają usiąść. Straciłam cały zapał. Czy wszystkie one przyszły w sprawie mojej posady?

Energiczna dama z siwymi włosami stanęła przed nami i nakazała dziewczętom siadać zgodnie z numerami formularzy.

– Proszę uważać! Musicie nam pomóc. Kto ma numer dwadzieścia dziewięć? Proszę zająć to krzesło.

Miałam numer siedemdziesiąt pięć.

Byłam zła na siebie, że nie przyniosłam czegoś do czytania, ale zwalczyłam chęć ucieczki. Przyjście tutaj zbyt wiele mnie kosztowało, by teraz zrezygnować.

Pracowałam w sklepie ojca już od sześciu miesięcy, a niemal rok upłynął od ukończenia szkoły panny Hall, gdy krajem wstrząsnął kryzys finansowy. Ludzie

stracili na giełdzie całe fortuny, wiele firm upadło. Jednak sieć Woolwortha przetrwała trudne czasy bez szwanku i w czerwcowym biuletynie zapowiedziano otwarcie w 1907 roku ośmiu kolejnych sklepów. W tym samym numerze ukazało się też inne ogłoszenie, które przykuło moją uwagę. Największy ze wszystkich, tak zwany sklep macierzysty przy Trzydziestej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku, poszukiwał nowego kierownika. Nie tracąc czasu, zachęciłam ojca, żeby zgłosił swoją kandydaturę, zapewniając go, że marzę o tym, by zamieszkać w wielkim mieście. Jako dodatkowy argument dodałam, że przeprowadzka na Manhattan znacznie zwiększy moje szanse na zamążpójście. Nie wspomniałam nic o specjalistkach do spraw zakupów ani ich wysokich zarobkach.

Ojciec przyznał, że widział to ogłoszenie i sam miał ochotę spróbować. Przeprowadzka oznaczała znacznie wyższą pensję, a skoro główna siedziba firmy mieściła się na Manhattanie, pojawiała się też szansa na wejście w najwyższe kręgi imperium Woolwortha.

Ale pozostawała jedna poważna przeszkoda. Ciotka Ida uważała Manhattan za siedlisko wszelkiego zła, miejsce, którego należało za wszelką cenę unikać. Nie pojechałaby do Nowego Jorku nawet na jednodniową wycieczkę, nie mówiąc o przeprowadzce na stałe. A przecież wyróciła swoje życie do góry nogami, by stworzyć nam dom. Jak moglibyśmy teraz zostawić ją samą w Cold Spring?

Los sprawił, że rozwiązanie przyniósł kryzys finansowy. Margaret, sąsiadka i ukochana przyjaciółka ciotki Idy, ulokowała większość oszczędności w akcjach na giełdzie. Krach pozbawił ją wszelkich funduszy i zmusił do sprzedaży domu. Ponieważ ludzie mieli problemy z gotówką, a banki niechętnie ją pożyczaly, dostała za niego zaledwie część tego, ile, przynajmniej kiedyś, był wart. Ciotka Ida zaproponowała więc Margaret, by wprowadziła się do jednego z naszych gościnnych pokoi.

Razem z ojcem chętnie powitaliśmy ją w naszym domu. Była to pulchna, miła kobieta, która piekła najlepsze ciasta na świecie. Oczywiście ani przez chwilę nie zapominałam o tym, że jej obecność pozwoli nam zrealizować marzenie o przeprowadzce do Nowego Jorku. Jednak dopiero pod koniec lata dowiedzieliśmy się oficjalnie, że ojciec otrzymał stanowisko kierownika sklepu przy Trzydziestej Czwartej Ulicy.

– Numer siedemdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt pięć!

Słyszając, że wywołują mój numer, powróciłam do rzeczywistości. Asystentka skierowała mnie do gabinetu na rozmowę. Za dużym drewnianym biurkiem, na którym piętrzyły się stosy podań, siedziała krępa dama w wieku około czterdziestu lat. Była to, jak przeczytałam na tabliczce, panna Lillian Hapgood.

– Olive Westcott?

– Dzień dobry pani.

Nie przedstawiając się, poleciła mi usiąść na krześle przed biurkiem. Czekałam ze złożonymi rękami, aż przeczyta wypełniony przeze mnie formularz, a gdy wreszcie podniosła wzrok, zacisnęłam dłonie tak mocno, że mogłabym udusić kota.

– A pani referencje? – zapytała.

– Przepraszam, nie przyniosłam ich ze sobą.

– Dlaczegoż to? – Panna Hapgood uniosła szerokie brwi.

– Praktycznie wychowałam się w sklepie. Mój ojciec jest kierownikiem sklepu Woolwortha przy Trzydziestej Czwartej Ulicy, a wcześniej zajmował podobne stanowisko w Cold Spring. Pracowałam za ladą, odkąd pamiętam. Może być pani pewna, że handel nie ma dla mnie tajemnic.

– Ile pani zarabiała?

– Nic.

– A więc nie posiada pani prawdziwego doświadczenia.

– Mam go mnóstwo. Po prostu nie otrzymywałam pensji.

Kobieta uśmiechnęła się kwaśno.

– Szukamy dziewcząt, które pracowały na opłacanych stanowiskach.

Staralam się mówić spokojnie.

– Chociaż ojciec mi nie płacił, miałam takie same obowiązki jak inne sprzedawczynie. Możemy do niego zadzwonić – dodałam, licząc się z tym, że każe pannie Hapgood odesłać mnie do domu. – Jestem pewna, że z przyjemnością z panią porozmawia.

– Nie ma takiej konieczności. Potrzebujemy pisemnych referencji od poprzedniego pracodawcy, zaświadczających, że jest pani doświadczoną ekspedientką.

– Och, ale ja nie przysłam tutaj w sprawie pracy dla ekspedientki. Chciałabym zostać asystentką specjalistki do spraw zakupów.

– Tym bardziej. Ten, kto chce dostać taką posadę, musi zacząć za ladą. Jakim cudem mogłaby kierować naszymi ekspedientkami osoba, która nigdy nie pracowała?

Poczułam, że rumieniec zalewa mi policzki.

– Z całą pewnością bardzo szybko nauczyłabym się wszystkiego, czego potrzeba.

– Więc proszę to zrobić i wtedy zgłosić się do nas. Z referencjami. – Odłożyła moje podanie na stos innych. – Dziękuję za przybycie.

Wyszłam z całą godnością, na jaką było mnie stać. To już szczyt wszystkiego!

Żeby tak mnie odprawić! Minęłam czekające dziewczyny, starając się powstrzymać łzy, dopóki nie znajdę się za zielonymi drzwiami. Łzy! Jakie to potworne. Otarłam je szybko i postanowiłam, że nie dam tak łatwo się złamać. Przecież nie potrzebowałam pieniędzy. Pomyśleć tylko, że ta kobieta uznała, iż brak mi kwalifikacji nawet na poślednią posadę ekspedientki!

Odnalazłam toaletę dla pań, istną oazę kobiecości z tapetą w biało-różowe paski, zasłonami w odcieniu fuksji i miękką różową wykładziną. Przed jasno oświetlonym lustrem tłoczyły się kobiety, odświeżając się i poprawiając fryzury, a na blacie leżały rozrzucone puszki do pudru i spinki do włosów. Przynajmniej obecne tu damy nie miały pojęcia o upokorzeniu, jakie mnie przed chwilą spotkało. Ochlapałam twarz wodą i poszukałam miejsca przed lustrem, by upiąć rozpadający się kok.

Kobieta obok pudrowała twarz, opowiadając towarzyszyce o artykule, który przeczytała w porannej gazecie.

– Podobno Harry’emu Thawowi przynoszą do więzienia posiłki z restauracji Astor House. Wyobrażasz sobie coś podobnego?

– Pewnie niedługo zaangażują dla niego orkiestrę.

Ludzie pasjonowali się strasznym skandalem, jaki rozpętał się wokół morderstwa Stanforda White’a. Nie miałam ani odrobiny współczucia dla obłąkanego pana Thawa, który zastrzelił słynnego architekta.

– Gdybym zasiadła w ławie przysięgłych – oznajmiła stojąca obok mnie dama – dopilnowałabym, żeby na zawsze wpakowano go za kratki.

– Cudownie byłoby zobaczyć, jak zeznaje Evelyn Nesbit, choćby po to, by sprawdzić, w co będzie ubrana.

Wyszłam z toalety i ruchomymi schodami zjechałam w dół. Na drugim piętrze boskie zapachy zwabiły mnie do działu delikatesów. Grupa klientów przyglądała się młodej kobiecie duszącej grzyby na małej kuchence spirytusowej.

– Gotowanie na takich kuchenkach – oznajmiła – to idealny sposób na rozwiązanie problemu małych kuchni w nowojorskich mieszkaniach.

Wciąż przygnębiona z powodu odrzucenia nie zamierzałam kupować tego wynalazku, choć wydał mi się bardzo sprytny. W apartamentach hotelu Mansfield nie przewidziano miejsca na kuchnię, co ciotce Idzie nie mieściło się w głowie. Ojciec zaś byłby zachwycony, gdybym od czasu do czasu ugotowała mu obiad.

Kiedy duszone na maśle grzyby były gotowe, kobieta wyłożyła je na tacę, przebiła wykałaczkami i zachęciła, żebyśmy się częstowali. Stojący obok widzowie rzucili się na nie jak wygłodzeni żołnierze frontowi. Sama także sięgnęłam po jednego, nie czekając, aż znikną. Był pyszny. Mimo to odeszłam, nie kupiwszy kuchenki. Nawet

perspektywa radości ojca z posiłku domowej roboty nie mogła przyćmić mojego bólu z powodu zranionej dumy.

Rozdział 5

Amanda

Rozległo się pstryknięcie, to doktor Markoff włączył magnetofon kasetowy. A więc ciągle jeszcze je produkują?

Proszę patrzeć w sufit.

Sufit znajdował się dużo wyżej niż w moim mieszkaniu. Ściany na pewno też były grubsze.

Proszę się skoncentrować na płaskiej białej powierzchni i nie mrugać.

Niezła zabawa. Powstrzymywanie się od mrugania wychodziło mi całkiem niezłe. Może łatwo mnie zahipnotyzować.

Bardzo chce pani mrugnąć, ale proszę się pohamować.

Mrugnęłam.

Powieki są ciężkie, bardzo pragnie je pani zamknąć. Teraz można to zrobić.

Co za ulga.

Proszę skoncentrować się na rozluźnianiu poszczególnych części ciała. Stóp... łydek... ud...

Mówił powoli, zatrzymując się przy kolejnych słowach. Odprężyłam się. Poczulałam się dobrze. Chciałam po prostu leżeć i słuchać rytmicznego, uspokajającego, monotonnego głosu.

Niech do podświadomości dotrze to, co powinno, podczas gdy pani będzie rozmyślać o związkach z innymi ludźmi.

Cóż, to mnie na pewno nie zrelaksuje. Nie chciałam myśleć o Jeffie ani o przyczynach, dla których nie potrafię z nim zerwać.

Życie nie zawsze toczy się po linii prostej. Zbaczamy z drogi, cofamy się, posuwamy się do przodu i na boki.

Przecież nie umierałam z tęsknoty za Jeffem, gdy urwał nam się kontakt. To on odnalazł mnie w sklepie na Mott Street.

Nikt nie wie wszystkiego od razu.

Sprzedziałam mu białą torebkę ze skóry aligatora. Potem zaprosił mnie na obiad.

Trzeba żyć, żeby poznać siebie, świat i innych.

Przy deserze wyznał, że jego małżeństwo to porażka.

Nie można dorosnąć, nie popełniając błędów.

Zaczęliśmy się regularnie spotykać jako przyjaciele, choć jego żona o tym nie wiedziała.

Nikt nie powinien więc obwiniać się za to, że żyje po swojemu.

Pewnego wieczoru, gdy poczułam, że nie ma nadziei, żebym znalazła kogoś, kogo będę wolała od Jeffa, zaczęliśmy się kochać.

Nie da się przewidzieć przyszłości.

Tłumaczyłam sobie, że to chwilowe szaleństwo i niedługo wejdem w prawdziwy związek z innym mężczyzną, którego jednak nie potrafiłam znaleźć.

Nie wiemy, jaki wpływ wywieramy na losy ludzi, których spotykamy na swojej drodze.

Minęło kilka miesięcy, potem rok. Jeff wspominał o odejściu od żony, ale nie umiał się na to zdobyć. Miał dwóch synów, którzy go potrzebowali. A żona nigdy nie zgodziłaby się na rozwód. Oboje pochodzili z bogatych rodzin i walka o podział majątku byłaby koszmarem.

Stawała już pani przed wieloma wyzwaniem. Z kolejnymi też sobie pani poradzi.

Cierpiałam, gdy rodzice się rozwodzili, więc rozumiałam trudności – z wyjątkiem spraw majątkowych. Nienawidziłam kobiety, dla której zostawił nas ojciec. Czy sama miałam stać się taką kobietą? Dać dzieciom Jeffa powód do nienawiści?

Nie trzeba sprawiać, by coś się stało, wystarczy na to pozwolić.

Minął rok, zanim opowiedziałam mamie o romansie. A jej zajęło dwa lata, zanim przestała przy każdej okazji przypominać mi, że źle robię. W końcu nauczyłyśmy się unikać tego tematu.

Jest pani silna i niezależna.

Wiedziałam, że postępuję niegodnie. Mimo to nie potrafiłam zerwać z Jeffem. Jak złodziejka czyhałam na okazję, by zgarnąć łup.

Można zacząć myśleć w inny sposób.

Molly ukuła na ten temat teorię: był moją pierwszą miłością i pierwszym mężczyzną, z którym uprawiałam seks, więc jego obraz wdrukował mi się w mózg i reaguję na zasadzie odruchu bezwarunkowego. To jak nałóg.

Nawet jeśli się tego boimy.

Po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że Jeff nigdy nie zostawi żony. Zaczęliśmy się kłócić. Godziliśmy się i kłóciliśmy wciąż od nowa. Powiedział, że chce się ze mną ożenić, ale to niemożliwe.

Boi się pani pozwolić mu odejść.

Powiedziałam mu, że wszystko skończone.

Boi się pani znów zostać sama.

Usunęłam jego numer z komórki. Przyjęłam gratulacje od przyjaciół. Założyłam profile na serwisach randkowych Match.com, JDate i Chemistry. Próbowałam szybkich randek, szukałam na kolacjach z degustacją win i warsztatach kulinarnych dla singli.

Ale koniec końców...

Tęskniłam za Jeffem.

Każdy z nas jest sam.

Pewnego dnia podczas okropnego tygodnia między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem znów zadzwonił. Powiedział, że jest bezemnie bardzo nieszczęśliwy. Musi zakończyć swoje małżeństwo. I chce mnie zobaczyć.

Otwarcie się na nowe wyzwania może dać poczucie sensu i bliskości, którego tak bardzo pani pragnie.

Rozzłościłam się, ale jednocześnie moje serce wypełniła nadzieja. Przyjechał po mnie limuzyną i zabrał do Le Bernardin, najdroższej nowojorskiej restauracji podającej owoce morza. Miałam na sobie czarną suknię koktajlową z odkrytymi ramionami i tiulową, haftowaną w kropki spódnicą wykończoną aksamitem.

Zamiast więc wstydzić się swojej przeszłości, powinna być pani dumna z każdego doświadczenia, jakie stało się pani udziałem.

Oznajmił, że postanowił rozwieść się z żoną. Zrobi to, gdy tylko młodszy syn pójdzie na studia.

Ponieważ być żywym, to znaczy angażować się, korzystać z szans i żyć w teraźniejszości...

Młodszy syn był wtedy w drugiej klasie. Jeff powiedział, że jeśli po upływie tylu lat jeszcze go zechcę, będziemy razem.

Po otwarciu się na nowe wyzwania czuje się pani pełna życia i energii.

Spotkanie skończyło się u mnie w mieszkaniu najlepszym seksem wszech czasów. Znów zaczęliśmy się umawiać, jakbyśmy nigdy ze sobą nie zrywali. Z powrotem zapisałam w komórce jego numer.

Teraz proszę pójść tam, gdzie czuje się pani silna i bezpieczna.

Gdy powiedziałam przyjaciołom, że znowu jesteśmy razem, nie chcieli o tym słyszeć.

Do miejsca pełnego mądrości.

Czułam się jak idiotka.

Do domu towarowego.

Przecież nie robię się coraz młodsza. Niedługo żaden facet mnie nie zechce. Wypadnę z obiegu.

Spaceruje pani pośród stoisk, patrzy na sukienki... buty... torebki. Jest tu wszystko, czego pani potrzeba.

Doktor Markoff robił, co mógł, żeby pomysł z domem towarowym zadziałał.

Cudowne miejsce, prawda? Jest tu wiele kuszących rzeczy, a wśród nich i mądrość.

Nic z tego nie będzie.

Gdzieś w domu towarowym Altmana jest dział mądrości. Znajdzie w nim pani całą potrzebną wiedzę.

Gdyby to była prawda! Zaraz za działem butów, obok windy...

Podczas wizyty w sklepie ogarnia panią spokój i wreszcie może pani zapaść w głęboki, pokrzepiający sen.

Głowy bym za to nie dała.

Od tej chwili nic już nie powiem. Proszę spędzić tyle czasu, ile potrzeba, błędząc swobodnie myślami.

Co za idiotyzm. Przecież nawet już nie lubię domów towarowych. Powinnam podać jakieś inne miejsce, chociażby ogród obok domu matki. Czemu wcześniej na to nie wpadłam?

A jednak nie. Sklep Altmana to dobry wybór. Elegancki, ale nie snobistyczny, odwiedzałam go, kiedy potrzebowałam ciszy i spokoju. Uciekałam od dochodzących z sąsiedniego pokoju odgłosów kłótni rodziców i wracałam pamięcią do szczęśliwszych czasów albo błędziłam po sklepowych alejkach w chwilach, gdy chciałam być sama, ale nie samotna. Większość klientek stanowiły sekretarki ze stojącego po przeciwnej stronie ulicy Empire State Building albo drobne staruszki w kapeluszach, rękawiczkach i nakładanych na buty kaloszach. Owe damy przychodziły tu na zakupy od lat i lubiły być obsługiwane przez siwowłose sprzedawczynie, które pamiętały ich nazwiska. Wszystko to działało na mnie niezwykle uspokajająco.

Dom towarowy Altmana nie oferował najlepszego wyboru ubrań i niemal każdą z rzeczy można było znaleźć gdzie indziej za niższą cenę, ale liczyła się atmosfera. Tutaj nawet damska toaleta była bardziej luksusowa niż nasz salon. Czerwone kryte aksamitem krzesła, lustra w ozdobnych złożonych ramach, marmurowe studzienki

z wodą pitną z dziobkami w kształcie smoczycich głów. Człowiek czuł się nie tyle jak w domu, ile jak w pałacu.

Główną atrakcją każdej wizyty były odwiedziny w restauracji Charleston Gardens na ostatnim piętrze. Po jednej stronie sali odtworzono tam fasadę rezydencji plantatora z białymi kolumnami, okiennicami i palącymi się lampami. Namalowane na ścianach drzewa sprawiały, że gość czuł się jak w ogrodzie. Troskliwe kelnerki rozwoziły na wózkach kanapki i serwowały na deser pyszne ciasto z brzoskwiniami.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych ogłoszono zamknięcie domu towarowego Altmana, nie mogłam w to uwierzyć. A więc nie będzie istniał wiecznie? Aż do końca świata? Teraz pozostał tylko w mojej pamięci, czy raczej w zbiorowej pamięci osób wystarczająco starych, by o nim wiedzieć.

Tak.

Głos doktora Markoffa wytrącił mnie z zamyślenia.

Teraz policzę od dziesięciu do jednego. Gdy powiem „jeden”, proszę otworzyć oczy. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa...

Nie chciało mi się ruszać. Nie miałam ochoty otwierać oczu. Nie odnalazłam żadnej mądrości. Seans się nie udał.

Kiedy powiedział „jeden”, zmusiłam się, by podnieść powieki. Czy wprowadził mnie w trans? Nie byłam tego pewna. Może ciągle w nim pozostawałam, ale nie sądzę. Czułam, że otacza mnie zwykła, codzienna, parszywa rzeczywistość.

– Jak się pani czuje?

– Dobrze.

– Czy chciałaby mi pani opowiedzieć, o czym myślała podczas seansu?

Czerwone dywany. Smoki. Ciasto z brzoskwiniami.

– Chyba nie.

– W porządku – odparł obojętnie. – Jak pani sobie życzy.

Ale i tak wiedziałam: był rozczarowany. Nie weszłam w trans. Nie pozwoliłam się zahipnotyzować.

Wyjął kasetę z magnetofonu.

– To dla pani. Proponuję przesłuchać ją wieczorem przed pójściem spać. Proszę nauczyć się koncentrować uwagę na pozytywnym źródle mądrości. W końcu kasetę nie będzie potrzebna, będzie pani umiała zrobić to sama i zasypianie przestanie być takie trudne.

Usiadłam na brzegu kozetki.

– Czy to siła sugestii? Na tym polega hipnoza?

– Pani już zna odpowiedź – odrzekł głębokim, pełnym dobroci głosem. – Chodzi o to, by zechciała ją pani zaakceptować.

Brzmiało to miło i rozsądnie, ale przecież żadnej odpowiedzi nie znałam, więc jakim cudem miała do mnie dotrzeć? Podziękowałam doktorowi i wyszłam z gabinetu.

Rozdział 6

Olive

Kiedy wyszłam z domu towarowego, niebo pokrywały złowrogie burzowe chmury. Panująca w sklepie duchota sprawiła, że zapomniałam o pogodzie. Jakiś człowiek na rogu sprzedawał tanie parasole, ale minęłam go i wmieszałam się w tłum na chodniku. Pierwsze kropelki deszczu na twarzy podziały orzeźwiająco, ale po chwili zmieniły się w krople, a potem w gwałtowną ulewę. Uciekłam pod markizę nad wejściem do małego, obskurnego teatrzyku i starałam się nie zwracać uwagi na naganiacza wywrzaskującego coś przez megafon.

– Panie i panowie, proszę wejść i na własne oczy przekonać się o niezwykłych zdolnościach Loli Cotton, najbardziej zadziwiającej jasnowidzącej na świecie! Następny pokaz już za pięć minut.

Nie miałam ochoty oglądać jakiejś śmiesznej jasnowidzącej.

– Zapraszamy samotne damy!

Z nieba lały się strumienie deszczu. Kolejka przed kasą była coraz dłuższa.

– Wstęp za jedyne pięć centów!

Uderzył piorun. Pospiesznie podeszłam, żeby kupić bilet, zanim wszystkie zostaną wyprzedane.

Wewnątrz, w holu, chłopiec rozdawał wchodzącym kartki papieru i ołówki.

– Możecie państwo zadać pannie Cotton każde, ale to absolutnie każde pytanie, a ona wam na nie odpowie!

– Czy potrafi przewidywać przyszłość? – dopytywał się łysy mężczyzna z siwą brodą.

– Jeszcze jak – odparł chłopiec.

Na moich oczach mężczyzna napisał coś na kartce, po czym włożył ją do koperty i zakleił. Chłopiec umieścił kopertę w pudełku po cygarach.

– Czy ma pani jakieś pytanie do panny Cotton? – zwrócił się do mnie.

Kusiło mnie, by spróbować i udowodnić, że jasnowidząca się myli. Jednak aż tak bardzo nie zależało mi na tym, żeby ją – czy też siebie – zawstydzić. Odpowiedziałam więc grzecznie, że nie mam, i weszłam na salę.

Na niewielkiej widowni pachniało pleśnią, pianista, ziewając, grał ragtime'y, ale przynajmniej było ciepło i sucho. Usiadłam na twardym drewnianym krześle w ostatnim rzędzie. Miejsca szybko się zapełniły. Kiedy na scenie pojawił się chudy

jak szkielet mężczyzna w białym garniturze, nabrałam ochoty na obejrzenie pokazu.

– Dziękuję, że zechcieli państwo tu przybyć, by przekonać się o niezwykłych zdolnościach mojej córki, Loli Cotton.

Widzowie zaczęli klaskać, a Lola, ubrana w prostą białą popołudniową suknię, weszła na scenę i stanęła obok ojca. Była młodsza, niż się spodziewałam, miała około piętnastu lat i uroczą, pogodną twarz.

– Może wątpicie w moje zdolności – powiedziała, jakby czytała mi w myślach, chociaż moje odczucia podzielali zapewne wszyscy obecni. – Sama też bym niedowierzała, gdybym nie wiedziała, że naprawdę je mam.

– Proszę wszystkich państwa o życzliwe myśli – zabrał głos ojciec. – Musicie otworzyć umysły, by przewodnicy duchowi Loli zechcieli nawiązać z nami kontakt.

Na scenę wszedł chłopiec i podał jasnowidzącej pudełko po cygarach, a ona wyjęła z niego jedną z kopert. Z plecami równie prostymi jak zwisający z nich warkocz podniosła ją do czoła i zamknęła oczy.

– Widzę imię Horace – oznajmiła i spojrzała na widownię. – Czy jest na sali ktoś, kto się tak nazywa?

Krępy jegomość w piątym rzędzie podniósł się z miejsca.

– Ja.

– Pyta pan, czy narzeczona naprawdę pana kocha – powiedziała Lola. – Owszem, kocha, ale musi pan jak najszybciej się z nią ożenić. Nie będzie dłużej czekać.

Ojciec Loli zapytał mężczyznę, czy otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

– Chyba musi pan się zwrócić do mojej narzeczonej. – Horace zarechotał. – Siedzi obok.

Po widowni przeszedł szmer, ludzie byli wyraźnie zaciekawieni.

– Zawsze mówiłam, że wyjdę za mąż, gdy skończę dwadzieścia lat – oznajmiła towarzyszka Horace'a, przyglądając tlenione na żółto włosy. – A tu proszę, w przyszłym tygodniu stuknie mi trzydziestka.

Na sali rozległy się śmiechy.

– Niech ci będzie – powiedział jej narzeczony. – Może weźmiemy ślub w twoje urodziny?

– Świetny pomysł.

Zachwyceni widzowie zaczęli klaskać. Dzięki własnym niezwykłym zdolnościom domyśliłam się, że para to podstawieni aktorzy biorący udział w pokazie.

Jasnowidząca odpowiedziała na jeszcze kilka pytań znajdujących się w kopertach,

a potem ojciec przewiązał jej oczy czarną chustką.

– Teraz Lola zademonstruje moc magnetyzmu. Przewodnicy duchowi skierują jej uwagę na osoby, którym zmarli bliscy wysyłają ważne wiadomości.

Przez kilka chwil trwała cisza, po czym Lola powiedziała:

– Czy mogłabym prosić o powstanie młodą damę w granatowej sukni?

Z pewnością nie chodziło jej o mnie. Czekałam, aż ktoś podniesie się z miejsca.

– Nosi na szyi złoty medalion – ciągnęła Lola. – W kształcie serca. Chyba jest na nim gwiazda.

Poczerwieniałam. Spojrzałam na swój medalion. Złoty, w kształcie serca, z wrytą z przodu gwiazdą. Kobieta siedząca obok gapiała się na mnie natarczywie, praktycznie zmuszając wzrokiem do powstania. Wstałam więc i uniosłam medalion, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Widownia nagrodziła mnie oklaskami. Ale jasnowidząca jeszcze nie skończyła.

– W medalionie jest fotografia.

– Czy to prawda? – zapytał ojciec Loli.

– Tak – przyznałam.

– To ktoś bardzo do pani podobny – powiedziała Lola.

Serce zabiło mi mocniej, ale nie chciałam ulec nastrojowi ani okazać, co czuję.

– Pani matka?

Wciąż milczałam, chociaż policzki mi płonęły.

– Jej duch jest teraz z nami – ciągnęła Lola. – Matka prosi... żeby przestała się pani obwiniać. Ona pani przebacza.

– Co mi przebacza? – Jednak nie wytrzymałam.

– Mówi, że kocha panią nad życie.

Poczułam ucisk w gardle, z trudem przełknęłam ślinę. Czy Lola twierdzi, że nie powinnam się obwiniać o śmierć matki? Któż mógłby mieć pretensję do niewinnego dziecka, jednak nie da się ukryć, że to przeze mnie jej życie się zakończyło. Nie śmiałam zadać głośno tego pytania, nie mogłam też uwierzyć, że dałam się Loli ogłupić i tak bardzo się tym wszystkim przejęłam.

Jasnowidząca zajęła się następną ofiarą. Ja zaś po chwili otworzyłam medalion i popatrzyłam na fotografię matki. Miała proste włosy upięte w ciasny kok, a na czole fryzowaną grzywkę. Ciemnymi oczami patrzyła prosto przed siebie. Zawsze uważałam, że wygląda strasznie smutno, jakby wiedziała, iż nie jest jej pisane długie życie. Ciotka mówiła, że mamy takie same kasztanowe włosy, jasną cerę

i ciemnobrązowe oczy. Jednak matka była ładniejsza, drobna i delikatna, podczas gdy ja odziedziczyłam po ojcu wysoki wzrost oraz długie ręce i nogi.

Deszcz ustał. Szłam chodnikiem i wszystko wokół wydawało mi się jakieś inne, zupełnie jakby podczas pokazu w sklepach zmieniono wystawy. Na rogu spojrzałam na tabliczkę z nazwą ulicy i stwierdziłam, że idę w złym kierunku. Zaczęłam się śmiać sama z siebie. Jasnowidząca całkiem zamąciła mi w głowie. Zawróciłam. Idąc w przeciwną stronę, minęłam kilka osób z widowni. Niektóre przyglądały mi się ciekawie. Przynajmniej dzięki Loli przestałam myśleć o tej okropnej rozmowie w sprawie pracy. Gdyby tak mogła znaleźć mi posadę specjalistki do spraw zakupów. I przy okazji przywrócić życie matce...

2 października 1907 roku

Jedyną korzyścią z poszukiwania pracy w tajemnicy jest to, że nie muszę opowiadać ojcu o tej strasznej rozmowie. Lecz czy zdołam znaleźć posadę, nie prosząc go o napisanie mi referencji?

Kelner postawił przed nami zupę ostrygową, a ja, jak co wieczór przy obiedzie, zadałam ojcu to samo pytanie:

- Jak było w pracy?
- Nie tak dobrze, jak bym chciał.

Sala restauracyjna hotelu Mansfield wyglądała zwyczajnie: białe obrusy, zielone zasłony, a na ścianach obrazy przedstawiające rozmaite gatunki ptaków. Za to ceny nie były wysokie, no i nade wszystko liczyła się wygoda.

- Kiedy otworzą stację kolejową, sprzedaż na pewno wzrośnie.

Widziałam plac budowy Pennsylvania Station. Na miejscu ośmiu zabudowanych czynszówkami kwartałów ziała teraz w ziemi wielka dziura.

- Jeśli w ogóle ją otworzą – powiedział ojciec. – A tobie jak minął dzień?

Pomiędzy łykami słonego bulionu opowiedziałam mu o Loli Cotton.

– Muszę przyznać, że trochę mnie wystraszyła. Skąd wiedziała, że noszę medalion?

– Chyba wspominałaś, że w holu rozmawiałaś z jakimś chłopcem? Pewnie go zauważył.

– Naturalnie. Musiał jej o nim powiedzieć. – Odetchnęłam z ulgą. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Czy pragnęłam wierzyć Loli, tak jak reszta widowni? – A jednak powiedziała, że matka kochała mnie nad życie. Użyła dokładnie takich słów. „Nad życie”. Zupełnie jakby wiedziała, co się stało.

– Zbyt poważnie traktujesz tę Cotton. To ty przypisujesz jej słowom takie właśnie znaczenie.

– Być może. Pewnie każda córka o coś się obwinia.

– A która matka nie kocha nad życie własnego dziecka?

Zadowolona, uśmiechnęłam się do ojca. Ale przełykając kilka ostatnich łyżek zupy, mimo woli pomyślałam, że matka nie miała szansy kochać mnie nad życie. Ostatecznie urodziła mnie na kuchennym stole, a wkrótce potem zmarła. Nigdy nie pytałam, co dokładnie się wtedy wydarzyło – zawsze obawiałam się odpowiedzi. Lecz teraz, gdy sprawy małżeństwa i rodzenia dzieci zaczynały coraz bardziej mnie dotyczyć, czułam nie tyle strach, ile ciekawość. Powinnam poznać prawdę. I nie potrzebowałam do tego pomocy jasnovidzającej. Mężczyzna, który wiedział na ten temat wszystko, siedział naprzeciwko mnie przy stole. Już miałam zadać pytanie, gdy ojciec oznajmił, że zaczęli używać nowego rodzaju słomek w stoisku z wodą sodową.

– Są z papieru nasączonego woskiem – wyjaśnił. – Jedna wystarczy do wypicia całej szklanki.

– Brzmi wspaniale.

Pikolak zebrał miseczki po zupie, a kelner wniósł drugie danie. Już od samego zapachu krokietów z kurczaka, usmażonych z dodatkiem grzybów i śmietany, leciała mi ślinka. Ojciec, jedząc ze smakiem stek, skarżył się na kłopoty z zainstalowaniem w sklepie stoiska z wodą sodową. Odpowiednia chwila na zadanie pytania minęła. Postanowiłam kiedy indziej zapytać o okoliczności moich narodzin.

Tego samego wieczoru, po przebraniu się w szlafrok, dołączyłam do ojca w salonie. Usadowiony w fotelu czytał właśnie najnowszy numer „The Horseless Age”. Zwinęłam się na kanapie z wieczorną gazetą, a moją uwagę przykuł nagłówek artykułu o wodospadzie Niagara. Rodzice spędzili tam miesiąc miodowy. Znów jakiś szaleniec próbował spłynąć wodospadem w beczce. Artykuł opisywał, jak na oczach tłumu pomocnik zamknął nad śmiałkiem pokrywę. Dwóch mężczyzn wrzuciło beczkę do rzeki. Wszyscy patrzyli, jak zbliża się do krawędzi wodospadu, leci w dół i ginie wśród piany i bryzgów wody. Kilku ludzi pobiegło wyłowić śmiałka. Kiedy podnieśli pokrywę, okazało się, że nie żyje. Biedaczysko.

– Portier polecił mi garaż – powiedział ojciec.

– Gdzieś niedaleko? – Podniosłam wzrok znad gazety.

– Przy Drugiej Alei. Chyba sprowadzę tu automobil.

– Cieszę się, że znów będziecie razem – droczyłam się z nim.

– Właśnie czytam artykuł, w którym napisali, że John Jacob Astor ma w swoich garażach dwadzieścia dwa automobile i że jeśli ktoś posiada ich mniej niż cztery, to

jest nędzarzem.

– Prawdziwi z nas biedacy.

Ojciec podszedł do biurka i wyjął z pudełka cygaro. Odkąd pamiętałam, palił tę samą markę. Obrazek na wieczku przedstawiał dwie piękne kobiety z długimi ciemnymi włosami. Jedna szeptała drugiej coś do ucha. Zawsze zastanawiałam się, co to za sekret.

– Tatku, mam pytanie.

– Tylko jedno? – zapytał, zapalając cygaro.

– Co się stało podczas moich narodzin?

– Ciągle martwi cię ta bzdurna historia z jasnowidzącą?

– Nie, po prostu chciałabym wiedzieć.

Koniec cygara rozżarzył się pomarańczowo.

– Nie kłopotz się o to, moja mała Olive. – Ojciec posłał kółko z dymu w stronę sufitu.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej. Niech mnie tatko nie traktuje jak dziecko.

– Niczego więcej nie było. Miała długi i trudny poród. Straciła wiele krwi. Doktor zrobił wszystko, co w jego mocy.

– Przecież musi tato pamiętać, co poszło nie tak.

Ojciec rozsiadł się w fotelu i popatrzył na mnie z powagą.

– To nie była twoja wina. Natura jest ułomna. Matka poświęciła dla ciebie wszystko podczas tej, aż nazbyt zwyczajnej, tragedii. Ale rozmyślanie o tym nie prowadzi do niczego dobrego. – Umilkł i znów zagłębił się w czytaniu gazety.

Jeśli wiedział coś więcej, nie zamierzał mi o tym powiedzieć. Wróciłam do wodospadu Niagara. Ilustracja przedstawiała spadającą beczkę. Zastanawiałam się, o czym myślał ów nieszczęśnik, kiedy leciał w dół. Czy była to podniecająca podróż, urwana zbyt gwałtownie, by zdążyć się zorientować, że to koniec? Czy też od razu zrozumiał swój błąd i ruszył na spotkanie śmierci pełen żalu? Wszyscy twierdzą, że wodospad Niagara poraża potęgą. Nie wyobrażam sobie, abym mogła w ten sposób igrać ze śmiercią. Życie jest wystarczająco niebezpieczne.

Rozdział 7

Amanda

Gdy tylko wyszłam od doktora Markoffa, zadzwoniła moja komórka. Spojrzałam na wyświetlacz. Jeff.

– Cześć – powiedziałam.

– Jak się czujesz w dniu urodzin?

– Poszłam do hipnotyzera i dałam się wprowadzić w trans! – Przechodzący obok mężczyzna spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem. Czyżbym wykrzyknęła głośno ostatnie zdanie? – Ale chyba nic mi to nie pomogło – dodałam ciszej.

– Może nadal jesteś w transie, tylko o tym nie wiesz.

– Bo idę ulicą nago?

Roześmiał się.

– Nie. Po prostu wydajesz się taka sama jak zwykle.

– Bardzo śmieszne. – Rzeczywiście zachowałam się jak zwykle: odebrałam telefon i udawałam, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Czyli spotykamy się dziś wieczorem – powiedział.

Przecież nie muszę w tym brać udziału. Mogłabym zawiadomić Jeffa, że mam dosyć. Cóż takiego powiedział doktor Markoff? *Pani już zna odpowiedź.*

– Świetnie. – *Chodzi o to, by zechciała ją pani zaakceptować.* – Nie mogę się doczekać.

– Do zobaczenia o ósmej. Wyślę ci SMS z nazwą restauracji. Wszystkiego najlepszego.

Rozłączyliśmy się. Słońce mocno świeciło, więc czekając na SMS, włożyłam ciemne okulary. Zanim przyszedł, dostałam wiadomość od Molly.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Jak tam pan M.? Nie mogę się doczekać relacji. Xoxo, Molly.

W pierwszej chwili chciałam do niej zadzwonić, ale postanowiłam poczekać, aż wrócę do domu. Skoro Molly płaciła za wizytę, opowieść powinna zabrzmieć entuzjastycznie. A lepiej wszystko przedstawię, jeśli zdołam wcześniej ochłonąć. Może hipnoza zadziałała i rano zawiadomię Molly o wspaniałym sukcesie?

Po minucie przyszedł SMS od Jeffa z nazwą miejsca spotkania. Eleven Madison Park – jedna z nowojorskich restauracji, w których najtrudniej zarezerwować stolik.

Mieści się po drugiej stronie Madison Square Park, na parterze wspaniałego wieżowca w stylu art déco, którego częścią jest Metropolitan Life Tower.

Oboje z Jeffem uwielbialiśmy Nowy Jork i jego historię. Jeff, jako architekt, bez przerwy pokazywał mi różne sławne budynki i ich detale, aż w końcu sama stałam się specjalistką w tej dziedzinie. Stale wzbogacał też moją kolekcję książek o Manhattanie – starych i nowszych, na ogół o wyczerpanym nakładzie. Były wśród nich wspomnienia, biografie, albumy, przewodniki turystyczne z różnych dekad oraz książki historyczne pisane wtedy, gdy Canal Street naprawdę była kanałem. Siedząc w sklepie, przeglądałam je niespiesznie godzinami – a im więcej zawierały fotografii, tym lepiej.

Idąc dalej Washington Place, dotarłam do kolejnego ważnego miejsca – budynku, w którym wybuchł pożar szwalni Triangle. Dom ocalał, a ogień strawił tylko kilka najwyższych pięter. Tabliczka na rogu przypominała mi, że stało się to w 1911 roku. Zapewne Olive, tak jak inni nowojorczyki, była wstrząśnięta tragedią. Czasem, przechodząc tędy, wyobrażałam sobie tamte straszne sceny. Czytałam o belach materiału buchających żywym ogniem. O dziewczętach wyskakujących z okien. O zwłokach leżących na chodniku, dokładnie tu, gdzie teraz stałam. Historycy uważają, że była to najtragiczniejsza katastrofa, do jakiej doszło w Nowym Jorku w miejscu pracy, do dnia, w którym samoloty uderzyły w wieże World Trade Center.

Teraz budynek należy do Uniwersytetu Nowojorskiego. Studenci pewnie nie wiedzą, co przed niemal stu laty działo się na jego górnych piętrach. Zastanawiam się, czy czasem w salach wykładowych wyczuwają obecność duchów. Nie oznacza to, że w nie wierzę. Po prostu lubię myśleć, że zajmujemy tę samą przestrzeń, co ludzie z przeszłości.

Dzięki historii własnej rodziny czułam luźny związek z tamtą tragedią. Babcia lubiła mi opowiadać o dniu, w którym jej matka przybyła do Ameryki. Gdy tylko opuściła Ellis Island, zagadnął ją przedstawiciel fabryki i postawił przy maszynie, nim zdążyła znaleźć mieszkanie. Trafiła do zakładu szyjącego rękawiczki na Mercer Street, gdzie poznała swojego przyszłego męża, i w ten sposób los zadecydował o moim przyjściu na świat.

Skreśliłam w Broadway, a potem w Czwartą Ulicę. Czerwone światło zatrzymało mnie na Bowery, w miejscu, w którym Greenwich Village przechodzi w East Village. Tu, na rogu, w palącym słońcu, było szczególnie gorąco. Nic nie jechało, więc przeszłam przez jezdnię. Olive pewnie nigdy nie zapuszczała się w moje rejony. W tamtych czasach kobiety z klasy średniej unikały terenów położonych na południe od Ósmej Ulicy. Lower East Side uchodziło za podejrzaną dzielnicę aż do lat pięćdziesiątych, kiedy wylansowali ją beatnicy. W latach sześćdziesiątych zaczęto określać obszar na północ od Houston Street jako East Village, a agenci

nieruchomości uczepili się tej nazwy, pragnąc, by kojarzyła się klientom z romantyczną, staroświecką Greenwich Village. Bowery pyszniła się teraz nowym efektownym muzeum sztuki i luksusowymi apartamentami tak drogimi, że stać było na nie tylko cudzoziemców.

Mieszkałam w pobliżu przy jednej z najładniejszych, wysadzanych drzewami ulic w dzielnicy. Mój sklep, butik Astor Place, mieścił się na parterze dawnej czynszówki. Co prawda nie była to ulica Astor Place – biegnie ona kilka przecznic dalej na północ – uznałam jednak, że skojarzenie z Johnem Jacobem Astorem, jednym z pierwszych manhattańskich multimilionerów, na pewno mi nie zaszkodzi.

Skromnej uliczce dodawały życia liczne prywatne firmy: spółdzielnia spożywcza, gorseciarka, salony fryzjerskie, urocza kawiarenka z salką na pięć stolików oraz dwa teatry off-off-Broadway. Kiedy w 2002 roku w moim budynku w lokalu od ulicy zamknięto sklep z używanymi płytami, postanowiłam skorzystać z okazji. Wcześniej kierowałam sklepem na Mott Street i umiałam wystarczająco dużo, by poprowadzić własną firmę, czemu więc, dla odmiany, nie miałam zostać własną szefową? Po zamachu na World Trade Center czynsze w East Village bardzo spadły, dzięki czemu udało mi się wynegocjować rozsądną cenę za wynajem lokalu na pięć lat. Rząd federalny udzielił małej pożyczki na rozkręcenie firmy i tak rozpoczęłam działalność.

Po roku okazało się, iż sklep przynosi straty, choć pobierałam pensję niższą niż na Mott Street. Księgowy powiedział, że grozi mi bankructwo. Żadne z rodziców nie miało pieniędzy, które mogliby mi pożyczyć. Jeff zaproponował wtedy, że będzie uzupełniać moje dochody, wypisując co miesiąc czek na pokrycie kosztów ogólnych. Dla uratowania sklepu byłam gotowa poświęcić nawet własną godność. Przyjęłam pomoc.

W drugim roku sklep wyrobił sobie markę. Nawiązałam kontakt z nowymi dostawcami, u których mogłam za lepszą cenę kupować towar hurtowo, rozbudowałam stronę internetową AstorPlaceVintage.com i zaczęłam sprzedawać ubrania na eBayu. Księgowy uznał, że mogę dać sobie małą podwyżkę. Jeff nadal chciał pomagać mi finansowo, a ja nie protestowałam. Dobrze było mieć poczucie bezpieczeństwa, zresztą przecież zamierzałam kiedyś zwrócić mu dług z nawiązką.

Trzeciego roku rozpoczęłam psychoterapię, której nie pokrywało ubezpieczenie zdrowotne, więc wciąż przyjmowałam co miesiąc чеки od Jeffa. Dostrzegałam przy tym ironię całej sytuacji – może pomoc psychologiczna nie byłaby mi potrzebna, gdybym potrafiła uwolnić się od żonatego kochanka.

W ubiegłym roku firma się rozrosła, a mój komputerowy program finansowo-księgowy poinformował mnie, że teraz, gdy opanowałam jego obsługę, mogę się obyć bez kosztownego księgowego. Wciąż przyjmowałam чеки od Jeffa, ale teraz bardziej

zależało mi na bezpieczeństwie emocjonalnym niż finansowym. Pragnęłam myśleć, że chce mnie otoczyć opieką. Lubię, gdy ktoś się mną opiekuje. Nawet jeżeli ma żonę.

Czasami ta sytuacja sprawiała jednak, że czułam się jak dziwka.

Z drugiej strony puchłam z dumy, patrząc na wiszący nad sklepem szyld ASTOR PLACE – UBRANIA VINTAGE wypisany białymi literami na szafirowym tle. I zamierzałam odciąć się od Jeffa – finansowo i emocjonalnie. Lada moment to zrobię. Już niedługo. Naprawdę.

*

Otworzyłam drzwi frontowe, a potem skrzynkę na korespondencję w korytarzu i wyjęłam z niej kilka listów. Potem spojrzałam na stół stojący przed drzwiami do służbówki dozorczy. Listonosz zostawiał tam paczki. Trafiony, zatopiony! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Trzy paczki – od matki, od ojca oraz bardzo ciężki pakunek z Alabamy, pewnie zawierający coś kupionego pod wpływem nastroju kilka tygodni temu na eBayu. Dwukrotnie wbiegłam po schodach, by zanieść wszystko na górę, i ułożyłam paczki na podłodze korytarza, by móc otworzyć drzwi.

Mieszkanie było okropnie zagracone. Za dużo używanych mebli, skarbów z pchlich targów, przyborów do szycia oraz worków z ubraniami czekającymi na zanieśenie do sklepu. Włączyłam klimatyzację i zaczęłam się zastanawiać, jak ludzie potrafili bez niej przeżyć tu upalne lato. Pomyśleć, że sto lat temu w tym małym jednopokojowym mieszkaniu pocilałaby się pewnie cała rodzina. Czytałam o życiu imigrantów na przełomie wieków, byłam w prezentującym je Tenement Museum na Orchard Street, oglądałam zdjęcia Lower East Side autorstwa Lewisa Hine'a i Jacoba Riisa. Ojcowie zgarbieni nad maszynami do szycia, matki i dzieci wyrabiające sztuczne kwiaty, lokatorzy śpiący na podłodze, ludzie stłoczeni na schodach przeciwpożarowych. Sama na swoich nawet nigdy nie byłam. Kraty w oknach zbyt ciężko się otwierały, a schody pewnie by się zawaliły, gdyby ktoś na nich stanął.

Opadłam na staroświecką zieloną kanapę i włączyłam laptop, żeby sprawdzić pocztę. Kilka ubrań, które wystawiłam na eBayu, osiągnęło podczas licytacji przyzwoitą cenę. Naprawdę powinnam bardziej troszczyć się o sklep internetowy, ale bezosobowy świat sprzedaży online uważałam za okropne nudziarstwo. Poza tym nie znosiłam mozolnego fotografowania ubrań, podawania dokładnych wymiarów i wymyślania trafnych opisów.

Karin i Patricia, przyjaciółki, które znałam jeszcze z podstawówki, przysłały mi życzenia urodzinowe. Karin proponowała, żebyśmy któreś niedzieli wybrały się na sushi do Greenwich Grill w Tribeca. Patricia miała inny pomysł – na Czternastej

Ulicy otwarto nową restaurację o nazwie Home Cooking. Podobno ich pieczony kurczak i maślane bułeczki były niezrównane.

Brzmiało kusząco, lecz by zaprotestować przeciw bezczelnemu obdarzaniu restauracji mianem „kuchni domowej”, zagłosowałam za sushi. Potem otworzyłam e-mail od mamy.

Cześć, skarbie, myślę właśnie o tym, jak po raz pierwszy spojrzałam na Twoją uroczą twarzą w cudownym dniu, kiedy się urodziłaś. Czy dostałaś mój prezent? Nie mogłam się powstrzymać. Kocham Cię, xo, mama.

Mama pracowała kiedyś w dziale PR w Metropolitan Museum of Art. To jedna z nowojorskich posad, które zapewniają pracę w atrakcyjnym otoczeniu i z ciekawymi ludźmi w zamian za pensję pozwalającą przetrwać na granicy ubóstwa. Po przejściu na emeryturę zamieszkała w Woodstock, w domku, który rodzice kupili, gdy byłam mała, by mieć gdzie odpocząć od miasta. Mama, podobnie jak ja, wolała wielkomiejskie życie. W Woodstock jednak czuła się dobrze mimo tamtejszego otoczenia – mieszkali tu inni eksnowojorczy, były dobre restauracje, a także obfitość pachliwych targów i wyprzedaży garażowych.

Kiedy byłam mała, bardzo lubiliśmy razem objeżdżać takie miejsca i polować na okazje. Mama nauczyła mnie, jakim tonem pytać sprzedawców, czy to ich ostateczna cena, jak udawać, że ma się w kieszeni tylko określoną sumę pieniędzy, i jak przybierać żalną minę przed wyartykułowaniem pełnego nadziei: Czy tyle wystarczy? Kiedy w domu zgromadziło się za dużo rzeczy, urządzałyśmy własną wyprzedaż.

Ojciec uwielbiał Woodstock, ponieważ hipisowskie miasteczko zaspokajało jego fascynację medytacją transcendentną, jogą i cudzołóstwem. Jego małżeństwo z mamą rozpadło się przez romans z kobietą prowadzącą zajęcia z reiki. Po paru miesiącach kłótni ojciec przeniósł się ze swoją dziewczyną do aśramu w północnej Kalifornii. Minęło kilka lat i rodzice oficjalnie się rozwiedli, a mamie, w ramach ugody, przypadł dom w Woodstock.

Gdy skończyłam czytać e-maile i sięgnęłam po listy, zauważyłam wśród nich pismo od zarządcy budynku – prawdopodobnie chodziło o przedłużenie wygasającej wkrótce umowy najmu. Odłożyłam je na bok – zarządca i tak zdążył mnie już ostrzec, że czynsz wzrośnie o około sześć procent. Nie ma co się z tym spieszyć, skoro paczki czekają na otwarcie.

Zacęłam od przesyłki z eBay, ponieważ wiedziałam, co jest w środku. Kosztowny zakup miał być prezentem dla mnie samej. Po zdjęciu folii bąbelkowej obejrzałam z podziwem serwis z lat czterdziestych projektu Homera Laughlina. Wzór

w czerwone tulipany i niebieskie bratki był wesoły i uroczy. Nie powinnam jednak tego kupować, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, był serwis na osiem osób. Przy blacie z płyty laminowanej mogły usiąść cztery, a i tak połowę miejsca zajmowała maszyna do szycia. Lecz kto wie, może pewnego dnia wyjdę za mąż, przeprowadzę się do większego mieszkania i zrobię użytek z serwisu.

Potem zabrałam się do rozpakowywania prezentu od matki, zapewne kolejnego wazonu w kształcie ludzkiej głowy z otworkami na łądygi kwiatów. W minionych latach dostałam od niej kilka takich podarków. Można kolekcjonować głowy dzieci, klaunów, madonn... Były popularne w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Ja zbierałam głowy atrakcyjnych kobiet noszących rozmaite ozdoby, na przykład naszyjnik z pereł, wiszące kolczyki lub toczek. Matka zawsze wypisywała na załączonym bileciku jakiś żarcik. *Nie rób wszystkiego, co ci przyjdzie do GŁOWY. Co dwie GŁOWY, to nie jedna...*

Otworzyłam pudełko – w środku był wazon w kształcie głowy. Z uśmiechem pokręciłam głową nad nową główką do mojej kolekcji. Nosiała bladoniebieski kapelusz z opadającym rondem, ozdobiony dużą żółtą kokardą. Podbródek opierała na dłoni w białej rękawiczce. Na bileciku przeczytałam: *Baw się dobrze w dniu urodzin, tylko nie trać GŁOWY.*

Przyszedł czas na obejrzenie prezentu od ojca. Instruktorka reiki należała już do przeszłości, teraz mieszkał w Kostaryce w czterdziestoosobowej ekologicznej komunie. uprawiali warzywa, kąpali się w wodospadach i z poświęceniem troszczyli się o planetę dla dobra przyszłych pokoleń. Znakomicie, ale czy ojciec nie mógłby spędzać więcej czasu tutaj i bardziej zatroszczyć się o mnie, swoje własne przyszłe pokolenie? Wyjęłam z paczki bransoletkę z różowych i zielonych kamieni oraz drukowaną kartkę z informacją:

Dzięki noszeniu tej biżuterii oczyścisz centra energetyczne, co pozwoli ci odzyskać optymizm, zapomnieć urazy i wskrzesić nadzieję. Najlepsze rezultaty daje noszenie bransoletki przez dziesięć dni.

Dziesięć dni? Nie włożyłabym jej nawet na godzinę. Czy ojciec naprawdę wierzy, że po tylu latach zdoła zmienić mnie w fanatyczkę New Age? Do prezentu dołączony był liścik napisany na białej kartce wykonanej w stu procentach z makulatury.

Droga Amando!

Afirmacje związane z czwartą czakrą przywracają czystość serca. Różowy kwarcyt leczy rany emocjonalne. Jadeit to kamień mądrości. Kamienie zostały dodatkowo naenergetyzowane, żeby podnieść ich właściwości lecznicze. W nocy

możesz bransoletkę zdejmować.

Może byś mnie tu odwiedziła? To piękne, niezwykle miejsce. Naprawdę powinnaś przyjechać. Życzę Ci wspaniałych urodzin. Tęsknię za Tobą i kocham Cię, Twój tato.

Kostaryka jest zapewne zachwycająca, ale nie odczuwałam pragnienia, by lecieć na drugą stronę równika i tłuc się wynajętym jeepem bitymi drogami do położonej pośród gór maleńkiej wioski. Jeżeli ojciec naprawdę za mną tęskni, może przyjechać tutaj.

Postawiłam wazon na komodzie. Potem zabiorę go na dół, do sklepu, by dołączył do innych głów stojących przy kasie. Stanowiły dobry temat do rozmowy. Bransoletkę włożyłam właścicielce głowy na szyję. Może jej pomoże.

Zaczęłam składać opakowania, gdy usłyszałam za sobą jakieś dźwięki. Przypominały szlochanie kobiety. Odwróciłam się – choć nie spodziewałam się zobaczyć nikogo. Głowa na komodzie wpatrywała się we mnie z upiornym uśmiechem. Dziwne. Czasem docierały tu odgłosy ulicy, ale tym razem okno było zamknięte. To pewnie sąsiadka albo coś mi się przywidziało.

Kiedy składałam folię bąbelkową, która jeszcze mogła mi się przydać, pomyślałam, że powinnam zadzwonić do mamy i podziękować za prezent. Na pewno jednak zapytałaby mnie, jak spędzam urodziny, a ja nie chciałam się przyznać, że z Jeffem. Usiadłam więc przy laptopie i napisałam odpowiedź na jej e-mail.

Cześć, Mamo!

Wielkie dzięki za wazon. Bardzo mi się podoba kapelusz z kokardą. Przyszło mi do GŁOWY, żeby wpaść do Ciebie w niedzielę. Posiedzę w ogródku i trochę się poopalam. Dobrze mi to robi. Czy termin Ci pasuje? Daj znać. Całuję mocno, Twoja córka.

Zachęcona sukcesem postanowiłam pójść za ciosem i wysłać podziękowanie także do Molly.

Hej, Molly, byłam u doktora Markoffa i zostałam oficjalnie zahipnotyzowana. Zdumiewające, ale po wyjściu z gabinetu w ogóle nie miałam ochoty zapalić! A mówiąc serio, doktor był naprawdę cudowny i nie mogę się doczekać, by sprawdzić, czy hipnoza pomoże mi zasnąć. Jestem Ci bardzo wdzięczna za tę wizytę! XOXO, Amanda.

Skoro już wzięłam się do roboty, postanowiłam odezwać się także i do taty.

Zwalczywszy pokusę napisania, że chętnie odwiedziłabym go w Kostaryce, gdyby nie ogromne *kosta* podróży, wystukałam miły, uprzejmy liścik i z ulgą kliknęłam „Wyślij”.

Przyszedł czas na przymierzenie sukienki o kroju klepsydry. Wyciągnęłam z torby rzeczy pani Kelly i uniosłam w górę cudowną błękitną kreację. Bardzo w typie Marilyn Monroe. Jeff będzie zachwycony, że tak seksownie wyglądam. Jeśli suknia będzie na mnie pasowała. Musi pasować. Proszę...

Nic z tego. Była o wiele za ciasna, zwłaszcza w biuście... na brzuchu... i na udach. Ściągnęłam ją z wysiłkiem, omal nie rozrywając w szwach. Jezu. Mam nadzieję, że to po prostu wzdęcie. Spóźniał mi się okres. Co najmniej o tydzień, a może o dwa. Przecież nie jestem w ciąży. Zawsze używaliśmy z Jeffem prezerwatyw.

Myśl, że naprawdę mogę być w ciąży, wydała mi się nagle ekscytująca. Byłoby to nie na rękę, ale w moim wieku... Nie. Po prostu stres rozregulował mi cykl i tyle.

Otworzyłam garderobę. Co tu włożyć, co tu włożyć? Muszę wyglądać odjazdowo. Najlepiej wybrać coś, czego Jeff jeszcze nie widział. Ubrania stłoczone były tak ciasno, że pewnie i bez wieszaków wisiłyby w powietrzu. W najdalszym kącie, stanowiącym dla mnie odpowiednik ciemnych zakątków umysłu, wisiła sukienka, którą zamierzałam przerobić: czarne taftowe cudo z lat czterdziestych ze spódnicą wykończoną złotą ząbkowaną tasiemką. Głęboki dekolot odsłaniał tyle biustu, ile trzeba. Problem w tym, że była za luźna w talii. Kilka zaszewek załatwiłoby sprawę i obiecywałam sobie, że któregoś dnia się do tego wezmę. Do spotkania w restauracji zostało parę godzin. Dziś nadeszła odpowiednia chwila.

Wywróciłam sukienkę na lewą stronę i przypięłam zaszewki szpilkami. Potem włożyłam suknię, uważając, żeby się nie pokłuć.

Zapominając o zmartwieniach, pochyliłam się nad wiernym starym singerem, chwyciłam metalowe koło, by odpowiednio ustawić igłę, i nacisnęłam pedał. Szyć nauczyła mnie babcia. Najpierw wykonałam poszewkę na poduszkę, potem fartuszek, wreszcie sukienkę według wykroju kupionego w świętej pamięci sklepie Woolwortha przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Pamiętam, jak lubiałam robić tam zakupy. Wybierać model z któregoś z wielkich katalogów, szukać materiału oraz dokładnie dopasowanych kolorem nici i zamka błyskawicznego. Potem wracałyśmy do domu, rozkładałyśmy nabytki w salonie i zabierałyśmy się do pracy. Uwielbiałam szybko przesuwac materiał pod igłą, czułam się wtedy trochę jak kierowca wyścigowy mknący ku linii mety. Przemiana płaskiego kawałka tkaniny w gotowy trójwymiarowy strój wydawała się czarodziejską sztuczką.

Po skończeniu drugiej zaszewki przejrzałam się w lustrze na drzwiach garderoby.

Teraz sukienka leżała idealnie. Była pognieciona, ale tafty nie powinno się prasować. Postanowiłam rozprostować materiał parą, gdy będę brała prysznic. Już miałam zdjąć sukienkę, kiedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł: naszyjnik z brylantami, który dostałam od Jeffa, świetnie będzie do niej pasował.

Zza środków czystości na najwyższej półce szafki nad zlewem wyjęłam pudełko po butach. Była to najbezpieczniejsza kryjówka, jaką udało mi się znaleźć dla kosztownej biżuterii ofiarowanej mi w ostatnich latach przez Jeffa. Rzadko ją nosiłam i jakiś czas temu zażądałam, żeby przestał mi robić takie prezenty. Po pierwsze, lubię sama wybierać sobie biżuterię. A po drugie, czułam się wtedy jak typowa „sprzedajna” kobieta. Ale Jeff twierdził, że sprawia mu to przyjemność, i dalej robił swoje.

Wyjęłam naszyjnik, o który mi chodziło – obrozę z żółtego złota z kilkoma brylancikami między ogniwami – i przejrzałam się w lustrze. Wyglądał bezwstydnie drogo, ale pięknie pasował do dekoltu sukni. Rozpinając go, spostrzegłam kątem oka rozmazaną ciemną plamę, jakby coś za mną się poruszyło. Odwróciłam się.

Nic. Najwyraźniej brak snu doprowadził do zwarć w zwojach mózgowych. Położyłam naszyjnik na komodzie i schowałam pudełko po butach do kryjówki nad zlewem.

Rozdział 8

Olive

Koń, stukając kopytami po bruku, mijał Madison Square, a ja rozglądałam się wokoło niczym turystka. W nocy miasto wyglądało jeszcze bardziej oszałamiająco, rozświetlone blaskiem elektrycznych latarni i pełne tłumów spragnionych rozrywki. W Café Martin panował tłok, na występy Anny Held bilety były wyprzedane, a przed Proctor's Theatre stała kolejka chętnych na obejrzenie pokazu filmowego i wodewilu.

– Pamiętam, kiedyś była tu spokojna dzielnica z uroczymi starymi willami – narzekał ojciec.

– Pewnie nudna jak flaki z olejem.

– Cóż ciekawego w tym, że miejsce staroświeckich domów zajmują wieże z kamienia?

– Tatko jest niemożliwy! Z całego świata przyjeżdżają ludzie, żeby je zobaczyć.

– Słyszałem, że mają zamknąć hotel Fifth Avenue. Kiedyś był to jeden z najmodniejszych adresów w mieście. Teraz pokoje stoją puste – jest zbyt staroświecki dla twoich poszukiwaczy wrażeń.

– Cóż, ja lubię mieć wokół siebie dużo ludzi. W Cold Spring było za spokojnie. Każdy siedział zamknięty w domu. – Czasami wtedy wyobrażałam sobie, że wszyscy ludzie na świecie umarli i zostałam sama.

– W mieście też można czuć się samotnym – przypomniał ojciec. – Cieszę się z naszego dzisiejszego wyjścia.

– Ja też. – Kierownik sklepu Woolwortha przy Czternastej Ulicy zaprosił nas na kawę i deser do, jak twierdził, najlepszej włoskiej kawiarni w mieście. – Bardzo miło ze strony tego pana, że o nas pomyślał.

– Zdaje mi się, że pan Pierce także potrzebuje towarzystwa. W zeszłym roku umarła mu żona.

Skinęłam głową. W takim razie coś go z ojcem łączyło. Bardzo chciałam, żeby pan Pierce miał córkę. Już od miesiąca mieszkałam w Nowym Jorku, a wciąż nie spotkałam osoby, którą mogłabym nazwać przyjaciółką. Jeśli zaś chodzi o poszukiwanie pracy, bałam się iść na następne spotkanie bez referencji, a nie zdobyłam się na to, by poruszyć z ojcem ten nieprzyjemny temat.

Skręciliśmy w Broadway. Teraz mijaliśmy jasno oświetlone wystawy sklepów Brook Brothers, Lord & Taylor i Arnold Constable's. Na Union Square przecięliśmy

Czternastą Ulicę, wjeżdżając w rejony, których nigdy dotąd nie odwiedzałam.

– Pewnego dnia chciałabym wybrać się aż do portu – powiedziałam.

– Nie powinnaś, Olive, zapuszczać się dalej niż tutaj.

– Dzielnica żydowska, Little Italy, Chinatown... Cóż za egzotyczne nazwy! Na pewno w ciągu dnia jest tam najzupełniej bezpiecznie.

– Porządna dziewczyna nie włóczy się po slumsach.

Zacisnęłam usta. Ojciec przejął się publikowanymi ostatnio w gazetach opowieściami o białych niewolnicach. Czytelnikom próbowano wmówić, że każda kobieta, która wyjdzie sama na spacer, skończy w domu rozpusty.

– Oto kościół Świętego Marka – powiedział, gdy przejeżdżaliśmy obok starej budowli. – Piękny, prawda? Ma sto lat. Teraz ze wszystkich stron otaczają go te przekłete czynszówki. Czy wiesz, że była tu kiedyś farma Petera Stuyvesanta? Potrafisz wyobrazić sobie w tym miejscu zielone pola zamiast betonu?

– Czemu nie cofnąć się do czasów Indian? Musieli być przerażeni na widok ludzi wycinających lasy, żeby założyć farmy. Idę o zakład, że za sto lat nowojorczyacy będą rozczulać się nad czynszówkami, na które tak się tatko uskarża.

– Trudno to sobie wyobrazić, ale być może masz rację. Stare zawsze ustępuje nowemu, takie jest życie. – Poklepał mnie po ręku. – Jesteś taka mądra, że może ci to zaszkodzić, młoda damo.

Postanowiłam potraktować jego słowa jako komplement i cieszyłam się nim, póki nie skręciliśmy w Pierwszą Aleję, szeroką, zaniedbaną ulicę, nad którą biegły tory kolei nadziemnej.

– Nie wiedziałam, że Pierwszą Aleją jeździ pociąg.

– Ta linia biegnie tak naprawdę Drugą Aleją. Pociąg jedzie tylko do Dwudziestej Trzeciej Ulicy, potem znów skręca w Drugą Aleję i zmierza prosto do Bronksu.

Dorożkarz zatrzymał się na rogu Jedenastej Ulicy i ojciec wyjął portfel. Bronx był kolejną dzielnicą Nowego Jorku, której nie potrafiłam sobie wyobrazić. Wsiadając z dorożki, obiecałam sobie, że pewnego dnia poznam wszystkie zakątki miasta.

Ojciec wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy ulicą. Po obu stronach wznosiły się czynszówki, w których na parterze były sklepy, a na piętrach mieszkania. Mijali nas ludzie o cudzoziemskim wyglądem. Ciemnoskóry młodzieniec w dziwacznej stożkowej czapce z futra. Wychudła, zgarbiona staruszka w żółtym szalu i drewnianych chodakach. Wreszcie doszliśmy do wystawy z wypisaną na szybie nazwą kawiarni: Caffè Pugliese. Przed wejściem na chodniku siedziała bezdomna dziewczynka w podartym swetrze.

– Proszę, niech mi pani pomoże. – Wyciągnęła rękę. – Tylko grosik na kawałek chleba...

Miała bardzo smutne oczy. Chudą twarzyczkę. Wsunęłam ręce do mufki, żałując, że nie miałam żadnych monet. Ojciec otworzył drzwi, udając, że nie dostrzega żebraczki. Weszliśmy i znaleźliśmy się jakby w innym świecie. Ciepłym, wesołym, jasnym, pełnym cudownych zapachów.

– Czy to lukrecja? – Wciągnęłam głęboko powietrze, starając się zatrzymać je w nosie.

– Anyżek.

Na długim drewnianym kontuarze stały tace z ciastami. Tarty pełne lśniących owoców, torty bogato zdobione kwiatami z maślanego kremu, całe rzędy ciastek w tęczy kolorach... Tyle pysznego jedzenia dla nas, podczas gdy głodna żebraczka cieszyłaby się choćby z kęsa. Ciemnowłosa kobieta za ladą powiedziała *buona sera*, po czym odebrała nasze płaszcze i skierowała nas w głąb sali, gdzie zapach anyżku ustępował mniej przyjemnej woni tytoniu. Siedziało tu wielu mężczyzn i kilka kobiet, popijając kawę i czytając wieczorne gazety. Odgłosy ożywionych rozmów w językach włoskim i angielskim odbijały się od wyłożonych kafelkami ścian.

– Chyba ktoś z nim przyszedł – powiedział ojciec, prowadząc mnie do stolika.

Pospiesznie przyjrzałam się czwartej osobie – to nie była córka. Ojciec zaprezentował mnie panu Howardowi Pierce'owi, swemu koledze po fachu, a on z kolei przedstawił nam syna.

– Ralph wrócił do domu akurat, gdy wychodziłem, więc poprosiłem, żeby się do nas przyłączył.

Odpowiadając na powitanie, zastanawiałam się, czy ojcowie czasem nie próbują nas swatać.

Usiadłam naprzeciwko Ralpha Pierce'a. Przypuszczałam, że większość kobiet uznałaby go za atrakcyjnego mężczyznę. Gładko wygolony, o chłopięcych rysach i ciemnobrązowych włosach. Do stolika podszedł kelner w białym, długim do kostek fartuchu, a starszy pan Pierce zamówił dla nas wszystkich deser, używając włoskich nazw. Potem rozpoczął rozmowę na aktualnie ulubiony temat mojego ojca.

– Marmurowe kontuary, porcelanowe pojemniki na syrop, miedziane krany... Koszmarem będzie już samo utrzymanie w czystości stoisk z wodą sodową.

– Nie mówiąc o kłopotach z przechowywaniem zapasów syropu i gazowaniem wody – dodał ojciec. – Frank Woolworth nie pamięta, że lepsze jest wrogiem dobrego.

Wyprostowałam się.

– Ale przecież ma rację. – Trzech mężczyzn popatrzyło na mnie ze zdumieniem. – Panowie mają swoje bary i saloony. A gdzie mają pójść samotne kobiety, gdy chcą wypić coś orzeźwiającego i nie zwracać na siebie uwagi? Tylko do stoiska z wodą sodową.

– Nikt nie ma zamiaru zabraniać damom ich napojów – powiedział ojciec. – Ale niech rozkoszują się nimi gdzie indziej.

– Właśnie – przytaknął Howard Pierce. – My zajmujemy się sprzedażą towarów.

– Sprzedacie ich więcej, jeśli woda sodowa przyciągnie klientki – odparłam.

– Chyba wygrała pani ten spór. – Ralph Price zachichotał.

– W dodatku jest najładniejsza z nas wszystkich – dodał ojciec.

Słyszając tę protekcyjną uwagę, z trudem powstrzymałam się od przewrócenia oczami.

Nadszedł kelner z napojami. Wlewając do kawy parujące mleko, nazwał mnie *bella donna*. Najwyraźniej był to mój wieczór komplementów. Gdy Włoch postawił przed nami desery, nie mogłam im się oprzeć. Babeczka rumowa, cannolo, czyli rurka z kremem, biscotti i smakołyk o nazwie sfogliatelle – chrupiące maślane ciasto francuskie nadziewane słodkim serem z kawałkami kandyzowanej skórki pomarańczowej.

– Nigdy nie jadłam nic równie pysznego – oznajmiłam po przełknięciu pierwszego kęsa.

Ojciec spróbował babeczki rumowej, po czym zapytał Ralpha Pierce'a, czy także pracuje w handlu.

– Szkoda mi czasu na liczenie miedziaków – odparł młodzieniec. – Moja branża to reklama.

Starszy pan Pierce skrzywił się, krojąc rurkę z kremem na cztery części.

– Reklama to dziedzina bez perspektyw. Woolworth nie wydaje na nią ani grosza, a interesy idą coraz lepiej.

– Ile osób pracuje w pana firmie? – zapytał ojciec.

Z obawy, by Ralph nie uznał, że poddaje się go przesłuchaniu jako potencjalnego zięcia, udałam, iż moją uwagę całkowicie pochłania kawałek cannolo, co nie było trudne. Smażone w głębokim tłuszczu ciastko wypełnione kremem, kawałkami czekolady i kandyzowanymi wiśniami smakowało przepysznie.

– Tylko cztery – odparł Ralph. – Stenotypistka, goniec, gość odpowiedzialny za kontakty z klientami, który załatwia nam pracę, no i ja, czyli autor. Właśnie

dostaliśmy duże zlecenie na reklamę nowej marki mydła. Piszę do niej teksty.

– W tak trudnych czasach – marudził pan Pierce – pierwszą rzeczą, jaką firmy wykreślają z budżetu, jest reklama. Jak pan sądzi, Westcott, czy ta historia z akcjami United Copper Company doprowadzi do spadków na giełdzie?

– Problem z miedzią nie ma znaczenia – odparł ojciec. – Tego rodzaju sprawy dotyczą tylko ludzi bezpośrednio z nimi związanych.

Howard Pierce pokręcił głową.

– Obawiam się efektu domina.

– Bzdura – sprzeciwił się ojciec. – Giełda osiągnęła dno. Zobaczysz pan, teraz może być tylko lepiej.

Gdy starsi panowie spierali się o giełdę, próbowałam rozmawiać z Ralphem Pierce'em.

– Pana ojciec chyba wolałby, żeby przyjął pan posadę u Woolwortha.

– Nawet pani to zauważyła. – Mężczyzna uśmiechnął się ponuro. – Nie potrafi pogodzić się z tym, że handel mnie nie interesuje.

– Proszę powiedzieć, jak, na Boga, można wymyślić coś ciekawego na temat mydła.

– Dla mnie to wyzwanie. Zresztą trudno zainteresować się czymś na siłę.

– Mam takie same uczucia, jeśli chodzi o małżeństwo. – Musiałam to powiedzieć.

– A dlaczego? – Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Po pierwsze, chciałabym zdobyć zawód – wyrwało mi się. Dlaczego nie potrafię trzymać buzi na kłódkę? Na szczęście ojciec był zbyt pochłonięty rozmową z panem Pierce'em, by to usłyszeć.

– Proszę mi tylko nie mówić, że chce pani zostać aktorką.

– Szkoda byłoby mi widzów. – Roześmiałam się.

– Nauczycielką?

– Szkoda byłoby mi uczniów.

– Poddaję się. Kogo zatem nie byłoby pani szkoda?

– Klientów. Chcę zostać specjalistką do spraw zakupów w domu towarowym.

Popatrzył na mnie, jakbym oznajmiła mu, że zamierzam zarazić się jakąś chorobą.

– Dlaczego?

– Uważa pan, że kobiety nie powinny pracować? – zapytałam z udawaną skromnością.

– Niech pracują, jeśli istnieje taka konieczność. Z pewnością nauczycielstwo to szlachetny zawód. Ale domy towarowe są wylęgarnią występku. Po co narażać się na kontakty z kobietami z niższej klasy zatrudnionymi w takich miejscach?

– Mój Boże. Mówi pan tak, jakby domy towarowe były siedliskiem zła.

– Czytałem i słyszałem o nich niejedno. Co innego kupować w sklepie, panno Westcott, a zupełnie co innego w nim pracować.

Miałam ochotę powiedzieć mu, że jest napuszonym głupcem, ale tylko wypiąłam łyk kawy.

– Nie pozwoliłbym mojej przyszłej żonie zatrudnić się w takim miejscu – ciągnął.

– Choć naturalnie nic podobnego nie wchodzi w grę. Dla kobiety, z którą się ożenię, rodzina będzie najważniejsza.

– W takim razie na pewno nie ożeni się pan ze mną. – Uśmiechnęłam się uprzejmie, a Ralph Pierce spojrzał na mnie z niepokojem, jakby właśnie się oświadczył i dostał kosza. Postanowiłam zmienić temat. – Czy mogłam już gdzieś widzieć pańskie reklamy?

– Zapewne, jeśli czyta pani pisma dla pań.

– Raczej ich unikam. Pełno tam strasznych bredni, nie uważa pan?

– Podobno niektóre kobiety znajdują tam przydatne informacje.

– Jeśli chcą poznać dwadzieścia sposobów na przyrządzanie kurczaka.

Mina Ralpha wskazywała, że on by chciał.

Nasi ojcowie przeszli do plotek o tym, jakoby Woolworth planował wybudowanie biurowca wyższego niż Metropolitan Tower. Znów zmieniłam temat, postanawiając być miłsza.

– Właśnie przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku. Uważam, że to wspaniałe miasto. Niebotyczne gmachy... Tłumy ludzi.... – Teraz mówiłam jak naiwna prowincjuszka. – Czy miał pan szczęście urodzić się tutaj?

– Prawdę mówiąc, tak. W kamienicy przy Osiemnastej Ulicy.

– W takim razie na pewno zna pan wszystkie interesujące miejsca.

Zaczął rozwodzić się na temat tego, co powinnam zobaczyć. Ja tymczasem obżerałam się ciastkami. Kiedy kelner przyszedł zapytać, czy chcemy zamówić coś jeszcze, wszyscy się zgodzili, że zjedliśmy aż nadto. Dzięki Bogu, że nie miałam gorsetu, na pewno pękłyby w nim wszystkie haftki.

19 października 1907 roku

Dlaczego, gdy w towarzystwie mężczyzn staram się być urocza i inteligentna,

wychodzę na nieznośną arogantkę? Może dlatego, że oni zawsze uważają się za panów świata, a ja pragnę im uzmysłwić, że tak nie jest? Zupełnie zapominam, że powinnam wzmacniać w nich poczucie wyższości. Czy spotkam kiedyś mężczyznę, którego arogancja nie wzbudzi we mnie chęci, by sprowadzić go na ziemię?

Rozdział 9

Amanda

Jedząc przekąskę w postaci batonika figowego i popijając zieloną herbatę, przeczytałam o okropnej rozmowie, jaką Olive odbyła w sprawie pracy. Kiedy wspomniała, jak wszyscy pasjonowali się tematem zabójstwa Stanforda White'a, przypomniałam sobie, że w tej sprawie chodziło o trójkąat miłosny. Jak przez mgłę pamiętałam, iż o tym czytałam i widziałam duże zdjęcie pięknej kobiety, która znalazła się w centrum skandalu.

Podeszłam do półki i popatrzyłam na grzbiety książek. *Valentine's Manual of Old New York, Crusades and Crinolines, King's Views of New York, Manhattan Manners, The History of Macy's*. W końcu doszłam do starego kompletu książek wydawnictwa Time-Life zatytułowanego *This Fabulous Century* i już wiedziałam, gdzie wpadło mi w oko tamto zdjęcie. Ośmiotomowy komplet kupiłam na pchlim targu, gdy miałam może dziesięć lat, i to on w dużej mierze odpowiadał za moją fascynację przeszłością. Zawierał opis wydarzeń tylko do lat siedemdziesiątych, bo wtedy został wydany. Pierwszy tom *This Fabulous Century* obejmował okres od 1870 do 1900 roku. Każdej z kolejnych siedmiu dekad poświęcono osobny wolumin. W dzieciństwie ślęczałam nad nimi i, przyglądając się uważnie błyszczącym fotografiom, próbowałam dostrzec najdrobniejsze szczegóły, przeniknąć za krawędzie zdjęć i znaleźć odpowiedź na pytania, których sama nie potrafiłam jeszcze sformułować.

Prawdziwym objawieniem było dla mnie to, że w czasach przed moim urodzeniem ludzie wyglądali inaczej. Że ich fryzury, makijaż i stroje wciąż się zmieniały. Dowiedziałam się, czym jest styl i jak ustalić, z jakiego okresu pochodzi dany strój. Nie mogłam się zdecydować, którą dekadę lubię najbardziej: wysmuklające, odcinane pod biustem jedwabie z drugiego dziesięciolecia ubiegłego wieku, luźne sukienki podłotków z lat dwudziestych, suknie w stylu gwiazd filmowych z lat trzydziestych, wataowane ramiona z lat czterdziestych, podkreślające biust i biodra stroje z lat pięćdziesiątych, modę na Jackie O z lat sześćdziesiątych, kolorowe dzwony z lat siedemdziesiątych... Była też moda z czasów Olive, inna od nich wszystkich, bo pozostająca jeszcze pod wpływem poprzedniego stulecia.

Zdjęłam z półki tom poświęcony pierwszemu dziesięcioleciu dwudziestego wieku i zaczęłam przerzucać grube, błyszczące kartki. Niewiarygodne, jak mocno utkwily mi w pamięci utrwalone na zdjęciach obrazy. Na rozpoczęciu wyprawy automobilowej przez kontynent tłum machał słomkowymi kapeluszami. Futurystyczna rycina przedstawiająca, jak będzie wyglądał Manhattan w 1999 roku,

niewiele odbiegała od rzeczywistości. Aktorka Anna Held leżała w niezręcznej pozie na boku, ze ściśniętą gorsetem niespełna pięćdziesięciocentymetrową talią. Pamiętam, że fascynowała mnie jej dziwaczna figura w kształcie klepsydry, i zastanawiałam się, jakim cudem w ogóle może oddychać. I jeszcze Teddy Roosevelt, w monoklu i skórzanych oficerkach, pozujący do zdjęcia wraz z żoną i sześciorgiem dzieci.

Kobiety skrywały nogi pod długimi sukniami i nawet nie marzyły o noszeniu spodni. Samochody zaczynały wypierać konie, elektryczność zastępowała gaz, kino zabiło wodewil. A w centrum tego wszystkiego był Nowy Jork – moje miasto. Na Upper East Side w miejscu dawnych farm wznoszono wspaniałe rezydencje. Na południowym krańcu burzono stare drewniane domy, by słoczyć imigrantów w budowanych tanim kosztem czynszówkach takich jak moja.

W końcu, w rozdziale zatytułowanym *Bardzo bogaci*, znalazłam zajmujące całą stronę piękne zdjęcie Evelyn Nesbit. Pełne namiętne usta. Powłóczyście spojrzenie ciemnych oczu. Długie włosy upięte w romantyczną, bezpretensjonalną fryzurę dziewczyny z rysunków Charlesa Gibsona. Nie potrafiłam określić wyrazu twarzy Evelyn. Uwodzicielski? Zadziorny? Bierny?

Na przeciwległej stronie umieszczono małe zdjęcia dwóch bogatych mężczyzn odpowiedzialnych za obecność Evelyn w tym rozdziale. Jej męża, Harry’ego Thawa, gładko ogolonego i młodzieńczego, z głęboko osadzonymi oczami niemal ginącymi w cieniu brwi. I jej byłego kochanka, Stanforda White’a, z absurdalnie gęstymi, sterczącymi wąsami i widoczną słabością do obfitych, tuczących posiłków. White, jeden z najbardziej znanych architektów przełomu stulecia, zaprojektował rezydencje Astorów i Vanderbiltów na Piątej Alei, a także Łuk Waszyngtona, obok którego siedziałam dziś rano. Miał reputację kobieciarza.

W książce streszczono historię skandalu. Nesbit została kochanką White’a, kiedy, jako szesnastoletnia girlsa, występowała w przedstawieniach na Broadwayu. Romans trwał kilka lat, po czym architekt przeniósł swoją uwagę na inne dziewczęta. Nesbit zaczęła się spotykać z zamożnym Harrym Thawem, który szaleńczo się w niej zakochał i pragnął ją poślubić, nawet gdy wyznała mu, że White odebrał jej dziewictwo.

Wzięli ślub w 1905 roku, kiedy Nesbit miała dwadzieścia lat, jednak Thaw wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że White „zhańbił” mu żonę. Podejrzewał, że nadal się nią interesuje. Musiał bronić honoru Evelyn.

Pewnego letniego wieczoru w 1906 roku Stanford White oglądał rewię w teatrze ogródkowym na dachu Madison Square Garden. Thaw podszedł, wyciągnął rewolwer i zastrzelił architekta na miejscu. W pierwszym procesie ława przysięgłych nie zdołała podjąć decyzji. W 1907 roku cały Nowy Jork w napięciu oczekiwał na drugi

proces.

W książce nie wspomniano o ironicznej fakcie, że Stanford White zginął w budynku, który sam zaprojektował. Nie był to monstrualnie wielki, okrągły Madison Square Garden, który stoi obecnie nad Penn Station. Tamten naprawdę znajdował się na Madison Square, niedaleko miejsca, w którym byłam dziś umówiona na obiad.

Odstawiłam książkę na półkę. Potem zaniósłam czarną suknię do łazienki, żeby para rozprostowała ją, gdy ja będę brała prysznic. Rozkoszując się uspokajającym ciepłem wody, namydliłam się całą mydłem o zapachu moreli. Dziwne, ale mimo słonecznego lata moja skóra pozostała zupełnie biała. Na szczęście Jeff nie przywiązywał wagi do opalenizny. Mówił, że uwielbia przejrzystość mojej cery i błękit przeświecających przez nią żyłek.

Po umyciu włosów ogoliłam żyłką każdy centymetr nóg w nadziei, że usta Jeffa przebiegną delikatnymi pocałunkami drogę od palców u nóg, przez łydki i uda, do właściwego celu podróży. Spłukując mydło, zastanawiałam się nie po raz pierwszy, czy żona Jeffa o mnie wie. Na ogół starałam się o nią nie pytać – dzięki temu ich małżeństwo wydawało się mniej realne. Kilka razy rozmawialiśmy o tym i Jeff twierdził, że żona nie ma pojęcia o naszym romansie. Oczywiście mógł mnie okłamać. Jej przecież nie mówił prawdy. Sześć lat to całkiem długo, żeby utrzymać nasz związek w tajemnicy.

Co będzie, jeśli żona się o mnie dowie i z zazdrości wpadnie w szal? Może dziś wieczorem zjawi się w restauracji i mnie zastrzeli? Czy potem, w gazecie, piękne zdjęcie Jeffa zajmie całą szpaltę, mnie zaś pokażą jedynie na niepochlebny ujęciu z profilu?

Sensacyjne zabójstwo Stanforda White'a najwyraźniej pobudziło nadmiernie moją wyobraźnię. Czas wyjść spod prysznic i się wytrzeć. Spojrzałam na elektroniczny budzik w kwadratowej obudowie z żółtego bakelitu: wpół do szóstej. Staram się nie sypiać w ciągu dnia, ale miałam spędzić noc z Jeffem, więc nie musiałam pozbawiać się krótkiej drzemki. Wsunęłam się nago pod puchową kołdrę, która otuliła mnie niczym kokon.

Właśnie obracałam się na brzuch, gdy usłyszałam głos nucący jakąś melodię. Wydawał się dobiegać z bardzo bliska. Podniosłam wzrok i ze zdumieniem zobaczyłam kobietę w długiej do kostek granatowej sukni i dobranym do niej krótkim żakiecie. Poprawiała kapelusz z szerokim rondem przed stojącym na komodzie lustrem.

– Przepraszam? – szepnęłam. Nie widziałam jej twarzy. – Olive?

Wyszła z pokoju, nie zwracając na mnie uwagi.

– Zaczekaj! – Chciałam pójść razem z nią. Zrzuciłam kołdrę, chwyciłam torebkę hobo i wybiegłam z mieszkania.

Schodziła ze schodów, a w korytarzu rozbrzmiewał stukot jej obcasów.

– Olive! – krzyknęłam, ale nie zwolniła kroku. Usłyszałam trzask drzwi frontowych.

Próbowałam ją dogonić, lecz mignęła mi tylko, znikając za rogiem. Jakim cudem poruszała się tak szybko? Biegłam ulicą. Jakiś mężczyzna obrzucił mnie obleśnym spojrzeniem i wybuchnął śmiechem. Spojrzałam na siebie – byłam nago. Zapomniałam się ubrać! O Boże, nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło!

Pognałam niczym sprinterka na zawodach – musiałam się gdzieś schować, wszystko jedno gdzie. W końcu dotarłam do budynku, w którym mieściło się biuro Jeffa. Szarpnęłam za drzwi do holu, ale były zamknięte. Przecież nigdy ich nie zamykano! Zajrzałam przez szybę i zobaczyłam, że od mojej ostatniej wizyty wszystko się tu zmieniło. W środku stały meble firmy Ethan Allen, jakby był to czyjś salon. Wtedy uświadomiłam sobie, że to dom Jeffa w Katonah. Jego żona zbliżała się właśnie do drzwi. Miała na sobie zieloną suknię marszczoną wokół dekoltu, a ja stałam naga. Otworzyła drzwi i wycelowwała we mnie z rewolweru! Próbowałam krzyczeć, lecz mimo wysiłków z moich ust wydobył się tylko żalosny pisk...

Obudziłam się. Leżałam na łóżku, patrząc w sufit. Zdumiewające. Spojrzałam na budzik. Wpół do siódmej? Wydawało się, że spałam tylko chwilę, ale minęła prawie godzina. Czułam się bardziej wyczerpana, niż kiedy się kładłam.

Przynajmniej jakoś zabiłam czas. Odrzuciłam kołdrę. Żadnych zmartwień więcej, żadnych rozmyślań o zazdrosnych żonach albo końcu romansu. Nadszedł czas, by świętować swoje urodziny.

Rozdział 10

Olive

– Na pewno chcesz zostać sama? – zapytał ojciec. Staliśmy przy wejściu na peron Grand Central Station.

– Nic mi nie będzie.

Ojciec jechał do Cold Spring po automobil i miał nim wrócić następnego dnia.

– Zostawiłem trochę gotówki w skórzanej kasetce na komodzie – powiedział. – Tak na wszelki wypadek.

– Nie będzie mi potrzebna, ale dziękuję.

– Mam wyrzuty sumienia, że zostawiam cię w mieście bez opieki.

– Niech tato nie będzie niemądry. Nie jestem już dzieckiem.

– Rzeczywiście. Stajesz się niezależną młodą damą. Chyba muszę przygotować się na to, że wkrótce będziesz zupełnie dorosła. Niedługo to ty się mną zaopiekujesz.

– Ojej, aż tak dorosła chyba jeszcze nie jestem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie z czułością. Ojciec pocałował mnie w policzek i odszedł. Ogarnęła mnie melancholia. W ostatniej chwili odwrócił się i pomachał mi, a ja, z udaną wesołością, zrobiłam to samo. Wychodząc ze stacji, próbowałam otrząsnąć się z przygnębienia. Przecież wcześniej nie mogłam się doczekać, by sprawdzić, jak to będzie, gdy zostanę sama.

Miałam zamiar obejrzeć pokaz mody w domu towarowym Siegel-Cooper przy Osiemnastej Ulicy. Wsiadłam do tramwaju przed gmachem nowej, wielkiej biblioteki publicznej na Czterdziestej Drugiej Ulicy i już po chwili opuścił mnie smutek z powodu wyjazdu ojca. Jechałam Piątą Aleją i przyglądałam się nowym biurowcom. Wyrastały na miejscu rezydencji bogaczy, którzy przenieśli się do dzielnic położonych coraz dalej od śródmieścia. Przy skrzyżowaniu z Trzydziestą Czwartą Ulicą mineliśmy dom towarowy Altmana, elegancki, lecz raczej nudny. A potem luksusowe sklepy zaopatrujące bogatą klientelę z całego świata. Bawiło mnie obserwowanie wytwornych sprzedawców oraz modnie ubranych pań i panów, których stać było na robienie tam zakupów.

Kiedy tramwaj zatrzymał się na przystanku przy Osiemnastej Ulicy, wyskoczyłam i przeszłam pieszo przecnicę dzielącą mnie od mniej luksusowej Szóstej Alei. W latach osiemdziesiątych okolicę tę zwano *Ladies' Mile* z powodu obfitości magazynów obsługujących zamożne klientki. Ale czasy, gdy eleganckie damy

zajeżdżały tu w wiktoriach powożonych przez stangretów w białych rękawiczkach lub w eleganckich toaletach paradowały ulicami, dawno przeminęły. Obecnie bogaci nowojorczy, którzy zdecydowali się odwiedzić Szóstą Aleję, musieli pogodzić się z tłumami przybywającymi tu ze wszystkich dzielnic tramwajami, autobusami i pociągami kolei nadziemnej, mknącymi z łoskotem po wysokich stalowych wiaduktach.

Dom towarowy Siegel-Cooper zajmował cały kwartał. Byłam w nim już kilka razy, ale dopiero zaczynałam się orientować, gdzie co jest. Właściciele sklepu robili, co mogli, żeby polujące na okazje przedstawicielki klasy średniej poczuły się, choćby przez jeden dzień, jak arystokratki. W atrium mogły odpocząć na kanapach i fotelach przy sztucznym stawie otoczonym tropikalnymi roślinami i paprociami. Z jego środka tryskała czterema łukami wody fontanna ozdobiona figurą kobiety trzymającej kulę z zapaloną wewnątrz elektryczną gwiazdą. Wspaniałe schody prowadziły na galerię, gdzie w wyspecjalizowanych stoiskach sprzedawano ubrania dla panów i najnowsze, sprowadzane z Paryża modele sukien.

Oparłszy się pokusie wizyty w stoisku z wodą sodową, precyzyjnie się w tłumie na parter. Dom towarowy był niczym miniaturowe miasto, kipiał życiem i wabił klientów możliwością odwiedzenia przy okazji poczty, biblioteki, herbaciarni, salonu piękności, a nawet galerii sztuki. Dziś jednak nic nie mogło odwrócić mojej uwagi od pokazu mody, choć do rozpoczęcia pozostało jeszcze dziesięć minut.

W sali panował tłok, a większość kobiet nosiła wielkie kapelusze. Poszukałam wolnego miejsca z dobrym widokiem i usiadłam szczęśliwa, że mogę odpocząć. Orkiestra grała marzycielskiego walca. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie mężczyznę podobnego do *Ralph'a Pierce'a*. Przeprosił mnie za to, że był taki staroświecki. Czy mu wybaczę i zgodzę się z nim zatańczyć? Chyba tak. Otoczył mnie ramionami. Czułam jego oddech, gdy szeptał mi do ucha, że jestem nie tylko ładna, lecz także piękna i niezwykle inteligentna. Gdybym jeszcze nie upierała się tak bardzo przy podjęciu pracy. Spojrzałam mu w oczy i wydełam usta. Czy mógłby pokochać kobietę, która ma zawód? Poznałam odpowiedź, gdy pochylił się nade mną, pocałował mnie namiętnie i...

Muzyka ucichła. Otworzyłam oczy. Dzięki Bogu, że nikt nie potrafi czytać w moich głupiutkich myślach.

Mężczyzna z kocią bródką ubrany w czarny garnitur z czerwonym fularem stanął za pulpitem z boku sceny. Kurtyna się uniosła, odsłaniając planszę z namalowanym konturem panoramy miasta.

– Nowy Jork, Londyn, Paryż... moda na kostiumy opanowała wszystkie metropolie.

Po scenie paradował rząderek młodych kobiet.

– Nasz pierwszy kostium ma męski krój i składa się z luźno dopasowanego, sięgającego bioder żakietu oraz spódnicy. Proszę zwrócić uwagę na jej szerokie fałdy, to nowość.

Patrzyłam na piękne panny, dziwiąc się, że mają śmiałość występować przed obcymi osobami, które otwarcie się na nie gapią.

– Komplet prezentowany przez następną modelkę charakteryzuje się długim żakiem o kroju fraka. Tweedy w jasno- i ciemnobrązowych odcieniach, a także w prążki i w kratę będą w tym sezonie bardzo modne.

Nie miałam kostiumu. Ojciec uważał, że kobiety wyglądają w nich zbyt męsko. W dzisiejszych czasach był to jednak podstawowy strój kobiety pracującej.

– Wszystkie pokazane dzisiaj kostiumy są do nabycia w dziale konfekcji dla pań. Nasze klientki przekonają się, że niczym nie różnią się od ubrań szytych na miarę.

Rzeczywiście wyglądały równie ładnie – przynajmniej z daleka. Postanowiłam, że może później, po lunchu, przymierzę taki kostium. Z głodu bolał mnie już żołądek, więc gdy modelki na scenie zaczęły prezentować buty, wymknęłam się z sali i pojechałam windą do restauracji na ostatnim piętrze.

Szef sali zaprowadził mnie do części „tylko dla pań”. Słońce wpadające przez świetliki w suficie odbijało się w białych płytkach podłogi. Orkiestra grała polkę. Nieprzyzwyczajona do jedzenia samotnie w miejscu publicznym, z udaną obojętnością zdjęłam rękawiczki i przeczytałam menu. Pulchna kelnerka w kraciastym fartuchu i czepeczku przydreptała, by przyjąć ode mnie zamówienie.

– Co podać, złociutka?

– Proszę kanapkę z sardynkami i lemoniadę.

Wróciła do kuchni, a ja odprowadziłam ją wzrokiem. Czekać na jedzenie, przysłuchiwałam się rozmowie dwóch siedzących za mną kobiet.

– Nie dbam o to, co mówi Roosevelt o samobójstwie białej rasy. Będę miała tylko dwoje dzieci – i na tym koniec.

– Jeżeli chodzi o mnie, jedno wystarczy aż nadto – odparła ze śmiechem jej towarzysza.

– Zmienisz zdanie, gdy spotkasz właściwego mężczyznę.

– Być może. Ale najpierw chcę się nacieszyć małżeństwem.

– Ja także. Zamierzam odkładać te sprawy, jak długo się da.

Jak to zrobi? Czy zabroni mężowi dostępu do siebie? A może zna inny sposób? Jeżeli tak, to jaki? Niestety, kobiety wstały i ruszyły do wyjścia, zanim zdążyłam

usłyszeć coś więcej. Kiedy mijaly mój stolik, zauważyłam, że obie noszą tweedowe kostiumy.

Kelnerka przyniosła mi kanapkę. Była pyszna, więc jadłam ją maleńkimi kęskami, by starczyła na dłużej. Niewiedza na temat spraw intymnych stawiała mnie w niekorzystnej sytuacji. Świat wydawał się podzielony na kobiety, które o tych sprawach wiedziały, i takie, które nie miały o nich pojęcia. Ciotka Ida z pewnością należała do drugiej grupy i nie zależało jej, by dowiedzieć się czegoś więcej. Założę się, że nikt jej nigdy nie pocałował. A więc coś nas łączyło, choć była to żalosna myśl. Jedyna informacja, jaką od niej uzyskałam, to ostrzeżenie przed nocą poślubną. W głowie wciąż dźwięczały mi słowa: „Za pierwszym razem boli i jest krew”.

Moje koleżanki tylko chichotały, gdy w jakimś romansidle znalazły ciekawy fragment. A te, które wyszły już za mąż, były zbyt dyskretne lub skrepowane, a może nie dość ze mną zaprzyjaźnione, by dzielić się szczegółami.

Daisy prawdopodobnie była w tych sprawach równie zielona jak ja. W dodatku skoro obie deklarowałyśmy niechęć do mężczyzn jako istot niższych, wyrażanie zainteresowania płcią przeciwną wydawało się zdradą naszej przyjaźni.

Jeśli zaś chodzi o ojca, prędzej przyjąłabym pracę w domu rozpusty, niż zapytała go o podobne rzeczy.

W bibliotece w Cold Spring nie mieli żadnych książek na ten temat – o czym przekonałam się, starannie przeszukując półki. Wiedziałam jednak, że są takie. W ostatnich latach zwróciłam uwagę na pewne pozycje w sekcji medycznej katalogu wysyłkowego Montgomery’ego Warda. Jedna nosiła tytuł *Rozmowy z młodymi niewiastami na poufne tematy*. Jakże bym chciała odbyć z kimś taką rozmowę! Nigdy jednak nie odważyłam się tego dzieła zamówić. Gdyby przesyłkę otworzyli ciotka Ida albo ojciec, chyba bym umarła.

– Życzy sobie pani coś jeszcze? Może kawałek ciasta?

Tak, miałam ochotę odpowiedzieć, *chciałabym porozmawiać na poufne tematy*.

– Nie, dziękuję – odparłam. – To wszystko.

Wypisałam czek i poszłam obejrzeć kostiumy. Sprzedawczyni pomogła mi dobrać spódnice na tyle długą, by zakrywała kostki u nóg, i żakiet, który nie był zbyt luźny. Wymagało to cierpliwości, ale w końcu znalazłam dopasowany elegancki kostium w brązowo-zieloną kratkę.

– Jakby szyty specjalnie na panią – pochwaliła sprzedawczyni.

Ojciec nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że kupiłam kostium zamiast ładnej sukni. Na pewno mi przebaczy – tylko najpierw podrażni się ze mną, że wyglądam w nim jak sufrażystka.

– Wezmę go – zdecydowałam.

Rozdział 11

Amanda

– Może pan zwolnić?! – krzyknęłam do taksówkarza poprzez dzielącą nas plastikową szybę. Nie chodziło o to, że jedzie zbyt brawurowo – chociaż tak właśnie było – po prostu nie chciałam dotrzeć na miejsce zbyt wcześnie. Nie lubiłam siedzieć samotnie, czekając na Jeffa.

Kierowca zwolnił, ale ja wciąż byłam zdenerwowana. Powinnam wyjść z mieszkania dziesięć minut później, ale za bardzo chciałam, żeby wieczór wreszcie się rozpoczął. Do spotkań z Jeffem, nawet takich zwyczajnych, które nie wypadają w dniu urodzin, przywiązywałam przesadnie wielką wagę. Co gorsza, wkładałam mnóstwo starań, żeby wyglądać wspaniale. Nasze randki zawsze wiązały się z planowaniem, kiedy i gdzie się odbędą, z tajemnicą, z poczuciem winy – nigdy nie mogliśmy umówić się spontanicznie. Choć znałam go pół życia, wciąż czułam się przy nim onieśmielona, niczym fanka spotykająca po raz pierwszy swojego idola.

Pięć po ósmej kierowca skręcił w Dwudziestą Czwartą Ulicę i zatrzymał się przed wejściem do restauracji tuż obok parku. Żałowałam, że nie spóźniłam się dziesięć minut, ale przy odrobinie szczęścia Jeff mógł już być na miejscu.

Niestety, od szefa sali usłyszałam, że to ja przyszedłam pierwsza. Czy chcę poczekać przy stoliku? Przeszliśmy przez duże pomieszczenie w stylu art déco. Płytki na podłodze ułożone były w złote zygzaki. Zaprowadził mnie do stolika przy dużym oknie wychodzącym na Madison Avenue i na park. Olive musiała często tędy przechodzić. Szkoda, że nie przyszło mi do głowy, by przed wejściem przespacerować się po okolicy. Ledwie jednak zdążyłam rzucić okiem na parkową zieleń, a już szef sali odsunął obitą skórą ławkę, żebym mogła usiąść zwrócona twarzą do wnętrza. Po czym odszedł, zostawiając mnie z dwoma egzemplarzami menu, w poczuciu wielkiego zażenowania.

Położyłam telefon na białym obrusie i popatrzyłam na gości. Nosili biurowe garnitury, stroje wieczorowe, dzinsy i T-shirty. Trudno dzisiaj na podstawie stroju ocenić czyjąś zamożność. Mój naszyjnik wprowadziłby wszystkich w błąd.

Piętnaście po ósmej kelner w czarnej kamizelce zapytał, czy chciałabym zamówić coś do picia.

– Dziękuję, zaczekam.

Otworzyłam kartę. Trzydaniowy zestaw obiadowy kosztował sto piętnaście dolarów. Poczulałam głód, czytając wybór dań: gnocchi z ricottą z koziego mleka,

karczochem, oliwkami i boczkiem; bouillabaisse z okonia, ośmiornicy, krewetek i chorizo oraz homar z wody, do którego trzeba było dopłacić dwadzieścia dolarów. Gdzie podziewa się Jeff? Spokojnie. Może do niego zadzwonię? Nie, domyśli się, że siedzę tu jak na szpilkach. Z udanym zainteresowaniem wpatrywałam się w menu. Dwadzieścia po ósmej. Mógłby zawiadomić, że się spóźni. Niepotrzebnie włożyłam ten naszyjnik – ostatnie, na czym mi teraz zależy, to zwracanie na siebie uwagi. Zadzwonił telefon. To był Jeff.

– Przepraszam – powiedział.

– Spóźniasz się.

– Zdarzył się nagły wypadek.

– Co się stało?

– Moja żona. Denise. – Rzadko o niej wspominał, ale gdy to robił, zawsze w charakterze określenia dodawał imię, jakbym inaczej nie domyśliła się, o kogo chodzi. – Kroiła cebulę i przecięła sobie ścięgno. Musiałem zawieźć ją do szpitala. Chciałem zadzwonić, ale ani przez chwilę nie byłem sam. Jesteś w restauracji?

– Tak.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy.

– Nie mogę teraz stąd wyjść. Jest w sali operacyjnej.

– Okropne. Bardzo mi przykro.

– Nie – odparł. – To mnie jest przykro, że cię zawiodłem.

– Przestań mnie przepraszać.

– Przepraszam.

Zmarszczyłam brwi i w milczeniu spojrzałam na telefon.

– To był żart – powiedział.

– Wiem.

– Choć nie do końca.

– Wiem. – Łzy napłynęły mi do oczu, ale starałam się mówić wesołym tonem. – Równie dobrze mogę... – Czy on nie słyszy, jak drży mi głos? – ...już wracać do domu.

I spędzić urodziny samotnie, czując się jak skończona idiotka.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Oczywiście.

– Zadzwoń później.

Nie odpowiedziałam w obawie, że zamiast słów wyrwie mi się szloch.

– Amando? Wszystko gra?

– Tak. Rozłączam się.

– Kocham cię – powiedział. – Wiesz o tym, prawda?

Westchnęłam na tyle głośno, że musiał to usłyszeć. Westchnienie było bezpieczniejsze od słów.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

– Dziękuję.

Rozłączyłam się i zebrałam siły do następnego zadania: opuszczenia z godnością restauracji. Wzięłam głęboki oddech, odsunęłam ławkę i ruszyłam po złotym zygzaku. Wymruczawszy przeprosiny do szefa sali, pchnęłam drzwi i znalazłam się na ulicy. Najpierw miałam ochotę się przespacerować, ale potem doszłam do wniosku, że jestem zbyt wystrojona, by wtopić się w tłum. Chciałam zostać sama i móc na osobności porozczulać się nad sobą. Zza rogu wyjechała taksówka. Wskoczyłam do środka, zatrzęsnęłam drzwi i opadłam na fotel z ulgą, jakby ścigali mnie żądni zdjęć paparazzi.

Odjechałam z Madison Square, ściskając w rękę telefon, i zaczęłam rozważać różne możliwości. Zadzwoić do Molly? To ostatnia z przyjaciółek, która miała jeszcze cierpliwość, by słuchać o Jeffie, w dodatku czekała pewnie na szczegółową relację z wizyty u doktora Markoffa. Ale opowieść o ostatnim afroncie kochanka byłaby zbyt upokarzająca, a swoją drogą, czyż nie dostałam dokładnie tego, na co zasłużyłam?

Mogłam zatelefonować do jakiejś innej przyjaciółki i udawać, że jestem we wspaniałym humorze. *Hej, dziś są moje urodziny i jakoś niczego wcześniej nie zaplanowałam, może się gdzieś wybierzemy?* Mogłam też kupić butelkę wina w Astor Wines i się upić. Wstąpić do Pinisi Bakery i najeść się babeczek z kremem. Albo po prostu zakończyć ten dzień, zanim wydarzy się coś gorszego. Wrócić do domu i walnąć się do wyrka. Problem w tym, że w ogóle nie chciało mi się spać. Niepotrzebnie ucięłam sobie drzemkę. Gdyby doktor Markoff wypisał mi receptę na tabletki nasenne, wszystko byłoby prostsze, niestety, dostałam tylko idiotyczną taśmę z seansu hipnotycznego. Jakby mogła mi w czymś pomóc!

Jeszcze inna możliwość? Zadzwoić do Jeffa i powiedzieć mu, że wszystko skończone.

Boże, jaka ja jestem głupia. W końcu z oczu popłynęły mi łzy. Otworzyłam okno, by wiatr owiał mi twarz, a uliczne hałasy zagłuszyły szlochy. Dom wydawał się

miejscem samotnym i depresyjnym, ale nie miałam dokąd pójść.

Odetchnęłam głęboko kilka razy, by się uspokoić i odezwać do kierowcy opanowanym tonem.

– Bardzo przepraszam. – Nachyliłam się w jego stronę. – Czy mógłby pan jednak wysadzić mnie przy Astor Place?

Kiwnął głową, a ja rozsiadłam się z powrotem w fotelu. Bez względu na to, czy zadzwonię do Jeffa, żeby zakończyć znajomość, czy też stchórzę, butelka dobrego zinfandela na pewno dobrze mi zrobi.

Rozdział 12

Olive

Wszystko szło gładko, chociaż czułam się trochę dziwnie, jedząc śniadanie w cichym mieszkaniu bez siedzącego naprzeciwko ojca. Poranna gazeta przyniosła same złe wiadomości. W dodatku zaczął mi się period i męczyły mnie bolesne skurcze.

Jęcząc cicho i kołysząc się, czytałam o skandalu z manipulacją cenami akcji Copper United. Przewidywania ojca, że sprawa ta nie pociągnie za sobą poważniejszych skutków, okazały się błędne. Teraz w kłopoty wpadł także bank Knickerbocker Trust Company i kilka innych. Pojawiły się obawy, że zbankrutują. Co za szczęście, że ojciec z żadnym z nich nie robił interesów. Jednak giełda wciąż spadała, a z wakacji w Europie wezwano J.P. Morgana, by opanował kryzys. Powszechnie uważano, że zdoła wszystko naprawić.

Wstawiłam brudne naczynia do kuchennej windy i postanowiłam wziąć kąpiel. Może ciepła woda złagodzi skurcze. Zdjęłam pasek, odpięłam od niego zużytą przepaskę periodyczną i, starając się nie wdychać kwaśnego zapachu krwi, zawinęłam w pełną przygnębiających wieści gazetę. Z nadzieją, że nikt mnie nie zauważy, wybiegłam na korytarz i wrzuciłam pakunek do zsypu, udogodnienia, które doceniłaby nawet ciotka Ida. Sama paliła nasze przepaski w kominku, żeby nie śmierdziało nimi w całym domu.

Rozbierając się do kąpieli, pochwyciłam własne odbicie w lustrze i jak zwykle odwróciłam wzrok. Nie wiedziałam, jak zdołam pokonać wstydlivość, by robić to coś, co mężowie i żony robią razem w łóżku. Z ulgą wyciągnęłam się w wannie, zanurzona w ciepłej wodzie. Może przyzwoite kobiety podczas stosunku płciowego mają na sobie nocne koszule?

Tylko na czym ten stosunek naprawdę polega?

Wiedziałam jedynie, że narząd płciowy mężczyzny wchodzi do otworu w ciele kobiety, żeby wprowadzić tam nasienie. Tę przerażającą informację otrzymałam, gdy byłam młodsza, od jednej ze sprzedawczyń w sklepie ojca. Miała na imię Tessie i czasem, gdy było mało klientów, dawała się namówić na rozmowę. Tessie nie odznaczała się specjalną urodą – była tęga, rudawa i piegowata. Ale miała piękny głęboki głos i lubiłam słuchać jej opowieści o dzieciństwie spędzonym na prerii w Montanie. Nie było dla niej niewłaściwych tematów. Pewnego dnia opowiedziała mi nawet, jak pomogła własnej matce przy porodzie.

– Widzisz, musiałam to zrobić. Papcio wyjechał, a na dworze była straszna

śnieżyca.

– Bardzo się bałaś?

– Mama wiedziała co i jak. Wcześniej urodziła już naszą trójkę.

– I naprawdę widziałaś, jak dziecko z niej wychodzi?

– Jasne, złapałam to śliskie lichy własnymi rękami. O mało nie upuściłam go na podłogę.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego musiała je łapać.

– To matki nie rodzą dzieci na leżąco?

Tessie wzruszyła ramionami.

– Jeżeli tak, to mojej mamie nikt o tym nie powiedział. Robiła najróżniejsze rzeczy. Wstawała, siadała, kuciała... ani na chwilę nie przestawała się ruszać.

– Patrzenie na jej ból musiało być okropne.

– Mówiła, że przy czwartym dziecku jest już tam na dole rozciągnięta jak guma. – Tessie się roześmiała, a potem pochyliła ku mnie. – Powiedziała, że to tak, jakby się wysrać.

Zarumieniłam się, słysząc wulgarne słowo.

– Nie wierzę ci.

– Po prostu kucasz i... no wiesz... dziecko wychodzi.

Kilka tygodni później ojciec ją zwolnił, znienacka przerywając moją edukację. Mówił, że za dużo gadała podczas pracy. Podejrzewałam jednak, że chodziło nie tyle o liczbę słów, ile o swobodę w ich używaniu. Próbowałam przekonać go, że to ja zawiniłam, gdyż zasypywałam Tessie pytaniami, ale był nieubłagany.

I tak oto, choć skończyłam dwadzieścia lat, wciąż, jak przystało na dziewicę, nie wiedziałam nic o własnym ciele.

Po kąpieli zamiast od razu zawinąć się w ręcznik, postanowiłam obejrzeć się w lustrze nago. Byłam sama w mieszkaniu i może to dodało mi odwagi.

Zmusiłam się do sporządzenia rejestru wyników oględzin: długi tułów, wąskie biodra, małe piersi i ta niepokojąca trójkątna kępka włosów. Chociaż nie miałam zaokrąglonych kształtów, nie dało się zaprzeczyć, że osoba patrząca na mnie z lustra była dorosłą kobietą.

25 października 1907 roku

Dziś wybieram się do domu towarowego Wanamakera. Podobno mają tam największy wybór książek. Spróbuję znaleźć jakąś pozycję medyczną na temat

fizjologii kobiety. Sklep leży na uboczu, więc nikt mnie nie rozpozna, jeśli zdobędę się na odwagę i rzeczywiście kupię to, czego szukam.

Jak zawsze spotkałam w holu rudowłosego odźwiernego. Zdumiewające. Można by pomyśleć, że nawet w nocy sypia tam na stojąco.

– Czy wezwać taksówkę?

– Tak, proszę. – Często byłam zła, że ciągle tu sterczy, obserwując, jak wchodzę i wychodzę, jednak teraz, gdy ojca nie było, jego obecność dodała mi otuchy.

Czekałam pod markizą, aż przywoła dla mnie automobil. Pozwoliłam sobie na luksus przejazdu nie tylko z powodu dużej odległości. Przepaski miały nieprzyjemny zwyczaj wysuwania się lub przekręcania podczas chodzenia. Pewnie inne kobiety także zmagaly się z tym problemem, ale nie rozmawiałam na tak krępujący temat z nikim, nawet z Daisy.

– Dokąd się pani wybiera? – zapytał odźwierny, gdy podjechała taksówka.

– Do domu towarowego Wanamakera.

Otworzył przede mną drzwi.

– Proszę zawieźć młodą damę do Wanamakera – nakazał kierowcy.

Podziękowałam mu, a on zamknął drzwi automobilu. Ciotka Ida powiedziałaaby, że w mieście zrobiłam się jeszcze bardziej rozpuszczona, niż byłam. I miałyby rację.

Po wejściu do sklepu usłyszałam dobiegającą z głębi muzykę organową. Spojrzałam w górę i jak dziecko aż otworzyłam usta ze zdumienia, przesuając wzrokiem po umieszczonych jedna nad drugą galeriach aż do oszklonej kopuły przykrywającej rotundę. Chociaż lśniące szklane gabloty i obwieszone kolorowymi światełkami sklepowe alejki zachęcały do przechadzki po tętniącym życiem parterze, podeszłam do tablicy informacyjnej, sprawdziłam, że dział książek mieści się na ósmym piętrze, i wsiadłam do windy.

Już mi się wydawało, że moje sumienne poszukiwania nie dadzą żadnych rezultatów, gdy nagle wpadł mi w oko obiecujący tytuł: *Cztery epoki w życiu kobiety. Studium z dziedziny higieny*. Autorką była Anna Galbraith, lekarz medycyny. Kobieta! Upewniwszy się, że nikt na mnie nie patrzy, przejrzałam spis treści. *Dojrzewanie, Anatomia organów rozrodczych, Menstruacja, Małżeństwo* – same interesujące tematy – a gdy spostrzegłam *Instynkt płciowy u kobiet*, serce zabiło mi mocniej w poczuciu zwycięstwa. Znalazłam to, czego szukałam.

Ekspedientka nie zwróciła uwagi na tytuł, ale odetchnęłam z ulgą, gdy zapakowała książkę w brązowy papier. Zapłaciłam gotówką, by nikt nie skojarzył mojego

nazwiska z zakupem, i wyszłam ze sklepu, jak mogłam najszybciej, w obawie, że zatrzyma mnie któryś z inspektorów. Z malującym się na twarzy poczuciem winy na pewno wyglądałam jak złodziejka.

Przed rozpoczęciem lektury otworzyłam bombonierkę, którą ojciec kupił mi u Maillarda. Zadzwoiłam do konsjerżki, by zamówić dzbanek herbaty, zmieniłam przepaskę, włożyłam szlafrok i domowe pantofle. Wkrótce dostarczono herbatę, a ja usadowiłam się na kanapie i zabrałam do poszerzania swojej edukacji.

Rozdział 1

DOJRZEWANIE

*Zmiany płciowe; Okres dojrzewania; Zmiany fizyczne w okresie dojrzewania;
Pierwsza menstruacja; Zmiany psychiczne w okresie dojrzewania*

Rozejrzałam się po pustym pokoju. Kogo próbowałam oszukać? Przerzuciłam kartki i przesłam od razu do najważniejszego rozdziału.

Rozdział 8

INSTYNKTY PŁCIOWE U KOBIET

*Instynkt płciowy u kobiet; Stosunek płciowy;
Przyczyny podniecenia płciowego*

Doktor Galbraith podzieliła kobiety na trzy grupy: te, które mają małe potrzeby płciowe lub nie mają ich wcale, te, które odczuwają silną namiętność, oraz te, które stanowią większość – kobiety o średnich potrzebach. Początkowo zaliczyłam siebie do grupy „małych potrzeb”, ale to stawiało mnie w jednym rzędzie z ciotką Idą, więc zdecydowałam się na kategorię pośrednią. Tyle dobrego, że przynajmniej zdaniem pani doktor większość kobiet miała potrzeby płciowe i nie świadczyło to o ułomności charakteru.

Wrzuciłam do ust czekoladkę, wypiałam łyk herbaty i czytałam dalej. Następny akapit mnie zaskoczył. Kiedy kobiety odczuwają podniecenie płciowe, dochodzi do przekrwienia narządów rodnych. W momencie szczytowym następuje reakcja zwana „orgazmem”. Nigdy nie słyszałam tego słowa. Doktor twierdzi, że jest on odpowiednikiem męskiego orgazmu, podczas którego u mężczyzny następuje wytrysk nasienia. „U kobiety reakcja ta polega na ruchach jajowodów i macicy, powoduje też zasysanie plemników do wnętrza, co prowadzi do zajścia w ciążę”. Nie byłam pewna, czy chciałabym doświadczyć czegoś podobnego. Kojarzyło mi się z wodą zasysaną po kąpieli przez rurę odpływową. Z dalszych objaśnień autorki wynikało, że jeżeli

kobieta i mężczyzna przeżyją orgazm jednocześnie, mają dużą szansę począć dziecko.

Zrobiłam przerwę, by przyswoić sobie te zdumiewające informacje, zjadłam kolejną czekoladkę i popiłam ją herbatą. Potem wróciłam do czytania, w nadziei że dowiem się, jakie są przyczyny owej dziwnej reakcji zwanej orgazmem.

Doktor pisze, że zbyt częsta aktywność macicy może powodować stany zapalne narządów rodnych, brodawki, guzy i raka. Podpowiada, by hamować podniecenie płciowe poprzez gimnastykę, zimne kąpiele i unikanie alkoholu. A jeśli wszystko inne zawiedzie, pozostaje nam jeszcze silna wola. Nie piłam alkoholu, więc to nie stanowiło problemu, ale jedyną rzeczą, jakiej nie znosiłam bardziej od gimnastyki, były zimne kąpiele. Będę musiała zatem polegać na sile woli.

W tym miejscu rozdział się kończył. Przewróciłam kartkę.

Rozdział 9

BEZPŁODNOŚĆ

*Zapobieganie zapłodnieniu i kontrola urodzin;
Zbrodnia aborcji; Niewierność u kobiet*

Jakim sposobem doszłam już do bezpłodności? Przerzuciłam kilka kartek i dotarłam do następnego rozdziału. Macierzyństwo? O tym nie muszę czytać. Wróciłam do rozdziału o instynkcie płciowym i jeszcze raz przejrzałam go z niedowierzaniem. Doktor Galbraith poświęciła tyle miejsca sposobom na uniknięcie współżycia płciowego, a tak mało napisała o tym, co się podczas niego dzieje! Czy rzeczywiście większa wiedza nie była nam potrzebna? Może kobieta musi się tylko położyć, a wszystkim innym zajmuje się mężczyzna? Jeżeli rzeczywiście tak jest, szkoda, że nie wyjaśniła tego dokładniej. Dokończyłam herbatę i zamknęłam bombonierkę. Czułam się bardzo zmęczona. Nawet przejście do łóżka wydało mi się daleką wyprawą. Wyciągnęłam się na kanapie, zamknęłam oczy i usnęłam...

Obudziło mnie stukanie do drzwi. Nie miałam pojęcia, która jest godzina. Może przyszedł posłaniec z domu towarowego z moim kostiumem? A najpewniej ojciec, któremu nie chciało się poszukać kluczy.

Ale to nie był ojciec ani posłaniec, tylko goniec, który wręczył mi zaadresowaną do mnie żółtą kopertę. Telegram. Podziękowałam, dałam chłopcu kilka monet napiwku, a potem zamknęłam drzwi i rozdarłam kopertę.

Twój ojciec nie żyje STOP Wypadek automobilu STOP Proszę wracaj do domu STOP Tak mi przykro STOP Ciotka Ida

Pokój zawirował mi przed oczami. Usiadłam ciężko na kanapie i próbowałam się

uspokoić.

To niemożliwe.

Znów spojrzałam na żółtą kartkę. Twój ojciec nie żyje STOP Twój ojciec nie żyje STOP Twój ojciec nie żyje STOP Twój ojciec nie żyje.

Nie. Nie wolno mi o tym myśleć ani się przejmować. Na pewno zaszła jakaś straszliwa pomyłka.

Wstałam z kanapy i zaczęłam krążyć po pokoju. Miałam wrażenie, że nie mieszczę się we własnej skórze.

Przeczytałam jeszcze raz telegram. Nie żyje STOP Nie żyje STOP Nie żyje! Zmiałam kartkę i rzuciłam na podłogę. Potem otarłam łzy, poszłam do mojego pokoju i usiadłam na brzegu łóżka. Ojciec za chwilę się zjawi, na pewno będzie głodny po tylu godzinach jazdy.

Przeszłam do jego sypialni, jakby w nadziei, że go tam znajdę. Pokojówka posprzątała. Łóżko ojca było pościelone. A jego życie skończone. Położyłam się na gładkiej narzucie i zwinęłam w kłębek, jęcząc cicho. *Niech to nie będzie prawda. To niemożliwe, żeby odszedł.* Ojciec, jedyna osoba na świecie, która naprawdę mnie kochała. Nie mogłam tego znieść. Jak to się stało? Musiałam się dowiedzieć. Natychmiast.

Podeszłam do telefonu i podniosłam słuchawkę. Serce bolało mnie tak, że nie mogłam oddychać. Nie byłam w stanie zaczerpnąć powietrza ani mówić. Odłożyłam słuchawkę i zmusiłam się do wzięcia kilku głębokich oddechów. Potem poprosiłam operatora hotelowego o wybranie numeru i czekałam, aż centrala mnie połączy.

Ciotka Ida nigdy nie przywykła do używania telefonu.

– Kto mówi?! – zawołała głośno.

– Olive. – Ściszałam metalową słuchawkę, jakby tylko ona łączyła mnie ze światem.

– Chciałam zatelefonować – tłumaczyła się ciotka. – Przepraszam cię, ale nie mogłam się do tego zmusić. Siedzę tu i czekam. Uznałam, że nie godzi się omawiać takich spraw przez telefon.

– Czy to prawda?

– Tak.

– Na pewno? – spytałam zdławionym głosem.

– Bardzo mi przykro, kochanie, bardzo.

– Jak to się stało? – Wstrzymałam oddech, jakbym miała zejść pod wodę.

– To ta jego maszyna – powiedziała. – Zepsuły się hamulce. Ujechał ledwie pięć

mil od domu. Podobno automobil stoczył się ze wzgórza, a Charlesa wyrzuciło w powietrze. Upadł na głowę i... – głos się jej załamał. – Zginął na miejscu.

Z piersi wyrwał mi się szloch.

– Jaka tragedia – powtarzała. – Jaka tragedia. Oczywiście zajmę się wszystkim. Pogrzebem. Tym się nie kłopot.

– Tak – wyszeptałam.

– Co mówisz? Nie dosłyszałam. Na pewno jesteś załamana. Musisz natychmiast wracać do domu.

– Teraz?

– W takich chwilach nie powinnaś być sama.

– Nie.

– Słucham? Mów trochę głośniej.

– Tak. Przyjadę pociągiem.

Odłożyłam słuchawkę. Wszystko nagle się zmieniło. Ojciec miał wrócić z Cold Spring, a tymczasem to ja jechałam w rodzinne strony. Musiałam się spakować, zmienić przepaskę periodyczną, pamiętać o zabraniu zapasowych i wyruszyć na stację, gdzie tak niedawno pożegnaliśmy się, nie wiedząc, że widzimy się po raz ostatni. Nie chciałam nigdzie jechać. Nie mogłam się ruszyć. Ale nie miałam wyboru. Na stoliku leżała książka *Cztery epoki w życiu kobiety*. Trzeba znaleźć dla niej dobrą kryjówkę. Ale po chwili przypomniałam sobie, że to już bez znaczenia. Nie było ojca, przed którym musiałabym ją ukrywać.

Rozdział 13

Amanda

Zamknęłam drzwi do mieszkania na klucz i na zasuwkę. To były chyba najgorsze urodziny w moim życiu. W pokoju panowała cisza. Zaczekałam, by sprawdzić, czy z cienia nie wyskoczy szaleniec uzbrojony w nóż rzeźnicki, ale nic takiego nie nastąpiło. Wazon w kształcie głowy przyozdobiony otwierającą czakry bransoletką przyglądał mi się z wyższością, jakby wiedział, że mój żonaty kochanek właśnie wystawił mnie do wiatru.

No dobrze, muszę poprawić sobie nastrój.

Po pierwsze: otworzyć wino, żeby mogło pooddychać. Następnie przebrać się w legginsy i T-shirt. Nałożyłam do miseczki trochę humusu, wyciągnęłam torbę czipsów z chleba pita, a potem nalałam sobie kieliszek wina i umościłam się na kanapie, by sprawdzić, co słyhać u Olive. Czytałam w najlepsze, ciesząc się małą przekąską, gdy doszłam do miejsca, w którym okazało się, że jej ojciec nie żyje.

Nie żyje?

Jezu. Zwykle, gdy czytamy czyjś dziennik – nie żebym to miała w zwyczaju – spodziewamy się różnych osobistych szczegółów, a zamiast nich otrzymujemy listy zakupów i rozkłady pociągów. Ale nie śmierć. Mój Boże, biedna Olive, teraz była na świecie całkiem sama.

Popatrzyłam na wiszący na ścianie stary plakat biura podróży przedstawiający elegancką parę jadącą powozem w Central Parku. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, że moi rodzice mogliby umrzeć. Pragnęłam wierzyć, że nie dotyczą ich – ani, o ile to możliwe, mnie – prawa przyrody kierujące życiem reszty ludzkości. Jeżeli jedno z nich umrze, pewnie zupełnie się załamie. Nie miałam oparcia w mężu, nie miałam dzieci, którym czułabym się potrzebna. Była Molly, ale ona wyszła za mąż i założyła własną rodzinę. Miałam też innych przyjaciół, ale doprawdy na ludziach tak trudno polegać. Dla Jeffa zaś nie byłam najważniejsza, ten wieczór dostarczył mi aż nadto bolesnych dowodów.

Doszło do tego, że bałam się z nim zerwać, bo wtedy czułabym się jeszcze bardziej samotna. Choć przecież taka sytuacja trwałaby tylko tymczasowo, dopóki nie będę gotowa na związek z innym mężczyzną. Trzymanie się Jeffa jedynie zwiększało prawdopodobieństwo, że na starość zostanę sama.

Może teraz nadeszła odpowiednia chwila, by do niego zadzwonić? Jednak czy to w porządku zrywać z mężczyzną, którego żona jest na sali operacyjnej? Co by na to

powiedziała Amy Vanderbilt? Sięgnęłam po laptop i wpisałam w okienko Google'a „przecięte ścięgno”, by sprawdzić, czy to poważna rana. Na stronie informacji medycznej przeczytałam, że ścięgno można zszyć, lecz czasami pacjent musi mieć założoną szynę. Sprawa przykra, jednak niezagrażająca życiu. Może Jeff wrócił już do domu.

Lepiej zaczekam do jutra.

Otworzyłam dziennik, ale nie mogłam czytać. Znów poczułam wokół siebie zatrważający spokój. Meble stały w nienaturalnym bezruchu, jakby tylko udawały, że się nie ruszają, gdy odwracam od nich wzrok.

Włączyłam telewizor, żeby nie było tak cicho, i popijając wino, gapiałam się jak idiotka na głupi serial. Dziwne, że czuję się tak nieswojo we własnym mieszkaniu. Nie jestem przesądna i nie wierzę w duchy ani żadne kontakty z zaświatami, więc o co chodzi? Może podczas transu doktor Markoff przejął kontrolę nad moim umysłem? Lecz przecież sam powiedział, że wszystko zależy ode mnie.

Postanowiłam wyłączyć telewizor i zrobić coś pożytecznego, na przykład wywabić plamę z sukni kupionej od Jane Kelly. Przywracanie ubrań do życia budziło do życia także i mnie. Potem zadzwonię do Jeffa i powiem mu, że to koniec. Muszę ruszyć z miejsca. To właśnie podaruję sobie na urodziny: wolność.

Pochylona nad umywalką tarłam plamę mieszanką wody utlenionej i odplamiacza Dawn. Robiła się coraz bledsza. Zaraz upiorę suknię i sprawdzę, jak będzie wyglądała po wysuszeniu. Potem znów ją upiorę i w razie potrzeby zaatakuję plamę odplamiaczem w pisaku. Umyłam umywalkę, napełniłam zimną wodą, a potem dodałam odrobinę płynu Ivory Snow. Zanurzyłam sukienkę, wpychając do wody wydymające się bąble materiału, i po raz nie wiem który zastanowiłam się, dlaczego nie potrafię zerwać z Jeffem. Podobała mi się teoria Molly o wdrukowaniu, ponieważ naukowy punkt widzenia zdejmował ze mnie część odpowiedzialności, ale po co szukać wymówek? Nie powinnam wciąż wracać do przeszłości. Nawet moja praca jest z nią związana. Czy całym moim życiem rządzi nostalgia?

Wyciągnęłam zatyczkę z umywalki, powiesiłam sukienkę nad wanną i prysznicem spłukałam z niej mydliny. Abbie Hoffman, buntownik z lat sześćdziesiątych, powiedział kiedyś, że nostalgia to łagodna forma depresji. Może ciągnąć nas w dół i budzić tęsknotę za czymś nieosiągalnym. Jednak może też sprawić, że poczujemy się częścią większej całości. Przeszłość nie znika, lecz trwa. Można dotknąć i zobaczyć jej pozostałości. Zachowana w pamiętkach staje się terażniejszością. Nie da się tego powiedzieć o przyszłości. Nie istnieje w żadnej formie. Nie może, bo jeszcze nie nastąpiła. Kiedy przychodzi, zmienia się w terażniejszość, a po chwili w przeszłość. Nie da się jej wziąć w ręce.

Otworzyłam okno w łazience, żeby zrobić przewiew. Potem powiesiłam sukienkę do wyschnięcia na drążku od zasłonki nad wanną. Wyobrażałam sobie, że jest mi wdzięczna za przywrócenie do życia. Przeszłość trwa w naszych ubraniach, zdjęciach, bibelotach, muzyce, filmie, tekstach – jeśli tylko odpowiednio o nią zadbamy. Rzecz jasna, chodziło mi o rzeczy, nie o ludzi. Nie miałam ochoty na zajmowanie się duchami.

Niestety, wyglądało na to, że właśnie z jednym mam romans – z duchem przeszłości Jeffa. Czy nie zasługuję na to, żeby być w związku z prawdziwą ludzką istotą, zamiast obdarzać uczuciami widmo istniejące głównie w mojej wyobraźni?

Sięgnęłam po komórkę. Czas zerwać z duchem. Wybrałam numer Jeffa i czekałam, aż odbierze. Tym razem naprawdę to zrobię.

Włączyła się poczta głosowa. Po chwili wahania zakończyłam połączenie. Nie było sensu zostawiać wiadomości. Zobacz, że telefonowałam, i oddzwoni.

Usiadłam na kanapie, wzięłam głęboki oddech, a następnie sięgnęłam po laptop i popatrzyłam na ekran. Zastanawiałam się, na którą stronę wejść – jak gdyby w cyberprzestrzeni, jeśli tylko odpowiednio dobrze poszukam, czekało na mnie rozwiązanie problemów.

Serwis randkowy JDate?

Miałam na nim konto założone w czasach, gdy próbowałam korzystać z usług takich serwisów. Zalogowałam się i zaczęłam przeglądać profile mężczyzn. Romancer 007. Live4today. ClinicallySane1. Needlenahaystock. TheCombackYid.

Oj.

Piskliwy dzwonek komórki sprawił, że aż podskoczyłam. Jeff.

– Halo?

– Dzwoniłaś? – zapytał.

– Tak. Jak się czuje twoja żona?

– Już po zabiegu. Mówią, że wszystko będzie dobrze.

– Pewnie ci ulżyło. – Kliknęłam na profil dość atrakcyjnego faceta z ciemnymi włosami i siwymi baczkami, ubranego w czarny T-shirt.

– Czekam, aż się obudzi z narkozy – powiedział. – Wtedy zabiorę ją do domu.

– Yhm. – Miał nicka NativeNewYawker i, jak twierdził, liczył sobie czterdzieści dwa lata.

– Wciąż mi strasznie przykro z powodu twoich urodzin.

– Nie martw się. Jestem dużą dziewczynką.

– Może jednak zobaczymy się jutro wieczorem?

– Wiesz... – Przełknęłam ślinę. – To chyba nie jest dobry pomysł.

– Lekarz powiedział, że może ją boleć kciuk i tyle.

– A jednak... – NativeNewYorker, w odróżnieniu od swoich rywali, patrzył z uśmiechem prosto w obiektyw.

– Już ją zawiadomiłem, że muszę wyjechać w sprawach służbowych – ciągnął. – Możemy spędzić razem noc. Spodziewa się, że mnie nie będzie. Rozmawialiśmy o tym w taksówce, jadąc do szpitala.

– Nie. Powinieneś zostać przy niej.

– Amando, wiem, że się gniewasz. Masz do tego prawo, ale pozwól, żebym wynagrodził ci to, co się stało. I muszę ci przecież wręczyć prezent urodzinowy.

Chciałam powiedzieć, że żaden przekłety prezent nie wynagrodzi mi straconej młodości. Ale tylko spojrzałam ze złością na ekran komputera. NativeNewYorker miał drobne, regularne rysy. Gdzieś czytałam, że ludzi pociąga symetria.

– Umówmy się na śniadanie. Będziemy razem przez cały ranek.

Żeby uprawiać seks? Nie ma mowy.

– Nie.

– Wymień godzinę i miejsce, a ja się stawię. Obiecuję.

– Nigdzie – odpowiedziałam. – Nigdy.

– Amando, daj spokój. Proszę, nie rób tego, dobrze?

– To koniec, Jeff. Już dłużej nie mogę. – Oboje wiedzieliśmy, że dokładnie te same słowa wypowiadałam wcześniej. Dlaczego teraz miałyby mi uwierzyć?

– Posłuchaj, wyśpij się dobrze, a o wszystkim porozmawiamy jutro, zgoda?

– Nie. To koniec. A jeżeli ja i moje dobro obchodzą cię choć trochę, proszę, zrób coś dla mnie: nie przychodź do mojego mieszkania ani do sklepu. Nie dzwoń, nie wysyłaj SMS-ów, nie kontaktuj się ze mną w żadnej formie, jaką umożliwi lub umożliwi w przyszłości technika. Do widzenia.

– Amando, kocham cię.

Rozłączyłam się. Zamknęłam stronę serwisu JDate. Wyłączyłam laptop i odstawiłam na biurko. Wtedy zauważyłam zapieczętowany list od zarządcy budynku. Przyszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy. Tak jak się spodziewałam, chodziło o wygaśnięcie umowy najmu powierzchni handlowej. Natomiast zupełnym zaskoczeniem był fakt, iż właściciel budynku postanowił jej nie przedłużać, co oznaczało, że mam miesiąc na zamknięcie sklepu i opuszczenie lokalu.

Co, do diabła?

Musiła zajść jakaś pomyłka. Błąd drukarski. Może list wysłano do niewłaściwej osoby? Zarządca, przymilny facet o nazwisku Chuck Grabowski, z całą pewnością wcześniej poinformował mnie, że przedłuży umowę i podniesie czynsz o sześć procent. Postanowiłam, że rano zadzwonię do niego i wszystko wyjaśnię. Jedyne, co mi teraz pozostało, to pójść do łóżka i wreszcie zakończyć ten dzień.

Rozdział 14

Olive

Obudziłam się zdezorientowana. Jak to się stało, że znalazłam się z powrotem w swojej starej sypialni?

Po chwili przypomniałam sobie wszystko.

Przynajmniej wczorajszy dzień już się skończył. Pogrzeb, cmentarz, grudki ziemi spadające na trumnę. Dom pełen ludzi. Koleżanki z dzieciństwa. Litościwe spojrzenia bombardujące mnie ze wszystkich stron.

– Olive? – Do drzwi zapukała ciotka Ida.

– Tak?

– Kilka twoich przyjaciółek przyszło z wizytą. – Wetknęła głowę do środka.

– Która godzina?

– Prawie południe. Nie wiem, jak możesz spać tyle czasu. Powiem im, żeby poczekały...

– Nie, nie. Lepiej niech przyjdą za kilka godzin.

– Jak chcesz, ale wstań wreszcie z łóżka, bo w nocy nie zmrzujesz oka.

Znowu zasnęłam. Obudził mnie zapach jabłek i cynamonu. Ubrałam się i zeszłam do kuchni, gdzie Margaret wałkowała właśnie ciasto na placek.

– Chcesz trochę szarlotki? – zapytała.

– Tak, poproszę, pachnie cudownie. – Wczoraj myślałam, że już nigdy nie będę mogła nic zjeść. Teraz aż ciekła mi ślinka.

– Miałam nadzieję, że wywabię cię z łóżka – powiedziała Margaret, odkrawając mi kawałek różowymi pulchnymi dłońmi. – Wasze jabłunki w tym roku wspaniale obrodziły. Wypróbowałam wszystkie przepisy na potrawy z jabłkami, jakie udało mi się znaleźć.

– Piecze pani świetne ciasta.

– Och, kochanie, wystarczy zmieszać ze sobą trochę tego i owego. Powiedz słowo, a chętnie cię nauczę.

Do kuchni weszła ciotka z bukietem róż.

– Chcesz zrobić z Olive kucharkę? Powodzenia. Mój Boże, tyle kwiatów – już nie wiem, gdzie je stawiać – dodała.

– Przepiękne róże – pochwaliła Margaret, wycierając dłonie w ręcznik. – Chyba

pójdę na górę i trochę się odświeżę.

Nie miałam ochoty zostawać sama z ciotką.

– Uważam, że pogrzeb wypadł wspaniale – oznajmiła, próbując wepchnąć zbyt duży bukiet do dzbanka na lemoniadę. Ciotka była wysoka i chuda, a jasnobrązowe włosy zawsze zaplatała w koronę, choć nie było jej dobrze w takiej fryzurze.

– Dziękuję, że ciocia wszystko zorganizowała – powiedziałam.

– Nie musisz mi za to dziękować. – Gwałtownie odłożyła kwiaty i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie ma już z nami mojego drogiego Charlesa – dodała, przyciskając ją do oczu.

– To okropne stracić starszego brata.

Choć ciotka Ida była młodsza od ojca o rok, zawsze wyglądała starzej. Teraz wręcz staro. Na jej czole pojawiły się zmarszczki, których wcześniej nie widziałam. A pod niebieskimi oczami miała sine worki.

– Nic mi nie będzie. – Schowała chusteczkę z powrotem do kieszeni. – Pocieszam się, że przynajmniej odszedł do lepszego świata. Bardziej się martwię o ciebie. Byłaś z nim tak bardzo związana, a on lubił cię rozpieszczać. W trudnych chwilach cieszę się, że wiara dodaje mi siły. Mam nadzieję, że w Nowym Jorku chodziłaś do kościoła?

– Był jeden bardzo ładny na naszej ulicy – odparłam, unikając odpowiedzi, choć doskonale wiedziałam, że ciotki tym nie oszukam.

Jako żarliwa chrześcijanka na pewno zmusiłaby nas do gorliwego przestrzegania zasad wiary, gdyby tylko ojciec jej na to pozwolił. Sam należał do osób, które modliły się, gdy zaistniała pilna potrzeba, ale zasadniczo nie zwracały sobie tym głowy. Lubiał mawiać, że ludzie powinni przestrzegać zasad moralnych, dlatego że sami tak zdecydowali, a nie po to, by przypodobać się Bogu. Bardziej to do mnie przemawiało niż fanatyczne poglądy ciotki.

– Życie toczy się dalej – powiedziała, poprawiając ułożenie kwiatów w wazonie. – Trzeba się z tym pogodzić. Dlaczego nie chciałaś zobaczyć się z koleżankami? Przyszły cię pocieszyć.

– Okazały mi współczucie na pogrzebie. Dziś zjawily się tylko po to, by opowiedzieć, jak cudownie jest być mężatką, i poradzić, żebym się pospieszyła i znalazła sobie męża, bo potem nikt mnie nie zechce.

– Może warto zaryzykować i wysłuchać kilku rad?

Odsunęłam resztki ciasta i zaczęłam się zastanawiać, pod jakim pretekstem stąd wyjść.

– Czy uzgodniłaś wszystko w Mansfield? – zapytała ciotka. – Będziesz musiała poprosić ich o odesłanie rzeczy.

– Jeszcze o tym nie myślałam.

– Nad czym tu myśleć?

– Później zatelefonuję do kierownika hotelu i to załatwię. Teraz chciałabym pójść do sklepu. Jeszcze tam nie byłam.

– Może być ci trudno – zauważyła ciotka. – Tyle wspomnień.

– Nie szkodzi. – Odstawiłam talerzyk do zlewu. – Lubię te wspomnienia.

*

Ekspedientki witały mnie z powagą i składały kondolencje, gdy wędrowałam po sklepowych alejkach. Staralam się dzielnie uśmiechać, ale nikogo to nie oszukało.

Zapach kurzu i pasty do polerowania drewna przypominał mi przeszłość. A w czarodziejskiej krainie lat dziecińczych – wśród kontuarów z wiśniowego drewna, szklanych gablot i wyłożonych lustrami ścian – czułam się blisko ojca. Jednak świadomość, że ten rozdział życia należy już do przeszłości, doprowadzała mnie do płaczu, a powstrzymywanie łez wywołało pulsujący ból głowy.

– Jak dobrze zobaczyć was wszystkich – powiedziałam do głównego kasjera. – Dziękuję, że byliście dla mnie tacy mili.

Dzwonek na drzwiach brzęknął, gdy zamykałam je za sobą.

Idąc Main Street, zobaczyłam grupę dzieci, które ze śmiechem wskakiwały na stopień wozu pana Barrowa. Stary koń człapał przed siebie, a pan Barrow machał batem, próbując przegonić dzieciaki, na co one rechotały jeszcze głośniej. W ich wieku też się tak bawiłam.

Nagle zatęskniłam za miastem z mego dzieciństwa i aż zakłuło mnie w sercu. Minęłam zakład krawiecki, kościół prezbiteriański, gdzie chodziłam do szkoły niedzielnej, bibliotekę miejską. Na rogu skręciłam w ulicę prowadzącą do naszego domu. Piękny budynek w stylu królowej Anny, żółty, z zieloną stolarką, wyglądał malowniczo i radośnie, jakby nic się nie stało. Wyłożoną kamieniami ścieżką poszłam na okalający go ganek, usiadłam na starym skrzypiącym bujaku i zapatrzyłam się na gałęzie wiązów. Ciotka Ida miała rację. Oczywiście, powinnam zostać w Cold Spring. To urocze, spokojne miasteczko. Nowy Jork jest męczący i pełen chaosu. Nie mam tam żadnych znajomych – nikt już nie oczekiwał, że przybędę na przyjęcie do pana Woolwortha, co uprzejmie dał mi do zrozumienia przedstawiciel firmy, który przyjechał na pogrzeb. A bez referencji nie dostanę nawet posady ekspedientki.

Oto koniec wielkiej przygody. Ubiegły miesiąc spędzony na Manhattanie stanie się w moich wspomnieniach krótkim, ekscytującym epizodem – szczytowym punktem życia. Wielu ludzi powiedziałoby, że mam szczęście, gdyż posiadam bezpieczny, wygodny dom. I tylko ktoś bardzo rozkapryszony mógł pragnąć od życia czegoś więcej.

Zmusiłam się, żeby wejść do domu i zatelefonować do hotelu Mansfield. Gdy wyjaśniłam dyrektorowi, panu Redstone'owi, co się stało, złożył mi kondolencje. Potem zapytał, kiedy zabiorę swoje rzeczy.

– Dopiero w listopadzie. Pewne sprawy wymagają, żebym jeszcze przez kilka dni została w domu.

– To dla nas kłopotliwe, panno Westcott. Muszę przygotować apartament dla następnych gości.

– Niewykluczone, że nadal będę u państwa mieszkać – oznajmiłam. Choć było to mało prawdopodobne, jakoś nie potrafiłam całkowicie zrezygnować z tego pomysłu.

– Przykro mi, ale bez towarzystwa ojca nie może pani się u nas zatrzymać. Nie wynajmujemy pokoi samotnym kobietom.

– Nie wiedziałam o tym.

– No i jest nam pani winna opłatę za listopad – dodał. – Przy rezygnacji z apartamentu wymagamy czternastodniowego wypowiedzenia.

– Nie rozumiem, panie Redstone. Mam wnieść opłatę za następny miesiąc, chociaż nie pozwala mi pan tu mieszkać?

– Takie są warunki umowy. – Umilkłam ze zdumienia, a on skorzystał z okazji i się pożegnał. – Panno Westcott, serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca. Jeśli mógłbym w czymś pomóc, proszę dać mi znać.

Gdy odwiesiłam słuchawkę, nie wiedziałam, co ze sobą począć. Poszłam do sypialni i usiadłam na brzegu łóżka. Nie czułam się już jak u siebie w tym dziewczęcym pokoju z tapetą w biało-różowe paski, białymi koronkowymi zasłonami i żółtą szenilową narzutą. Ale w Nowym Jorku także czułam się obco.

Nie miałam swojego miejsca.

– Olive! – zawołała z salonu ciotka Ida. – Musisz mi pomóc!

Zesłam na dół. Przynajmniej ktoś mnie potrzebował.

– Trzeba go wytrześć – oznajmiła, energicznie zamiatając stary bordowy dywan. Roznosiła przy tym kurz na wszystkie strony.

Trzepanie dywanów należało do najmniej lubianych przeze mnie prac domowych, ale wszystko było lepsze od pogrążania się w melancholii. Odsunęłyśmy na bok

meble i zataszczyłyśmy dywan na podwórko, w miejsce, gdzie wisiał sznur od bielizny. W świetle dnia bordowy dywan przybrał kolor fuksji. Ciotka Ida zaczęła tłuc w niego bambusową laską. W powietrze wzbily się kłęby kurzu. Popatrzyłam w stronę ogołoconych z liści jabłoni i grządek, na których ciotka sadziła pory, buraki, pomidory i sałatę... Teraz były puste. Czekala nas długa zima. Jakoś musiałyśmy ją przetrwać.

Kiedy ciotka dostała ataku kaszlu, podeszłam do niej.

– Teraz moja kolej.

Podala mi laskę.

– Rozmawialam ze starym Jimmym o pomniku dla twojego ojca.

– To dobrze.

Jimmy był miejscowym kamieniarzem specjalizującym się w wykuwaniu nagrobków.

– Powiedzial, ze nie ma czasu i moze sie tym zajac dopiero za pare tygodni.

Poczekalam, az kurz opadnie.

– W tym fachu nigdy nie zabraknie klientow.

– Warto zaczekać na staruszka. Zrobil piekny nagrobek dla twojej matki.

Stanalam przed dywanem, ujemlam laskę w obie ręce, wziełam zamach i uderzyłam. W twarz buchnela mi chmura kurzu. Cofnelam sie, zeby zlapać łyk swiezego powietrza.

– Co wlasciwie wydarzylo sie przy moich narodzinach? – zapytalam niedbalym tonem.

– O co ci chodzi?

– Co sprawilo, ze moja matka wykrwawila sie na smierc?

– Naprawde chcesz wiedziec? – Ciotka niepewnie zmruzyła oczy.

– Tak, chce – odparlam zdecydowanie, starajac sie nie okazywac emocji, by nie oszczedzila mi zadnych szczegolow.

– Za waska miednica – wyjasnila. – Utknelas w kanale rodnym. Twoja matka, biedactwo, rodzila cię ponad dwa dni.

– Wiec jak sie w koncu... wydostalam? – Zadrzal mi głos. Mialam nadzieje, ze ciotka tego nie zauwazyła.

– Doktor probowal uzyć kleszczy, ale bez skutku. Była coraz słabsza i w koncu musial zrobic cięcie, zeby poszerzyc otwor. Biedaczka doznala wstrzasu. Wykrwawila sie na smierc. Doktor zdolal uratowac tylko ciebie. Oczywiscie to nie twoja wina,

musiał tak postąpić, inaczej obie byście umarły.

Skinęłam głową, ale i tak czułam się winna. Gdyby mama nie zaszła w ciążę albo gdybym była mniejsza...

- Dlaczego nasze ciała nie są lepiej przystosowane do rodzenia?
- Przekleństwo Ewy.
- Chyba naprawdę ciocia w to nie wierzy?
- Kobiety muszą cierpieć za swoje grzechy.
- Czy Bóg nie chce, żeby dzieci miały matki?
- Nie do ciebie należy podawanie w wątpliwość boskich wyroków, moja panno.

Słyszając ostry ton ciotki, zamilkłam, ale nadal miałam wątpliwości. Jak mogłam nie kwestionować Jego woli? Czy nasz Pan chciał, żebym przyniosła śmierć własnej matce? Czy postanowił mnie za coś ukarać? Poczulałam, że przepełnia mnie stare, znajome uczucie – niemal fizyczny wstręt do samej siebie. Jakby już od początku, jeszcze zanim się urodziłam, coś było ze mną nie tak. Ciotka umiała sprawić, że tak się czułam.

Stałam przed dywanem i zaczęłam z całej siły tłuc w niego laską. Muszę się oprzeć pokusie pozostania w Cold Spring. Znow uderzyłam w dywan. Oszaleję tu. Tłukłam i tłukłam bez końca. Może jednak trzepanie nie jest najgorszym zajęciem na świecie.

– Testament został spisany przed wielu laty – wyjaśnił pan Beringer, przecierając chustką okulary.

Siedziałyśmy z ciotką naprzeciwko prawnika. Testament leżał na biurku. Nie spodziewałam się wielkiego spadku, jedynie zabezpieczenia zapewniającego wygodną, bezpieczną przyszłość.

– Charles miał zamiar wprowadzić pewne zmiany – dodał, wkładając okulary – ale nie zdążył tego zrobić przed śmiercią.

Przeczytał fragment, z którego wynikało, że spadkobierczynią całego majątku jest ciotka. Jako moja prawna opiekunka ma dbać o moje finansowe potrzeby „hojnie i według własnego uznania”. Po jej śmierci majątek przechodził na mnie.

– Tak być powinno – zgodziła się ciotka.

Nie odzywałam się. Ciotka Ida ani jednego dnia w życiu nie była chora i równie dobrze mogła mnie przeżyć. Nie wątpiłam w jej miłość i wiedziałam, że chce dla mnie jak najlepiej, ale różnie to „jak najlepiej” rozumiałyśmy.

– Jak panie wiedzą – pan Beringer zdjął okulary – Charles grał na giełdzie i w ostatnich latach dokonywał na niej wielu transakcji. Choć lubił podejmować ryzyko, zwykle wychodził na tym dobrze. Zresztą w ciągu ostatnich dziesięciu lat giełda wciąż szła w górę i utrata pieniędzy była niemal niemożliwa. – W tym momencie popatrzył na nas z takim współczuciem, że zrobiło mi się słabo. – Jednak zdają panie sobie pewnie sprawę, że ostatni kryzys uderzył niemal we wszystkich. Obawiam się, że pani ojciec nie był wyjątkiem.

– Mówił mi, że wszystko idzie dobrze – wtrąciłam. – I że nie mamy powodu do zmartwień.

Czy raczej powiedział, że najgorsze już za nami? Że ma taką nadzieję?

– Być może. Ale zapewne słyszała pani, iż problemy z akcjami United Copper doprowadziły do upadku Knickerbocker Trust. Właśnie odczuwamy tego skutki.

– Tak – odparłam cicho. Kilka dni temu, jadąc taksówką na stację Grand Central, widziałam to na własne oczy: od jednej przecznicy do drugiej ciągnęła się kolejka ludzi czekających niecierpliwie, by wycofać z banku oszczędności. Przed drzwiami gniewny tłum pchał się do środka i wrzeszczał na policjantów próbujących opanować sytuację. Ojciec powiedział wtedy, że nie powinni wpadać w panikę – to tylko pogarsza sprawę.

Czy sam uległ panice?

– Ale przecież tato nie trzymał pieniędzy w tych bankach – przypomniałam.

– Nie, ale kontaktowałem się z jego maklerem. Wygląda na to, że Charles trzymał dużo akcji do końca. Miał nadzieję, że giełda odbije i nie będzie musiał ich sprzedawać za najniższą cenę. Nie chciał się wycofać. Musiał sprzedać obligacje, żeby uzupełnić saldo rachunku. Ale giełda spadała coraz niżej, a on się nie wycofywał.

Przytaknęłam, choć w myślach kręciłam głową.

– W dniu wypadku – ciągnął pan Beringer – nie pozostało mu już nic do sprzedania. Kto wie, o czym naprawdę myślał podczas jazdy... – Prawnik pochylił się i zadumał na chwilę, po czym zadał następny cios: – Przykro mi, że muszę być zwiastunem złych wieści, ale nie starczyło mu pieniędzy na pokrycie zobowiązań.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – rzuciła z wściekłością ciotka. – Proszę po prostu powiedzieć, jaka jest wartość majątku.

– Niestety, z majątku nic nie zostało – oznajmił prawnik.

Chyba się przesłyszałam. To niemożliwe.

– Wszystko przepadło?

Prawnik wyjął chusteczkę z kieszonki kamizelki. Myślałam, że chce otrzeć łzę, ale on tylko znów przetarł okulary.

– Prawdę mówiąc, macie dług wobec banku... i domu maklerskiego.

– To absurd. – Ciotka Ida się wyprostowała. – Charles nigdy by do tego nie dopuścił. Musiał się pan pomylić.

– Wiem, że to bardzo przykre, panno Westcott. Ale proszę zrozumieć. Tak wielkich strat na Wall Street nie zanotowano od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. – Pan Beringer włożył na nos okulary, otworzył grubą teczkę z dokumentami i przejrzał jej zawartość. – Union Pacific, General Electric, Western Union, Standard Oil... wszystkie akcje spadły i to niemało. Niektóre o ponad sto procent. Wszędzie jest źle. Sam poniosłem straty, to spotkało każdego.

Coraz bardziej ścisnęło mnie w gardle. Siedziałam ze wzrokiem wbitym w czerń własnej wełnianej spódnicy, a prawnik mówił dalej:

– Nikt nie mógł tego przewidzieć, ale ten, kto czeka zbyt długo, podejmuje ryzyko.

– A co z domem? – zapytała ciotka Ida.

– Tu mam dobrą wiadomość. Wolno pani sprzedać dom. To powinno pokryć większość długu.

– Sprzedać dom?! – niemal wrzasnęła ciotka. – A gdzie, pana zdaniem, będziemy mieszkać?

– Albo – mówił prawnik – można zaciągnąć pożyczkę pod hipotekę. Ale banki nie dadzą teraz korzystnego oprocentowania, a pani nie ma dochodu, żeby spłacić dług.

Ojciec nie żył, a my byłyśmy zadłużone. To gorsze, niż stracić wszystko. Musiało być jakieś wyjście.

– Nie widzę żadnych innych możliwości poza sprzedaniem wartościowych przedmiotów i oczywiście... – Tu pan Beringer urwał i zaczął oglądać własne paznokcie, dzięki czemu nie musiał na nas patrzeć, wypowiadając następną sugestię: – Może powinna pani rozważyć podjęcie jakiejś pracy.

– Usłyszałyśmy już dosyć. – Ciotka wstała z krzesła. – Czekają na mnie obowiązki w domu.

– Niech ciocia zaczeka. – Nie wiedziałam dokładnie, co chcę powiedzieć, jednak nie mogłam tak po prostu wyjść z kancelarii.

Pan Beringer popatrzył na mnie wyczekująco.

– Chciała mnie pani o coś zapytać?

Zacisnęłam dłonie na poręczach krzesła.

– Musieliśmy coś przeoczyć. – Ojciec wspominał o pieniądzach, które trzymał

w skórzanej kasetce. Nie było tego dużo i z pewnością gdzieś jeszcze coś zostało. – Co z gotówką? Z kontem bankowym? Czy nic na nim nie ma?

– Nie może pani wypłacić pieniędzy z nowojorskich kont. Są na nazwisko ojca i to, co na nich jest, automatycznie wchodzi w skład majątku. Jednakże...

Spojrzałam na niego z nadzieją. Odchrząknął i zwrócił się do ciotki stojącej za swoim krzesłem.

– Nie powinienem tego mówić, ale miała pani z bratem wspólne konto w tutejszym banku. Jeśli pani chce, może tam pani pójść od razu i wycofać wszystkie środki, zanim zostaną zamrożone.

Pieniądze! Poczułam przypływ nadziei. Ile ich mogło być?

– Gdy tylko wypełnię i złożę dokumenty – ciągnął prawnik – pieniądze zostaną zatrzymane w depozycie i wykorzystane do spłaty wierzycieli. Wydaje mi się, że w banku jest około trzydziestu dolarów.

Tylko tyle? Nadzieje okazały się płonne.

– Cóż, pójdziemy tam natychmiast. Dziękuję panu – oznajmiła ciotka, ruszając do drzwi.

Zmusiłam się, by wstać z miejsca, lecz wciąż wpatrywałam się w leżący na stole testament. Ojciec z pewnością wiedział, co się stało, kiedy wracał do Nowego Jorku.

– Przykro mi, że musiałem przekazać paniom smutne nowiny, gdy jeszcze nie zdążyłyście dojść do siebie po tej potwornej tragedii – dodał pan Beringer.

– Olive? Idziesz ze mną?

Szłam przez pokój jak na egzekucję. Gdy byłam przy drzwiach, pan Beringer skłonił głowę i pożegnał nas z powagą.

– Wszystkim będzie nam brakowało Charlesa. I oczywiście... – odchrząknął – w tych okolicznościach jestem gotów poczekać na należne mi wynagrodzenie do nadejścia lepszych czasów.

Poszliśmy prosto do banku i wypłaciłyśmy wszystko, co było na koncie – dokładnie trzydzieści siedem dolarów i sześćdziesiąt cztery centy. Ciotka podała mi banknot pięciodolarowy.

– Potrzebujesz gotówki na wyjazd do Nowego Jorku i przesyłkę rzeczy.

– Dziękuję.

Resztę banknotów złożyła w zgrabny plik, wsunęła do koperty, a potem do torebki. Nie potrafiłam się przyznać, że mam w hotelu dług w wysokości osiemdziesięciu dolarów. W kopercie krył się teraz cały jej majątek.

3 listopada 1907 roku

Nie znałam matki, więc nie brakowało mi jej tak jak ojca. Wciąż mam wrażenie, że zaraz usłyszę jego głos. Że go zobaczę. Jak można tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi? Muszę wrócić na Manhattan i na własne oczy przekonać się, że ojca tam nie ma.

Na kominku tykał czarny marmurowy zegar, a my, trzy samotne kobiety, jadłyśmy obiad.

– Mam w banku trochę pieniędzy – oznajmiła Margaret, biorąc z półmiska kawałek peklowanej wołowiny. – Szkoda, że tak mało, ale w tych okolicznościach liczy się każdy grosz.

– Bardzo to miłe z twojej strony. – Ciotka Ida podsunęła mi miskę z groszkiem. – Jednak sama ich potrzebujesz, więc nie możemy przyjąć takiego daru.

– To, co się stało, dotyczy nas wszystkich – powiedziała Margaret. – I jeśli będziecie musiały sprzedać dom...

– Nie sprzedamy domu. – Ciotka Ida nałożyła sobie kawałek mięsa. – To wykluczone.

– Możemy nie mieć wyboru – stwierdziłam, podając Margaret groszek i odbierając od ciotki półmisek z mięsem.

– Dziewczyna ma rację, Ido. Ja też nie chciałam rozstawać się ze swoim domem.

– Coś wymyślimy. Na początek możemy zacząć wyprzedawać rzeczy.

– Meble? – Nigdy nie lubiłam czarnego orzechowego stołu na giętych nogach oraz czarnych szafek i kredensu stanowiących z nim komplet.

– Na początek lepiej coś mniejszego – orzekła ciotka. – Po co informować całe miasto, że nie mamy pieniędzy? Zostało mi trochę biżuterii po matce. Zawiozę ją do pośrednika w Poughkeepsie.

– Wyprzedawanie rzeczy pomoże na krótko – zauważyłam, odkrawając kawałek mięsa. – Ja, na przykład, zamierzam pójść za radą pana Beringera i poszukać pracy.

– Pewnie przyjęliby cię u Woolwortha – stwierdziła ciotka.

– Za trzy dolary na tydzień?

– Kiedyś pracowałam tam za darmo.

Zacisnęłam zęby.

– To praca bez perspektyw.

– Może w pierwszej chwili będziesz się czuła upokorzona, ale trzeba myśleć praktycznie.

Margaret jadła obiad w milczeniu, przezornie nie biorąc udziału w rozmowie.

– Dużo sensowniejsza byłaby praca w domu towarowym. Miałabym przynajmniej szansę na awans.

– W Luckym? – zapytała ciotka. Był to dom towarowy w Poughkeepsie.

– Więcej możliwości daje Nowy Jork.

– Nie możesz mieszkać sama w tym plugawym mieście!

– Wiele dziewcząt tam jedzie, żeby zarobić na życie. – Staralam się mówić tak, by nie zadrżał mi głos. – Założę się, że niektóre są dużo głupsze ode mnie.

– Nie martwię się o twój poziom umysłowy. W wielkich sklepach jest pełno mężczyzn, którzy tylko czekają, by wykorzystać słabość kobiet.

– Miałam nadzieję, że ciocia bardziej we mnie wierzy.

– Jesteś szczególnie narażona na pokusy, moja droga. Przez całe życie zawsze dostawałaś to, czego chciałaś. Jak będziesz się czuła, stojąc dzień po dniu za ladą i sprzedając rzeczy, na które już cię nie stać?

– Będę czuła, że zdobywam pozycję zawodową, w dodatku taką, która może mi przynieść dobre zarobki. Sądziłam, że nawet jeśli nie pochwała ciocia kobiet pracujących poza domem, to w tych okolicznościach spojrzy przychylniej na moje ambicje.

– Opowiadasz bzdury! Nikogo tam nie znasz, nie masz mieszkania ani pieniędzy na utrzymanie. Zamiast uciekać do miasta, powinnaś odpocząć i dojść do siebie.

– Nie potrzebuję odpoczynku. Muszę się czymś zająć.

– Więc zajmij się tutaj, w miejscu, gdzie masz rodzinę i przyjaciół. Jestem pewna, że niedługo poznasz miłego młodzieńca, który się z tobą ożeni. Co w tym takiego okropnego?

Patrzyłam to na jedną, to na drugą starszą panią i ogarniała mnie pokusa, żeby zapytać, dlaczego same nie wyszły za mąż.

– Przykro mi, że się ciocia ze mną nie zgadza, ale już podjęłam decyzję. Wracam do Nowego Jorku.

– Ojciec nigdy by ci nie pozwolił jechać samej. A ja, jako twoja opiekunka, surowo ci tego zakazuję!

– Jako opiekunka może mnie ciocia zatrzymać tylko w jeden sposób, przestając mi wypłacać pieniądze. – Spojrzałam na stojące po drugiej stronie stołu puste krzesło ojca. – Niestety, pieniędzy już nie ma.

Kiedy następnego dnia zeszłam z walizką na dół, ciotka Ida właśnie odkurzała klosz lampy.

– Popełniasz błąd – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Nawet nie wiesz, jak wyglądasz. Błada. Chudsza niż zwykle. Przekrwione oczy. Czy znasz tam chociaż kogoś, kto ci pomoże?

Jedyną osobą, która przysłała mi do głowy, był Ralph Pierce, choć nie mogłam znieść myśli, że teraz, gdy wszystko się zmieniło, mógłby się nade mną litować.

– Niech się ciocia nie martwi. Nic mi nie będzie.

– Wiem, że uważasz mnie za beznadziejnie staroświecką – westchnęła, przycinając knot – ale wychowałam cię, jak umiałam najlepiej. Jedyne, czego pragnęłam, to stworzyć dla ciebie i Charlesa dobry dom.

– I stworzyła go ciocia, a ja jestem bardzo wdzięczna. Naprawdę. Wczoraj wieczorem nie chciałam być niemiła. Bardzo przepraszam, jeśli powiedziałam cioci coś niegrzecznego.

– Chociaż tak bardzo nie chcesz tu mieszkać, pamiętaj, że jak długo mamy ten dom, jego drzwi zawsze będą stały otworem, gdybyś zechciała wrócić.

– Nie o to chodzi, ciociu. Ja po prostu tutaj nie pasuję. Zawsze tak było. Muszę znaleźć własne miejsce.

Ciotka napełniła zbiornik lampy olejem.

– Cóż, mam nadzieję, że odnajdziesz to, czego szukasz.

– Dziękuję za wszystko. Napiszę, gdy tylko będę coś wiedziała.

Nałożyła klosz, odstawiła lampę na bok i podniosła się z miejsca.

– W takim razie do widzenia.

Podeszłam i suchymi wargami pocałowałam jej obwisły, zapadnięty policzek.

– Kocham cię, ciociu – powiedziałam cicho. Po czym, w nagłym poczuciu bezbronności, wbiłam wzrok w podłogę.

Ciotka wymruczała coś zawierającego słowo „kocham” i dodała, żebym dbała o siebie. Myślałam, że zaproponuje, iż odprowadzi mnie na stację, i odetchnęłam z ulgą, gdy tego nie zrobiła. Przynajmniej miałyśmy już za sobą pożegnanie.

Rozdział 15

Amanda

Wyjęłam z komody jedną z białych koszul Jeffa. Wystarczyła najmniejsza plamka i już je wyrzucił, więc ratowałam te, które mogłam, i używałam jako piżam. Noszenie koszuli Jeffa, tuż po zawiadomieniu go, że między nami wszystko skończone, wydawało się niewłaściwe, była to jednak niewiarygodnie miękka elegancka koszula z egipskiej bawełny, kupiona w sklepie Brook Brothers za prawie dwieście dolarów. Zbyt obszerne ramiona i rękawy sprawiały, że czułam się w niej rozkosznie mała.

Po umyciu i wynitkowaniu zębów z satysfakcją wyciągnęłam z garderoby stary magnetofon kasetowy. Czasem słabość do, jak to ludzie mówią, „chomikowania niepotrzebnych gratów” umożliwia „przechowanie czegoś, co jeszcze może się przydać”. Postawiłam go na nocnej szafce i w miejsce nagrania z *Thrillerem* Michaela Jacksona włożyłam podarunek od doktora Markoffa. Potem w ciemnościach położyłam się do łóżka i patrząc w sufit, czekałam, aż uśpi mnie uspokajający głos z kasety.

Proszę patrzeć w sufit.

Strasznie popękany. Trzeba wezwać dozorcę, żeby go pomalował.

Proszę się skoncentrować na płaskiej białej powierzchni i nie mrugać.

Przez otwarte okno wpadł wiatr.

Bardzo chce pani mrugnąć, ale proszę się pohamować.

Powinnam je zamknąć, ale najpierw musiałabym wstać z łóżka.

Powieki są ciężkie, bardzo pragnie je pani zamknąć. Teraz można to zrobić.

Biedna Olive. Czy zamieszka sama w Nowym Jorku?

Proszę się skoncentrować na rozluźnianiu poszczególnych części ciała.

Powinna znaleźć kogoś, kto by ją pocieszył.

Stóp...

Pieścił.

Łydek...

Potrzebuje czyjegoś dotyku.

Ud...

Tak jak ja.

Niech do podświadomości dotrze to, co powinno...

Dotyku rzeczywistej osoby.

...podczas gdy pani będzie rozmyślać o związkach z innymi ludźmi.

A nie ducha.

Życie nie zawsze toczy się po linii prostej.

Co to za odgłosy?

Zbaczamy z drogi, cofamy się, posuwamy do przodu i na boki.

Chyba jakaś kobieta... jęczy?

Nikt nie wie wszystkiego od razu.

Może sąsiadce się poszczęściło.

Trzeba żyć, żeby poznać siebie, świat i innych.

Jednak czy to ekstaza miłosna... czy też ból?

Nie można dorosnąć, nie popełniając błędów.

Może uprawia naprawdę dobry seks...

Nikt nie powinien więc obwiniać się za to, że żyje po swojemu.

A może ktoś ją morduje?

Nie da się przewidzieć przyszłości.

Wyłączyłam magnetofon i zaczęłam nasłuchiwać, ale jęki ucichły. Dziwne. Może były nagrane na taśmie? Bez sensu!

Seans hipnotyczny najwyraźniej nie przyniósł oczekiwanych efektów. Muszę jakoś sama zasnąć. Ułożyłam poduszkę, zamknęłam oczy i z nadzieją czekałam na sen. Po dwudziestu minutach rozmyślania o zmianie dekoracji wystawy otworzyłam oczy. Byłam całkowicie rozbudzona i uświadomiłam sobie, że czeka mnie kolejna długa noc.

Równie dobrze mogłam więc znaleźć sobie jakieś zajęcie. Wymieniłam doktora Markoffa na Michaela Jacksona, po czym wyciągnęłam pudełko z przyborami do szycia i stertę ubrań zakupionych niedawno na wyprzedaży majątku. Potem usadowiłam się na kanapie, żeby dokonać kilku przeróbek.

Proste kosmetyczne poprawki mogą często ocalić strój przed wyrzuceniem lub zapomnieniem. Haftki, zatrzaski, guziki. Czasami naprawy wymaga tylko zapięcie. W bluzce z lat czterdziestych – z białej wiskozy i z czerwonymi wypustkami na mankietach – brakowało dwóch guzików. Ponieważ nie udało mi się znaleźć podobnych, odciąłam wszystkie. Potem zaszyłam dziurki i na ich miejscu umieściłam pochodzące z moich zapasów cudownie lśniące guziki z kazeiny. Pod spodem zaś, w charakterze zapięcia – zatrzaski. *Voilà*. Moja wersja była lepsza od oryginału.

Następnie zajęłam się jasnobrązowym skórzanym płaszczem z lat sześćdziesiątych – był ładny, ale bez charakteru, a jego kołnierz i rękawy zniszczyły się i wybrudziły. Przypomniałam sobie, że mam dwa rękawy ze starego futra z szopów, które stworzą ze skórą efektowny kontrast. Wykorzystując w charakterze szablonów stary kołnierz i mankiety, wycięłam z futra odpowiednie kawałki i przyszyłam na ich miejscu. Miałam teraz przepiękny, wykończony futrem płaszcz wart dwa razy więcej niż przedtem.

Właśnie podziwiałam własne dzieło, gdy rozległ się głośny huk. O mało nie umarłam ze strachu. Nie był to wystrzał, trzasnęły tylko drzwi łazienki, pewnie zamknięte podmuchem wiatru. Otworzyłam je i zamarłam z przerażenia. Ktoś tam stał!

Nie, nie było nikogo. To tylko sukienka Jane Kelly wisiała nad wanną, kołysząc się lekko we wpadającym przez uchylone okno powiewie. Przestraszyłam się bez powodu.

Zamknęłam okno, potem drzwi, przy okazji zerknęłam do garderoby, by sprawdzić, czy nie czai się tam morderca z siekierą, po czym, żeby niczego nie zaniedbać, uklękłam i zajrzałam pod łóżko. Znalazłam tylko kłęby kurzu i zmięty kawałek papieru. Wyciągnięty i poddany bliższemu oględzinom okazał się folią. Opakowaniem po prezerwatywie wykorzystanej podczas którejś nocy z Jeffem.

Wstałam i usiadłam na brzegu łóżka. Wyglądając na udzie puste opakowanie, zauważyłam datę ważności. Wytrzeszczyłam oczy. Termin minął pół roku temu.

Otworzyłam szufladę szafki nocnej i zajrzałam do pudełka. Na wszystkich prezerwatywach widniała ta sama data. Oznaczało to, że Jeff i ja od miesiący używaliśmy przeterminowanych prezerwatyw!

O Boże. A mnie przecież spóźnia się okres. Ubrałam się. Nie obchodziło mnie, że jest pierwsza w nocy. Potrzebowałam testu ciążowego. I to natychmiast.

W blasku jarzeniówek, wystarczająco silnym, by oświetlić boisko, przeszukiwałam kolejne półki drogerii, przechodząc obok niezliczonych kosmetyków, przekąsek udających dietetyczne i kremów żerujących na strachu przed zmarszczkami. Testy ciążowe znajdowały się dokładnie pomiędzy tamponami a prezerwatywami. Jeden z producentów obiecywał wynik już pięć dni przed najbliższą menstruacją. *Dokładność 99%. Łatwy w użyciu. Technologia cyfrowa.* Biorę. Chwycałam też paczkę tamponów na szczęście oraz – bo czemuż by nie? – prezerwatywy marki Trojan z lubrykantem, uprzednio sprawdzivszy ich datę ważności.

Kładąc zakupy na ladzie, starałam się zachowywać nonszalancko, zupełnie jakbym

codziennie przepuszczała pieniądze w dziale artykułów higienicznych. Kasjerka zeskanowała kod kreskowy na teście ciążowym, po czym uśmiechnęła się przyjaźnie i życzyła mi szczęścia. Gdy pakowała moje zakupy do torby, zastanawiałam się, jaki wynik uważa za szczęśliwy.

Po powrocie do mieszkania pospiesznie rozerwałam pudełko i rozwinęłam ulotkę. Ręce mi dygotały, gdy czytałam drobny druk. *Należy umieścić koniec testu pod strumieniem moczu na około pięć sekund. Wynik będzie widoczny za trzy minuty.*

Z bijącym sercem usiadłam na sedesie. Drżącą ręką trzymałam test i starałam się nasikać w odpowiednie miejsce. Wychodząc z łazienki, niosłam go przed sobą jak świecę, która nie może zgasnąć. Zegarek wskazywał czterdzieści pięć minut po godzinie pierwszej. Nie wypuszczając z ręki kawałka plastiku, włączyłam telewizor. Bezcielesne ludzkie istoty szwargotały coś na ekranie, a ja powtarzałam sobie, że prezerwatywa na pewno była zupełnie dobra. Producenci umieszczają termin ważności na produktach tylko po to, żeby ludzie je wyrzucali i kupowali nowe.

Pierwsza czterdzieści sześć.

O Boże, jak ja przeżyję aborcję? Nie zrobię tego. To pewnie moja ostatnia szansa, żeby zajść w ciążę. Dziecko wszystko zmieni. Jeff zrozumie, że go potrzebuję, i wreszcie odejdzie od żony. Hej! Może to będzie najlepsza pomyłka, jaka mi się w życiu przytrafiła.

Wciąż pierwsza czterdzieści sześć. Czy zegarek się zepsuł?

A jeśli Jeff pomyśli, że chcę go wmanewrować w małżeństwo? Już słyszałam, jak mówi: „Dałaś mi przeterminowaną prezerwatywę? Czyś ty oszalała?”.

Przypominało to wyświechtany schemat z opery mydlanej, a ja grałam zazdrosną i podstępą intrygantką próbującą złapać mężczyznę na dziecko.

Może naprawdę usiłowałam zmusić go do małżeństwa? Ile czasu te prezerwatywy tam leżały? Pewnie były przeterminowane już w chwili zakupu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić. Ta lekkomyślność mogła być częścią planu, który uknuła moja podświadomość po to, by zmusić Jeffa do opuszczenia żony. Były terapeutą miałby teraz używanie. Jednak czy pracownicy sklepów nie powinni zwracać uwagi na daty ważności produktów?

Spojrzałam na zegarek. Pierwsza czterdzieści osiem.

Kiedy to zleciało? Miałam wynik. Czas spojrzeć na obiektywny, neutralny test. Przyszłość zaczyna się teraz.

Nie jesteś w ciąży.

Och.

No tak. Nie jestem w ciąży.

Do diabła.

Ale to przecież dobrze. Powinnam czuć ulgę. Prawda?

Wyrzuciłam test do kosza na śmieci.

Takie już moje szczęście.

Rozdział 16

Olive

Otworzyłam drzwi do apartamentu, podświadomie oczekując, że zobaczę ojca siedzącego w wyściełanym fotelu i czytającego gazetę. Pokojówka posprzątała i wszędzie było nieskazitelnie czysto, prawie jak w dniu, w którym się wprowadziliśmy.

Książka *Cztery epoki w życiu kobiety* wciąż leżała na stoliku przy kanapie, obok pudełka z czekoladkami. Zarumieniłam się na myśl, że pokojówka ją widziała. Może usiadła, przeczytała fragment i dowiedziała się wszystkiego o orgazmie. A może ten temat nie miał dla niej tajemnic i rozśmieszyła ją ignorancja dziewczyny, która książkę tutaj zostawiła.

Pierwsze, co zrobiłam, to poszłam prosto do sypialni ojca, żeby wyjąć z kasetki pieniądze. Miał ją, odkąd pamiętam. Kiedy byłam mała, uwielbiałam przeglądać zawartość pudełka. Niewiele się zmieniała. Spinki, guziki do kołnierzyków, szpilki do krawata, zapasowy zegarek kieszonkowy, skórzany breloczek z metalową figurką baseballisty, który kiedyś mu podarowałam, oraz, jak stwierdziłam z ulgą, banknot dwudziestodolarowy. Moje, że tak powiem, dziedzictwo. Podziękowawszy w myślach ojcu, wróciłam do saloniku i włożyłam pieniądze do torebki.

Czekało mnie wiele przykrych obowiązków. Już samo pakowanie było wystarczająco nieprzyjemne. Co gorsza, musiałam także porozmawiać z dyrektorem hotelu i wykręcić się jakoś od płacenia czynszu za listopad. Wszystko to mnie przytłaczało. Popatrzyłam na pudełko cygar i obrazek przedstawiający piękne panie szepczące sobie do ucha sekrety. Przypomniałam sobie, jak cieszyła ojca prosta przyjemność palenia, i łzy napłynęły mi do oczu.

Ktoś zastukał do drzwi, więc musiałam wziąć się garść. Spojrzałam przez judasz i zobaczyłam mężczyznę z podkreconymi węsami.

– Kto tam?

– Redstone. Dyrektor hotelu.

Zacisnęłam zęby i otworzyłam drzwi.

– Nie chcę przeszkadzać – zaczął – ale portier zawiadomił mnie o pani przyjeździe. Zaraz każę boyowi przynieść kufry z przechowalni. Czy mógłbym pani jeszcze w czymś pomóc?

– Muszę wysłać część rzeczy do Cold Spring.

– Proszę zadzwonić na portiernię, kiedy będzie pani gotowa. Boy pomoże

załadować bagaż do taksówki. A swoją drogą, jeśli nie znalazła pani innego noclegu, wyrażam zgodę na spędzenie dzisiejszej nocy w naszym hotelu. Gdyby ktoś się skarżył, wyjaśnię, że przyzwoitość nakazuje nagiąć nieco zasady.

Wypiął pierś, jakby właśnie dokonał bohaterskiego czynu.

– Dziękuję panu.

– I jeszcze jedno... – odchrząknął. – Chodzi o czynsz za listopad. Jak już wspomniałem przez telefon, wymagamy opłat z góry.

– Panie Redstone, miałam nadzieję, że skoro nie będę tu mieszkać, zgodzi się pan odstąpić od tej reguły.

– Rozumiem i niezmiernie mi przykro, ale wyjaśniłem już pani, że wynajmujemy apartamenty co najmniej na miesiąc, z czternastodniowym okresem wypowiedzenia, a ten dawno minął.

– Ale mój ojciec zginął po upływie tego terminu.

– Pewnie uważa nas pani za bezdusznych, panno Westcott, lecz właśnie mija pierwszy tydzień listopada. Skoro nie zwolniła pani mieszkania, zgodnie z prawem trzeba zapłacić czynsz.

Chociaż gotowałam się ze złości, starałam się mówić spokojnie.

– Nie wolno mi zostać w hotelu, a mój ojciec nie żyje. Czy uważa pan, że w tych okolicznościach uczciwie jest żądać ode mnie opłaty za mieszkanie?

– Bardzo przepraszam, ale muszę wykonywać polecenia właścicieli. Nie mogę pozwolić, by goście mieszkali tu za darmo.

– Ma pan obowiązki wobec właścicieli. To oczywiście najważniejsze. Ale po śmierci ojca znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji finansowej.

– Przykro mi to słyszeć, panno Westcott.

– Prawda jest taka, że zostałam bez środków do życia i liczyłam na pańskie współczucie. Postaram się jak najszybciej zwolnić apartament.

– Może rodzina mogłaby pani pomóc?

Ojciec powiedział mi kiedyś, że jeśli czegoś naprawdę pragniemy, musimy poprosić o to przynajmniej trzy razy. Po trzeciej prośbie druga strona przeważnie mięknie.

– Niestety, nie. Jestem zdana tylko na siebie, panie Redstone, i nie wiem, jak sobie poradzę. Może zechce pan łaskawie jeszcze raz rozważyć moją prośbę? Będę niezmiernie wdzięczna – powiedziałam z najbardziej bezradną miną, na jaką było mnie stać. Serce biło mi tak mocno, aż unosiła się klatka piersiowa, co musiało być widoczne.

– No cóż...

Na twarzy dyrektora pojawiły się pierwsze oznaki wahania. Jeśli zaproponuję mu teraz kompromis, będzie mógł ustąpić, nie tracąc twarzy.

– Czy zgodzi się pan, żebym w tej chwili zapłaciła dwadzieścia dolarów gotówką? To wszystko, na co z wielkim trudem mnie stać. I może zechciałby pan przestać na tej kwocie?

Dyrektor pochylił się ku mnie i zniżył głos.

– Chyba moglibyśmy to w ten sposób załatwić. Oczywiście wszystko pozostanie między nami.

– Naturalnie – odparłam cicho. – Między nami.

Wyjęłam z torebki cenny banknot dwudziestodolarowy i podałam panu Redstone'owi.

– Zatem wszystkie rachunki między nami uznaję za wyrównane – powiedział, wsuwając go do kieszeni kamizelki.

– Dziękuję – odparłam z powagą.

– Zgodnie z umową w ciągu dwudziestu czterech godzin zwolni pani lokal.

– Skoro dwadzieścia dolarów to tygodniowa opłata za apartament, może zgodzi się pan...

– Panno Westcott, i tak już nagiąłem dla pani przepisy.

– Rozumiem. Jutro się wyprowadzę.

Kiedy odszedł, zamknęłam drzwi na zamek i oparłam się o nie, by odzyskać równowagę. Sięgnęłam pod kołnierzyk, wyciągnęłam medalion i potarłam kciukiem gładką złotą powierzchnię. Wryty na niej znajomy kształt gwiazdy dodał mi otuchy. Będę potrzebowała wszystkich sił, żeby przeżyć nadchodzące dni.

Niedługo potem zjawił się boy z dwoma podróżnymi kuframi. Przyniósł też przesyłkę ze sklepu Siegel-Cooper dostarczoną pod moją nieobecność. Kostium. Ojciec już nigdy nie zakpi, że wyglądam w nim jak sufrażystka. Jeszcze raz sięgnęłam do torebki i dałam chłopcu napiwek. Jego mina mówiła, że spodziewał się dostać więcej.

Kiedy wyszedł, zaciągnęłam kufer do sypialni ojca i ustawiłam w drzwiach. Prześle ubrania taty do ciotki Idy. Ona je przejrzy i sprzeda to, co uzna za stosowne.

Otworzyłam górną szufladę komody. W środku leżały w równych rzędach jedwabne krawaty wiązane „w czwórkę” lub z węzłem windsorskim i muszki. Wydawało się, że to czynność zbyt intymna – brać do ręki rzeczy, które dotykały ciała ojca. I zbyt okrutna – zupełnie jakbym to jego miała złożyć i zapakować do kufra.

Lecz oczywiście ubrania nie były ojcem, po cóż więc odkładać tę pracę na później. Lepiej się przemęczyć i mieć to już za sobą.

Pakowałam kołnierzyki i mankiety, podwiązki, pończochy i świeżo uprane koszule. Nikt nie chroni prywatności zmarłych. Także i po mnie pewnego dnia pozostaną różne rzeczy. Jeżeli nie będę miała dzieci, któż się nimi zajmie? Zabrałam się do opróżniania szafy. Fraki, smokingi, buty... Wreszcie otworzyłam szuflady biurka. Nie byłam w stanie patrzeć na papiery, kwity i księgi rachunkowe zapisane ręką ojca, więc przełożyłam wszystkie prosto do kufra.

Po skończeniu pakowania uznałam, że czas zrobić sobie przerwę na lunch. Zjedzenie go w hotelu wydawało się okropne. Postanowiłam poszukać w pobliżu jakiejś restauracji.

Kiedy wychodziłam z budynku, zatrzymał mnie poufny szept rudego odźwiernego:

– Bardzo mi przykro z powodu pani ojca. Gdybym mógł w czymś pomóc...

– To miło z pana strony. Dziękuję.

W końcu zdecydowałam się zjeść u Childa na Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Restauracje tej sieci pleniły się w mieście jak chwasty – lub polne kwiaty, zależy, kogo się o nie spytało. Przy stolikach siedziały inne samotne kobiety, więc przynajmniej nie czułam się skrępowana. Zamówiłam smażone ziemniaki z jajkiem i patrzyłam na ludzi przechodzących po drugiej stronie szyby. Wydawali mi się szczęściarzami. Chroniły ich kręgi rodziny i przyjaciół, pochłaniały codzienne sprawy i uważali za oczywiste, że mieszkają w Nowym Jorku. Czy kiedyś stanę się jedną z nich?

Kiedy wróciłam do hotelu Mansfield, odźwierny znów podszedł do mnie ukradkiem.

– Chciałem tylko powiedzieć, że przypadkowo znam właścicielkę sklepu z używanymi ubraniami. Jeśli byłaby pani zainteresowana, mógłbym poprosić, żeby tu przyszła. Nie chcę się wtrącać, ale pomogłaby pani pozbyć się zbędnych rzeczy.

– To nie będzie konieczne. Wysyłam garderobę ojca do Cold Spring.

– Pomyślałem, że może ma pani jakieś własne niepotrzebne ubrania.

Wymuszona, nieco lekceważąca mina wskazywała, że wie o mojej sytuacji finansowej. Pracownicy hotelu na pewno ochoczo plotkowali o gościach.

– Nie wydaje mi się, ale dziękuję za propozycję.

– Płaci gotówką – dodał. – Od razu.

Poszłam do windy. Pomysł, by sprzedać piękną garderobę ojca, budził we mnie

obrzydzenie. Niemal wszystkie nasze ubrania były szyte na miarę. Od handlarki starzyzną nie dostanę za nie nawet namiastki tego, co są warte.

Zaraz po wejściu do pokoju zatelefonowałam do firmy przewozowej. Kiedy poinformowano mnie, ile będzie kosztował transport, powtórzyłam głośno olbrzymią kwotę, podziękowałam uprzejmie i odłożyłam słuchawkę. Po co płacić tyle pieniędzy za przesłanie rzeczy ojca do ciotki Idy, żeby je wyprzedała.

Zadzwoiłam na dół i poprosiłam do telefonu odzwiernego. Po minucie podniósł słuchawkę.

- Chce pani, żebym posłał po Matildę?
- Doszłam do wniosku, że tak chyba będzie najwygodniej.

Matilda, zwałista kobieta o szerokiej twarzy, oglądała uważnie każdą sztukę odzieży.

- Powiem pani na końcu cenę za wszystko i wóz albo przewóz.

Zajęła się przeglądaniem ubrań ojca, a ja zaczęłam pakować swój kufer. Ogarnęło mnie nagłe pragnienie, by pozbyć się wszystkiego i zacząć życie od nowa. Nawet ulubione sukienki wydawały się ciężarem z przeszłości.

Przecież to głupota oddawać piękne stroje.

A może głupotą byłoby zatrzymanie ich, gdy potrzebowałam pieniędzy?

- Chyba mogę sprzedać pani także trochę własnych rzeczy – oznajmiłam.
- Tylko niech się panna szybko decyduje – odparła handlarka. – Nie będę tu siedzieć przez cały dzień.

Zachowałam jedynie to, co niezbędne: dwie spódnice, trzy bluzki, trzy halki, dwie nocne koszule, bieliznę, szlafrok, nowy tweedowy kostium, parę skórzanych trzewików, zapinane na guziki buciki z cholewką, płytkie pantofle, ranne pantofle, płaszcze wełniane i letnie, futrzaną etolę, mufkę, rękawiczki oraz dwie – nie, trzy eleganckie suknie. Udało mi się zapakować do największego pudła dwa kapelusze. Trzeci postanowiłam włożyć na głowę.

Po przejrzaniu wszystkich rzeczy Matilda oznajmiła, ile zamierza za nie zapłacić. Spodziewałam się dostać więcej i zaproponowałam wyższą kwotę.

– Chce się panienska ze mną targować? – zapytała z niedowierzaniem. – Z biedną staruszką? Mam rodzinę na utrzymaniu! Wy, bogacze, tylko patrzycie, jak by tu biedaka oskubać. Ja też muszę zarabiać na życie. Ale skoro panienska myśli, że ktoś zapłaci jej więcej, to już sobie idę.

- Nie – odparłam. – Niech będzie. Wezmę tyle, ile pani proponowała.

A wcześniej tak dobrze udało mi się załatwić sprawę z panem Redstone'em.

Mimo odniesionego zwycięstwa Matilda nie złagodniała.

– Niech panna spojrzysz, ile tego jest – powiedziała, jakbym zmuszała ją do zabrania więcej, niż chciała. – Sama takiej góry ubrań nie uniosę. Wrócę po nie wieczorem z synem.

Ruszyła do drzwi.

– O której godzinie mogę się pani spodziewać?

– Chyba powiedziałam, że wieczorem.

Po wyjściu handlarki przytuliłam twarz do wełnianej marynarki ojca i próbowałam się pocieszyć, wdychając zapach tytoniu i wody kolońskiej. Niegłupi interes prowadziła ta Matilda – korzystanie z nieszczęścia innych ludzi.

4 listopada 1907 roku

Mam ochotę nie wpuścić tej kobiety do apartamentu, po prostu powiedzieć odźwiernemu, żeby ją odesłał. Ale przecież nie mogę zmienić zdania. Nie stać mnie na sentymenty. Nie teraz, kiedy jedynym moim prawdziwym majątkiem jest wolność. Rzeczy naprawdę potrafią zawładnąć człowiekiem... jeżeli im na to pozwolić.

Wróciłam do pakowania. Ułożyłam na półce kufra przybory toaletowe, przybory do szycia, wykładane szkiełkami pudełko, w którym trzymałam błyskotki i szpilki do kapeluszy. Szkoda, że nigdy nie przepadałam za biżuterią, teraz mogłabym ją zastawić. Medalion w kształcie serca, jedyną ozdobę, na jakiej mi zależało, zawiesiłam przezornie na szyi.

Matilda w końcu wróciła w towarzystwie krzepkiego młodzieńca z ponurą miną. Bez słowa pomógł matce zawinąć stos ubrań w papier pakowy. Potem handlarka odliczyła z pliku banknotów obiecaną sumę. Może i była biedna, ale w porównaniu ze mną opływała w gotówkę. Zastanawiałam się, ile czasu upłynie, zanim ktoś znowu wręczy mi pieniądze.

– A przy okazji – zapytałam – znacie może przyzwoity pensjonat, w którym mogłabym wynająć pokój? Szukam mieszkania.

– Nie wydaje mi się.

– A pani Craven? – odezwał się po raz pierwszy jej syn.

– Zdurniałeś? Taka dama nie weszłaby do podobnej nory.

Chłopak zwiesił głowę.

– Może na wszelki wypadek powiedziałby mi pan, gdzie to jest. – Zrobiło mi się

go żal i chciałam okazać wdzięczność. Matilda podała mi adres przy Pierwszej Alei. Zapiisałam go sobie i podziękowałam chłopcu za informację.

Gdy wyszli z zakupionymi rzeczami, zauważyłam stojące na biurku ojca pudełko cygar. Podniosłam pokrywkę i poczułam zapach tytoniu. W środku w równych rządkach leżały cygara. Ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdybym wyrzuciła je do zsypu. Wcisnęłam pudełko do i tak już przeładowanego kuferka.

Wreszcie wykonałam wszystkie te okropne zadania i mogłam iść spać. Szybko się umyłam. Jedyne, czego pragnęłam, to położyć się do łóżka i przestać myśleć o nowej, przerażającej rzeczywistości. Wsuwając się pod koc, byłam pewna, że zaraz zasnę.

Pół godziny później, zupełnie rozbudzona, wpatrywałam się w sufit. Wciąż myślałam o pudełku cygar. To niemądre zabierać je ze sobą. Ubrania przesiąkną zapachem tytoniu, a na widok cygar będzie mi tylko smutno. Dość bólu sprawiała tęsknota za ojcem, nie powinnam cierpieć dodatkowo, oglądając jego rzeczy.

Odrzuciłam koc, wstałam z łóżka, włożyłam szlafrok i wyjęłam pudełko z kuferka. Przy okazji spojrzałam na dwie kobiety zwierające się sobie z sekretów. Może nie będzie tak źle, jeśli wyrzucę cygara, a zatrzymam pudełko.

Wyjęłam cygara z pudełka i wytrząsnęłam z niego resztki tytoniu. Potem wyciągnęłam z kuferka zniszczony wiklinowy koszyczek, w którym trzymałam przybory do szycia. Przełożyłam je do pudełka, a pusty koszyczek napełniłam cygarami. Boso wyszłam na korytarz i podreptałam do zsypu, by wykonać swoje ostatnie na dzisiaj zadanie. Wrzuciłam koszyczek do otworu i czekałam, aż słabe, tępe stuknięcie ogłosi, że uderzył o dno.

ŚRODA
13 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 17

Amanda

Kolejna prawie nieprzespana noc. Większą jej część spędziłam, przeglądając katalog tkanin vintage na stronie serwisu internetowego Etsy; rozważałam absurdalnie niepraktyczny pomysł, by kupić mnóstwo materiałów i przygotować, w ramach dodatkowego zajęcia, własną kolekcję ubrań. Może w następnym życiu.

Około siódmej rano wstałam, żeby zjeść śniadanie i przeczytać następny fragment dziennika Olive. Wygląda na to, że jej życie rozsypało się zupełnie tak jak moje. Potem z powrotem położyłam się do łóżka. Przespałam kilka godzin i obudziłam się, gdy nadeszła pora na drugie śniadanie. Wciąż dużo czasu dzieliło mnie od trzynastej, kiedy otwierałam sklep. Niemal wszyscy mieszkańcy East Village spali do południa, nie miało więc sensu zaczynanie pracy wcześniej, co bardzo sobie ceniłam. Wolne poranki pozwalały mi pozostać przy zdrowych zmysłach.

Powinnam zadzwonić do Chucka i wyjaśnić sprawę przedłużenia umowy, ale nie umiem w piśmie rozmawiać jak profesjonalistka, zaczęłam więc się zastanawiać, co na siebie włożyć. Albo utylam, albo absolutnie każda posiadana przeze mnie rzecz się zbiegła. Bardziej odpowiadało mi to drugie wyjaśnienie. Co nie zmieniało faktu, że mieściłam się tylko w swoje największe dzinsy. Szukając ładnej bluzki, natrafiłam na meksykańską chłopkę z wyhaftowanymi z przodu kolorowymi ptaszkami. Dostałam ją od hurtownika wraz z całą partią bluzek w stylu etno i przed włączeniem do spisu inwentarza zamierzałam usunąć z obróbka mały ślad po przypaleniu papierosem. Oto korzyść z pracy w handlu używanymi ubraniami: można nosić własny towar, nie obniżając jego wartości. Włożyłam biały podkoszulek, posmarowałam przypalone miejsce wybielaczem, przycisnęłam kilka razy mokrym ręcznikiem i rozłożyłam do wyschnięcia. Jeżeli mimo to plama będzie widoczna, ukryję ją, skracając nieco bluzkę.

Teraz byłam już gotowa do tego, by zadzwonić do Chucka i dowiedzieć się, jaki los mnie czeka. Wzięłam głęboki oddech i wystukałam numer. Słuchając sygnałów, zbierałam się w sobie. Chciałam być ostra, ale nie zrazić go do siebie. Nikt nie odbierał, więc zaczęłam się zastanawiać, jaką wiadomość zostawić na sekretarce. Wtedy zarządca podniósł słuchawkę.

– Słucham, mówi Chuck.

Jasno i ze spokojem wyjaśniłam, jak bardzo zaskoczył mnie jego list.

– Przypuszczam, że zaszła jakaś pomyłka, bo ostatnio mówiłeś coś zupełnie innego.

– Hm, no cóż... Tak mi się wtedy wydawało. Jednak sama dobrze wiesz, że żadna decyzja nie ma mocy prawnej, dopóki nie zostanie potwierdzona na piśmie.

Rzeczywiście, wiedziałam o tym.

– Słucham dalej.

– Nie zaszła żadna pomyłka.

– Nie rozumiem. Jestem dobrą lokatorką. Rozwinęłam firmę. Płacę czynsz w terminie.

– Od kiedy podpisałaś tamtą umowę, czynsze w okolicy poszły w górę. Warto tu otwierać restauracje i bary i mam klientów, którzy dużo za to zapłacą.

– W takim razie chciałabym porozmawiać z właścicielem. – Na umowie jako właściciel figurowała firma Stella Realty Corporation, której adresu ani numeru telefonu nie podano.

– To niemożliwe.

– Skoro mieszkam i pracuję w jego budynku, zasługuję chyba na pewne względy. Może uda mi się zapłacić tyle, ile proponują tamci.

– Wątpię.

Ja też miałam wątpliwości, ale mówiłam dalej:

– Czy mógłbyś łaskawie podać mi namiary na właściciela?

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale zatrudnił mnie po to, żeby nie zajmować się podobnymi problemami. Słuchaj, bądź wdzięczna losowi, że dotąd mało płaciłaś za taką lokalizację. To już przeszłość i musisz się z tym pogodzić. Na pewno znajdziesz lokal za rozsądną cenę trochę dalej na wschód.

– Gdzie? W Williamsburgu?

– Nie musisz wyprowadzać się aż za rzekę. – Zignorował mój sarkazm. – Po drugiej stronie Alei B ceny wciąż są przystępne.

– Przeprowadzka jest kosztowna i czasochłonna, poza tym stracę klientów. Przez takie zmiany mogę zbankrutować.

– Trudno prowadzić małą firmę nawet w dobrych czasach. Daj znać, jeśli będziesz chciała obejrzyć jakieś nieruchomości. Może będę mógł ci pomóc.

Powstrzymałam się od podziękowań, bo nie było za co, i się rozłączyłam.

Mój obecny lokal – 45 m² za tysiąc osiemset miesięcznie – praktycznie spadł mi z nieba. Tym razem musiałam sama rozpocząć poszukiwania na starej, poczciwej Craigslist. Przeglądając oferty, stwierdziłam, że większość lokali jest zbyt duża jak na moje potrzeby. Trudno było znaleźć coś poniżej stu metrów. Za lokal o powierzchni

50 m² przy Pierwszej Alei ktoś życzył sobie siedem tysięcy dolarów. Inny pośrednik chciał dwa tysiące pięćset za około 55 m² plus piwnica, ale miejsce znajdowało się aż na Alei C. Tak jak się obawiałam, będę zmuszona zapłacić więcej za mniej.

Nowo wynajęty lokal zazwyczaj wymaga odnowienia. To też kosztuje. No i wszystko trzeba przewieźć, a w dodatku wpłacić depozyt. I zacząć od początku walkę o klientów.

Zastanawiałam się, jakie mam możliwości. Zrezygnować z prowadzenia firmy. Otworzyć sklep z T-shirtami z surowców wtórnych w ekologicznej wiosce, w której mieszka ojciec. Znów prowadzić cudzy sklep. Zostać sprzedawczynią u Macy'ego. Wrócić z podkulonym ogonem do Jeffa i błagać o pomoc.

Nie. O ostatnim rozwiązaniu nie powinnam nawet myśleć.

Zabrałam się do przeglądania kolejnych ofert. Na widok jednej ożywiłam się – projektantka biżuterii szukała partnerki do wynajęcia na spółkę lokalu o powierzchni 55 m² za tysiąc dolarów miesięcznie na głowę w idealnym miejscu na skrzyżowaniu Dziewiątej Ulicy i Drugiej Alei. Zakładając, że ogłoszenia nie zamieściła jakaś wariatka, mogłoby to być rozwiązanie, a wspólny sklep przyciągnąłby więcej klientów. Kliknęłam w link i zobaczyłam, że chodzi o lokal na drugim piętrze. Cholera!

Jednak podsunęło mi to pewien pomysł. Molly otwierała swój sklep z guzikami dopiero o pierwszej, więc była szansa, że da się wyciągnąć na kawę. Wybrałam numer jej komórki.

– Hej – powiedziała. – Wszystkiego najlepszego w dniu po urodzinach.

– Dzięki! I jeszcze raz dziękuję za wizytę u doktora Markoffa. Masz dziś rano trochę czasu? Musimy nadrobić zaległości. Poza tym przeżywam mały kryzys, o którym chciałam z tobą porozmawiać.

– Rozumiem, że urodzinowy obiad się nie udał?

– Nawet się nie odbył, ale nie martw się, nie chodzi o Jeffa. Naprawdę muszę z tobą pogadać w pewnej sprawie.

– Zgoda. Gdzie się spotkamy?

– Pamiętasz kawiarnię De Robertis? – W studenckich czasach wciąż wpadałyśmy tam na kawę.

– Jasne. Nie byłam w niej od lat.

– Ani ja. Jakoś zapomniałam o tym miejscu.

– Ja też. No to tam się spotkajmy. Powiedzmy za pół godziny?

– Doskonale.

Rozłączyłam się i obejrzałam bluzkę chłopkę. Zwycięstwo. Wybielacz prawie wysechł, a ślad po przypaleniu przeszedł do historii.

Wychodząc, chwyciłam dziennik Olive i wrzuciłam go do torby. Po spotkaniu z Molly pójde pewnie prosto do sklepu. Może będę miała ochotę trochę poczytać w wolnych chwilach. A może nie. Naprawdę nie zniósę kolejnych złych wiadomości.

Rozdział 18

Olive

Podczas śniadania czytałam gazetowe ogłoszenia o pokojach do wynajęcia. Niekiedy zaznaczano, że chodzi tylko o dżentelmenów albo o małżeństwa. Okazało się też, że nie ma zwyczaju podawania wysokości czynszu. Chciałam znaleźć mieszkanie w znanej mi dzielnicy, ale nie wiedziałam, czy będzie to możliwe. Hotel Martha Washington oferował pokoje tylko kobietom, lecz ceny miał zbyt wysokie. Seville, elegancki hotel w neoklasycznym budynku naprzeciwko Mansfielda, także był dla mnie za drogi. Nie miałam wyboru, musiałam obejrzeć miejsca z ogłoszeń w gazecie. Po śniadaniu otworzyłam pudło z domu towarowego. Przynajmniej będę wyglądała elegancko w nowym kostiumie.

Wkrótce przekonałam się, że jeśli chodzi o wynajmowanie pokoi kobietom, stanowisko właścicieli hotelu Mansfield jest normą. Choć wyglądałam elegancko, nikt nie chciał mnie przyjąć bez referencji. Jedyną osobą, która się na to zgodziła, zaproponowała kwaterę zbyt podejrzaną, żebym mogła się tam wprowadzić.

Pomyślałam, że poproszę o referencje kogoś od Woolwortha – na przykład pracownika, który zjawił się na pogrzebie ojca. Po powrocie do hotelu zadzwoniłam do biura firmy i poprosiłam go do telefonu. Potem opowiedziałam o swoich kłopotach, starając się nie brzmieć jak osoba zdesperowana.

Mój rozmówca odparł, że nie może napisać listu rekomendacyjnego nikomu, kto nie pracował u Woolwortha.

– Poza tym – dodał – spotkaliśmy się tylko przelotnie, więc nie mógłbym uczciwie zaręczyć, że znam panią osobiście. Co oczywiście nie oznacza, że wątpię w pani uczciwość.

– Przecież mój ojciec przez tyle lat pracował dla pana Woolwortha. A pana pomoc jest dla mnie niezwykle ważna.

– Nie mam nic przeciwko pani. Po prostu takie zasady wyznaje pan Woolworth.

Podziękowałam mu i odłożyłam słuchawkę. Do diabła z Woolworthem i jego zasadami.

Potem przypomniałam sobie hotel Fifth Avenue. Ojciec mówił chyba, że cierpią na brak gości. Uprzejma kobieta, która odebrała telefon, potwierdziła, że rzeczywiście mają wolne pokoje. Gdy podałam nazwisko, chcąc zrobić rezerwację, zapytała, czy podróżuję sama.

– Widzi pani, nie wolno nam wynajmować pokoi samotnym kobietom, zwłaszcza

z dnia na dzień. Prowadzimy hotel wysokiej klasy i musimy być ostrożni.

– Oczywiście, że nie – odparłam wyniosłym tonem. – Będę z mężem, Charlesem Westcottem.

– Rozumiem, pani Westcott. Pokój będzie czekał.

Rudy odźwierny pomógł mi załadować kufer do taksówki i życzył szczęścia. Podziękowałam mu za pomoc i wcisnęłam do ręki monetę. Po niespełna pięciu minutach taksówka zatrzymała się kilka przecznic dalej, przed hotelem Fifth Avenue, a boy zaczął wyładowywać mój bagaż. Po czerwonym dywanie dotarłam przed oblicze niskiego mężczyzny z siwymi włosami. Wargi miał tak wąskie, że ginęły pod szorstkimi węsami.

– Czym mogę służyć?

– Mam u państwa rezerwację na nazwisko Charles Westcott.

– Czy mam przed sobą panią Westcott?

– Tak.

– Znakomicie. Witamy w hotelu Fifth Avenue. Gdy tylko zjawi się pan Westcott, z przyjemnością państwa zamelduję.

– Dziękuję, ale chciałabym od razu pójść do naszego pokoju.

– Przykro mi, ale pod nieobecność pani męża to niemożliwe.

– Ależ on przyjedzie dopiero za kilka godzin.

– Może zechce pani tymczasem napić się czegoś w naszej herbaciarni? Albo pójść na zakupy? Niektóre sklepy są otwarte do późna, a my przechowamy pani bagaż w recepcji. Z pewnością rozumie nas pani. Tę zasadę wprowadzono również dla pani bezpieczeństwa.

– Bardzo pana proszę. Mąż może zjawić się dopiero jutro, a ja jestem bardzo zmęczona i niemal... – ze zdenerwowania głos uwiązł mi w gardle. Nie mogłam uwierzyć, że tak gorące prośby spotykały się z odmową tylko dlatego, że jestem samotną kobietą.

– Przykro mi – odparł mężczyzna bez żalu w głosie. – W mieście jest wiele innych hoteli. Na pewno znajdzie pani coś odpowiedniego. Proszę spróbować w hotelu Martha Washington.

Podstęp się nie udał.

– Przecież widzi pan, że jestem porządną kobietą. Proszę zadzwonić do Mansfielda, gdzie mieszkałam z moim ojcem. On właśnie zmarł. Dyrektor chętnie za

mnie zaręczy.

– W takim razie niech pani przenocuje u nich.

Z płonącymi policzkami przeszłam po czerwonym dywanie przez hol. Odźwierny skinął na boya, żeby wystawił mój bagaż na ulicę.

– Czy mógłby pan wezwać mi taksówkę? – spytałam.

– Wybaczy pani, ale służę tylko naszym...

– Nieważne. – Zeszłam z chodnika i sama zatrzymałam automobil. Kiedy kierowca pakował bagaż do środka, zastanawiałam się, czy odszedł już ostatni pociąg do Cold Spring. Skończy się na tym, że spędzę noc na dworcowej ławce.

Została mi jeszcze jedna możliwość. Sięgnęłam do torebki i odszukałam kartkę z adresem, który podał mi syn Matildy. Potem kazałam taksówkarzowi jechać na Pierwszą Aleję, modląc się w duchu, żeby nie było tam zbyt okropnie.

Gdy dzwoniłam do drzwi czynszówki z czerwonej cegły, wiaduktem w górze przemknął z łoskotem pociąg. Kilka tygodni temu, objadając się ciastkami w Caffè Pugliese, nie miałam pojęcia, że wkrótce na tej samej ulicy, zaledwie siedem przecznic dalej, będę rozpaczliwie poszukiwać pokoju.

Otworzyła mi ponura matrona.

– Czego panna chce?

– Pani Craven? Czy ma pani może pokój do wynajęcia?

– Nie za późno na poszukiwania?

– Bardzo przepraszam. Matilda podała mi pani adres. Szukam mieszkania. – Matilda. Jedyna osoba, na jaką mogłam się powołać.

Pani Craven zgodziła się pokazać mi swój „ostatni” wolny pokój. Z niepokojem weszłam do salonu. Z brudnożółtych ścian zwisały po kątach pajęczyny, a tynk na suficie się łuszczył. Staralam się nie wdychać zapachu pleśni, właścicielka zaś podeszła do biurka i wyjęła z szuflady jeden z kluczy.

– Sześć dolarów za tydzień – oświadczyła, prowadząc mnie w stronę schodów. – Płatne z góry.

Modliłam się, żeby taksówka nie odjechała tymczasem z całym moim dobytkiem.

– Czy mogłabym płacić za każdy dzień z osobna?

– Panna uważa, że prowadzę dom schadzek?

– Pytam dlatego, że nie mam sprecyzowanych planów. Niech będzie tydzień.

Ruszyłam za panią Craven wyłożonym boazerią korytarzem. Ściany były

przechylone na bok niczym burty wraku.

– Ubikacja jest na końcu korytarza – powiedziała gospodyni, stając przed drzwiami pokoju i wkładając klucz do zamka. Okna z pewnością wychodziły na ulicę i wiadukt kolejowy.

– Czy mogłabym dostać pokój od podwórza?

– Przecież mówiłam. – Pchnęła drzwi. – Ten jest ostatni. Ma pani szczęście, że został.

Wyposażenie składało się z metalowego łóżka, małego stolika z jednym krzesłem, wąskiej komody, toaletki, piecyka na węgiel i lampy naftowej. Wiszący na ścianie kalendarz z obrazkiem przedstawiającym białego szczeniaka w czarne łatki miał mnie zapewne rozweselić. Jakąś prywatność zapewniały jedynie cienkie prześwitujące zasłanki. Praktycznie mogłam dotknąć przez okno torów kolejowych. Ale nie chciałam się targować – kuferek był w taksówce, a ja nie miałam dokąd pójść.

– Wezmę ten pokój, dziękuję.

Wręczyłam pani Craven sześć dolarów i zeszłam na dół, żeby zapłacić taksówkarzowi, który zażądał dodatkowych dziesięciu centów za wniesienie bagażu na górę.

Kiedy zostałam sama w pokoju, nie wiedziałam, co robić. Nie miałam ochoty niczego dotykać, zwłaszcza łóżka, i nie mogłam się zmusić, by rozpakować rzeczy. Musiałam pójść do klozetu – tego uniknąć się nie dało – postanowiłam więc mieć to jak najszybciej za sobą. Powędrowałam korytarzem do ubikacji i zaryglowałam drzwi. Starając się nie oddychać, zamknęłam oczy, żeby nie widzieć otaczającego mnie brudu. Wtem ktoś szarpnął za klamkę.

– Chwileczkę! – Całe szczęście, że się zamknęłam.

Po chwili rozległo się stukanie.

– Co pani tam robi? – warknął męski głos. – Duża potrzeba?

Na ścianie wisiał na gwoździu katalog Searsa. Wydarłam kartkę. Spojrzałam na ilustrację przedstawiającą czarny rewolwer za cztery dolary dziewięćdziesiąt pięć centów. Za dodatkowego dolara można było otrzymać egzemplarz wykładany masą perłową. Niezadowolony nabywca miał prawo zwrócić towar w ciągu trzech miesięcy. Klient mógł więc kupić rewolwer, zastrzelić kogoś, a potem oddać broń i poprosić o zwrot pieniędzy. Chyba że zastrzelił samego siebie. Wtedy pieniądze przepadały.

Pociągnęłam za łańcuszek i patrzyłam, jak woda wiruje leniwie, by w końcu, na szczęście, spłynąć w dół. Wyszłam, nie patrząc w oczy czekającemu za drzwiami mężczyźnie. Co się stało z moim życiem?

Chociaż zaczynało się ściemniać, postanowiłam wyjść na miasto coś zjeść. Idąc Pierwszą Aleją, rozglądałam się za restauracją, ale wszystkie wyglądały zbyt podejrzanie, by mogła do nich wejść samotna kobieta. Pomyślałam o Caffè Pugliese, lecz nie miałam ochoty objadać się sfogliatelle w zadymionej sali. Skręciłam w Czternastą Ulicę i szłam dalej, mijając tanie sklepiki i salony gier. Przed piekarnią tłum bezdomnych czekał na czerstwy chleb. Wreszcie na rogu Trzeciej Alei zobaczyłam restaurację Childa. Ruszyłam z ulgą w jej stronę. Jasno oświetlone wewnątrz wyglądało niemal tak samo jak lokal na Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Weszłam do środka i ucieszyłam się, że jestem w znajomym otoczeniu.

Kelnerka zaprowadziła mnie do stolika w głębi sali. Zamówiłam zapiekanekę z kurczakiem. O dziwo, smakowała wspaniale. Albo mieli świetnego kucharza, albo umierałam z głodu. Niestety, zanim skończyłam jeść, przy stoliku obok usiadł jakiś pan i próbował nawiązać ze mną rozmowę. Zachowywała się jak głuchoniema, ale był coraz bardziej natarczywy. W końcu, straciwszy nadzieję na spokojny posiłek, szybko dokończyłam kolację. Nie patrząc na natręta, wyszłam z restauracji. Na chodniku obejrzałam się, żeby sprawdzić, czy za mną nie idzie.

Zapadła noc. Na Czternastej Ulicy tłoczyli się ludzie szukający rozrywki w tancbudach i kinematografach. Na rogu przed oświetloną wystawą sklepową stały dwie kobiety.

– Zgubiłaś się, gołąbeczko? – spytała jedna z nich, gdy skręcałam w Drugą Aleję.

Minęłam pospiesznie grupę mężczyzn przed saloonem, którzy ze śmiechem zaczepiali przechodzących, i weszłam do parku Stuyvesanta, czego zaraz pożałowałam. Otoczyły mnie ciemności. Po chwili usłyszałam za sobą kroki i obejrzałam się przez ramię. Szedł za mną jakiś mężczyzna.

– Jak się pani miewa? – zapytał.

Przyspieszyłam kroku, wchodząc coraz głębiej w park, gdzie nie docierało już światło ulicznych latarni.

– Może wstąpimy gdzieś na kieliszeczek?

Maszerowałam dalej, starając się dotrzeć jak najszybciej do Siedemnastej Ulicy. Dlaczego byłam taka głupia i wybrałam tę drogę? Już niemal wychodziłam z parku, gdy mężczyzna zrównał się ze mną. Teraz szliśmy obok siebie.

– Hej, panienko, zadałem pytanie. Trafił ci się klient. Ile bierzesz?

Czy wszyscy mężczyźni uważają, że samotne kobiety nocą są na sprzedaż? Dlaczegoż jednak mieliby myśleć inaczej? Sama nigdy dotąd nie wychodziłam po zmroku bez opieki.

Położył mi dłoń na ramieniu. Strząsnęłam ją.

Złapał mnie za rękę.

– Hej, mała, co ty...

– Proszę mnie zostawić! – Wolną ręką wyrwałam szpilkę z kapelusza i dźgnęłam go, celując prosto w oko.

– Myślisz, że coś mi zrobisz? – Mężczyzna tylko się roześmiał.

Cofnęłam się, ale uderzył mnie w rękę i szpilka poleciała na ziemię. Wyrwałam się, a on wybuchnął śmiechem i splunął mi w twarz.

– Brudna dziwka.

Kiedy odszedł, otarłam rękawem policzek. Gdybym mogła, obdarłabym go ze skóry.

– Panienko?

Jeszcze jeden!

– Panienko, jestem głodny.

Pobiegłam chodnikiem, przeszłam przez jezdnię, skręciłam na wschód i ruszyłam w stronę Pierwszej Alei, ale natręt nie chciał się odczepić.

– Tylko parę groszy.

Nie mogłam mu dać pieniędzy. Niedługo sama będę żebraczką.

– Błagam. Nic pani nie zrobię. Chcę tylko napić się kawy.

Byłam już blisko Pierwszej Alei, gdy wreszcie się zatrzymał i obrzucił mnie wyzwiskami. W końcu dotarłam na moją ulicę i z ulgą stanęłam przed drzwiami wejściowymi do pani Craven.

5 listopada 1907 roku

Nowy Jork wabił mnie obietnicą uwolnienia od przeszłości. Teraz Cold Spring kusi uratowaniem przed przyszłością. Stara sypialnia wydaje mi się dziś szczytem luksusu. Może popełniam błąd i powinnam zrobić wszystko, żeby pomóc ciotce Idzie zatrzymać dom? Pewnie musiałabym zapomnieć o własnych ambicjach i wyjść za mąż dla pieniędzy. Dopiero ojciec by się uśmieł...

Byłam tak wyczerpana, że bez obrzydzenia wsunęłam się pod pościel. Bóg jeden wie, kiedy była prana. Przejechał pociąg. Za oknem mignęli jadący nim pasażerowie. Niektórzy spali w swoich fotelach pochyleni do przodu. Zastanawiałam się, czy w ich sypialni jest ciszej niż w mojej.

Przed wejściem na stację kolei nadziemnej gazeciarz sprzedawał poranne gazety.

Kupiłam jedną i poszłam na śniadanie do pobliskiej kawiarni. Zamówiłam jajka z grzankami, rozłożyłam przed sobą gazetę i zaczęłam przeglądać ogłoszenia o pracy. Szukano robotnic fabrycznych, praczek, służących... ale nikt nie potrzebował ekspedientki. Co będę robić przez cały dzień? Nie mogłam liczyć nawet na to, że arogancki kierownik działu zatrudnienia odprawi mnie z kwitkiem za brak referencji.

Skończyłam pływające w tłuszczu jajka i siedziałam nad drugą filiżanką kawy, nie wiedząc, dokąd pójść ani co robić. Kiedy kelnerka zapytała po raz trzeci, czy jeszcze coś podać, zapłaciłam rachunek i wyszłam. Ruszyłam bez celu przed siebie. Przede mną matka prowadziła za rękę małą córeczkę. Gdy skręciły na zachód w Dwudziestą Trzecią Ulicę, poszłam za nimi. Jakie to musi być cudowne czuć w dłoni małą rączkę dziecka, jakie poczucie bezpieczeństwa daje mocny matczyzny uścisk. Przecież i moje życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej! Dlaczego spotkało mnie tyle nieszczęść?

Matka z córeczką minęły Eden Musée, tanie muzeum sławne z figur woskowych i gabinetu strachów. Zatrzymałam się i spojrzałam na stojącego przed wejściem woskowego biletera. Zastanawiałam się, czy nie wejść do środka. Byłaby to głupota i strata czasu, ale może przynajmniej na chwilę zapomniiałabym o sobie. Rozmyślenia przerwał mi głęboki męski głos.

– Witamy.

Przypominał głos ojca.

– Poznaj swoją przyszłość.

Przy kasie stał mechaniczny wróżbita. Była to szklana skrzynia, w której znajdowało się popiersie ciemnoskórego mężczyzny w złotym turbanie. Podeszłam bliżej.

– Witamy – powtórzył wróżbita, gładząc mechaniczną ręką szklaną kulę. – Poznaj swoją przyszłość.

Trochę zawstydzona wrzuciłam w otwór miedziaka.

– Dziękuję. Zaraz poznasz swoją przyszłość.

Czekałam, aż maszyna mnie oświeci. Z otworu wysunęła się biała karteczka i wpadła do metalowej szufladki: *Przyszłość jest w twoich rękach.*

Skrzywiłam się z niezadowoleniem na widok tak bezużytecznej informacji. Miałam ochotę odłożyć bilecik z powrotem do szufladki, by zaoszczędzić następnej osobie wydania centa. Jednak pod wpływem spojrzenia czarnych oczu mężczyzny w złotym turbanie wsunęłam wróżbę do torebki. Moja przyszłość, jeśli w ogóle można coś o niej powiedzieć, wydawała się zupełnie ode mnie nie zależeć. Nie wiedziałam, czym wypełnić najbliższe popołudnie, nie mówiąc już o życiu.

Nagle przyszło mi do głowy miejsce, gdzie mogłabym się udać. Czytelnia w domu

towarowym Altmana była cichym, uroczym zakątkiem pełnym wygodnych foteli, darmowych gazet i pism. Może gdy znów poczuję się jak ludzka istota, obmyślę jakiś plan? Ruszyłam Piątą Aleją w stronę Trzydziestej Czwartej Ulicy z ulgą, że przynajmniej mam przed sobą cel.

Po wejściu do domu towarowego doceniłam spokój, który poprzednio mnie nudził. Pojechałam windą prosto na ósme piętro i skierowałam się do czytelnicy. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam – grube czerwone dywany, mahoniowa boazeria i wielkie okna wpuszczające do środka mnóstwo światła. Najgłośniejszym dźwiękiem był szelest przewracanych kartek. Niestety, wszystkie fotele okazały się zajęte. Musiałam zadowolić się krzesłem przy jednym z biur.

Sklep zapewniał klientom darmową papeterię, więc położyłam przed sobą kartkę papieru listowego i zaczęłam pisać list do ciotki Idy. Jednak pióro zawisło w powietrzu. Nie potrafiłam pokryć czystej kartki opisem żalonych kolei mego losu. Papier był całkiem ładny, u góry każdej strony nadrukowano nazwę i adres domu towarowego. Wyobraziłam sobie, że oto zawiadamiam ciotkę, iż piszę do niej przy biurku w domu towarowym Altmana, gdzie właśnie zatrudniono mnie w charakterze sekretarki. Wszystko wydawało się lepsze od prawdy.

Kobieta obok zaczęła zbierać swoje rzeczy. Skoro pojawiła się szansa na zdobycie fotela, uznałam, że list może poczekać. Wsunęłam kartkę do załączonej koperty, a gdy wkładałam ją do torebki, wpadł mi w oko bilecik od mechanicznego wróżbity. *Przyszłość jest w twoich rękach.* Chciałam wyrzucić karteczkę do kosza na śmieci, lecz zauważyłam wydrukowaną na jej odwrocie reklamę. *Dom towarowy Siegel-Cooper. Satysfakcja gwarantowana. Dobry towar, uczciwe ceny i szybka obsługa.* Znów odwróciłam bilecik. *Przyszłość jest w twoich rękach.*

Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Tylko czy ujdzie mi to na sucho? Nie znosiłam nieuczciwości, ale jeszcze bardziej beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazłam. Włożyłam do torebki jeszcze jedną kartkę i kopertę, po czym wyszłam z czytelnicy, a wolny fotel zajęła inna zmęczona kobieta.

Szybkim krokiem ruszyłam z powrotem do domu pani Craven. Po drodze zaszłam do drogerii przy Pierwszej Alei. Zadzwoiłam stamtąd do domu towarowego Altmana i zapytałam o nazwisko kierownika działu zatrudnienia.

– Thomas Porter. Czy mam panią z nim połączyć?

– Tak, bardzo proszę.

Kiedy sekretarka łączyła mnie z kierownikiem, odłożyłam słuchawkę. Potem wróciłam do swojego pokoju i usiadłam przy stoliku. Na zabranym ze sklepu papierze listowym bardzo starannie wykaligrafowałam list polecający zachwalający moje usługi jako ekspedientki, która pracowała tam w dziale pasmanterii w ubiegłym

roku. Zacisnęłam zęby i podpisałam się jako Thomas Porter.

Mężczyzna w punkcie informacyjnym w domu towarowym Siegel-Cooper skierował mnie do windy, którą pojechałam do działu zatrudnienia na trzecim piętrze. Recepcjonistka nakazała mi wypełnić formularz, po czym poleciła przejść do poczekalni, gdzie ku swojej radości zastałam tylko dwie czekające kobiety. Skoro nie ukazało się żadne ogłoszenie, może walka o posadę nie będzie specjalnie brutalna. A w tak wielkim sklepie zatrudniającym dosłownie tysiące ludzi pewnie stale szukano nowych pracowników. Po zaledwie dziesięciu minutach brodaty, tęgi mężczyzna o stalowoszarych oczach poprosił mnie do gabinetu. Gdy czytał formularz i list polecający, wpatrywałam się w stojące na biurku zdjęcie jego ponurej żony i sześciorga dzieci.

– Mieszka pani z rodzicami? – zapytał.

– Moi rodzice nie żyją.

– Mężatka?

– Nie.

– W takim razie – zapytał – jak zamierza pani sama się utrzymywać? Większość naszych pracowników mieszka z rodzicami – albo znajduje inne, dodatkowe środki.

Czy spojrzenie jego zimnych oczu coś sugerowało?

– Zapewniam pana, że tego nie potrzebuję. – Co prawda nie miałam pojęcia, jak sobie poradzę. Czy powinnam poszukać pokoju jeszcze gorszego niż ten obecny? – Ciotka pozwoliła mi u siebie zamieszkać, więc nie muszę się martwić o czynsz. – Właściwie nie było to kłamstwo. Jeśli podstęp się nie uda, pewnie wkrótce będę musiała wrócić do Cold Spring.

Kierownik z kwaśną miną przejrzał mój list polecający. Może był znajomym Thomasa Portera? Pewnie wszyscy w branży się znali. Mógł zauważyć, że podpis jest podrobiony, a papier listowy zabrany z czytelnicy, oskarżyć mnie o oszustwo i wezwać strażników sklepowych.

– Przykro mi – powiedział, oddając mi list. – Nic dla pani nie mamy.

– Czy na pewno? Nawet pan nie wie, jak bardzo potrzebuję tej pracy.

– Pani potrzeby są tu bez znaczenia. Interesują mnie wyłącznie potrzeby sklepu, a w tej chwili szukamy tylko doświadczonej ekspedientki w dziale artykułów toaletowych.

– Szczerze mówiąc – niemal poderwałam się z krzesła – zanim podjęłam pracę u Altmana, zajmowałam się sprzedażą takich właśnie artykułów. Mój ojciec był

kierownikiem sklepu Woolwortha i pomagałam mu po lekcjach, a także w weekendy. Szczególnie interesowały mnie artykuły toaletowe. Studiowałam naklejki na słoikach z większą gorliwością niż podręczniki.

– Miło mi to słyszeć, ale...

– Na przykład mydła. Wyrabiane są z najróżniejszych składników: oleju, gliceryny, łożu, smoły... Nie oznacza to jednak, że jeden rodzaj mydła jest lepszy od drugiego. Wszystko zależy od rodzaju cery. Czy jest tłusta, sucha czy mieszana. Stan skóry może się także zmieniać w zależności od pogody, trzeba więc w miarę potrzeby używać różnych mydeł. Obecnie jest tyle skutecznych produktów, że żadna kobieta nie powinna mieć problemów ze skórą, jeśli tylko...

– Wystarczy. – Kierownik uniósł dłoń. – Słyszałem już dosyć. Płacimy siedem dolarów tygodniowo. Może pani zacząć od jutra?

Siedem dolarów? Starałam się nie okazać rozczarowania i nie miałam odwagi poprosić o więcej.

– Jeśli pan sobie życzy, mogę zacząć od zaraz.

– Wystarczy od jutra. Musi mieć pani własną czarną spódnicę i białą bluzkę. Może być taki strój jak dzisiaj, ale nic wyzywającego. Ma pani sprzedawać, a nie zwracać na siebie uwagę. Proszę nie używać wejścia dla klientów od strony Szóstej Alei. Pracownicy wchodzić bocznymi drzwiami od Osiemnastej Ulicy. I niech pani nie zapomni odbić karty. Punktualnie o ósmej. Za każde dziesięć minut spóźnienia płaci się pięć centów kary. Proszę powiedzieć strażnikowi, że to pani pierwszy dzień, to przydzielili numerki i szafkę. Rano zgłosi się pani na szkolenie, a po południu zacznie pracę w sklepie.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam. – Nie pożałuje pan swojej decyzji.

Wstałam z krzesła i chciałam uścisnąć mu dłoń, ale on już zanurzył pióro w srebrnym kałamarzu. Kiedy wyszłam na ulicę, nie byłam pewna, czy powinnam uśmiechać się z triumfem, czy też wybuchnąć płaczem.

Rozdział 19

Amanda

W drodze do kawiarni De Robertis przeszłam przez Astor Place – czy też, jak zaczęłam je nazywać, Disastor Place[1]. Historyczne skrzyżowanie ulic Ósmej, Lafayette i Czwartej Alei zeszpecono ogromnym gmaszyskiem. Przy pokrytym szkłem apartamentowcu budynek Cooper Union wyglądał jak karzeł. Starbucks walczył o lepsze z Dunkin Donuts. W dodatku wzniesiono tu akademik Uniwersytetu Nowojorskiego. Czy władze miasta nie rozumieją, że ślady przeszłości należy chronić? Podskoczyło mi ciśnienie na widok nowej pustej działki. Jej pojawienie się oznaczało, że wyburzono kolejną kamienicę. W tym miejscu stanie wieżowiec lub sklep należący do którejś z wielkich sieci handlowych. Dlaczego, do diabła, nie objęto tego miejsca ochroną konserwatora? Na moich oczach niszczone East Village.

Olive powiedziałyby, że jestem zbyt sentymentalna. Może miałyby rację. Nowy Jork wciąż się zmieniał i rozrastał, i gdyby zabrakło nowoczesnej architektury, jakie budynki reprezentowałyby za sto lat moje pokolenie? A jednak powinniśmy dbać o to, by zachować przynajmniej część dawnej zabudowy.

Kiedy doszłam do Pierwszej Alei, spojrzałam na nią tak, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Nie wiedziałam, że jeździła tędy kolej nadziemna. Mimo woli rozejrzałam się za włoską kawiarnią, w której Olive poznała Ralpa, jakbym przez te wszystkie lata mogła jej nie zauważyć. Co prawda Caffè Pugliese nie zmaterializowała się w cudowny sposób, za to spostrzegłam nowe studio pilates i postanowiłam sprawdzić w internecie rozkład ich zajęć.

Wystawę kawiarni De Robertis wypełniała rozkoszna kompozycja złożona z rozmaitych tortów. Na szczycie trzy- i czteropiętrowych arcydzieł stały figurki szczęśliwych nowożeńców. Otworzyłam drzwi i w moje nozdrza uderzył boski zapach anyżku. Odetchnęłam głęboko, by móc w pełni się nim rozkoszować.

Tabliczka na ścianie głosiła z dumą, że kawiarnia De Robertis istnieje w tym miejscu od 1904 roku. Inna informowała, że mają już Wi-Fi. Za ladą stał młody chłopak w koszulce Abercrombie i naszyjniku z muszelek. Nie odrywał wzroku od jeszcze jednego nowego elementu wnętrza – płaskiego telewizora.

Gdy nasyciłam wzrok rzędami deserów wypełniających szklane gabloty, przeszłam dalej, by sprawdzić, czy jest już Molly. Nie było jej, więc zajęłam się oglądaniem wiszących na ścianie zdjęć upamiętniających przeszłość kawiarni. Widziałam je już wcześniej – fotografie eksponowano od dawna i zasługiwały na to, by je zachować dla przyszłych pokoleń. Na górze wisiały dwa portrety protoplastów rodu: pięknej

ciemnowłosej kobiety i przystojnego, gładko ogolonego mężczyzny. Pod spodem umieszczono zdjęcia przedstawiające wnętrze kawiarni. Zgodnie ze swoim zwyczajem sprawdziłam, co się zmieniło. Ta sama podłoga z płytek tworzących pośrodku wzór gwiazdy. Na ścianach te same kafelki wykończone pasem niebiesko-złotej mozaiki. Ten sam sufit wykładany panelami z blachy i oszklone drzwi w głębi sali. Zdjęcie wiszące najniżej przedstawiało stojących przed wystawą kawiarni pięciu wąsatych kelnerów ubranych w długie białe fartuchy. Na markizie widniał napis CAFFE PUGLIESE.

Pugliese?

Okręciłam się na pięcie.

– Pugliese?! – wykrzyknęłam ze zdumieniem do chłopaka za ladą.

Z trudem oderwał się od meczu tenisa.

– Słucham?

– Czy to była kiedyś Caffè Pugliese?

– Tak. Mój pradziadek Paolo nazwał tak kawiarnię na pamiątkę miasteczka we Włoszech, z którego pochodził. Dziadek, po przejściu interesu, zmienił nazwę na De Robertis.

– Coś takiego! Dziękuję za informację.

– Nie ma za co – odparł, odwracając się w stronę ekranu.

A więc to ta sama kawiarnia. Może przeczuwałam to wcześniej? Co zresztą nie miało większego znaczenia. Zapropoноваłam spotkanie w kawiarni De Robertis, bo przypominała mi lokal opisany przez Olive. Wyobraziłam sobie, jak siedzi w zatłoczonej, zadymionej sali, ciesząc się towarzystwem ojca, zajadając ciastka, flirtując – lub próbując flirtować – z Ralphem.

Miałam nadzieję, że jakość wypieków nie pogorszyła się od czasu mojej ostatniej wizyty. Upłynęło chyba dziesięć lat. Wystrój niewiele się zmienił, wszystko tylko trochę bardziej się zniszczyło. W sali siedziała jedna klientka, młoda kobieta pisząca na laptopie. Odwróciłam się w stronę zdjęć i spojrzałam w oczy kelnera. Czy to on nazwał Olive *bella donna*?

– Przepraszam za spóźnienie!

Odwróciłam się i zobaczyłam Molly. Miała na sobie oliwkowozieloną sukienkę z dzianiny ozdobioną przyszytymi wokół dekoltu perłowymi guzikami w kształcie wachlarzyków. Złotobrązowe włosy upięła w kok.

– Wcale się nie spóźniłaś. To ja przyszedłam za wcześnie.

– Świetna bluzka – powiedziała, kiedy się uściskałyśmy. – Skąd ją masz?

– Od jednego z nowych hurtowników. Twoje dzieło? – Wskazałam na jej bransoletkę.

– Tak, ostatnio mam obsesję na punkcie akrylowych guzików z lat pięćdziesiątych.

Podsunęła mi ją, żebym mogła lepiej się przyjrzeć. Każdy z dużych guzików w kształcie kostki był przezroczysty i miał w środku zatopioną ozdobę.

– Jak je tam wkładali?

– Były różne techniki. Czasem żłobili wzór z tyłu, malowali i pokrywali tworzywem. A czasem zatapiali w guzikach ozdobne elementy z metalu lub z masy perłowej. Ten ma w środku prawdziwy maleńki kwiatek. Czytałam, że po drugiej wojnie światowej robili te guziki ze szkła akrylowego używanego na podpory pod broń. Są kuloodporne.

– No proszę. Bardzo przydatna cecha. Śliczna wyszła z nich bransoletka. Te małe wachlarzyki przy dekolcie też mi się podobają.

– Dzięki.

Molly od zawsze miała bzika na punkcie starych guzików. Najpierw sprzedawała je przez internet, a potem wpadła na pomysł, żebyśmy razem otworzyły sklep, lecz ja nie byłam wtedy jeszcze na to gotowa. Kiedy po śmierci babci odziedziczyła trochę pieniędzy, zrobiła to sama i zatrudniła przystojnego faceta, który miał dbać o finansową stronę przedsięwzięcia. Wszystko ułożyło się jak najlepiej. Scott najpierw zarządzał interesami Molly, a później się z nią ożenił.

– No to opowiadaj. – Przyjaciółka wyprostowała się i popatrzyła na mnie wyczekująco. – Jak było u doktora Markoffa?

– Jest wspaniały, niestety, ja się nie spisałam. Zeszłej nocy prawie nie zmrużyłam oka.

– Do licha. Może powinnaś odwiedzić go parę razy, żeby był jakiś efekt?

– Może. – Staralam się wyglądać na przekonaną.

Nadszedł prawnuk dawnego właściciela z menu.

– Czy podać paniom coś do picia? – zapytał. – Latte, espresso, cappuccino...

– Poproszę latte.

– Ja też – powiedziała Molly. – I wzięłabym rożek migdałowy.

– A dla mnie sfogliatelle.

Oddaliśmy mu menu. Kiedy odszedł, potarłam z jękiem zmęczone oczy.

– No dobrze – powiedziała Molly. – A więc nie wyspałaś się i przeżywasz kryzys?

– Właśnie otrzymałam oficjalne pismo od właściciela budynku. Wyrzuca mnie.

– Chyba żartujesz? Z mieszkania?

– Nie, ze sklepu.

– Myślałam, że masz przedłużoną umowę.

– Tak twierdził zarządca, ale wczoraj dostałam list z zawiadomieniem, że najdalej za miesiąc muszę się wyprowadzić.

– Ojej. Strasznie mi przykro. Tamtą umowę podpisałaś na bardzo korzystnych warunkach, prawda?

– Nie wiem, czy znajdę lokal za tyle, na ile mnie stać.

– To nie będzie łatwe.

– Ale mam pewien pomysł. Wiem, że sama męczysz się w malutkiej klitce. – Sklep Molly był tak wąski, że kobiety w ciąży czy osoby z plecakami często się w nim klinowały. – Nie wynajęłabyś czegoś ze mną na spółkę? Założę się, że razem znalazłybyśmy lokal wystarczająco duży dla nas obu za cenę niższą od tej, jaką płacimy teraz. A i sprzedaż pewnie by na tym zyskała.

– To brzmi naprawdę kusząco, ale, niestety, nie mogę ci pomóc.

– Ponieważ?

– Ponieważ nie mogę wprowadzać teraz w pracy żadnych zmian. Bardzo mi przykro.

– Nie ma sprawy – odparłam zdziwiona, jak wielkie poczułam rozczarowanie. – Wiedziałam, że to mało prawdopodobne, ale musiałam zapytać.

– Jasne. Jeśli usłyszę o jakimś lokalu, dam ci znać.

Prawnuk De Robertisów nadszedł z kawą, ciastkami i dwiema szklankami wody.

– Zostawiam rachunek – oznajmił. – Ale mogą tu panie siedzieć tak długo, jak zechcą.

Z uwagi na ogromną liczbę wolnych stolików jego wspaniałomyślność nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia, ale doceniłam dobre chęci.

– Dziękujemy.

Wypiłyśmy kawę i spróbowałyśmy ciastek. Wyjaśniło się, dlaczego jest tu tak pusto. Kawiarnia De Robertis obniżyła jakość. Ciasto było zbyt twarde, a nadzienie zawierało śladowe ilości skórki pomarańczowej i czuło się w nim bardziej mąkę niż ricottę. Kiedy Molly próbowała odkroić kawałek różka, nóż stuknął w talerz, wzniecając chmurę okruszków i płatków migdałowych.

– Albo nóż jest tępy, albo ciastko czerstwe. – Ugryzła kawałek. – To wina ciastka.

– Bardzo mi przykro.

– Nie masz za co przepraszać. Fajnie, że się tu spotkałyśmy, choćby tylko ze względu na stare czasy. Sama też mam nowiny. W końcu podjęliśmy ze Scottem poważną decyzję i między innymi dlatego nie mogę teraz wprowadzać w sklepie żadnych zmian.

Wiedziałam, o czym mówi. Po latach rozwijania firmy, z sukcesami, postanowili zająć się rozwojem rodziny i natrafili na poważne trudności. W końcu zrezygnowali z zapłodnienia *in vitro* i zaczęli rozważać adopcję albo wykorzystanie komórki jajowej innej kobiety.

– A co się dzieje?

– Znalazłam organizację ze wspaniałą stroną internetową. Są na niej zdjęcia dzieci czekających na adopcję. Można szukać według płci, wieku i stanu zdrowia, a kiedy klikniesz na zdjęcie, pojawiają się informacje o pochodzeniu i cechach charakteru dziecka.

– Zdumiewające. Ale czy tej organizacji można ufać?

– Wiem, że to wygląda trochę za dobrze, ale sprawdzałam i są w porządku. A my przy wyborze zachowamy najwyższą ostrożność.

– Na pewno. Założę się, że te dzieciaki naprawdę potrzebują domu. Wspaniale. Mam nadzieję, że wam się uda.

– Dzięki.

– A skoro już o tym mowa, miałam dziś w nocy ekscytujący fałszywy alarm. Spóźnia mi się okres, więc zrobiłam test ciążowy, ale nici z *bambino*.

– Już od roku masz nieregularne miesiączki, prawda?

– Tak jakby. Po prostu przedtem były regularne jak opłata czynszu, więc teraz zauważam, kiedy się trochę spóźniają.

– Chyba więcej niż trochę.

– W jednym miesiącu czekałam na próżno, a w następnym miałam okres chyba przez dziesięć dni. – Nie wspomniałam o tym, w którym pojawiło się tylko plamienie.

– Słuchaj, oczywiście żaden ze mnie lekarz, ale to może być perimenopauza.

– Coś ty, jestem o wiele za młoda.

– Prawdę mówiąc, mieścisz się w dolnej granicy normy. Lepiej sprawdź poziom hormonu FSH. Możesz mieć coraz częściej cykle bezowulacyjne.

Molly była już u tylu specjalistów i lekarzy, że sama niemal stała się jednym z nich.

– Mówisz, że obumierają jajeczka, które mi jeszcze zostały?

– Nie panikuj. To nie znaczy, że jesteś bezpłodna. Po prostu twój organizm może przygotowywać się do menopauzy, więc jeśli chcesz mieć dziecko, lepiej zdecyduj się na nie wcześniej niż później. Znasz statystyki, prawda? U kobiety czterdziestoletniej szanse zajścia w ciążę wynoszą przeciętnie pięć procent.

– Naprawdę? Jest aż tak źle?

– Nie chcę cię straszyć – ciągnęła Molly – ale wiesz, przez co sama przechodzę. A ty jesteś kobietą interesu. Rozumiesz, jakie to ważne mieć opracowany plan.

– Niby tak. Hej, a może powinnam zamrozić swoje komórki jajowe?

– Niezły pomysł.

– To był sarkazm.

– Wiesz, co naprawdę powinnaś zrobić? – Molly pochyliła się ku mnie z ożywieniem. – Doprowadzić do zapłodnienia kilku komórek jajowych, a potem zamrozić embriony. Mają dużo większą szansę na zagnieżdzenie się w macicy niż same jajeczka. Takie rozwiązanie byłoby dla ciebie najlepsze.

– No dobrze, a skąd wezmę nasienie? Zakładając, że rozmawiamy poważnie.

– Nie sugeruję, że od Jeffa, jeśli o to ci chodzi. Są tysiące dawców nasienia i możesz wyszukać sobie dokładnie takiego, jakiego chcesz.

– Sama nie wiem. Czy to w porządku zmuszać własną komórkę jajową, żeby spotkała się na jedną noc z obcym plemnikiem?

– Bardzo śmieszne. Słuchaj, gdyby przed pięciu laty technika była na takim poziomie jak teraz, sama bym to zrobiła. Swoją drogą, gdybyś rozważała in vitro, to jest witryna z profilami dawców. Masz do nich dostęp, jeśli się zarejestrujesz.

– Coś w rodzaju serwisu randkowego Match.com?

– Właśnie. Możesz zapewnić jajeczku na tę jedną noc idealnego plemnika.

– Świetnie. Naprawdę niezłe jaja. Żart niezamierzony.

– Może problemy lokalowe to znak, że powinnaś coś zmienić w swoim życiu?

– Na przykład ogłosić bankructwo i przejść na zasiłek? – Potarłam skronie. Głowa mnie nie bolała, chociaż powinna.

– Mogłabyś zamieszkać u swojej mamy w Woodstock. Pomogłaby ci przy dziecku. Brzmi nie najgorzej, prawda?

– Wliczając w to załamanie nerwowe. – Najwyraźniej oglądanie zdjęć czekających na adopcję dzieci rozhuštało mojej przyjaciółce hormony i przyćmiło jej zdolność oceny sytuacji.

– Przepraszam, kochanie. – Molly sięgnęła przez stół i współczująco uścisnęła mój

nadgarstek. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Sama jestem pochłonięta staraniami o dziecko, a to pewnie ostatnia rzecz, o jakiej masz teraz ochotę myśleć.

– Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej. Ale chyba powinnyśmy się zbierać. Zaraz otwieramy.

– Szkoda, że nie mogę ci pomóc.

– Już sama rozmowa mi pomogła – powiedziałam, choć czułam się teraz gorzej, niż kiedy tu wchodziłam.

Rozdział 20

Olive

– Nie stójcie w grupkach. Nie żujcie gumy ani tytoniu. Za ladą nie wolno jeść, czytać książek ani szyć.

Panna Underhill, energiczna kobieta w średnim wieku, prowadziła szkolenie dla dziesięciu nowych pracownic. Nosiła prostą czarną suknię z przypiętym do piersi złotym zegarkiem, miała włosy ściągnięte na karku w ciasny kok i stale zmarszczone brwi.

– Nie opuszczajcie miejsca pracy. Nie spóźniajcie się. Nie hałasujcie w windzie. Nie mówcie zbyt głośno i nie rozmawiajcie pomiędzy stoiskami. Nie przechowujcie za ladą kapelusza, płaszcz ani parasola. Nie plotkujcie. Jakies pytania?

Ledwie rzuciwszy na nas okiem, panna Underhill przeszła do instrukcji na temat wypisywania rachunków, odkładania towarów, dostaw i zwrotów. Zegar tykał, a ona z drobiazgową dokładnością omawiała wszystkie błędy, jakie możemy popełnić.

– Teraz – zakończyła – przejdziemy do sali pocztowej, żebyście mogły zobaczyć, w jaki sposób przesyłane są w sklepie pieniądze.

Windą dla personelu zjechałyśmy do piwnicy. Jako klientka często zastanawiałam się, co się dzieje na drugim końcu rury poczty pneumatycznej, z ciekawością wkroczyłam więc za panną Underhill do pozbawionej okien sali przez grube drzwi przypominające wejście do skarbcza. Wokół rozbrzmiewał potworny hałas. Nasza przewodniczka musiała krzyżeć, żebyśmy ją słyszały.

– Może czujecie się lepsze od tych kobiet! Ale to one są naszymi najważniejszymi pracownicami!

Około dwudziestu kobiet siedziało rzędem przy długim blacie, nad którym znajdowały się wyloty rur biegnących w górze po ścianie niczym puszczalki organów. Z otworów co chwilę wypadały na blat metalowe kapsuły. Dziewczyny otwierały przesyłkę, wyjmowały pieniądze i rachunek, wkładały odliczoną resztę i odsyłały kapsułę z powrotem. Bardzo im współczułam. Siedziały w tym okropnym pokoju przez cały dzień, wykonując nudne, automatyczne czynności.

– Jeżeli nie będziemy odpowiednio zarządzać pieniędzmi, nie będzie zysku, jeżeli nie będzie zysku, nie będzie sklepu, a jeżeli nie będzie sklepu, żadna z was nie będzie miała pracy! – zakończyła nasza przewodniczka.

Po wyjściu z sali pocztowej panna Underhill zwolniła nas na lunch. Poradziła, by skorzystać z tutejszej stołówki dla kobiet.

– Szybka obsługa i zdrowe posiłki za niewielką cenę. Ważne, żebyście miały czas na odpoczynek i zjedzenie czegoś pożywnego. To pozwoli wam zachować siły.

Kelnerzy dwoili się i troili, by obsłużyć setki pracowników odwiedzających stołówkę podczas przysługującej im czterdziestopięciominutowej przerwy na lunch. Gwar damskich rozmów odbijał się echem od ścian. Siedziałam z innymi nowo zatrudnionymi dziewczynami i słuchałam, jak zachwycają się jakimś filmem obejrzanym w kinematografie. Niektóre mówiły z obcym akcentem, a wszystkie jak osoby z niższej sfery. Kiedy kelner przyniósł nam wreszcie makaron z topionym serem, buraki z masłem i ciastka z rabarbarem, przerwa niemal dobiegła końca i musiałam pospiesznie przełykać jedzenie. Lunch nieco mnie wzmocnił, ale przypominało to bardziej udział w rozruchach niż wypoczynek.

Gdy wróciłyśmy do sali, panna Underhill wręczyła każdej z nas oprawioną w brązową skórę książkę sprzedaży. Ściskając ją w rękach, udałam się do działu artykułów toaletowych, tłumacząc sobie, że podrzędne stanowisko to żaden wstyd. Dziś nie mogłam już pozwolić sobie na unoszenie się dumą, jak wtedy, u Macy'ego, podczas pierwszej rozmowy o pracę.

W stoisku powitała mnie przystojna dama.

– Jestem panna Cohen, specjalistka do spraw sprzedaży dla tego działu. – Nosila ciemnobrązowy kostium dopasowany odcieniem do koloru włosów i oczu. Była chyba przed czterdziestką.

Serce zabiło mi mocniej. Chciałam zrobić na niej dobre wrażenie.

– Miło mi panią poznać.

– Witamy w dziale artykułów toaletowych.

Panna Cohen przesunęła się, robiąc mi miejsce za ladą. Weszłam do stoiska, udając, że czuję się zupełnie swobodnie.

– Tu, na parterze, mamy sporo pracy – powiedziała panna Cohen. – Nasz dział różni się od innych. Musimy zaproponować produkt dokładnie odpowiadający potrzebom klientki, zachowywać się jak lekarz badający pacjentkę. Proszę nie żałować czasu i dokładnie zapoznać się z towarem, który mamy na składzie.

– Jesteśmy specjalistkami – przytaknęłam. – Służymy darmową poradą, dzięki której klientka chętniej kupi nasz produkt.

– No właśnie. – Uniosła brwi z miną wskazującą, że jest mile zaskoczona.

– Bardzo dziękuję, że mogę tu pracować. Będę się starać.

– Sadie odpowie na wszystkie pytania – powiedziała panna Cohen, wskazując

stojącą za ladą młodą kobietę. – Proponuję, żeby dzisiaj pani się tylko przyglądała, a jutro rozpoczęła pracę. Opuszczę was teraz, mam spotkanie służbowe.

Po odejściu przełożonej spojrzałam na swoją towarzyszkę. Była to drobna, szczupła dziewczyna z bladą twarzą w kształcie serca i gęstymi kasztanowymi lokami zaczesanymi do góry w duży kok. W pierwszej chwili wydało mi się, że ma dołeczek w podbródku, potem jednak spostrzegłam, iż to ślad po ospie. Uśmiechnęłam się przyjaźnie i wyciągnęłam rękę.

– Jak się masz. Jestem Olive Westcott.

– Sadie Bernstein. – Z obowiązku oddała uścisk dłoni i obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Pracowałaś już w sklepie?

– Tak, ale pewnie wiele się muszę nauczyć.

– Na to wygląda.

– Panna Cohen wydaje się miła.

– Nie licz na to, że zostanie twoją przyjaciółką.

– Oczywiście, nie oczekuję...

– Jeśli nie uda nam się sprzedać towaru, który ona kupuje, będzie miała nieprzyjemności, a jeśli będzie miała nieprzyjemności, ty pierwsza wylecisz z roboty.

– Długo już tu pracujesz?

– Zapytaj raczej, kiedy tego nie robiłam.

Sadie odeszła poprawić włosy przed lustrem, a potem zajęła się klientką, a ja zaczęłam zapoznawać się z produktami. Maści wybielające do usuwania piegów, pachnące mydła w eleganckich opakowaniach, środki na pryszczę i płyny do usuwania włosów z twarzy. Oglądałam etykiety na pudełkach i buteleczkach – czytałam o składnikach i ich działaniu. Przysłuchiwałam się też Sadie obsługującej klientki, ale ona ożywiła się, dopiero gdy podeszła do nas dziewczyna częstująca klientów cukierkami.

– Co dziś w koszyku? – zapytała.

– Orzeszki w karmelu – odparła tamta, a Sadie wsunęła sobie kilka do kieszeni. – Ledwie zdążę napełnić koszyk, a już jest pusty.

Była naprawdę śliczna, miała oliwkową cerę, czarne oczy i lśniące czarne włosy upięte nisko w luźny kok. Akcent – mieszanka ze śródmieścia, przedmieść i Europy – dodawał egzotyki jej subtelnej urodzie. Uśmiechnęłam się niepewna, czy mnie zauważyła.

– Naprawdę im ludzie bogatsi, tym bardziej lubią napchać się za darmo – powiedziała. – Masz nową współpracownicę, Sadie? Czemu nas sobie nie

przedstawisz?

– Dopiero zaczęła – wyjaśniła Sadie takim tonem, jakby to była najważniejsza informacja.

– Jestem Olive Westcott – przedstawiłam się. – Jak się masz?

Staralam się nie gapić na jej wysokie kości policzkowe, idealne łuki brwi i pełne czerwone usta.

– Angelina Spinelli. Oto powitalny podarunek od sklepu. – Ukradkiem przesunęła cukierek po ladzie, a potem spojrzała ponad moim ramieniem. – Oho. McGillicutty patrzy na mnie złym okiem. Muszę iść.

– McGillicutty? – zapytałam.

– Inspektor – wyjaśniła Sadie.

– Lubi się srożyć – dodała Angelina. – Ale jest kochany. Do zobaczenia innym razem.

Patrzyłam, jak częstuje pana McGillicutty karmelkami. Pokręcił głową z niezadowoleniem, a potem, gdy już odchodziła, wyrwał jej cukierek z ręki. Angelina roześmiała się i poszła dalej, a on wrzucił sobie zdobycz do ust.

– Nie ma dzisiaj ruchu – stwierdziła Sadie, opierając się o oszkloną ladę.

– Czy jeśli przyjdzie więcej klientek, mogłabym którąś obsłużyć?

– Panna Cohen powiedziała, że masz się przyglądać, a ja nie życzę sobie kłopotów. Lepiej zajmij się tym. – Podała mi stos kawałków giemzy, kazała je pozwijać i przewiązać wstążeczkami.

Nie minęło dużo czasu, a do stoiska podeszła matrona ubrana w futrzany żakiet z mufką do kompletu. Zażyczyła sobie, żeby Sadie pokazała jej różne gatunki wody toaletowej. Pojawiły się też inne klientki, a ja starałam się nie widzieć ich rozgniewanych spojrzeń, gdy czekały, aż Sadie zacznie je obsługiwać. W końcu jakaś młoda kobieta wtrąciła się, pytając o szampon. I wtedy kątem oka zauważyłam, jak butelka wody toaletowej o zapachu kapryfolium znika w mufce starszej damy. Coś takiego, pierwszego dnia pracy w sklepie? Zastanawiałam się, czy udać, że niczego nie zauważyłam – w obawie, by nie wywołać krępującej awantury – gdy zauważyłam przechodzącego obok pana McGillicutty. Gestem poprosiłam go na drugi koniec stoiska i zawiadomiłam szeptem:

– Wydaje mi się, że w mufce tamtej pani znajdzie pan coś należącego do sklepu.

– Jest pani pewna? – odszepnął.

Z powagą skinęłam głową. Potem z bijącym sercem przyglądałam się, jak inspektor podchodzi do matrony i o coś ją pyta.

– Zapewniam, że pan się myli – oświadczyła.

Pan McGillicutty zaproponował, by przeszli do jego gabinetu.

– Sprawdzimy, czy wszystko jest w porządku, i będzie pani wolna.

Kobieta protestowała, dopóki nie spostrzegła, że wokół gromadzą się gapie w nadziei na widowisko. Inspektor skinął głową także i na mnie. Poszłam za nimi do gabinetu, modląc się w duchu, by cała sprawa nie okazała się moim przywidzeniem. Wstrzymałam oddech, a pan McGillicutty sięgnął w głąb mufki. Kiedy wyciągnął butelkę wody toaletowej, biedna kobieta się rozplakała. Moja ulga zmieniła się w litość.

– Proszę nie mówić mojemu mężowi – błagała. – On pracuje dla burmistrza! Cóż to byłoby za wstyd! Obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię.

Było mi przykro, że ją wydałam.

– Ponieważ jest pani naszą stałą klientką – powiedział inspektor – puścimy sprawę w niepamięć. Ale jeśli jeszcze raz panią przyłapię, nie będę już taki uprzejmy.

Oddał jej mufkę. Kobieta podpisała, że przyznaje się do kradzieży, i wyszła.

I to wszystko? Przestałam mieć wyrzuty sumienia.

– Naprawdę myśli pan, że to jej pierwszy raz? – zapytałam, gdy inspektor dopisał nazwisko złodziejki do listy osób, na które trzeba uważać.

– Niedługo znowu tu przyjdzie – prychnął. – Klasyczny przypadek kleptomanii. Wcale nie potrzebuje tych rzeczy – po prostu nie może się powstrzymać.

Po powrocie do stoiska opowiedziałam o wszystkim Sadie.

– To było straszne. Płakała i błagała go, żeby ją wypuścił. Powiedział, że to klasyczny przypadek kleptomanii.

– Bogaci zawsze są kleptomanami. Biedni to po prostu złodzieje.

– Pozwolił jej odejść.

– Zawsze wypuszczają bogatych. Inni idą do więzienia.

– To okropne.

– Jeszcze gorzej, kiedy ktoś coś świśnie, a ty nie zauważysz. Wtedy to my jesteśmy winne. W zeszłym miesiącu musiałam zapłacić za mydło, które ktoś ukradł ze stoiska. Dziesięć centów z własnej kieszeni.

– To niesprawiedliwe. – Pokręciłam głową.

– A tydzień temu spóźniłam się dziesięć minut z przerwy na lunch. Potrącili mi przy wypłacie pięć centów. Mają nas gdzieś, bo wiedzą, że na nasze miejsce czeka dziesięć innych dziewczyn.

– A tymczasem płacą tak mało, że nie da się z tego wyżyć. – Pragnęłam współczuciem zdobyć jej zaufanie.

– Dlatego mamy przyjaciół – odparła.

– Mówisz o dżentelmenach?

Czyżby ciotka Ida miała rację?

– Jasne, wszystkie mamy co najmniej jednego – roześmiała się Sadie. – Jak inaczej wiązałybyśmy koniec z końcem?

Po zamknięciu sklepu chwiejnym krokiem powędrowałam do szatni, torując sobie drogę w tłumie sprzedawczyń. Kręciło mi się w głowie, bolały mnie stopy, a plecy tęskniły za łóżkiem. Mimo to wolałam tętniący życiem sklep od domu pani Craven. Podeszłam do szafki i z radością zobaczyłam obok siebie Angelinę. Okazało się, że jej szafka jest dokładnie naprzeciwko mojej.

– Przetrwałaś pierwszy dzień? – zapytała, wsuwając kosmyki lśniących czarnych włosów pod błękitny filcowy kapelusz wykończony futrem.

– Strasznie bolą mnie stopy. A czeka mnie jeszcze droga do domu.

– Spróbuj wkładek do butów – poradziła. – A wieczorem wymocz nogi w gorącej wodzie z solą.

– Brzmi wspaniale. – Szkoda tylko, że w moim pokoju nie ma gorącej wody.

– W którą stronę idziesz? – Przyglądała się, jak poprawiam biały, ozdobiony futrem kapelusz. Była to jedna z kilku ładnych rzeczy, których nie sprzedałam Matildzie.

– Do Pierwszej Alei. Ale marzę o przeprowadzce. Za moim oknem przejeżdża pociąg i nie mogę w nocy zmrużyć oka.

– Zapytaj Sadie. Mieszka w pensjonacie dla pracujących dziewcząt. Zawsze ktoś tam się wprowadza albo wyprowadza.

– Bardzo dziękuję, zapytam. – Piękne dziewczyny przeważnie są zarozumiałe, ale Angelina wydawała się bardzo miła. – A ty gdzie mieszkasz?

– W śródmieściu. Za daleko, żeby iść pieszo po całym dniu na nogach, a za blisko na jazdę pociągiem. Każdego dnia biję się z myślami, czy zapłacić piąta za bilet, czy drałować na piechotę.

Po kolei odbiliśmy karty zegarowe. Angelina życzyła strażnikowi dobrej nocy, poszłam więc za jej przykładem. Nie odrywał od niej wzroku. Wcale mu się nie dziwiłam.

– Muszę zmykać – powiedziała, gdy wyszliśmy na Osiemnastą Ulicę. – Umówiłam się na obiad. Do jutra!

– Do jutra! – Po odejściu Angeliny zastanawiałam się, czy ona także ma przyjaciela.

7 listopada 1907 roku

Jestem wyczerpana, ale nie mogę zasnąć. Naprawdę stałam dzisiaj za ladą i udawałam ekspedientkę. Co by na to powiedział ojciec? Za kilka godzin znów wracam do sklepu. Pewnie tym razem nie będę już udawała.

– Wyglądasz na zmordowaną – zauważyła Sadie, gdy zdejmowałyśmy aksamitne okrycia ze szklanych gablotek.

– Oszaleję przez ten pociąg. Muszę znaleźć sobie inne mieszkanie. Angelina wspominała, że w twoim pensjonacie może być wolne miejsce.

– U mnie? Ale pamiętaj, że to nie hotel Waldorf. Gospodyni pilnuje nas jak strażniczka więzienna i wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

– Ile płacisz?

– Sześć dolarów za tydzień, w tym śniadanie, obiad i kawa, ale wyjątkowo paskudna.

– Ja płacę tyle samo bez wyżywienia.

Minął nas pan McGillicutty, który szedł właśnie zawiadomić odźwiernego, by otworzył klientom drzwi.

– Gdzie to jest? – zapytałam.

– Na Czternastej Ulicy między Pierwszą a Drugą Aleją.

Zaledwie kilka przecznic od pani Craven. Nadal będę mogła chodzić piechotą do pracy. Wstąpiła we mnie nadzieja, jakbyśmy naprawdę rozmawiały o hotelu Waldorf.

– Myślisz, że są wolne pokoje?

– Jasne, dla jednej osoby gospodyni zawsze znajdzie miejsce.

– Gdybyś mogła z nią porozmawiać, byłabym ci bardzo wdzięczna. Jeśli to możliwe, chciałabym wprowadzić się w niedzielę.

– Powiem jej o tobie dziś wieczorem. – Sadie odwróciła się w stronę kobiety, która zajrzała przez szybę w witrynie. – Czym mogę służyć?

Zaraz potem przy kontuarze pojawiła się następna osoba. Moja pierwsza prawdziwa klientka.

– Potrzebuję szamponu, ale mam bardzo suchą skórę głowy.

Pokazałam jej drogie mydło z dodatkiem oliwy i zasugerowałam, żeby używała go przynajmniej raz w tygodniu.

– Raz w tygodniu? Jeśli będę myła głowę tak często, stan skóry się pogorszy.

– Nie z tym mydłem. Oliwa ma właściwości nawilżające. Im częściej będzie pani go używać, tym zdrowsza będzie skóra – zapewniłam, patrząc jej prosto w oczy.

– Chyba spróbuję.

Wypisałam pierwszy rachunek i włożyłam go wraz z pieniędzmi do kapsuły. Wrzuciłam ją do otworu linii przesyłowej poczty pneumatycznej i spojrzałam na Sadie. Uśmiechnęła się do mnie. Kapsuła zniknęła, wessana w rurę.

Kiedy Sadie poszła zjeść lunch, sama obsługiwałam stoisko. Panna Cohen przyszła zobaczyć, jak mi idzie, i na koniec z aprobatą skinęła głową. Poczulałam ulgę, ale męczył mnie głód i pragnienie, żeby wreszcie usiąść. Marzyłam, żeby pojechać windą do restauracji na górze i zjeść kanapkę z sardynką, popijając ją chłodną lemoniadą.

Gdy Sadie wróciła, zapytałam, gdzie poza stołówką można tu zjeść lunch.

– Zwykle przegryzam coś w jadłodajni po drugiej stronie ulicy.

– A czy jest w sklepie jakieś ciche miejsce? Nigdy w życiu nie rozmawiałam z tyłoma osobami w ciągu jednego poranka i marzę o chwili spokoju.

– W pokoju wypoczynkowym dla personelu są wygodne fotele. Przyniosłaś ze sobą lunch?

– Nie.

– W takim razie musisz wyjść i coś sobie kupić.

– Gdzie będę miała najbliżej?

– Już ci mówiłam. W jadłodajni.

Marząc o wygodnym fotelu w pokoju wypoczynkowym, pobiegłam do szafki po kapelusz. Jeśli chcę posiedzieć kilka minut w spokoju, muszę się pospieszyć. Przynajmniej zaczerpnę trochę świeżego powietrza. Przebiegłam przez ulicę i znalazłam jadłodajnię, na której szybie wypisano listę tanich dań.

Mężczyzna za ladą, ze sprawnością magika, ułożył na talerzu kompozycję z kanapki z jajkiem na twardo, kilku plasterków pomidora i korniszona. Zapłaciłam i ruszyłam do drzwi, gdy ktoś zawołał mnie po imieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam Angelinę. Siedziała przy stoliku z trójką nieznajomych, kobietą i dwoma mężczyznami.

– Chodź do nas. – Pomachała zapraszająco ręką.

Do licha. Muszę zostać i wdać się w rozmowę z nimi, żeby nie poczuła się urażona. Podeszłam z uśmiechem, a jeden z mężczyzn przyniósł mi krzesło od

sąsiedniego stolika.

– Dla nowej dziewczyny – oznajmił z galanterią. Był przystojny – wyglądał niemal jak męska wersja Angeliny. Czy to jej ukochany? Tworzyliby razem wyjątkowo piękną parę.

– Mój brat Joe – przedstawiła go Angelina, jakby czytając mi w myślach. – Sprzęt sportowy na szóstym piętrze. Wielki flirtiarz, więc nie zwracaj na niego uwagi.

– Jesteście do siebie bardzo podobni – powiedziałam, ciesząc się, że to nie jej chłopak, i zła na siebie z powodu tej radości. Joe miał piękną cerę, ciemne oczy i zmysłowy uśmiech swojej siostry. Ale czarne kędziory, starannie przystrzyżony wąsik i klasyczne rzeźbione rysy sprawiały, że był raczej przystojny niż śliczny. Tak czy inaczej, nie miałam zamiaru zadurzyć się w którymś z pracowników. Nic nie powinno odwracać mojej uwagi od właściwego celu.

Angelina przedstawiła mnie Lucy, blondynce pracującej w stoisku z chusteczkami, oraz krzepkiemu mężczyźnie o imieniu Bill z działu meblowego na piątym piętrze.

– Bill właśnie narzekał na swoją żonę – poinformowała mnie Lucy.

– Uważa, że ciężka praca to zniewaga – wyjaśnił. – Rzuciła posadę zaraz po urodzeniu dziecka. A teraz ciągle biadoli, że musi cały dzień siedzieć w domu.

– Trudno jej się dziwić. – Angelina odsunęła pusty talerz po zupie. – Ja tam za nic nie dałabym się zamknąć z płaczącym dzieckiem.

– Ani postawić za ladą – dodał Joe.

– To dlatego, że fatalna ze mnie ekspedientka. – Odwróciła się w moją stronę. – Jestem modelką podczas sklepowych pokazów, ale to nieregularne zajęcia, więc kazali mi roznosić słodycze.

– Wydajesz się stworzona do pracy modelki – powiedziałam, zastanawiając się, czy nie widziałam jej podczas pokazu, po którym zdecydowałam się na kupno kostiumu.

– Prawda jest taka – oznajmił Joe – że paniom brakuje instynktu i dyscypliny, których wymaga sprzedaż.

– Chciałabym zobaczyć, jak sprzedajesz halki. – Angelina spojrzała na brata z pełnym wyższości uśmiechem.

Bill oświadczył, że potrafiłby w ciągu dnia sprzedać więcej halek niż jakakolwiek kobieta.

– Nieważny jest towar, liczą się umiejętności.

– Można je posiadać bez względu na płeć – zauważyłam. – Ale mężczyzna nigdy nie będzie kobietą, a klientki czują się z nami swobodniej, bo lepiej je rozumiemy.

– Co czyni z was lepsze przyjaciółki, a nie lepsze sprzedawczynie – stwierdził Joe.
– Jeśli o mnie chodzi, kobiet nie powinno się wpuszczać za ladę. Większość przyszła do pracy tylko po to, by poderwać jakiegoś bogatego durnia.

– A pan? – wyrwało mi się.

– Ja? – Oparł się o stół i nachylił w moją stronę. – Ja nie szukam bogatej wdówki, która zabierze mnie do kinematografu, jeśli o to pani chodzi.

Oblałam się rumieńcem.

– Czy to znaczy, że szukasz żony? – zapytała Lucy z zalotnym uśmiechem.

– Jeśli znajdę odpowiednią kandydatkę. – Wciąż patrzył prosto na mnie. Na szczęście byłam zarumieniona po tym, co powiedział wcześniej, więc nie zobaczył, jak znów się czerwienię.

– Co za bzdury – powiedziała Angelina. – Joe to urodzony kawaler. Nigdy się nie ożeni.

– Wcale mnie to nie dziwi – ośmieliłam się powiedzieć. – Chyba nie przepada za kobietami.

– Nic podobnego. Lubię je aż za bardzo. Zwłaszcza takie ładne jak pani.

Pokręciłam głową i wymieniłam rozbawione spojrzenia z Angeliną.

Joe odchylił się na krześle.

– Jest pani zbyt wytworna, by spodobał jej się taki łobuz jak ja. *Che peccato*. Mężczyzna może zajść daleko, gdy ma u swojego boku prawdziwą damę.

– Dostyc tych głupstw – oznajmiła Angelina, ciągnąc Joego za kołnierz. – Muszę wracać do sklepu i ty też.

– I ja – dodał Bill, podnosząc się z miejsca.

Lucy także wstała.

– Idę z wami.

Joe zmarszczył brwi i popatrzył na mnie z przesadną uwagą.

– Mam nadzieję, że nie będzie się pani czuła samotna.

– Proszę się o mnie nie martwić. Nic mi nie będzie. – Prawdę mówiąc, perspektywa zjedzenia kanapki w samotności, zgodnie z pierwotnym planem, bardzo mi odpowiadała. Bóg mi świadkiem, że pod spojrzeniem Joego nie byłabym w stanie niczego przelknąć.

*

Gdy nadszedł piątek, czułam się tak, jakbym pracowała w sklepie już pół życia.

– Moja skóra jest za bardzo sucha – narzekała kobieta z obskubanym rajskim ptakiem na kapeluszu. – Nic mi nie pomaga.

– Mamy znakomite kremy, w sam raz dla pani. – Sięgnęłam pod ladę. – Ten wspaniale nawilża.

– Krem, który kupiłam ostatnio w mojej drogerii, miał bardzo nieprzyjemny zapach.

– Ten jest zrobiony z ogórków. Pachnie ładnie i świeżo. – Wyjęłam z pudełka niebieski szklany słoiczek.

Muszę tylko doczekać wieczora i nadejdzie upragniony wolny dzień.

– Czy mogłaby go pani otworzyć?

– Bardzo mi przykro, ale nie wolno nam tego robić. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przeprowadzę się do pensjonatu Sadie.

– Sama nie wiem... Ogórek? Wiem, jak smakuje w mizerii, ale trudno mi go sobie wyobrazić w kremie. Rzeczywiście świetnie działa?

– O tak. Jest jak pokarm dla skóry. Sama używam go na noc – zapewniłam, jakby stać mnie było na taki wydatek.

– Gdybym mogła go wcześniej wypróbować...

– Niezmiernie mi przykro, ale słoik jest zapieczętowany z powodów higienicznych. Otwartego nie moglibyśmy sprzedać następnej klientce.

– Przecież jeśli wypróbuję krem w domu, też go później nie sprzedacie.

Miała rację i naprawdę żałowałam, że muszę jej odmówić.

– Bardzo panią przepraszam, ale takie obowiązują nas zasady. Ma przystępną cenę, dwadzieścia pięć centów, i sklep chętnie zwróci pani pieniądze, jeśli będzie pani niezadowolona.

– Jeszcze się zastanowię – powiedziała i odeszła.

Już miałam włożyć słoiczek z powrotem do pudełka, gdy ujrzałam w tłumie znajomą twarz. Była to Celia, dziewczyna, którą znałam ze szkoły. Zawsze podejrzewałam, że jest trochę zazdrosna o moją przyjaźń z Daisy. Kiedy podeszła bliżej, zauważyłam, że towarzyszą jej dwie inne koleżanki ze szkoły panny Hall.

Wyprostowałam się, by je z godnością powitać, lecz Celia popatrzyła na mnie, jakbym była powietrzem, po czym wszystkie minęły mnie i poszły dalej.

– Wiśnie w czekoladzie. – Angelina postawiła tacę na ladzie. – Chcesz jedną? Ja ich nie znoszę. Nie wiem, po co wczoraj siedziałam do późna. Dzisiaj łączę jak lunatyczka. Dobrze się czujesz?

– Tak. To znaczy nie. Przepraszam, co mówiłaś?

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Raczej sama stałam się duchem. Właśnie przeszło obok kilka znajomych panien. Daję głowę, że jedna z nich mnie zauważyła, ale nie zatrzymała się ani nie przywitała.

– Klienci nie uważają nas za ludzi. Jesteś tylko ekspedientką, chyba wiesz, co mam na myśli. Ja zaś dziewczyną częstującą słodyczami. A podczas pokazu manekinem, takim jak te na wystawie.

– Pewnie masz rację.

Właśnie odkładałam pudełko z kremem ogórkowym pod ladę, gdy szybkim krokiem podeszła do mnie Celia.

– Olive Westcott, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Przepraszam, że się nie zatrzymałam. – Zniżyła głos. – Moje biedactwo, nie chciałam cię zawstydzić przed tamtymi dziewczętami. Tylu ludzi teraz cierpi przez tę straszną sytuację na giełdzie.

– Jeżeli cierpię, to tylko z powodu śmierci ojca.

– Ojej, bardzo mi przykro. Nie wiedziałam. – Nachyliła się do mnie, stając tyłem do Angeliny. – Jakie to musi być dla ciebie upokarzające, pracować tu z pospólstwem. Obiecuję, że nikomu nie powiem. Muszę lecieć, dziewczęta czekają na mnie przy windzie. Nie martw się, dopilnuję, żebyśmy w drodze powrotnej nie przechodziły obok twojego stoiska.

Celia odeszła, a Angelina rzuciła za nią pełne złości spojrzenie.

– Niezły tupet ma ta dziewczyna, żeby tak do ciebie mówić.

Próbowałam się roześmiać.

– Nie wiedziałam, że trzeba się nade mną litować, dopóki mi o tym nie powiedziała.

– Miałam ochotę pobiec za nią i kopnąć ją w tyłek.

Sadie skończyła obsługiwać klientkę i też do nas podeszła.

– Coś mnie ominęło?

– Och, to była po prostu nieuprzejma klientka.

Angelina sięgnęła po tacę.

– Nie wiem, jak możecie wytrzymać za ladą. Ludzie są o wiele milsi, gdy daje im się coś za darmo.

– Taki właśnie jest mój chłopak – stwierdziła Sadie. – Tylko co ja z tego mam?

– Może czas, żebyś kazała mu płacić. – Angelina uśmiechnęła się drwiąco i ruszyła dalej przez sklep.

Po zakończeniu pracy pobiegłam za Angeliną do szatni.

– Dziękuję, że nie powiedziałaś Sadie o tych dziewczętach.

– Ona uwielbia, gdy ktoś ma przykrości. Napiałabyś się czegoś? Znam miejsce, parę ulic stąd, gdzie dają tanie dobre piwo.

Już miałam powiedzieć, że nie piję piwa, ale jakie to miało znaczenie? Byłam strasznie samotna, a ta piękna, pełna życia dziewczyna chciała spędzić ze mną wieczór.

– Z przyjemnością, dziękuję.

Szłyśmy Osieknastą Ulicą, a ja wdychałam świeże, wonne powietrze. Angelina miała zdrową, promienną cerę, śniadą mimo braku słońca.

– Pochodzisz z Włoch?

– Z Sycylii. Mam aż tak mocny akcent?

– Nie, bardzo lekki i brzmi przyjemnie.

– Przyjechałam tu z rodzicami, gdy miałam dziesięć lat – rzekła, przystając na krawężniku. – Teraz mam dwadzieścia dwa i wciąż nie mogę się pozbyć obcego akcentu!

– Nawet nie powinnaś.

Minął nas zamiatacz ulic. Nabierając na szuflę koński nawóz, mrugnął do Angeliny i powiedział coś po włosku, a ona się roześmiała.

– A ty? – zapytała. – Jesteś z Nowego Jorku?

– Urodziłam się w Cold Spring. Półtorej godziny stąd na północ pociągiem. Przeprowadziłam się niedawno... przed paroma tygodniami. – Takie przynajmniej miałam wrażenie. Manhattan, który poznawałam z ojcem, wydawał się leżeć na innej planecie.

– Sama? Musisz czuć się samotna jak kulek w płocie. – Policjant zagwizdał i przeszliśmy przez ulicę. – Nie martw się, niedługo zaprzyjaźnisz się z dziewczynami ze sklepu.

– Byłoby miło. – Pomyślałam, że to chyba niemożliwe. Nie dlatego, iż czułam się od nich lepsza, jak przypuszczała Celia. Po prostu większość była imigrantkami lub córkami imigrantów. Dorastałyśmy w zupełnie innych warunkach. Z drugiej strony Angelina też przecież była inna i wydawała mi się przez to jeszcze bardziej interesująca.

Zaprowadziła mnie do typowego saloonu, jakie często widywałam na Manhattanie, ale nigdy nie przypuszczałam, że się w którymś znajdę. Weszłyśmy drzwiami dla kobiet. Betonowa podłoga wysypana była białym piaskiem. Ściany pokrywały

reklamy piwa. W powietrzu unosił się zapach dymu i alkoholu. Usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy lepkiem stoliku w głębi sali. Zza drzwi prowadzących na męską stronę dobiegały dźwięki muzyki honky-tonk. Przy drugim stoliku siedziała samotnie chuda jak szczapa kobieta z umalowanymi ustami i uróżowanymi policzkami. Paliła papierosa. Podszedł do nas krępy kelner i Angelina zamówiła dwa piwa.

– Nigdy nie byłam w takim miejscu – powiedziałam.

– Litości! – Przyglądała mi się, kręcąc lok na palcu. – Trudno cię rozszyfrować.

– Co masz na myśli?

Czerwone usta uśmiechnęły się do mnie przyjaźnie.

– Taka dziewczyna z klasą powinna robić w sklepie zakupy, a nie pracować. Twoja znajoma mówiła prawdę, jesteś za dobra na ekspedientkę.

– Wręcz przeciwnie. Miałam szczęście, że udało mi się dostać tę posadę.

Angelina wypuściła kosmyk z palców i nachyliła się w moją stronę.

– Jesteś w trudnej sytuacji, bo straciłaś papę, prawda?

– Skąd wiesz? – Wytrzeszczyłam na nią oczy.

– Mówiłaś o tym tamtej dziewczynie. I masz smutne oczy. Przepraszam, nie powinnam się wtrącać.

Czy zwierzyć jej się z tego, co mnie spotkało? Zawahałam się. Nie chciałam, żeby o moich kłopotach plotkowały sprzedawczynie.

– Nie powiesz nikomu w pracy?

– Nikt nie potrafi lepiej dochować tajemnicy niż Angelina Spinelli. Ale nie musisz mi niczego mówić, jeżeli nie chcesz.

Potrzeba zwierzeń zwyciężyła. Nie zwracając uwagi na szklany kufel, który postawił przede mną kelner, zaczęłam opowiadać o ojcu, a Angelina patrzyła na mnie w milczeniu przenikliwymi czarnymi oczami. Pod wpływem jej współczucia wzruszyłam się i nagle wszystko się ze mnie wylało – nawet opowieść o finansowej ruinie.

– Biedactwo – odezwała się, kiedy skończyłam. – To naprawdę szczyt wszystkiego. Straciłaś jednocześnie ojca i cały majątek.

Zacisnęłam usta. Czy nie powiedziałam zbyt wiele?

– Napij się piwa – zaproponowała.

– Właściwie nie piję.

– Dobry moment, żeby zacząć.

Nieśmiało pociągnęłam łyk. Było tak gorzkie, że z trudem je przełknęłam.

– Niepotrzebnie się tak rozgadałam. Na pewno masz własne kłopoty. Pewnie myślisz, że jestem strasznie rozpieszczona.

– Niby dlaczego? Myślę, że gorzej spać z wysoka, niż cały czas tkwić na dole i nawet nie wiedzieć, co jest po drugiej stronie. Na pewno byłaś zżyta ze swoim papą.

– Tak. – Kurczowo zacisnęłam w dłoniach chusteczkę. Ból głowy z czoła promieniował ku skroniom. Cała stężałam, jakby napięcie mięśni mogło przytłumić uczucia.

Angelina sięgnęła poprzez stół i delikatnie uścisnęła moją rękę.

– Musisz strasznie za nim tęsknić – zauważyła ze współczuciem, a mnie opuściła duma i wybuchnęłam gwałtownym szlochem.

– Proszę, nie zwracaj na mnie uwagi.

Kobieta przy sąsiednim stole przyglądała się nam, wydmuchując kłęby dymu. Wyciągnęłam chusteczkę i kryjąc w niej twarz, wytarłam nos. Próbowałam się uspokoić.

– Nie zachowywałabym się tak, gdybym nie była strasznie zmęczona. Przez cały tydzień ani razu się nie wyspałam.

– Pociągi?

Smętnie pokiwałam głową.

– Mam spotkać się w niedzielę z gospodynią Sadie.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Pani Almond lubi zrzędzić, ale traktuje dziewczyny dobrze i utrzymuje porządek w pensjonacie.

– Mieszkasz tam?

– Mieszkałam, kiedy zaczynałam pracę i papa wyrzucił mnie z domu.

– Nie chciał, żebyś pracowała?

– Miałam siedzieć w domu i pomagać mamie sprzątać po wszystkich. Chybabym się zabiła. Przy pięciu braciach nasprzątałam się już dość na całe życie.

Pięciu braci! Czy wszyscy są równie przystojni jak Joe?

– Jesteś najstarsza?

– Przedostatnia. Joe urodził się rok później, to nasze maleństwo.

Czyli jest rok ode mnie starszy.

– Szkoda, że ojciec nie potrafił docenić twojej pracy.

– Docenić? Według niego zmierzam prosto do piekła. Kiedy poszłam do roboty,

przestał się do mnie odzywać i oznajmił, że dla niego umarłam. Posyłałam im czasem trochę pieniędzy, ale je odsyłał, jakbym zarabiała w nocy na ulicy. W końcu Joe przyprowadził go do sklepu. Papa nigdy w życiu nie widział tak wspaniałego miejsca, nawet we Włoszech. Przebaczył mi na tyle, że zaczął przyjmować pieniądze. Oczywiście nawet mu nie wspomniałam o pokazach mody – z powrotem wpadłby w szal. Ale i tak ze mną nie rozmawia.

– A gdzie pracuje?

– Bierze każdą robotę, jaka mu się trafi. Kopanie tuneli, brukowanie ulic, budowa kanałów. Chyba znasz ten żart? Facet jedzie do Ameryki i myśli, że ulice są tu brukowane złotem. Tymczasem nie ma żadnego złota na ulicach, za to on musi je brukować. – Roześmiała się serdecznie.

Ja także się uśmiechnęłam.

– Trzeba było odwagi, żeby mu się sprzeciwić.

– Nie nazbyt wielkiej. Zresztą oni i tak wyjechali już z Nowego Jorku. Brat papy ma w San Francisco *ristorante* i chce otworzyć drugą. Namówił rodziców, żeby się tam przenieśli. Moi starsi bracia pojechali razem z nimi. Podobno miasto po trzęsieniu ziemi przeżywa okres rozkwitu – Angelina uśmiechnęła się szeroko. – Mnóstwo ulic do brukowania.

– Nie chciałaś im towarzyszyć ?

– Już zaczęli gadać o wydaniu mnie tam za jakiegoś kuzyna, którego nie widziałam na oczy. *Dio non voglia*. Mama nie może się doczekać, kiedy jej dzieci się poženią i będzie miała kupę wnuków. Rodzice myślą, że ciągle mieszkają w starym kraju. Mama nie mówi ani słowa po angielsku i nie ruszyła się na północ dalej niż na Broom Street. Nienawidziła Nowego Jorku.

– Pewnie tęskni z ojczyzną.

– Tylko dlatego, że zapomniała, jak zdychali tam z głodu. Papa też nie lepszy. Wydaje mu się, że robi z Ameryki drugie Włochy. Spróbuj mu wytłumaczyć, że będzie odwrotnie.

– A Joe? Czemu nie pojechał do San Francisco?

– Miał tu dziewczynę i pracę w sklepie. Ale okazało się, że bracia łowią ryby w zatoce i dobrze zarabiają, więc teraz chce do nich dołączyć.

– A co z dziewczyną?

– Znajomość przetrwała miesiąc. I tak dłużej niż inne. Mam nadzieję, że nie zamierzasz się w nim zakochać.

– Nie martw się – roześmiałam się. – To wykluczone.

– Wpadłaś mu w oko.

– Nie mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Uważasz, że jest dla ciebie zbyt pospolity?

– Nie. – Może i był, ale nie chciałam wydać się zarozumiała. – Po prostu w zbyt wielu sprawach mielibyśmy różne zdania. Chodzi mi zwłaszcza o jego poglądy na temat kobiet. Zresztą nie zgadzam się w tej kwestii z większością mężczyzn. Pewnie dlatego nie miałam dotąd adoratora. I nigdy nie byłam zakochana. Czasem zastanawiam się, czy to w ogóle nastąpi.

– Nie martw się, na pewno się zakochasz i jeszcze zdążysz tego pożałować. Zwłaszcza jeśli spodoba ci się taki łobuz jak Joe.

– Jest bardzo przystojny.

– I dobrze o tym wie. Joe to typowy Włoch – uważa się za Boga, a mama go w tym utwierdza. Ja zaś przynoszę tylko wstyd rodzinie.

– Cóż, moim zdaniem całkowicie się mylą. Uważam, że jesteś wspaniała. Spójrz, jak świetnie umiesz o sobie zadbać. Powinnaś być dumna.

– Ty też. Przecież sama się utrzymujesz.

Uniosłam kufel, wciąż niemal pełen piwa.

– Za nas obie, za to, że świetne z nas dziewczyny.

Angelina stuknęła o niego swoim, niemal pustym kuflem.

– *Salute.*

– *Salute.*

Wypiła do dna i odstawiła triumfalnie naczynie.

– Dobrze było. – Spojrzała na mój. – Chyba nie ma sensu czekać, aż dokończysz.

– Pewnie musiałybyśmy siedzieć tu przez całą noc.

– Czy to nie okropne, że wieczorne godziny mijają tak szybko? Ani się obejrzysz, a już musisz iść spać, zaraz potem wstajesz i znowu jesteś w sklepie. Wychodzimy?

Wolałabym zostać całą noc w saloonie z Angeliną, niż wracać do mojego okropnego pokoju.

– Wychodzimy.

Rozdział 21

Amanda

Zapaliłam światło i szybko rozejrzałam się po sklepie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Wzdłuż jednej ściany wisiały na wieszakach damskie stroje podzielone według dekad. Naprzeciwko były ubrania dla mężczyzn, buty, duże lustro i maleńka przebieralnia za zasłonką. Na środku sklepu na kilku stołach leżały torebki, rękawiczki, szaliki i okulary przeciwsłoneczne. Ja siedziałam w głębi, za ladą, na której pod szkłem leżała sztuczna biżuteria i rozmaite drobiazgi.

Włączyłam płytę z przebojami z lat sześćdziesiątych. Sklep wypełniły dźwięki *Do You Believe in Magic?* zespołu Lovin' Spoonful. Usiadłam za ladą, za którą miałam tkwić aż do ósmej. Moja pomocnica, Bettina, przychodziła w weekendy i w dni, kiedy odwiedzałam aukcje i pchle targi, ale na ogół sama otwierałam i zamykałam sklep. Właśnie zaglądałam do szuflady z pieniędzmi, gdy przyszedł SMS od Jeffa.

Ciągle zła z powodu zeszłego wieczoru? Pogadajmy.

Uważał, że to kolejna kłótnia, po której po prostu pocałujemy się na zgodę. Kusilo mnie, by tak właśnie się zachować; zastanawiając się, co odpowiedzieć, włączyłam komputer, który tak zaprogramowałam, by móc go używać jako kasy. Ciągle jeszcze nic nie odpisałam, gdy do sklepu weszły dwie klientki.

Okazało się, że to matka i córka, studentka Uniwersytetu Nowojorskiego; matka przyjechała z wizytą i pragnęła kupić córce jakiś ładny prezent. Dziewczyna miała wspaniałą figurę i chyba we wszystkim wyglądała dobrze. Zająłam się zdejmowaniem ubrań z wieszaków i doradzaniem. Serce mi rosło, gdy patrzyłam, jak te kobiety dobrze się ze sobą czują. Czy kiedykolwiek zostanę mamą? Córka w końcu zdecydowała się na kwiecistą, ozdobioną koronką sukienkę z lat dwudziestych i uroczy różowy komplet – bluzkę i szorty w kropki.

Kiedy wyszły, sięgnęłam po telefon i napisałam odpowiedź.

Uważasz, że nie mówiłam poważnie, ale się mylisz. Proszę, nie kontaktuj się ze mną więcej. Jeżeli w chwili słabości napiszę albo zadzwonię do Ciebie, bądź tak dobry i nie zwracaj uwagi. Dzięki.

Co prawda, pozostawała jeszcze sprawa mojego długu. Co mam napisać? Zanim coś wymyśliłam, weszła kolejna klientka poszukująca rozpaczliwie sukni koktajlowej. Znów odłożyłam komórkę, nie zdążywszy wysłać wiadomości.

– Jakaś specjalna okazja? – zapytałam.

– Obiad z pięcioma koleżankami. Pierwsze spotkanie od dziesięciu lat.

– Brzmi wspaniale.

– Tylko że wszystkie są mężatkami z dziećmi, a ja właśnie się rozwiodłam i nie chciałabym wyglądać na ofiarę losu. Byłam już w domach towarowych, ale nic mi się nie podobało. A potem wpadło mi do głowy, żeby wybrać coś vintage.

– Świetny pomysł. Zaraz pokażę pani kilka rzeczy, które powinny pasować. Założę się, że kiedy gospodynie domowe panią zobaczą, same poczują się jak ofiary losu.

Klientka była wyzwaniem: szerokie biodra, wąska talia i obwisłe przedramiona. Zaproponowałam jej kilka sukienek. W dwóch pierwszych nie wyglądała najlepiej, ale liczyłam na czarną szyfonową kreację z lat sześćdziesiątych. Miała przezroczyście rękawy ozdobione na mankietach piórami marabuta.

– Przepiękna! – Kobieta uniosła w górę ramiona. – Rękawy są wspaniałe, ukrywają cały tłuszcz. Jest pani geniuszem. Bardzo dziękuję. Teraz naprawdę myślę z przyjemnością o tym wieczorze.

Gdy z powrotem przebierała się w swoje rzeczy, odwiesiłam pozostałe sukienki na stojak. Właśnie dlatego lubię moją pracę. Sprzedawanie w internecie nigdy nie dałoby mi takiej satysfakcji.

Po wyjściu klientki zadzwoniłam do barku i zamówiłam kanapkę z indykiem, po czym wróciłam do pisania wiadomości.

Chcę Ci oddać dług. Ustalmy sposób płatności i po przejrzaniu rachunków zacznę przysyłać czeki Twojemu księgowemu.

Stłumiłam chęć wspomnienia o problemach z wynajmem i nacisnęłam „Wyślij”. Inaczej wiadomość byłaby zbyt niejednoznaczna. Jeff uznałby, że to prośba o pomoc, zaproponował pożyczkę, a pokusa, by ją przyjąć, mogłaby okazać się zbyt silna. Wyjęłam z torby dziennik Olive, tymczasem do sklepu weszła kobieta po pięćdziesiątce ubrana w luźną sukienkę z lat sześćdziesiątych i ruszyła prosto w stronę wieszaka z przecenionymi ubraniami.

– Szuka pani czegoś konkretnego? Może pomóc? – zapytałam.

– Nie, dziękuję, tylko oglądam – odparła.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się, rozpoznając jedną ze stałych klientek. Kupiła ode mnie sukienkę, którą miała na sobie. Pozwoliłam jej w samotności cieszyć się polowaniem, a sama zagłębiłam się w lekturze.

Rozdział 22

Olive

Sadie przedstawiła mnie swojej gospodyni i wyszła, a ja zostałam sama na placu boju. Pani Almond była pulchną kobietą, która próbowała ukryć dziobatą cerę pod grubą warstwą pudru. Nie tracąc czasu, podała w wątpliwość moje prowadzenie się i wartości moralne.

– W pokoju nie wolno przyjmować gości – oświadczyła z rozdrażnieniem w głosie, jakbym już zdążyła ją zapytać, jak długo może pozostawać u mnie mój wielbiciel. – Prowadzę porządną pensjonat.

Wiedziałam, że nie powinnam traktować tego osobiście.

– Nie sądzę, żeby ktoś mnie odwiedzał.

Pani Almond zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Dokładnie o dziesiątej wieczór zamykam drzwi frontowe na klucz.

– O dziewiątej zamierzam już spać.

– Biorę sześć dolarów tygodniowo – za pokój, śniadanie i obiad.

– Zgadzam się.

Uniosła podbródek, żeby pokazać mi, kto tu rządzi.

– Jeden tydzień spóźnienia z czynszem i do widzenia.

– Zapłacę z góry.

– Ja też mam swoje wydatki – prychnęła. – A wy, dziewczęta, jakbyście tego nie rozumiały.

Uznałam jej słowa za zgodę i wyjęłam portmonetkę.

16 listopada 1907 roku

Tygodniowe zarobki – 7\$

Wydatki:

mieszkanie (w tym śniadanie i obiad) – 6\$

lunch, 7 dni x 10 centów – 0.70\$

gazeta 3 dni x 2 centy – 0.06\$

znaczkki – 0.04\$

banany – 0.10\$

tonik – 0.10\$

guma do żucia – 0.06\$

pralnia – 0.18\$

kołnierzyk – 0.15\$

W sumie – 7.39\$

Nie licząc ubrań, lekarstw czy rozrywek. Niedługo skończą mi się pieniądze od Matildy. Co wtedy pocznę? Wielu ludzi uważa, że praca poniża kobiety. Cóż za zacołanie. Problem nie polega na tym, czy powinniśmy pracować, czy nie. Panna Underhill powiedziała, że dom towarowy Siegel--Cooper zatrudnia trzy tysiące sprzedawców, z czego 76% stanowią kobiety. Jak mają uniknąć poniżenia, jeśli dostają pensję tak małą, że nie wystarcza im na utrzymanie?

Leżałam na wąskim łóżku i gapiłam się na karalucha, który łąził po łuszczącej się tapecie. Za oknem, zamiast przejeżdżających pociągów, miałam teraz ciemny szyb wentylacyjny. Pokój był jeszcze mniejszy – nie starczyło w nim nawet miejsca na stół. Szuflady komody otwierały się z trudem, a obdrapaną podłogę tylko częściowo przykrywał spłowiały zielony dywanik ze szmatek – pozostałość po poprzedniej lokatorce. Rzuciłam butem w karalucha, ale nie trafiłam. Paskudztwo nie ruszyło się z miejsca. Popatrzyłam na jego drgające czułki, a potem zamknęłam oczy i usnęłam tak smacznie, jak chyba nigdy w życiu.

Obudził mnie dzwonek. Mieszkałam w pensjonacie już od tygodnia i wciąż nie mogłam przywyknąć do rozbrzmiewającego co rano paskudnego brzęczenia. Tylko strach przed spóźnieniem na śniadanie wyгнаł mnie z łóżka. Powłokłam się na dół do jadalni i znalazłam wolne krzesło obok nauczycielki poprawiającej właśnie uczniowskie wypracowania. Popijając słabą kawę, słuchałam, jak siedząca naprzeciw mnie telefonistka uskarża się na swojego szefa. Smak kromki świeżego chleba psuła margaryna podawana tu zamiast masła. Żadnego dżemu. Zaraz musiałam wychodzić.

Pensjonat opuszczał tłum zdążających do pracy dziewcząt. Ponieważ mieszkałyśmy na wschodnim krańcu miasta, prawie wszystkie kierowałyśmy się na zachód. Jedne dziewczyny szły piechotą, inne jechały tramwajami, jeszcze inne wspinały się po schodach na stację kolei nadziemnej lub schodziły do metra. Kątem oka zauważyłam Sadie czekającą na tramwaj. Uznałam, że jazda zatłoczonym wagonem nie jest warta pięciu centów, i poszłam w ślady kobiet, które wędrowały już pieszo Czternastą Ulicą. Kiedy dotarłam do wejścia dla personelu, zakorkowanego z powodu kolejki do zegarów kontrolnych, okazało się, że stoję tuż obok brata

Angeliny.

– *Buongiorno*, panno Westcott.

– Dzień dobry, panie Spinelli.

Małymi kroczkami posuwaliśmy się do przodu. Nie wiedziałam, co powiedzieć, przejęta bliskością górującej nade mną wysokiej atletycznej postaci. Po kolei odbiliśmy karty zegarowe. Joe uniósł kapelusz, mruknął *Ciao* i skręcił do męskiej szatni.

W damskiej szatni kobiety w pośpiechu tłoczyły się i przepychały, starając się zdążyć na czas do swoich działów. Dopiero gdy dotarłam do stoiska, mogłam swobodnie odetchnąć. Byłam na własnym terytorium. Teraz tłum falował i napierał po drugiej stronie lady.

Patrząc na otaczający mnie zamęt szklistymi oczami osoby, która nie do końca się przebudziła, dumałam o porannym spotkaniu z Joem Spinellim. Było naprawdę miło. Ten młodzian – dopóki nie otworzył ust – mógł wzbudzić w każdej dziewczynie podziw dla płci męskiej.

– Czemu się uśmiechasz? – Obok stanęła Sadie.

– Tak sobie – odparłam z niewinną miną.

Szybko się otrząsnęłam i zapytałam klientkę, czym mogę służyć. Pokazując butelkę wody toaletowej, zganiłam się w duchu za snucie marzeń o Joem Spinellim. Jeżeli chcę dostać podwyżkę, muszę zrobić wrażenie na pannie Cohen i wyróżnić się spośród innych dziewcząt. Postanowiłam jeszcze dziś porozmawiać z nią o swoim pomysle.

Podczas przerwy zamiast na lunch poszłam do jej gabinetu i zapytałam, czy znajdzie dla mnie chwilę.

– Choćby teraz. – Wskazała krzesło po przeciwnej stronie biurka.

Opowiedziałam jej o pomysle, by oferować klientkom próbki kremów i balsamów.

– Tracimy szansę na sprzedaż, bo klientki boją się kupować nowości. Jeśli pozwolimy im wypróbować produkt w sklepie, tak jak robią to w działach z artykułami spożywczymi i gospodarstwa domowego, na pewno sprzedamy więcej towaru. Wystarczy tylko przygotować jedno otwarte opakowanie.

– I pozwalać wszystkim wtykać palce w krem?

– W ten sposób klientki będą mogły go zobaczyć, dotknąć i powąchać. Nie będą się obawiały problemów przy oddawaniu niechcianego produktu, a w stoisku spadnie liczba zwrotów.

– Ale to niehigieniczne. Jedzenie możemy przynajmniej podzielić na osobne

porcje.

– Jeśli dostaną coś za darmo, nie będą martwić się zarazkami – w każdym razie większość z nich nie będzie. Zresztą nikogo przecież nie chcemy do niczego zmuszać. Po prostu stworzymy klientkom taką możliwość.

– Chyba ma pani słuszność.

– Jeśli przystaną przy ladzie, żeby wypróbować krem, będę mogła im opowiedzieć, jak wspaniale działa. Założę się, że wtedy chętniej wydadzą na niego pieniądze.

– Myślę, że to dobry pomysł. Porozmawiam z panem Voglem.

Pan Vogel, dystyngowany mężczyzna, którego kilka razy widziałam na terenie sklepu, był jednym z wicedyrektorów.

– Byłoby wspaniale. Dziękuję, panno Cohen.

– I ja dziękuję, panno Westcott.

Pospieszyłam do stołówki, by przegryźć coś, zanim znów stanę za ladą. Spotkanie wypadło tak dobrze, że nie żałowałam nawet, iż przepadł mi lunch ze znajomymi w jadalni.

Wreszcie przyszedł list od ciotki Idy. Niecierpliwie rozdarłam kopertę, chcąc poznać najnowsze wieści o naszej sytuacji finansowej. Z radością odkryłam, że przesłała mi także list od Daisy. Od miesiący nie miałam od niej żadnych wiadomości. Postanowiłam jednak zachować go na później i najpierw przeczytać list od ciotki. Zawiadamała, że bank zgodził się przez rok nie pobierać procentu od długu, jeśli tylko co miesiąc będzie spłacać raty. Żeby mieć jakiś dochód, przyjęła do domu lokatorów, a Margaret umówiła się z miejscowym sklepikarzem, że będzie mu dostarczać ciasta na sprzedaż. Przed świętami dostała duże zamówienie i ciotka namawiała mnie, żebym przyjechała na Boże Narodzenie do domu i pomogła w pieczeniu. Niestety, moja sypialnia była zajęta. Będę musiała spać na rozkładanym łóżku w gabinecie. Uznałam, że to nie najlepszy sposób na spędzanie wolnych dni. Odłożyłam list na bok.

Wiadomość od Daisy była, ku memu rozczarowaniu, krótka, a do tego nie zawierała niczego, co mogłoby mnie zainteresować. Najpierw przeproszała, że taka kiepska z niej korespondentka. Potem informowała, że w Londynie wciąż czuje się niebiańsko. Choć zajęcia na Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych się skończyły, nie chcą z matką na razie wracać i rozważają możliwość spędzenia kilku tygodni w Rzymie.

Nie mogłam się przemóc, żeby jej odpisać. Nie wiedziała nic o zmianach, jakie zaszły w moim życiu – nawet o śmierci ojca. Jak mogłam wyznać, że teraz moją

największą przyjemnością będzie dodatkowy dzień wolny z okazji Bożego Narodzenia? Zresztą nawet to już mnie tak nie cieszyło. Odpisałam jednak ciotce, że przyjadę. Ostatecznie innej rodziny nie miałam i nie byłam w Cold Spring od pogrzebu ojca.

Przyszły mrozy, a miasto ogarnęła przedświąteczna gorączka zakupów. Ludzie kupowali jak szaleni i minione dwa miesiące wydawały nam się teraz dziecinną rozrywką. Giełda poszła w górę i wszystkich ogarnęła chęć wydawania pieniędzy, jakby ich przepuszczanie gwarantowało, że ciężkie czasy na dobre się skończyły. By zaspokoić potrzeby armii spragnionych towarów klientów, sklep był otwarty do dziesiątej wieczorem.

Dłuższe godziny pracy dużo gorzej służyły ekspedientkom. Walczyłam z ciągłym zmęczeniem i obsługiwałam klientów automatycznie niczym mechaniczny wróźbita zamknięty w szklanej skrzyni w Eden Musée.

23 grudnia 1907 roku

Sklep miał być zamknięty o godzinie szóstej wieczorem, ale kilku ostatnich klientów nie chciało wyjść. Pan McGillicutty musiał zadzwonić po policję, żeby wyprowadziła ich za drzwi! Wróciłam do domu tramwajem, zjadłam trochę chleba z serem i przebrałam się w nocną koszulę. Teraz leżę w łóżku i jestem tak podniecona jak wtedy, gdy byłam mała i wiedziałam, że po przebudzeniu dostanę prezenty. Tylko teraz moim „prezenterem” są wolne dni. Niestety, muszę je spędzić w Cold Spring.

Rano nie usłyszałam dzwonka. Co jakiś czas budziłam się tylko po to, by znów zapaść w sen. W końcu ubrałam się i zeszłam na dół. Kobieta, która pracowała w hotelowej restauracji, popijała w jadalni herbatę. Życzyłyśmy sobie nawzajem wesołych świąt i dosiadłam się do niej ze śniadaniem.

– Strasznie dziś zimno na dworze – powiedziałam, myśląc z lękiem o mojej podróży do Cold Spring.

– Przyszedł mróz. – Podała mi poranną gazetę. – I piszą, że może spaść śnieg.

W artykule ostrzegano podróżnych, by spodziewali się najgorszego. Przez przeciągającą się budowę Grand Central Station spóźniały się pociągi, a na dworcu były dzikie tłumy.

– Myślałam, że wszyscy już wyjechali z miasta.

– Według mnie mamy dużo szczęścia, że siedzimy tu sobie w cieple, nawet jeśli takie święta mogą wydawać się nudne.

– Chyba pomogła mi pani podjąć decyzję. Przepraszam, zaraz wracam.

Poszłam do wiszącego w korytarzu telefonu. Najlepiej od razu załatwić sprawę, żeby móc potem w spokoju zjeść śniadanie. Słuchawkę podniósł mężczyzna – jeden z lokatorów. Dziwnie było pomyśleć, że w moim domu mieszka teraz obcy człowiek. Przedstawiłam się i poprosiłam do telefonu ciotkę Idę.

– Właśnie stoi przy piecu – oznajmił. – Proszę poczekać.

Stałam, starając się uspokoić nerwy. Po chwili mężczyzna wrócił.

– Niestety, ciocia nie może teraz odejść od kuchni.

Ucieszyłam się w duchu.

– Proszę jej przekazać, że bardzo mi przykro, jednak nie będę mogła przyjechać. Niech pan jej złoży ode mnie życzenia wesołych świąt.

– Oczywiście. Szkoda, że pani nie będzie. Ciasta w piecu pachną wspaniale.

Podziękowałam mu i poprosiłam, żeby zjadł kawałek za mnie.

25 grudnia 1907 roku

Moje pierwsze Boże Narodzenie spędzane bez rodziny. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo tęsknię za ojcem. Gdyby nie radość, że wreszcie mogę w spokoju odpocząć i mam czas dla siebie, na pewno czułabym się samotna i nieszczęśliwa.

W ostatni tydzień 1907 roku w sklepie wciąż panował wielki ruch. Kłębiły się tłumy klientów, którzy zwracali prezenty i korzystali z poświęconych wyprzedaży. Gdy wreszcie trzydziestego pierwszego grudnia nadeszła godzina zamknięcia, z ulgą okryłam kontuar czarnym aksamitnym pokrowcem.

– Panno Westcott?

Uniosłam wzrok i ze zdumieniem ujrzałam przed sobą wicedyrektora, pana Vogla. Za młodych lat musiał być przystojny, dziś jednak przerzedzone, siwiejące włosy i wystający brzuch robiły swoje.

– Tak, proszę pana.

Ukryte pod gęstymi podkręconymi wąsami usta wygięły się w uśmiechu.

– Chciałem się z panią przywitać. Słyszałem, że jest pani świetną pracownicą.

– Dziękuję, panie Vogel.

– Panna Cohen bardzo panią chwali.

– Wiele się od niej nauczyłam.

– Odniosłem wrażenie, że to raczej pani odegrała rolę nauczycielki. Pomysł

z próbkami kosmetyków był pierwszorzędny. Wprowadzimy je po Nowym Roku. Proszę się dalej starać – powiedział i odszedł.

Na dole w szatni zastanawiałam się, czy podzielić się dobrymi wieściami z Angeliną, ale postanowiłam tego nie robić. Nie chciałam wyglądać na samochwałę.

– Nie mogę uwierzyć, że ten rok nareszcie się skończył – rzuciłam krótko.

– Nie masz ochoty wybrać się na Times Square, żeby powitać nowy? – zapytała.

– W takie zimno? Będzie straszny ścisk. – Wyprawa tam wydawała mi się męczarnią pod przykrywką dobrej zabawy.

– Ależ jest wspaniale, kiedy kłębią się takie tłumy. A potem o północy wszyscy szaleją i wrzeszczą „Szczęśliwego Nowego Roku!”. Zresztą jutro sklep jest zamknięty, więc chociaż raz możemy pójść później spać. Może się jednak wybierzesz, bardzo proszę – dodała, uroczo wydymając wargi.

Musiałam się uśmiechnąć, poza tym pochlebiło mi, że wybrała właśnie mnie.

– Jak mogłabym odmówić?

– Będziemy się dobrze bawić. Obiecuję – powiedziała, po czym odeszła, by zaprosić kilka innych dziewczyn. Poczułam się jak idiotka i omal się nie wycofałam, lecz na myśl o samotnym siedzeniu w pokoju ogarnęło mnie przygnębienie. Przynajmniej będzie to jakaś przygoda.

Nasza siedmioosobowa grupka wcisnęła się do tramwaju, w którym ledwie było gdzie postawić stopę. Wsiadliśmy na Czterdziestej Drugiej Ulicy, zamieniając ciasne, klaustrofobiczne więzienie w wagonie na wolność przepychania się wśród wędrujących tłumów. Restauracje pękały w szwach, a przed teatrami stały długie kolejki. Lawirując między przechodniami, zastanawiałam się, co oni wszyscy właściwie świętują. To, że dożyli kolejnego roku? Cóż jest tak cudownego w życiu?

– To głupie – oceniła Angelina, biorąc mnie pod rękę. – Mieszkamy w jednym z najwspanialszych miast na świecie, a rzadko kiedy wychylamy nosa poza swoją dzielnicę. Nigdy nie zapomnę, jak po raz pierwszy minęłam Canal Street i powędrowałam dalej na północ. Musiałam mieć wtedy dziesięć lat. Doszłam do Szóstej Alei i wkroczyłam do domu towarowego. Myślałam, że umarłam i trafiłam do nieba – dopóki inspektor nie wykopał mnie na ulicę. Pewnie wyglądałam koszmarnie w starych, donaszanych po kimś ubraniach. Właśnie dlatego zawsze staram się ładnie ubierać. Jeśli wyglądasz tandetnie, mężczyźni nie będą cię szanowali.

Jakby dla potwierdzenia tych słów zobaczyłyśmy kobietę stojącą obok teatru przy wejściu dla aktorów. Nie było wątpliwości, kim jest z zawodu. Miała szkarłatną suknię wykończoną futrem, usta pomalowane na kolor róży, a utlenione włosy uczesane wysoko w stylu pompadour.

- Nie rozumiem... – nie dokończyłam.
- Czego?
- Jak ona to robi, że nie przydarza jej się... kłopot.
- Nigdy nie słyszałaś o gumkach?
- Gumkach?
- Jeśli facet taką założy, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Pokiwałam głową, chociaż nie mogłam sobie wyobrazić, co to jest ani jak działa.

- Szkoda, że te wszystkie sprawy trzymane są w tajemnicy.

– Moja mama też mi nic nie powiedziała. Pewnie chciała, żebym tak jak ona przeżyła szok w noc poślubną. Jesteś głodna? Może zawołamy dziewczyny i pójdziemy coś zjeść?

Weszliśmy do pierwszej taniej restauracji, w której był wolny stolik. Podczas gdy koleżanki żartowały i flirtowały z kilkoma siedzącymi w pobliżu marynarzami, ja rozmyślałam i żałowałam, że nie mogę zapytać wprost Angeliny, jaki szok przeżyła jej matka. A może i ona już go doświadczyła?

Staraliśmy się przeciągnąć odpoczynek w ciepłej restauracji, zamawiając kawę i herbatę. Ale przed drzwiami tłoczyli się nowi klienci i wkrótce kelner zaczął spoglądać na nas krzywo, więc wyszliśmy na chłód. Po przejściu połowy przecznicy dziewczęta uparły się, by wstąpić do jaskrawo oświetlonego salonu gier. Choć widniał tam napis SAMOTNE PANIE MILE WIDZIANE, miejsce nie wydawało się szczególnie zachęcające. Może dlatego, że w głębi dostrzegłam tabliczkę TYLKO DLA PANÓW. Wisiała nad długim rzędem automatów do pokazywania zdjęć. Przed każdym stał mężczyzna – a przed jednym chłopiec na zrobionym ze skrzynki podwyższeniu. Zapewne oglądali jakieś wulgarne obrazki.

Starając się nie zwracać na nich uwagi, wraz z dziewczętami zajęłam się głupiutką rozrywką – wrzucaniem pięciocentówek w otwory automatów w celu przeżycia elektrowstrząsu, wysłuchania zdartej płyty gramofonowej lub poznania własnej wagi. Jaskrawe światła i podejrzany klimat salonu szybko jednak mnie zmęczyły i przed północą z przyjemnością stamtąd wyszłam.

Dziewczęta nalegały, żeby przepchać się przez tłum i dotrzeć jak najbliżej placu. Na szczycie Times Tower jarzyły się elektrycznym światłem ogromne cyfry tworzące rok 1908. W gazecie napisano, że będzie je widać z odległości wielu mil. Zastanawiałam się, czy oglądają je z nieba moi rodzice. I co myślą teraz o swojej córce.

Wraz z dwunastym uderzeniem zegara oczy wszystkich zwróciły się na podświetloną kulę na szczycie Times Tower. Wokół rozległy się okrzyki

„Szczęśliwego Nowego Roku!” i radosne śpiewy. Angelina wrzasnęła do mnie „Szczęśliwego Nowego Roku!”, a gdy odpowiedziałam jej tym samym, rozłożyła ręce i uściskałyśmy się serdecznie. Przez następne pięć minut panowało zupełne szaleństwo. Może ostatecznie życie nie jest aż takie złe.

***CZWARTEK
14 CZERWCA 2007 ROKU***

Rozdział 23

Amanda

Kiedy drzwi sklepu otworzyły się, uniosłam oczy znad dziennika w nadziei, że to dostawca z moją kanapką.

– Podobno czeka pani na nie – powiedział wnuk pani Kelly, ciągnąc za sobą dwa worki na śmiecie.

– Och tak, ubrania od pani Kelly. Znakomicie. Proszę postawić je z tyłu na podłodze.

– Zaraz wracam. – Odwrócił się i pobiegł do zaparkowanej przed wejściem taksówki. Zanim zjawił się z dwoma kolejnymi workami, zdążyłam wsunąć dziennik do szuflady.

– Dziękuję za przywiezienie tych wszystkich rzeczy – odezwałam się, próbując sobie przypomnieć, jak ma na imię. Zresztą może wcale mi się nie przedstawiał.

– Cieszę się, że mam to z głowy – odparł, po czym, przypomniawszy sobie, że tu chodzi o transakcję, dodał: – Mówiła, że niektóre są dużo warte.

Miał na sobie spodnie khaki, niebieski T-shirt z logo Nike i czapkę baseballową z logo Yankees. Strój odpowiedni bardziej dla gimnazjalisty niż dla faceta na tyle dorosłego, by pamiętać świat bez e-maili. Nie nosił obrączki. Czyżby nie lubił zobowiązań?

– Niektóre suknie są bardzo ładne. Miała dobry gust – powiedziałam.

– Babcia pracowała jako specjalistka do spraw zakupów w domu towarowym.

– To wszystko wyjaśnia.

– No tak. – Spojrzał na zegarek, a potem na drzwi.

– A więc... mieszkacie razem?

– Uchowaj Boże, ja mieszkam w Santa Monica.

– Ach tak. – Więc czemu nosi czapkę Yankees? – Podoba się tam panu?

– Owszem, nie licząc korków. Interesujące – dorzucił, wskazując na półkę za ladą.

– To wazon w kształcie głów. – Zdjęłam jeden i pokazałam mu otworki na czubku. – Były bardzo popularne w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Teraz wielu ludzi je kolekcjonuje.

Muszę przynieść do sklepu swój nowy wazon.

– Nigdy takich nie widziałem. Są wspaniałe.

- Dziękuję. Przepraszam, ale chyba nie wiem, jak panu na imię.
- Rob. Rob Kelly.
- Amanda Rosenbloom.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i skinęliśmy głowami, ale żadne z nas nie wyciągnęło ręki. Ogarnęło mnie uczucie zwykle nawiedzające singielkę w towarzystwie mężczyzny, który także może być singlem. Wyobraża sobie, że on przypuszcza, iż jest zdesperowana i wyszłaby za niego choćby jutro, gdyby tylko powiedział słowo, a po cóż miałyby to robić, skoro może mieć dwudziestolatkę zamiast kobiety zbliżającej się do czterdziestki. Cóż, chciałam go zawiadomić, że nie jestem zdesperowana. Posiadam nieźle – chyba – prosperującą firmę, lubię mieszkać sama i nie muszę być w związku, żeby uważać, że mam prawo do życia.

– Byłaś tam kiedyś?

– Raz. W Los Angeles nie bardzo mi się podobało, ale Santa Monica jest ładna, zwłaszcza okolice plaży.

– Mamy lepsze powietrze. – Znów spojrzał na drzwi, a ja zastanawiałam się, dlaczego nie wychodzi. Nagle przypomniałam sobie, że przecież muszę wypisać mu czek, a Rob pewnie nie chce być nachalny.

– Jestem ci winna pieniądze – poinformowałam, unosząc w górę wskazujący palec.
– Jedną sekundę.

Wypisałam czek na tysiąc dwieście dolarów i wręczyłam mu go z żalem. Nigdy nie kupiłabym tych ubrań, gdybym wiedziała o problemach z wynajmem. Gdy wkładał czek do portfela, zjawił się dostawca z lunchem. Spodziewałam się, że Rob zaraz wyjdzie, ale on spacerował po sklepie, rzucając spojrzenia na wieszak z męskimi ubraniami. Kiedy zapłaciłam za kanapkę, znów podszedł do lady.

– Przyjechałem, żeby pomóc babci zrobić porządek z rzeczami – powiedział. – Zapiąć wszystko na ostatni guzik.

– Miło z twojej strony. – Wyjęłam kanapkę z indykiem z papierowej torebki.

– Moja starsza siostra mieszka w New Jersey i pomaga jej dużo więcej niż ja, ale jest prawniczką i ma dwójkę dzieci, więc nie chciałem wszystkiego na nią zwałać. Swoją drogą babcia trochę mnie irytuje. Kłótniwa z niej staruszka.

Uśmiechnęłam się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, zwłaszcza że powinnam pewnie wspomnieć o dzienniku, ale wtedy Rob mógłby oświadczyć, iż nie miałam prawa go czytać, i zażądać zwrotu.

– Może poleciłabyś mi jakąś dobrą restaurację. Tu się wszystko tak bardzo pozmiało, że nie wiem, dokąd się wybrać na obiad.

Obiad? Chyba nie zamierza mnie zaprosić? Oczywiście że nie, dlaczego się rumienię?

– Jest mnóstwo dobrych restauracji. Co lubisz?

– Właściwie wszystko.

– Przy Dziewiątej Ulicy jest bar z dobrymi tapas. I świetna wegetariańska knajpka przy Drugiej Alei. A jeśli lubisz domowe jedzenie, to obok twojej babci otwarto nową restaurację o nazwie Home Cooking. Podobno całkiem niezła.

– Zawsze mam ochotę na domowe jedzenie – zawahał się. – Może byś się ze mną wybrała?

Ogarnęła mnie panika. Czy powinnam się zgodzić? A co z brodą? Poza tym facet mieszka na drugim końcu kraju. Czy naprawdę po romansie z żonatym chcę się wpakować w związek na odległość? I skąd przypuszczenia, że on pragnie czegoś więcej niż towarzystwo przy obiedzie. I może na jedną noc.

– Dzięki za propozycję, ale zamykam sklep dopiero o ósmej, a potem mam trochę pilnej papierkowej roboty.

– Nie musisz się tłumaczyć. Wiem, jak to jest. Firma ukradnie nam cały czas, jeśli na to pozwolimy.

– No właśnie.

– Będę się zbierał. Jeszcze raz dziękuję. Babcia się ucieszy, że ktoś docenił jej rzeczy.

– Znajdę im najlepsze domy. – Jeżeli najpierw nie będę musiała zamknąć sklepu.

Trzasnęły drzwi. Zjadłam kilka kęsów kanapki i spojrzałam na telefon. Przyszła odpowiedź od Jeffa.

Przepraszam, że zrobiłem Ci przykrość. Kocham Cię.

Łzy napłynęły mi do oczu. Ta sytuacja jest dla niego równie trudna jak dla mnie. Nie potrafiłam odejść. Wciąż byłam pod jego urokiem. Do diabła. Muszę poszukać czegoś, co odwróci moją uwagę. Nastawiłam piosenkę *Bewitched, Bothered and Bewildered* Elli Fitzgerald i wróciłam do komputera. Wpisałam w wyszukiwarkę „perimenopauza” nie dlatego, że przejęłam się słowami Molly, tylko ot tak, dla rozrywki. Na jednej ze stron znalazłam listę objawów.

Uderzenia gorąca. Nie.

Kłopoty ze snem. Tak.

Nieregularne miesiączki. W pewnym sensie tak.

Przybranie na wadze. Niestety tak.

Zmienne nastroje. Któż ich nie ma?

Obniżenie libido. Tylko kiedy żonaty kochanek zapomina o moich urodzinach.

Suchość pochwy. Jak wyżej.

Niepokój, przygnębienie, czarne myśli. Tak, ponieważ najlepsza przyjaciółka powiedziała mi, że moje jajniki wytwarzają coraz mniej komórek jajowych.

Rozdrażnienie. Tak, i trudno się dziwić.

Kłopoty z koncentracją, poczucie zagubienia, zaburzenia świadomości. Na przykład wyczuwanie obecności duchów we własnym mieszkaniu? Dziwaczne sny? Zgoda na to, by hipnotyzer przekonał mnie, że odnajdę mądrość w domu towarowym?

Może Molly ma rację: wytwarzam coraz mniej komórek jajowych. Wystukałam „zamrażanie zarodków”. Wyskoczył miliard linków. Wygląda na to, że osoba, która chce wydać ponad tysiąc pięćset dolarów, bez trudu znajdzie kogoś, kto zamrozi jej potomstwo. W każdym serwisie internetowym wszyscy za to byli zgodni co do jednego: prawdopodobieństwo urodzenia zdrowego dziecka znacznie maleje po trzydziestym siódmym roku życia. W niektórych klinikach nie przyjmowano kobiet w wieku trzydziestu ośmiu lat i starszych, bo szanse na sukces były zbyt małe. Jezu. Nawet do tego już się nie kwalifikuję.

Do sklepu weszły trzy rozchichotane nastolatki. Miałam je na oku, na wypadek gdyby któraś zamierzała zorganizować sobie coś za darmo. Skarżyły się jedna drugiej na brak sukienek studniówkowych z lat osiemdziesiątych, czyli najbardziej znienawidzonej przeze mnie kategorii strojów.

– Czym mogę służyć? – zapytałam.

Jedna z dziewczyn odwróciła się w moją stronę.

– Gdzie wiszą ubrania z lat dziewięćdziesiątych?

– Nie sprzedaję takich ubrań – odparłam, powstrzymując się od skierowania ich do najbliższego sklepu Armii Zbawienia.

– To niedobrze – stwierdziła nastolatka.

Gdy wyszły, posprzątałam bałagan, jaki zdążyły zrobić w sklepie w ciągu dwudziestu minut, i wróciłam do czytania dziennika Olive.

Rozdział 24

Olive

– Chciałbym kupić perfumy. – Przystojny mężczyzna w ciemnym garniturze i w fedorze przyglądał się pudełkom w pastelowych kolorach. – To dla damy, która... jest moją siostrą.

Zauważyłam, że nosi obrączkę.

– Czy wie pan, jaki zapach lubi najbardziej?

– Niestety, nie mam pojęcia. – Skubnął swój kołnierzyk.

Pokazałam mu butelkę lawendowych perfum w przystępnej cenie. Po niemal trzech miesiącach pracy w sklepie wiedziałam już, że wszyscy żonaci mężczyźni kupują perfumy dla przyjaciółek.

– Pachnie uroczo i świeżo.

– Chciałbym, żeby czuła, iż bardzo ją cenię.

– Cóż, jeśli jest pan gotów wydać trochę więcej... – Odwróciłam się i wyjęłam z oszklonej gabloty jeden z naszych najdroższych zapachów. – Każda dama ucieszy się z najnowszych paryskich perfum.

– Czy może mi je pani ładnie zapakować?

– Oczywiście.

– I... – Podrapał się w lewą brew. – I wysłać do hotelu Knickerbocker?

– Naturalnie – odpowiedziałam obojętnym tonem.

– Chciałbym, żeby przesyłka doszła w porze obiadowej.

– Proszę się nie obawiać, będzie na czas. – Z miłym uśmiechem wręczyłam mu małą kopertę i liliowy bilecik z nazwą sklepu. Napisał coś na nim, włożył do koperty i zakleił. Z żalem, że nie mogę wytknąć mu, jak niewłaściwie postępuje, przyjął pieniądze i podziękowałam.

Podczas przerwy poszłam do jadłodajni. Było zimno, więc maszerowałam szybkim krokiem. Zamówiłam zupę ostrygową. Przy dwóch zsuniętych razem stolikach siedzieli tam już Joe i Angelina wraz z dużą grupą kolegów ze sklepu. Gdy się przysiadłam, stwierdziłam bez zdziwienia, że wszyscy rozmawiają z podnieceniem o najnowszych nowinach: Harry'ego Thawa skazano za morderstwo i przewieziono do Stanowego Szpitala dla Przestępców Chorych Psychicznie, przypadkowo znajdującego się na północ od Cold Spring. Przez najbliższe tygodnie lekarze mieli badać jego stan psychiczny, by móc postawić diagnozę. W milczeniu jadłam zupę,

a wszyscy wokół dyskutowali o tej decyzji.

– Wiadomo, że brak mu piątej klepki – utrzymywał Joe. – Nie potrzeba do tego bandy specjalistów. Ale zabił faceta i powinien za to zgnić w pudle.

– Nic podobnego – odezwała się Lucy. – Najpierw trzeba ustalić, czy wszystko zaplanował, czy nie.

– Miał przy sobie broń, prawda? – Nie zgodził się z nią młody człowiek, który prezentował odkurzacze w dziale gospodarstwa domowego.

– Ależ to zbrodnia w afekcie – upierała się dziewczyna, która pracowała przy odbiorze poczty pneumatycznej. – Bronił honoru żony. Nie można karać mężczyzny za miłość.

Nie wytrzymałam.

– Nie rozumiem, dlaczego miłość ma usprawiedliwiać fakt, że zamordował z zimną krwią drugiego człowieka.

– Może dlatego, że nigdy dotąd nie przeżyłaś prawdziwej miłości – odparowała Angelina.

Oblałam się rumieńcem, a kilka osób wybuchnęło śmiechem. Może Joe także – wolałam nie sprawdzać. Ze spuszczonej oczami mieszałam łyżką w zupie, jakbym się spodziewała, że znajdę tam perłę.

– Przepraszam, Olive – powiedziała Angelina. – Tak mi się wyrwało.

Pokiwałam głową i poczułam wdzięczność, gdy prezenter odkurzaczy znów skierował rozmowę na Harry'ego Thawa.

– Zanim go zamknęli w domu wariatów, wyprawili mu prawdziwą ucztę w jakimś hotelu w Fishkill.

– W nowym miejscu posiłki nie będą zbyt smaczne – dodała Lucy.

Ja też straciłam apetyt, ale zmusiłam się i dokończyłam zupę. Jak powiedziała pierwszego dnia panna Underhill, trzeba jeść, żeby nie opaść z sił.

Angelina wróciła ze mną do sklepu.

– Nie powinnam ci dokuczać. Przepraszam. Wybaczysz mi?

Skrzyżowałam ręce na piersiach i zaciągnęłam poły żakietu, chroniąc się przed chłodem.

– Oczywiście. Pewnie wszyscy już o tym zapomnieli. – Taką przynajmniej miałam nadzieję.

– Jesteś kochana.

– Mój Boże, mam dosyć tej zimy, a ty? – Ciągłe było mi przykro, ale nie chciałam dłużej rozmawiać na ten temat.

– Luty jest okropny – zgodziła się Angelina. – Człowiek ma wrażenie, że zima nigdy się nie skończy. A ja właśnie idę na próbę pokazu mody wiosennej, który odbędzie się w przyszłym tygodniu.

– Miło pomyśleć o wiosnie.

– Trudno sobie wyobrazić, że będzie można wyjść z domu w jedwabnej lub bawełnianej sukience. Swoją drogą dzięki Bogu, że jutro niedziela. Masz jakieś plany?

– Chciałam się wybrać na pokaz elektryczności do Madison Square Garden. W związkach dawali darmowe bilety, ale kiedy się zgłosiłam, sekretarka powiedziała, że przyszedłam za późno.

– Szkoda. Pewnie będzie ciekawy.

Weszłyśmy do ciepłego wnętrza sklepu. Wróciłam do stoiska, żałując, że w wolny dzień nie czeka mnie żadna przyjemność poza spaniem do późna. Popołudnie strasznie się wlokło. W lutym zwykle był w sklepie mały ruch, w dodatku ta pogoda... Po zamknięciu zeszłam do szatni, gdzie spotkałam czekającą na mnie Angelinę. Trzymała dwa bilety.

– Nadal chcesz się wybrać?

– Na pokaz elektryczności? Żartujesz sobie! Jak je zdobyłaś?

– Sekretarka lubi zachować kilka biletów dla siebie, tak na wszelki wypadek. Czasem warto zapytać jeszcze raz, w ostatniej chwili.

– A więc na tym polega sekret. Z przyjemnością się wybiorę. – Nie było osoby, z którą chętniej spędziłabym dzień, nawet jeśli teraz wszyscy już wiedzieli, że nigdy dotąd nie przeżyłam prawdziwej miłości.

Gdy wychodziłyśmy ze sklepu, strażnik ostrzegł, żebyśmy lepiej wzięły parasolki, ale żadna z nas jej nie miała.

– W takim razie jesteście panie w kłopotcie – powiedział. – Zbierają się chmury i zaraz zaczną padać.

Angelina odbiła kartę zegarową.

– Rano na niebie chyba żadnych nie było?

– Ranek był wieki temu. Kto to pamięta? – odparłam, odbijając swoją kartę.

Gdy tylko wyszłyśmy na zewnątrz, wiatr podwiał nam spódnice.

– Miał rację – zauważyła Angelina. Spojrzałyśmy w niebo. – Zaraz zaczną lać. Lepiej pojedę metrem.

– A ja tramwajem. – W myślach odjęłam opłatę za bilet z tygodniowego planu wydatków. Szliśmy z pochylonymi głowami, osłaniając się przed wiatrem, który wydymał nam spódnice, unosząc je na wysokość kolan. Jedną ręką obciągałam podwiewaną spódnicę, a drugą przytrzymywałam kapelusz. Gdy stanęliśmy na skraju jezdni, spadły pierwsze krople deszczu. Policjant dał znak, że możemy przechodzić, i wraz z tłumem przechodniów zaczęliśmy torować sobie drogę między błotnikiem dostawczej ciężarówki a dorożkarzem powstrzymującym napierającego na nas konia.

Po drugiej stronie ulicy, przed teatrem, stał rząd powozów. Odźwierny zagroził drogę idącym, zmuszając ich, by zaczekali, aż z jednego wysiądzie dama w diademie z brylantami i futrze z gronostajów. Ktoś za nami szepnął, że to pani Vanderbilt Whitney, ale nie wiedziałam, czy można mu wierzyć. Deszcz rozpadał się na dobre, strumienie wody chłostały gapiów przyglądających się, jak dżentelmen w białych rękawiczkach, o wyglądzie księcia, prowadzi damę pod markizę. W końcu królewska para zniknęła w jasno oświetlonym, złotym holu. Nie spadła na nich ani kropla deszczu.

Kiedy gronostajowe futro było już bezpieczne, odźwierny pozwolił nam przejść. Ruszyliśmy z Angeliną dalej. Niesiony wiatrem deszcz uderzał mnie w twarz, a kolejny podmuch porwał mój kanotier.

– Mój kapelusz!

Patrzyliśmy, jak odfruva na ulicę i spada pod przejeżdżający właśnie tramwaj. Została mi tylko zwisająca z włosów szpilka. Wyjęłam ją i poszliśmy dalej. Gdy dotarliśmy do rogu, uderzył piorun i rozszalała się burza. W ulewnym deszczu pognałyśmy naprzód i schroniłyśmy się pod wąską markizą. Włosy mi opadły i wyglądałam jak nieboskie stworzenie.

– Powinam biec do tramwaju – powiedziałam, bo właśnie jeden nadjechał.

– Nie zmieścisz się. Za duży tłok.

– Równie dobrze mogę iść piechotą. I tak jestem przemoczona. – Przynajmniej dziś wieczorem nie będę musiała się myć.

– Zaziębisz się na śmierć. Lepiej chodź do mnie. A jutro pójdziemy razem na pokaz. Stacja metra jest dokładnie po drugiej stronie ulicy.

Nigdy dotąd nie jechałam metrem.

– To bardzo miło z twojej strony, ale nie chcę sprawiać kłopotu.

– Gdyby tak było, tobym cię nie zapraszała.

– Jesteś kochana. – Popatrzyłam na wejście do metra. Latami czytałam o podziemnych robotach prowadzonych na Czwartej Alei: wybuchach dynamitu, obsunięciach ziemi, rannych i zabitych. Ciotka Ida lubiła mówić, że tam na dole

mieszka diabeł. Chciałam sama się o tym przekonać. A także zobaczyć, jak żyje Angelina. – Masz własne mieszkanie?

– Bardzo małe, ale tylko moje.

– W takim razie dziękuję za zaproszenie. Nie wiem, czemu jesteś dla mnie taka miła.

– Z czysto egoistycznych powodów. – Angelina się roześmiała. – Liczę, że nabiorę przy tobie trochę oglady.

– Jeśli nie pokryje jej rdza, zanim zdążę wyschnąć, bierz na zdrowie.

Przełożyliśmy ulicę, a potem po betonowych schodach zbiegaliśmy w dół, do metra. Po zapłaceniu pięciu centów i skasowaniu biletów dołączyliśmy do tłumu podróżnych na peronie. Rozległo się dudnienie nadjeżdżającego pociągu, które stopniowo przeszło w przeraźliwy metaliczny zgrzyt. Strażnik otworzył drzwi i wcisnęliśmy się do przepelnionego wagonu.

Ściskana ze wszystkich stron mknęłam tunelem ze wzrokiem wbitym w jedyny atrakcyjny obiekt w wagonie, jaki zdołałam wypatrzeć – reklamę przedstawiającą duże cygaro. Pod spodem widniał absurdalny slogan: *Twoje towarzystwo świadczy o tobie. Panowie z towarzystwa palą nasze cygara.* Czytałam go wciąż od nowa, jakby za którymś razem mógł powiedzieć mi coś nowego.

Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem na stacji Astor Place i wraz z tłumem podróżnych wyszliśmy na ulicę. Niebo pociemniało, ale deszcz przestał padać. Od mokrej nawierzchni ulic odbijały się światła latarni. Odetchnęłam głęboko, doceniając, jakim darem jest świeże powietrze.

Wiedziałam, że zaraz znajdziemy się w ubogiej dzielnicy East Side, i z ciekawością rozglądałam się dookoła. Astor Place leżało tylko kilka przecznic na południe od Shopping District, ale gdy minęliśmy budynek Cooper Union, miałam wrażenie, jakbyśmy wkroczyły do innego kraju. Wzdłuż rynsztoków na Bowery stały wózki handlarzy oświetlone gazowymi latarniami. Między szynami trzech linii tramwajowych szukały sobie miejsca samochody, ciężarówki i wozy konne. Z wiaduktu w górze dobiegał huk pociągu jadącego Trzecią Aleją. Nigdy nie widziałam, by na tak małej powierzchni przemieszczało się jednocześnie tylu ludzi.

Wkrótce skręciłyśmy w wąską boczną uliczkę zabudowaną pięciopiętrowymi domami. Choć nie było tu biurowców ani wysokich kamienic, miałam wrażenie, że mury napierają na mnie ze wszystkich stron. Po frontach obskurnych ponurych czynszówek biegły zygzakiem schody przeciwpożarowe. Wzdłuż chodnika piętrzyły się stosy mokrych odpadków. Minąwszy mieszczącą się na parterze trafikę, weszłyśmy do ciemnego holu, a potem stromymi schodami na pierwsze piętro, gdzie korytarz ledwie oświetlał migający płomyk lampy gazowej. Angelina przekreśliła

klucz w zacinającym się zamku i otworzyła drzwi.

Weszłam za nią do małego mieszkania.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała, wyjmując szpilki z wilgotnego kapelusza.

– Wcale nie musisz.

– Nie miałam czasu posprzątać.

Rozejrzałam się wokół: podłoga z szerokich desek, niski sufit, same najpotrzebniejsze meble. Rolę kuchni pełnił piecyk na węgiel i zlew. W głębi, w alkowie, stało łóżko. Na środku podłogi leżał różowy dywanik z żółtym brzegiem, a na ścianach wisiały pięknie przystrojone kapelusze. Róg pokoju odgradzała zawieszona na sznurku jasnoróżowa zasłona.

– Naprawdę ślicznie tu urządziłaś. – Podobała mi się zwłaszcza tapeta w fioletowe róże pnące się po szmaragdowej kracie.

Rozpuściłam mokre włosy, a Angelina wrzuciła monetę do licznika gazowego. Zastanawiałam się, jakim cudem stać ją na własne mieszkanie. Nigdy nie wspominała o żadnym przyjacielu. Miałam nadzieję, że jest jakieś inne wyjaśnienie.

– Siadaj i ściągnij buty. A ja zdejmę mokre ubranie. Znajdę ci szlafrok, żebyś też mogła się przebrać.

Po kolei skorzystałyśmy z klozetu na korytarzu i przebrałyśmy się za różową zasłoną, gdzie na haczykach wisiały jedne na drugich zwały ubrań. Rozkładając moje rzeczy do wyschnięcia, Angelina zauważyła brak pewnego elementu garderoby.

– Nienosisz gorsetu?

– Nienawidzę go – odparłam, zwijając włosy w kok i upinając szpilką.

– Ja bez niego czuję się naga.

– Jakim cudem w ogóle możesz w nim oddychać?

– To proste. Wdycham mniej powietrza, niż wydycham.

Roześmiałam się.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego kobiety tak cierpią dla urody.

– Żeby się cieszyć, kiedy cierpienie się skończy – odparła nieco złośliwie. – Uwielbiam, gdy mężczyzna rozpina mi gorset haftka po haftce.

Splonęłam rumieńcem, a Angelina uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Przepraszam, nie chciałam cię zgorszyć. Zapomniałam, że jesteś jeszcze niewinną bambiną. Zaraz ugotuję obiad i w mieszkaniu zrobi się ciepłej. Co ty na to? Lubisz spaghetti?

– Uwielbiam makaron z serem. – Poczułam, jak ślinka napływa mi do ust. Angelina rozpalila w piecyku.

– Nie mam sera. Ale została mi puszka pomidorów i trochę czosnku.

– Brzmi wspaniale. – Marzyłam o makaronie z serem, lecz nie dałam tego po sobie poznać. Nigdy wcześniej nie jadłam spaghetti z pomidorami.

Angelina postawiła na piecu garnek z wodą. Potem posiekała czosnek i wlała na patelnię oliwę. Zawsze sądziłam, że nadaje się tylko na sos do sałaty. Angelina poczekała, aż oliwa się rozgrzeje, i wrzuciła na nią czosnek. Zaczął się smażyć, a jego zapach wypełnił mieszkanie.

Gdy moja przyjaciółka męczyła się, próbując otworzyć puszkę pomidorów, rozejrzałam się uważniej wokół. Na komodzie leżał nieozdobiony jeszcze słomkowy kapelusz, a wokół niego piórka, kolorowe wstążki, druty i klej. W kącie piętrzył się stos okrągłych pudeł.

– Widzę, że potrafisz także robić kapelusze.

– I kupować. – Wrzuciła pomidory na patelnię. – Dla mojej kieszeni jest lepiej, gdy kopiuję sklepowe modele, ale czasem trudno się oprzeć. Sos musi się teraz pogotować, a potem polejemy nim spaghetti.

Użyła makaronu, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam, cienkich patyczków tak długich, że trzeba je było złamać na pół, żeby zmieściły się w garnku. Gdy wreszcie podała nam miski ze spaghetti, nie mogłam się powstrzymać. Łapczywie połykałam gęsty gorący sos.

– To najpyszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam – oznajmiłam, starając się kompromitująco nie siorbać przy wciąganiu śliskiego makaronu.

– Dziękuję. Gotuję to cały czas.

– Nauczyłaś się od mamy?

– Można tak powiedzieć.

– Chyba miło jest mieć własne mieszkanie. A może czasem czujesz się samotna?

– Joe mieszka tuż obok. – Machnęła ręką.

– Za ścianą? – Udałam, że nie widzę wędrującego po tapecie małego karalucha.

– Chcesz, żebym go zaprosiła?

– Och, nie rób tego!

– Na pewno?

– Na pewno. – Chyba ją rozśmieszyłam. – A skoro o tym mowa, często zastanawiam się, jak to jest, mieć brata lub siostrę.

– Nie masz czego żałować, kochanie. Joe ciągle mi tylko mówi, jak mam żyć. A pozostała czwórka nie jest lepsza. Ale on jest najbardziej urodziwy.

– Po siostrze – powiedziałam. – Założę się, że mężczyźni szaleją za tobą.

– Czasami.

– A teraz?

– No cóż... – rzuciła niepewnie, nawijając kosmyk włosów na palec.

– Nie musisz odpowiadać. To przecież nie moja sprawa.

– Powiedzmy, że kogoś mam.

– To dobrze.

– Jest zamożny.

– Jeszcze lepiej.

Wypuściła lok z palców.

– Jak inaczej mogłabym pozwolić sobie na własne mieszkanie?

– Płaci za ciebie czynsz? – Staralam się mówić niedbałym tonem.

– Jest bardzo hojny.

– To miło.

– Zgorszyłam cię? – Uniosła brwi.

– Nie.

Angelina zmrużyła oczy i popatrzyła na mnie wyzywająco.

– Uważasz, że robię źle?

Jej postępowanie nie wydawało mi się właściwe, ale nie chciałam jej obrazić.

– Uważam, że masz prawo sama decydować o swoim życiu. Jak go poznałaś?

– Zobaczył mnie w sklepie podczas pokazu mody. Po jego zakończeniu poszliśmy na obiad. Wiesz gdzie? Do Café Martin! Wyobrażasz sobie? Siedziałam pośród tych wszystkich bogatych ważniaków.

Angelina opisywała restaurację, którą często mijałam w czasach, gdy mieszkałam w hotelu Mansfield, a mnie ogarnęło dziwne uczucie. Skąd się tu wzięłam, dlaczego jem spaghetti z włoską sprzedawczynią, którą już bardzo niewiele różni od prostytutki?

– Kochasz go? – zapytałam.

– Dosyć lubię.

– Więc nie zamierzasz za niego wyjść?

– Och, on marzy, żeby się ze mną ożenić. Ciągłe gada, że powinniśmy rzucić wszystko i pojechać do Paryża. Całymi popołudniami przesiadywalibyśmy w kawiarniach, spotykali się z artystami i pili wino...

– Bardzo romantycznie.

– Przez kilka tygodni pewnie tak, potem tęskniłabym za domem.

– Mogłabyś chodzić na pokazy mody i kupować sobie różne stroje.

– Jak cię słucham, nabieram ochoty – powiedziała i podniosła się, żeby sprzątnąć ze stołu. – Ale i tak spotykam się z nim dosyć często.

Potem w nocy leżałam obok Angeliny, na wznak, z rękami przyciśniętymi do boków, starając się nie poruszyć. Nigdy dotąd nie spałam z nikim w jednym łóżku i nie chciałam przez przypadek jej dotknąć.

– Czego się najbardziej boisz? – zapytała Angelina.

Przez chwilę milczałam, patrząc w ciemność.

– Porodu. Moja matka zmarła, wydając mnie na świat. A wcześniej w ten sam sposób zmarła moja babcia.

– Straszne. Więc może nigdy nie będziesz mieć dzieci?

– Prędzej spłynę w beczce wodospadem Niagara. A ty czego boisz się najbardziej?

– Że zostanę bez grosza – odparła. – I skończę w przytułku albo na ulicy.

Niestety, nie mogłam z całą szczerością zapewnić jej, że to wykluczone.

– Życie jest strasznie niepewne.

Przez chwilę leżałyśmy w milczeniu, a ja w myślach przeklinałam świat, że takie z niego bezlitosne, niesprawiedliwe miejsce. Dlaczego jedni żyją sobie przyjemnie i wygodnie, a inni, żeby przetrwać, muszą znosić poniżenia?

– Czy twój brat wie o... tym panu? Chyba trudno utrzymać waszą znajomość w tajemnicy, skoro mieszka za ścianą.

– Joe dostał ten pokój właśnie dzięki mojemu przyjacielowi – odparła Angelina z nutą goryczy w głosie. – Kiedy mieszkał jeszcze z rodzicami, pomogłam mu znaleźć pracę w sklepie i przez przypadek o wszystkim się dowiedział. *Madonna mia*. – Wzniosła oczy do nieba. – Groził, że powie o wszystkim rodzicom, a potem zabije faceta, który zrobił ze mnie dziwkę. Więc namówiłam mego przyjaciela, żeby wykorzystał swoje wpływy i załatwił Joemu pokój. Teraz brat może się mną „opiekować”.

– I Joe był zadowolony?

– Och, wniebowzięty. Sam oczywiście w ogóle nie dba o to, że sprowadza swoje

dziewczyny na złą drogę.

– Ciekawe. Mężczyźni oceniają zachowanie kobiet w zależności od tego, co im w danej chwili bardziej odpowiada.

– Właśnie.

– To strasznie irytujące. – Sama nie potrafiłam jednak pozbyć się niesmaku na myśl o Angelinie sprzedającej się za pieniądze.

Jednocześnie bardzo ciekawiło mnie, w jaki sposób to robi. Czy pozwala temu mężczyźnie na wszystko? Czy sprawia jej to przyjemność? Czy boli? Czy kiedykolwiek doznała orgazmu? Ile dokładnie pieniędzy daje jej przyjaciel?

Tłumaczyłam sobie, że pewnego dnia dowiem się wszystkiego, co trzeba. A tymczasem powinnam się cieszyć z poznania tak miłej i tak odświeżająco szczerzej osoby. Daisy była lepiej wykształcona i wytworniejsza, ale Angelina miała więcej życiowego doświadczenia. Wkrótce jej równy oddech ukołysał mnie do snu.

– Czy będziesz tak kochana i pożyczysz mi kapelusz?

Właśnie wybierałyśmy się na pokaz elektryczności, gdy przypomniałam sobie o moim biednym białym kanotierze zmiażdżonym przez koła tramwaju.

– Bardzo mi przykro, ale nie mam nic w zapasie – odparła Angelina z szelmowskim błyskiem w oku.

– Ładnie proszę. – Wydęłam błagalnie wargi.

Udała, że się nade mną lituje.

– Chyba jeden mogę ci na dziś pożyczyć.

Obejrzałam rozmaite kapelusze znajdujące się w mieszkaniu.

– Jak mam wybrać tylko jeden?

– Może włożyłabyś ten? – Angelina zdjęła ze ściany filcowy toczek ozdobiony turkusową aksamitną kokardą. – Albo... – Sięgnęła po czarny kapelusz z szerokim rondem, z którego zwisały długie wstążki, różowa i zielona. – Ten?

– Oba są śliczne. Toczek będzie lepiej siedział na głowie.

– Za to szerokie rondo osłania przed deszczem.

– A wstążki są urocze. Ty zdecyduj!

– Może włożysz jeden, ja drugi, a podczas lunchu się zamienimy?

– Świetny pomysł!

– A teraz lepiej się zwijajmy, bo nie zdążymy wszystkiego obejrzeć.

Wychodząc, przypomniałam sobie, że za ścianą mieszka Joe. Pozwoliłam Angelinie się wyprzedzić i szybko zerknęłam na drzwi. Nie chciałam, żeby to zobaczyła – na pewno by mi dokuczwała, że się w nim zadurzyłam. A przecież tak naprawdę ona była bardziej interesująca niż jej brat.

– Panie i panowie, a teraz pokażę wam, co nas czeka w przyszłości – oznajmiła ładna młoda kobieta oprowadzająca naszą grupę po najpopularniejszej części wystawy: modelu nowoczesnego mieszkania, w którym wszystko zasilane było energią elektryczną. Starannie odwzorowano najdrobniejsze szczegóły, nie zapomniano o figurkach na gzymsie kominka, szafce wypełnionej wydaniem klasyków i pudełku czekoladek marnujących się z braku mieszkańców. Nie mogłam uwierzyć, że wszystko to urządzono tylko na pokaz.

Największe wrażenie wywarło na nas ostatnie zwiedzane pomieszczenie: kuchnia wyposażona we wszystkie najnowsze cuda techniki.

– Pranie, płukanie, suszenie i prasowanie ubrań nie będzie nastęczało żadnych trudności – objaśniała przewodniczka, otwierając i zamykając drzwiczki elektrycznej pralki. Jej głos brzmiał tak sztucznie, że zastanawiałam się, czy sama nie jest maszyną. – Wewnątrz można ustawić niską temperaturę i przechowywać żywność przez wiele dni. – Otworzyła drzwi lodówki. – Koniec z dostawcami lodu. Wkrótce elektryczność stanie się naszą nową służącą – zakończyła. – Nawet służba będzie mogła sobie na nią pozwolić.

Słyszając to, większość widzów się roześmiała. Kiedy wychodziliśmy z modelowego mieszkania, mechaniczny fortepian grał *All She Gets from the Iceman Is Ice*.

– Życie wśród tych wszystkich maszyn musi być okropne – stwierdziła Angelina. – Ludzie nigdy tego nie zaakceptują.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Cóż może być romantyczniejszego od kolacji przy świecach?

– Wcale nie trzeba z nich rezygnować. Wystarczy zgasić światło, gdy kolacja będzie gotowa. A pomyśl tylko, o ile łatwiej będzie ją przyrządzić.

– Gdybym miała wybór, wolałabym raczej, żeby zrobiła to za mnie służba.

– Może pewnego dnia tak właśnie będzie.

Przeszliśmy obok prezentowanych na wystawie lokówek, pasów wyszczuplających, maszynek do parzenia kawy i opiekaczy do chleba. Kobiety wzdychały tęsknie na widok nowoczesnych urządzeń. W przeciwieństwie do Angeliny przypuszczałam, że w przyszłości ludzie będą skwapliwie korzystać

z nowych wynalazków i w domach towarowych trzeba będzie przeznaczyć na nie dużo miejsca.

Gdy przystanęłyśmy, żeby obejrzeć pokaz urządzenia wypiekającego wafle, rozchodzący się w powietrzu boski zapach przypomnieli nam o lunchu. Zaczekałyśmy, aż będzie można spróbować po kawałku wafła, który okazał się pyszny, a potem poszłyśmy do holu poszukać restauracji.

– Nie podoba ci się taki pomysł? – zapytałam. – Mieszkanie w domu pełnym urządzeń pomagających zadbać o rodzinę?

– W domu? Na przedmieściu? Z gromadą dzieciaków ganiających naokoło? Nie ma mowy. Jestem dziewczyną z miasta i jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, nie chcę żadnych synów. Wolę córki. Zawsze żałowałam, że nie mam siostry. Nie zapomnę o tym, co przeszła moja mama, wychowując naszą bandę! Oczywiście jesteśmy katolikami, więc praktycznie cały czas albo była w ciąży, albo karmiła dziecko. Dlatego mnie wystarczy dwójka.

– Ale jak, jeśli wolno spytać, ograniczysz się do dwójki dzieci? – Nie mogłam uwierzyć, że ośmieliłam się zadać w miejscu publicznym takie pytanie.

– Mój przyjaciel o wszystko się zatroszczył.

– Używa tych gumek, o których wspominałaś?

– Nie, on ich nie lubi. Kazał mi się zgłosić do swojego eleganckiego doktora w śródmieściu, który mnie zbadał i dobrał mi pesarium.

– Co to takiego? – Okazało się, że w Nowym Jorku mogę prowadzić rozmowę na intymne tematy w otoczeniu setek ludzi, podczas gdy w cichym Cold Spring różne ważne informacje w ogóle do mnie nie docierały.

– Coś w rodzaju gumki dla kobiet. Siedzi w środku i zatrzymuje nasienie.

– Musi być okropnie niewygodne.

– Po założeniu już się go nie czuje. Tak czy owak, zawsze jest jakiś kłopot, chyba że zastosujesz starą, dobrą metodę.

– To znaczy?

– Jesteś niemożliwa – powiedziała ze śmiechem Angelina. – Kazesz mężczyźnie się wycofać, zanim będzie za późno.

Przez „za późno” rozumiała pewnie „przed orgazmem”. Według książki doktor Galbraith mężczyzna i kobieta musieli go przeżyć, żeby doszło do ciąży.

– Mówią, że największe szanse ma się podczas periodu – ciągnęła Angelina.

– Żeby zajść w ciążę?

– Żeby nie zajść.

– Jesteś pewna?

– No jasne. Doktor mi o tym powiedział.

– Dziękuję, że tak otwarcie ze mną rozmawiasz. Naprawdę czuję się strasznie głupia, jeśli chodzi o mężczyzn i wszystko, co ma związek z... no wiesz...

– Z seksem?

– Tak – odparłam nieśmiało. – A ty jesteś taka obyta.

– Moja rodzina uważa, że jestem zła, a nie obyta. – Angelina wybuchnęła śmiechem. – Bóg mi świadkiem, jeśli to, co mówi Kościół, jest prawdą, trafię prosto do piekła.

– Ja uważam, że wielu kaznodziei próbuje po prostu narzucić innym swoje poglądy.

– Też tak myślę – zgodziła się Angelina. – A przynajmniej taką mam nadzieję, bo przestałam chodzić do spowiedzi. Mam dość opowiadania księdzu o tym, jaką jestem grzesznicą. Myślisz, że to bardzo źle?

– Wcale nie. Ciotka, która mnie wychowała, pobożna chrześcijanka, zawsze bez wahania ogłasza, co jest, a co nie jest wolą Boga. Moim zdaniem to bardzo podejrzane, kiedy zwykli śmiertelnicy uważają, że wiedzą na pewno, czego chce Bóg.

– Brzmi bardzo rozsądnie, sama nigdy bym tego tak składnie nie powiedziała. Olive, może niewiele wiesz o mężczyznach, ale rozumu na pewno ci nie brakuje.

– Och, jesteś bardzo miła! – Ogarnął mnie znakomity nastrój, który trwał, dopóki nie doszliśmy do restauracji. – Ojej!

Przed drzwiami stała długa kolejka.

– To szaleństwo.

– Wyjdźmy z budynku i poszukajmy czegoś w okolicy.

– Jestem wykończona. Lepiej zaczekajmy.

– Kolejka na pewno posuwa się szybko – oceniłam, patrząc na liczne stoliki w środku.

Myślałam się. Osoby, które wreszcie zdobyły miejsce, najwyraźniej nie miały ochoty zbyt szybko go opuszczać. Głodne, zmęczone czy wręcz wrogie spojrzenia ludzi wciąż stojących w kolejce nie robiły na nich żadnego wrażenia.

– Omal nie zapomniałam – odezwała się Angelina po dłuższej chwili oczekiwania. Zaczęła odpinać kapelusz. Przypomniałam sobie o naszym planie i poszłam w jej ślady. Zamieniłyśmy się kapeluszami, podczas gdy ludzie wokół przyglądali nam się ze zdumieniem. Potem każda z nas upewniła się, czy kapelusz i włosy drugiej są

w należyтым porządku.

– Mam pewien szalony pomysł – powiedziała Angelina, gdy już skończyłyśmy.

– Jaki?

– Ale obiecaj, że nie będziesz się śmiała.

– Daję słowo.

– Pewnego dnia chcę mieć własny sklep z kapeluszami. Elegancki zakład przy Piątej Alei, gdzie będę sprzedawać wytwornym klientkom własne modele. Albo coś dla nieco mniej wytwornych przy Szóstej Alei – dorzuciła ze skromnym uśmiechem.

– Czy nawet – roześmiała się głośno – przy Bowery, jeśli inaczej się nie da. Oczywiście to tylko takie marzenia.

– Dlaczego tak mówisz?

– Nie znam się na prowadzeniu sklepu.

– Mogłabyś się nauczyć.

– Nie dałabym sobie rady. – Pokręciła głową. – Moje serce zawsze zwycięża nad zdrowym rozsądkiem.

– Nawet gdybyś sprzedawała własne dzieła?

– Zwłaszcza wtedy.

W końcu usiadłyśmy przy stoliku, jednak minęły chyba wieki, zanim podszedł kelner, by przyjąć zamówienie. Gdy się spiesznie oddalił, przeraziłam się, że już go nie zobaczymy.

– Moim zdaniem własny sklep nie musi być tylko marzeniem – powiedziałam. – Czy mogę zadać ci niedyskretne pytanie?

– Pytaj. Zobaczymy, czy ci odpowiem.

– Ile on ci płaci?

Wiedziała, o kim mówię.

– Dużo – odparła, unikając mojego spojrzenia.

– Nie mam pojęcia, ile to może być.

– Zwykle pięć dolarów za wspólny wieczór.

– A mogę spytać, w jakiej formie daje ci pieniądze?

– W gotówce.

– Tak, ale jak to robi? Nie jest to dla ciebie krępujące?

– Wkłada je do mojej torebki, kiedy odświeżam się w łazience. I jedno ci powiem.

– Wreszcie spojrzała mi prosto w oczy. – Za to, że mogę wykąpać się w porcelanowej

wannie zamiast w blaszanym cebrzyku, sama mam ochotę mu zapłacić. Wynajmuje na stałe pokój w Plazie, wiesz, w tym nowym hotelu, który właśnie otworzyli obok Central Parku.

– Naprawdę? – Staralam się nie okazywać dezaprobaty. Chciałam, żeby zdawało jej się, że mi zaimponowała.

– Wszystko tam jest wspaniałe. Żeby spuścić wodę w klozecie, wystarczy nacisnąć guzik, masz pojęcie?

Rozśmieszył mnie wybór tego właśnie szczegółu.

– Prawdziwe luksusy.

– Powinnaś zobaczyć ten pokój. Są tam bardzo eleganckie meble i wspaniałe marmurowy kominek. I to wszystko na czternastym piętrze. Z okna rozciąga się cudowny widok: ludzie na chodnikach wydają się mali jak mrówki, ulicą jadą samochody, przed wejściem do parku stoi sznur dorożek i te rezydencje na Piątej Alei...

– Brzmi cudownie. – Tamtej nocy, kiedy nie miałam dokąd pójść, w hotelu Plaza na pewno by mnie nie przyjęli.

– A najlepsze jest to, że w dzień i w nocy można zadzwonić do kuchni po jedzenie. Pozwala mi zamawiać z karty, co chcę, nawet najdroższe dania, a boy przywozi je na stoliku prosto do naszego pokoju.

– Jakie to miłe – powiedziałam, przypominając sobie pyszne śniadania dostarczane windą do naszego hotelowego apartamentu.

– Jeśli mnie kiedyś rzuci, nie wyobrażam sobie, że znów będę musiała się liczyć z każdym groszem.

– Pewnie sporo zaoszczędziłaś.

– Jak myślisz, ile?

– Nie wiem. Dwieście dolarów? – rzuciłam na chybił trafił.

– Bardzo bym chciała! Jakies pięćdziesiąt – wyjawiała kwotę takim tonem, jakby przyznawała się do zbrodni.

– Niezła sumka.

– Powinnam odkładać więcej. Ale zawsze są jakieś wydatki.

– No właśnie. Dlatego powinnaś przygotować sobie plan.

– Jaki?

– Plan działania. Żebyś wiedziała, jakiego kapitału potrzebujesz, żeby otworzyć sklep.

– Nawet nie wiedziałabym, jak zacząć.

– Założmy, że czynsz za przyzwoity lokal wynosi dwadzieścia dolarów miesięcznie. Do tego dochodzą koszty węgla i nafty. Potrzebujesz też przynajmniej trzydziestu dolarów miesięcznie na jedzenie, ubrania i inne potrzebne rzeczy.

– Aż tyle?

– Nie możesz oszczędzać na zdrowiu ani na wyglądzie, jeśli masz prowadzić sklep.

– Niby racja.

– Pomnóż to przez dwanaście i będziesz mniej więcej wiedziała, ile potrzebujesz pieniędzy na rok. Są też jednorazowe wydatki, na przykład meble, musisz mieć ubezpieczenie... i nie zapominajmy o koszcie materiałów, z których będziesz robić kapelusze!

– Litości, już od samego myślenia o tym zrobiło mi się słabo. Za to ty masz głowę do interesów!

– Po prostu zdrowy rozsądek. Pewnie nauczyłam się też paru rzeczy od ojca.

– Więcej niż paru. Wiesz co? Powinniśmy zostać wspólniczkami w tym interesie.

– Wspólniczkami?

– To wspaniały pomysł! Otwórzmy razem sklep. Ja zajmę się stroną artystyczną, a ty handlową.

– Ależ ja nic nie wiem o prowadzeniu sklepu.

– Wiesz więcej, niż ci się wydaje, a do tego masz głowę na karku i dużo rozsądku.

– Ścisnęła mnie za rękę. – Powiedz, że się zgadzasz się!

– Jejku! – Bardzo chciałam sprawić jej przyjemność. – To naprawdę interesujący pomysł!

– No, wyobraź sobie! Nie chcesz być panią samej siebie, robić tego, co lubisz, i zarabiać na tym masy pieniędzy? Mogłybyśmy kupować sobie piękne drogie stroje i jeść w tych wszystkich eleganckich restauracjach.

– Co ty wygadujesz? Dzielisz skórę na niedźwiedziu.

– A widzisz? – odparła. – Byłabyś dla mnie idealną wspólniczką.

Zarumieniłam się. Pragnęłam stać się dla niej kimś ważnym. Zresztą ten plan z każdą chwilą coraz bardziej mi się podobał. Kiedy kelner przyniósł nam jedzenie, omawiałyśmy już wystrój sklepu i sama nie wiedziałam, czy robię to tylko po to, by sprawić przyjemność Angelinie, czy też z jakichś innych powodów.

Rozdział 25

Amanda

Wieczorem, po zamknięciu sklepu, zaniiosłam do mieszkania dwa worki ubrań z epoki edwardiańskiej otrzymanych od pani Kelly. Spędziłam zajmujący wieczór na sortowaniu i sprawdzaniu, co trzeba uprać, a co naprawić. Co prawda powinnam była w tym czasie przeglądać rachunki firmy.

Spojrzałam ze złością na laptop. Na myśl o konfrontacji z liczbami ogarniało mnie przygnębienie. Dlaczego moje życie stało się takim koszmarem?

Nie pozostało mi nic innego, jak pójść do baru po drugiej stronie ulicy i strzelić sobie kielicha. Dziś powinnam zastać tam Carol. Pracowała jako barmanka w Phebe, kiedy się tu wprowadziłam. Potrafiła dodać odwagi i nie chodzi mi tylko o zaserwowanie odpowiedniej dawki alkoholu. Carol właśnie skończyła pięćdziesiąt lat, mieszkała od dawna z tym samym facetem, wyglądała świetnie i była artystką. Życie nie kończy się po pięćdziesiątce.

Zajęłam swoje ulubione miejsce na końcu baru, ale nigdzie nie było widać Carol. Zamiast jej rudych loków ujrzałam czarne proste włosy należące do chudej, młodej osoby, która przyjęła moje zamówienie. Miała modny ostatnio piercing – przekłute nozdrze i język, a na nadgarstku wytatuowanego motyla. Gdy postawiła przede mną jacka danielsa z dietetyczną colą i miseczkę z orzeszkami ziemnymi, zapytałam, co się stało z Carol.

- Musiała wziąć kilka dni wolnych. Śmierć w rodzinie.
 - Przykro mi to słyszeć. Znam Carol od lat. Wiesz może, kto umarł?
 - Jej mama. Koszmar, co?
- Przytaknęłam.
- Świetna bluzka – dodała barmanka.
 - Dzięki.
 - Nazywam się Hadley. Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

Biedna Carol. Biedna ja. Biedni wszyscy. Matki nie powinny umierać. To niedopuszczalne. Przypomniałam sobie, że muszę zadzwonić do swojej i zawiadomić ją, że w niedzielę wieczorem wpadnę do Woodstock. Pociągnęłam łyk drinka. Do diabła. Czy kiedykolwiek sama zostanę matką? A może zaprzepaściłam już swoją szansę? Molly napędziła mi stracha i miała rację. Nagle spodobał mi się podsunięty przez nią pomysł, by rzucić wszystko, przeprowadzić się do mamy i z jej pomocą

wychowywać dziecko.

Mogłabym zostać woodstockową samotną mamą hipiską noszącą barwne stroje i odżywiającą się ekologicznym jedzeniem. Potrzebne mi tylko nasienie. Ale oleję anonimowych dawców. Poproszę o nie Jeffa. Chyba jest mi coś winien za zmarnowanie przy nim najpłodniejszych lat? Płynęła z tego także dodatkowa korzyść: jeśli będę wychowywać jego dziecko, odpadnie mi obowiązek spłaty długu. A gdy synowie Jeffa pójdą na studia, on przyjedzie do Woodstock, poprosi mnie o rękę i migiem wywiezie do Nowego Jorku.

Dokończyłam drinka. Trochę kręciło mi się w głowie i byłam lekko wstawiona, ale pełna... w pełni... wszystko jedno... może warto coś zjeść?

Hadley podeszła i zapytała, czy chcę następnego drinka.

– Niech będzie.

Chrupiąc orzeszki, przyglądałam się, jak miesza whiskey z colą. Mój nowy plan wprowadził mnie w stan podniecenia. Tylko strach mógł mnie teraz powstrzymać. Powinnam napisać do Jeffa natychmiast, zanim zmienię zdanie. Kiedy Hadley postawiła przede mną szklaneczkę, wyjęłam komórkę i zaczęłam wystukiwać wiadomość.

Cześć. Miły, zwyczajny początek. Myślałam o różnych sprawach. Nie staję się coraz młodsza. Usunąć. Myślałam o różnych sprawach. Straciłam przez ciebie dziesięć lat życia. Więc jesteś mi coś winien. Usunąć. Mam pewien szalony pomysł. Nie. Cześć, co słyhać? Łączy nas coś wyjątkowego. Ale okoliczności nie pozwalają nam być razem. Jednak kocham cię i chcę mieć z tobą dziecko. O Boże, czy naprawdę napisałam właśnie te słowa? Usunąć, usunąć, usunąć. To absurdałne przekazywać tak ważną wiadomość w SMS-ie. Muszę przynajmniej pisać oficjalnie. Ostatecznie to transakcja biznesowa. Czy nie tak mówiła Molly? Poza tym nikt nie udziela ważnych informacji, jeśli nie musi tego robić. Mam pewien pomysł i chciałabym z tobą o nim porozmawiać.

Popatrzyłam na wyświetlacz. Wypiłam łyk drinka. Zmieniłam „tobą” na „Tobą”. Gotowe. Oczywiście mogę poczekać i wysłać wiadomość rano, kiedy odzyskam jasność umysłu, ale co będzie, jeśli wtedy stchórzę? A może ja wcale nie chcę jasno myśleć? Położyłam palec na przycisku „Wyślij”.

Nie! Nie rób tego! Nie bądź głupia!

Przesunęłam kciuk na przycisk „Usuń”.

Nie bądź tchórzem! Kuj żelazo, póki gorące! Nie robisz się coraz młodsza!

Czy na tym właśnie polega huśtawka nastrojów? Czy odczuwam niepokój i przygnębienie, problemy z koncentracją i poczucie zagubienia typowe dla

perimenopauzy u trzydziestodziewięciolatki? Do diabła z tym! Nacisnęłam „Wyślij”.

O, cholera. Dlaczego to zrobiłam? Wiadomość była już wysłana... zniknęła w eterze, w cyberprzestrzeni czy gdziekolwiek indziej i nic nie mogło jej zatrzymać. Napisałam jeszcze jeden SMS.

Proszę, zignoruj tamto. Dzięki.

I zanim zdążyłam wytłumaczyć sobie, że ta wiadomość jest równie żałosna, nacisnęłam „Wyślij”.

*

Po powrocie do domu włożyłam do mikrofalówki opakowanie makaronu z topionym serem i usiadłam przed laptopem. Miałam szczerzy zamiar otworzyć program księgowy. Jednak whiskey krążyła mi w żyłach i mój poziom koncentracji, nie mówiąc już o motywacji, nie sprzyjał jakiegokolwiek pracy. Sprawdziłam pocztę.

Moja przyjaciółka Karin zgadzała się na sushi w Tribeca. Dodała jednak, że następnym razem powinniśmy poważnie zastanowić się nad wizytą w Home Cooking, ponieważ „New York Times” napisał, że podają tam najlepsze naleśniki na świecie. Odpowiedziałam, że nie mogę się doczekać roladek z tuńczyka, i weszłam na stronę Home Cooking. Zaprojektowana była w modnym obecnie stylu z drugiej połowy ubiegłego stulecia. Byłam niemal pewna, że Olive pisała o wizycie w restauracji Childa, która znajdowała się na tym samym rogu ulicy – może nawet w tym samym budynku. Pomyśleć tylko, że mogłam tam pójść z Robem Kellym, zamiast po pijanemu wysyłać do Jeffa SMS-y z prośbą o nasienie.

Spojrzałam na zegarek. Dziesiąta. Byłam zbyt zmęczona, żeby pracować, ale jeśli wypiję kawę, nie zasnę do rana.

Zadzwoiła mikrofalówka. Wyjęłam tackę z makaronem, zdjęłam z niej folię i zasiadłam do przepysznego posiłku. Po dwóch kęsach odsunęłam go z obrzydzeniem. Potrzebuję czegoś, co mnie pocieszy, a to jedzenie się do tego nie nadawało. Po co jednak tu siedzieć i pogrążyć się w depresji, skoro mogę się delektować najlepszymi naleśnikami w Nowym Jorku? Chwyciłam czarny sweter i wyszłam w noc.

Rozdział 26

Olive

W pierwszą wiosenną niedzielę związki zawodowe domu towarowego Siegel-Cooper zorganizowały wycieczkę na Coney Island. Nigdy tam nie byłam, więc gdy w końcu nadszedł dzień wyjazdu, czułam się tak podniecona, jakbym wybierała się na wakacje za granicą. Uprzedzono nas, że wiele atrakcji otwierają dopiero w lecie, nie zainstalowano też jeszcze nowych kolejek górskich, na miejsce tych, które spłonęły w zeszłym roku. Byłyśmy jednak tak spragnione słońca, że wcale nas to nie obchodziło. Nie mogłam się doczekać, kiedy po przetrwaniu najgorszej zimy w życiu nareszcie odetchnę świeżym powietrzem.

Już sama podróż stanowiła atrakcję. Teraz, w otoczeniu koleżanek z pracy, nie bałam się tak jak za pierwszym razem jazdy metrem. Przynajmniej dopóki któraś nie wspomniała, że podróżujemy we wnętrzu metalowej rury położonej pod dnem East River. Siedziałam w napięciu aż do Brooklynu, gdzie pociąg wyjechał na powierzchnię, a ja, ku swojemu zadowoleniu, mogłam znów zająć się podziwianiem widoków przez okno. Trasa biegła wzdłuż niekończących się rzędów kwadratowych ceglanych domów, których monotonię ożywiała różnorodność podwórek. Na niektórych leżały porzucane zabawki, na innych uprawiano ogródki, jedne schludnie przycięte i wypielęgnowane, drugie zapuszczone. Zastanawiałam się, czy mieszkańcy wiedzą, że ich podwórka dostarczają rozrywki pasażerom przejeżdżających pociągów.

Tymczasem siedzące wokół mnie dziewczęta próbowały ustalić, które z atrakcji są najciekawsze, bo nigdy nie starczało czasu, by obejrzeć wszystkie. Sadie nie mogła się doczekać jazdy kolejką zataczającą pętlę, Angelina marzyła o plaży, dziewczyna pracująca w sali pocztowej pragnęła odwiedzić strzelnicę, Helen z działu gospodarstwa domowego rozpyślała się zaś nad „dziećmi w inkubatorach”.

– Czy to część pokazu dziwolągów? – zapytała Sadie.

– Ależ skąd – odparła Helen. – Nie słyssałaś o nich? Lekarz uratował maleństwa, które urodziły się za wcześnie, i teraz trzyma je w szklanych skrzynkach, gdzie mają ciepło. To prawdziwy triumf medycyny!

Na Coney Island nie miałam zamiaru marnować czasu na przyglądanie się dzieciom, więc odwróciłam twarz do okna. Jechaliśmy teraz przez przedmieścia. Od czasu do czasu mijaliśmy szkołę, kościół, boisko lub stację kolejową otoczoną kilkoma sklepikami. Niekiedy pociąg stawał, by zabrać pasażerów, i gdy dotarliśmy do białych wydm wybrzeża, biegnące środkiem wagonu przejście wypełniał tłum.

Pociąg zatrzymał się na ostatnim przystanku przy Surf Avenue i wszyscy zaczęli

pchać się do wyjścia. Kiedy wstawałam, szpilka od kapelusza spadła mi na podłogę i potoczyła się w kąt. Musiałam kucnąć, żeby ją odnaleźć. Leżała obok kawałka papieru, na którym odcisnął się ślad czyjegoś buta. Moje oczy przyciągnął wypisany tłustym drukiem nagłówek: PRZYJACIEL ŻON. Podtytuł głosił: *Jak zapobiec zapłodnieniu*. Złożyłam ulotkę i schowałam do kieszeni zakietu.

Po wyjściu z wagonu przez chwilę stałam nieruchomo na peronie, wystawiając twarz do słońca i wdychając słone morskie powietrze. Co za szczęście, że trafił nam się taki piękny dzień. Przypięłam kapelusz, poprawiłam rondo tak, by ocieniało oczy, i dołączyłam do koleżanek.

Pierwsze wrażenie kontaktu z przyrodą zniknęło, gdy tylko zeszałam po schodach na teren wesołego miasteczka. Sprzedawcy wrzeszczeli, ludzie jadący kolejkami piszczeli, a orkiestra dęta na jednym końcu promenady walczyła o lepsze z orkiestrą smyczkową na drugim. Nasza grupa natychmiast zaczęła się kłócić, dokąd pójść najpierw, i każda z dziewcząt ciągnęła w swoją stronę. Większość chciała zobaczyć dzieci w inkubatorach.

Angelina podeszła do mnie z boku.

– Nie masz ochoty na oglądanie *bambini*, prawda?

– Ani trochę. Może pójdziemy na plażę?

– *Perfetto*. – Wsunęła mi rękę pod ramię i wolnym krokiem ruszyliśmy w swoją stronę. Gdy mijaliśmy przezuwającego coś wielbłąda, który czekał, aż ktoś wynajmie go do przejażdżki, nie wytrzymałam i zapytałam, dlaczego Joe nie wybrał się z nami na wycieczkę.

– W końcu złożył wypowiedzenie i kupił bilet na pociąg do San Francisco. Myśli tylko o wyjeździe. Niedługo pewnie będzie miał tyle świeżego powietrza, ile dusza zapagnie.

– A to dopiero! – powiedziałam, starając się nie okazać zmartwienia.

– Od dawna o tym mówił.

– Pewnie będziesz za nim tęsknić.

– Nie sądzę. – Angelina przystanąła przed niebieskim namiotem pomalowanym w złote gwiazdy. Na drewnianej tabliczce widniał napis: ANNIE SMITH – ŚWIATOWEJ SŁAWY JASNOWIDZĄCA! MA KONTAKTY ZE ŚWIATEM DUCHÓW! – Nigdy nie byłam u jasnowidzącej, a ty?

– Ja też nie – odparłam, lecz zaraz przypomniałam sobie Lolę Cotton.

Obok namiotu stała kobieta, jedna z tak zwanych albinosek, o bladej skórze, białych włosach i brwiach.

– Tylko pięć centów – zachęcała. – Niezadowolonym klientom zwracamy pieniądze.

– Spróbujemy? – Angelina pchnęła mnie w stronę wejścia do namiotu. Sama byłam zaciekawiona, więc nie protestowałam. Gdy oczy przyzwyczyły mi się do ciemności, ujrzałam pulchną kobietę siedzącą przy kwadratowym stoliku. Paląca się na nim złota świeca rzucała niesamowitą poświatę.

– Witam – powiedziała kobieta. – Jestem Annie Smith. Czy pragniecie nawiązać kontakt z duchem ukochanej osoby, która odeszła w zaświaty? – Wskazała na stojące po obu stronach stolika składane krzesła. – Zaczynamy.

Usiadłyśmy z Angeliną naprzeciwko siebie. Sądziłam, że prawdziwe medium powinno mówić z egzotycznym akcentem – na przykład hiszpańskim albo węgierskim – ale ta kobieta brzmiała jak rodowita Amerykanka. Miała okrągłą, bladą twarz, po bokach której zwisały grube ciemnorude warkocze. Kazała nam położyć ręce na stole i zamknąć oczy.

– Pomyślcie imię ukochanej osoby, z którą chciałybyście się skontaktować. Postaram się przywołać jej ducha, ale pamiętajcie, że czasem zamiast niej można usłyszeć kogoś innego, kto ma dla nas pilną wiadomość albo musi z nami porozmawiać. Zdarza się też, że nieśmiali nie odzywają się wcale. Duchy mają różne osobowości.

Innymi słowy, od razu miała wymówkę na wypadek gdyby seans się nie udał.

Położyłam dłonie na stole i zamknęłam oczy, ale nie mogłam się zdecydować, czy przywołać ojca, czy matkę. Potem przypomniałam sobie, że przecież to wszystko bzdury i starałam się nie myśleć o niczym. Słyszałam, jak Annie Smith ciężko, rytmicznie oddycha, od czasu do czasu wydając z siebie cichy jęk, i nie mogłam się oprzeć, by nie zerknąć na nią spod rzęs. Za każdym razem, gdy wydychała powietrze, płomyk świecy drżał bliski zgaśnięcia. Angelina siedziała posłusznie z zamkniętymi oczami.

– Skoncentrujcie się! – wrzasnęła Annie Smith. – Skoncentrujcie się na otaczających nas duchach!

I dalej jęczała, kręcąc głową. Nagle stolik zaczął podskakiwać.

– Ktoś mnie dotknął! – krzyknęła Angelina.

– Proszę, powiadomcie o swojej obecności! – zawołała jasnowidząca w głąb namiotu.

Angelina siedziała sztywno jak kołek, wciąż nie otwierając oczu.

– Ścisnął moje ramię!

Nie mogłam uwierzyć, że dała się nabrać na te bzdury.

– Duchu, jeśli tu jesteś, ujawnij swoją obecność! – domagała się Annie Smith.

Teraz zaczęła się krztusić i dławić, jakby ktoś ją dusił. Wystawiła język, wywróciła oczami i przechyliła się do przodu. Jęczała i kręciła głową. Trwało to jakiś czas, w końcu umilkła, powoli uniosła głowę i otworzyła oczy.

Szybko zacisnęłam powieki.

– Proszę... posłuchaj mnie – przemówiła głuchym, ochrypłym szeptem jasnowidząca.

Zapadła cisza, a ja czekałam, co będzie dalej. Nagle Annie Smith – albo duch – krzyknęła:

– Krew!

Znów zerknęłam, choć nie spodziewałam się widoku krwi.

– Wszędzie! – darła się jasnowidząca. – Nie ma ratunku!

– Dlaczego? – zapytała Angelina. – Co to za krew?

– Ma... ma... matka.

– Matka? – powtórzyła Angelina. – Jesteś matką?

– Dziecko! – wrzasnęła jasnowidząca.

– Jesteś matką dziecka? – dopytywała się moja przyjaciółka.

Jej matka żyła. Czyżby chodziło o moją matkę? Tym razem nie miałam zamiaru dać się nabrać.

– Nie... bój... się! – zawołała Annie Smith.

– Czego? – spytała Angelina, nie otwierając oczu.

– Przeszłości!

– Nie bój się przeszłości?

– Bo będziesz żałować... żałować...

– Czego? – dopytywała się Angelina, jakby naprawdę pragnęła się dowiedzieć.

– Przyszłości!

Angelina pokręciła głową.

– Nic z tego nie rozumiem. Żałować przyszłości? Może to pani wyjaśnić?

– Krew! – krzyknęła jasnowidząca. – Wszędzie! Nie ma ratunku!

Wywróciła oczy w słup i głowa jej opadła. Po chwili jednak oprzytomniała i uniosła powieki.

– Duch odszedł – oznajmiła z całkowitym spokojem. Znów mówiła normalnie, co

prawda z odcieniem irytacji w głosie, zwłaszcza gdy kątem oka spoglądała na mnie. – Nie lubią, gdy ktoś wątpi w ich obecność.

– Chyba nie można żałować przyszłości – powiedziałam. – Ani bać się przeszłości. Powinno być raczej odwrotnie.

Pod stołem ktoś kopnął mnie w piszczel i raczej nie był to duch.

– Niekiedy trzeba czasu, żeby zrozumieć wiadomość z zaświatów. Gdybyście chciały znów nawiązać kontakt z duchami, jestem tu w każdą sobotę i niedzielę – oznajmiła Annie Smith, po czym pożegnała każdą z nas skinieniem głowy. – Do widzenia.

Podziękowałyśmy jej, choć ja nie zrobiłam tego tak szczerze jak Angelina. Po wyjściu z namiotu zmrużyłyśmy oczy od słońca. Albinoska wyciągnęła ku nam złotą miseczkę, do której wrzuciłyśmy dwie pięciocentówki.

– Wiem, że uważasz to wszystko za brednie – oświadczyła Angelina, gdy ruszyłyśmy dalej promenadą. – Ale ja byłam pod wrażeniem.

– Ludzie żałują przeszłości – upierałam się. – Nie przyszłości.

– Czy przeżyłaś kiedyś coś zdumiewającego, co nie dawało się wytłumaczyć?

– Nie. – Znów przemknęła mi przez myśl Lola Cotton. A potem przypominałam sobie mechanicznego wróżbitę. Nie miałam jednak zamiaru przypisywać im nadnaturalnych mocy. Ludzie lubią interpretować różne bzdury tak, jak im wygodnie. – W każdym razie, jeśli w tym namiocie był duch, to próbował skontaktować się z tobą, a nie ze mną.

– Skąd wiesz?

– W ogóle się nie skoncentrowałam. I to ty poczułaś czyjś dotyk.

– Ale przecież duch powiedział, że jest matką. Moja matka żyje.

– Powiedział, że jest matką dziecka, a to nic nie znaczy.

– Naprawdę?

– Widzisz? Właśnie w ten sposób wróżki oszukują ludzi. To, co mówią, jest tak mętne, że może dotyczyć każdego.

– W tym jest coś więcej – rzuciła gniewnie Angelina.

Szłyśmy dalej w milczeniu. Zastanawiałam się, jak załagodzić sprawę, nie przyznając się przy tym do błędu, gdy w polu widzenia pojawił się pawilon restauracyjny. Pomyślałam, że warto tam wstąpić i coś zjeść.

– Przegryziemy coś? – zapytała Angelina.

– Właśnie miałam zaproponować to samo.

– Widzisz? – uśmiechnęła się. – Czytam w twoich myślach.

Najwyraźniej wrócił jej dobry humor, więc zapomniałam o przeprosinach. Kupiliśmy hot dogi, precelki i napoje, znalazłyśmy wolny stolik i zaczęłyśmy pożerać słone przysmaki.

– Wymyśliłaś coś nowego w związku z naszym sklepem z kapeluszami? – zapytałam. Od czasu do czasu któraś z nas rozpoczynała rozmowę na ten temat, żeby projekt nie umarł śmiercią naturalną.

– Zaczynam się zastanawiać, czy to naprawdę taki dobry pomysł. Ostatecznie sklep to poważne zobowiązanie i wymaga dużo pracy. Nie mówię, że się jej boję. Ale co będzie, jeśli nam się nie uda? Stracę wszystko.

– Mówisz, jakbyś żałowała przyszłości – zażartowałam, pokrywając uśmiechem rozczarowanie. Właściwie nie liczyłam na realizację naszego planu, ale trudno mi było zrezygnować z marzeń.

– Przepraszam – powiedziała Angelina. – Nie chcę wystawić cię do wiatru.

– Nic się nie stało – odparłam, lecz zapragnęłam dokuczyć jej trochę. – Od początku nie wierzyłam, że zaoszczędzisz dość pieniędzy, by otworzyć sklep.

– Nie wierzyłaś? Na pewno bym mogła.

– Ile odłożyłaś, oprócz tamtych pięćdziesięciu?

Rzuciła mi pełne wyrzutu spojrzenie. Uraziłam ją i natychmiast mnie także zrobiło się przykro.

– Wybacz. Nie chciałam...

– Hej! – rozległ się znajomy głos. – Gdzie się podziewałyście?

Sadie i reszta dziewcząt szły w naszą stronę, ciągnąc krzesła zabrane od innych stolików. Paplały z podnieceniem. Okazało się, że najbardziej zachwyciły je dzieci w inkubatorach.

– Cudne maleństwa. – Helen z działu gospodarstwa domowego przycisnęła ręce do piersi. – Biedactwa, niektóre są sierotkami. Gdybym mogła, od razu wzięłabym jedno do domu.

– Najpierw poszukaj sobie męża – poradziła jej Sadie.

– Na litość boską – powiedziała Angelina. – Przecież nie widziałyśmy jeszcze plaży! Marzę, żeby trochę poleżeć na słońcu.

– Świetny pomysł. – Miałam nadzieję, że nad wodą porozmawiamy spokojnie i się pogodzimy, ale inne dziewczęta postanowiły do nas dołączyć. Zanim doszłyśmy do promenady, dziewczyna z sali pocztowej namówiła nas, żebyśmy skoczyły obejrzyć siedem cudów świata. A gdy skończyłyśmy podziwiać wiszące ogrody Semiramidy,

nadszedł czas, by spotkać się z resztą grupy i wracać do miasta. Nad ocean nie dotarłam.

Wieczorem, w zaciszu własnego pokoju, wyciągnęłam przybrudzoną ulotkę, którą znalazłam w pociągu. „Przyjaciel Żon” okazał się reklamą rozpuszczalnych tabletek mających zapobiegać zajściu w ciążę. Ich producent twierdził, że są wysoce skuteczne i nie mają żadnych szkodliwych skutków ubocznych. Oferowali także pessaria i doradzali, by po współżyciu robić irygację specjalnym roztworem chininy. Na ulotce przeczytałam, że kobiety mogą też stosować gąbki nasączone tym roztworem i że wszystkie trzy metody są równie dobre i niezawodne. Tabletek i pessarium można jednak używać bez wiedzy męża, co czyni z nich lepszych „przyjaciół”. Uśmiechnęłam się na myśl o mężach, którzy pewnie nie byliby zachwyceni, gdyby tego rodzaju „przyjaciela” znalazły sobie ich żony.

Na końcu wspomniano, że kobiety najłatwiej zachodzą w ciążę podczas menstruacji. Dziwne. Angelina twierdziła chyba coś przeciwnego?

Wyciągnęłam ukryte na dnie kufra *Cztery epoki w życiu kobiety*, by sprawdzić, co sądzi na ten temat doktor Galbraith. Ostatecznie jest lekarką, więc posiada najbardziej wiarygodne kwalifikacje.

Według niej jest to fakt powszechnie uznany, że kobiety najłatwiej zachodzą w ciążę w dniach tuż przed menstruacją i tuż po niej. Wówczas usuwany jest śluz, który blokuje plemnikom drogę do komórki jajowej. Doktor nie wspomniała o samej menstruacji, ale wydawało się logiczne, że uwzględnia także okres jej trwania.

Może się pomyliłam i nie zapamiętałam dokładnie słów Angeliny? Trudno się w tym wszystkim połapać, nawet mając przed sobą informacje wypisane czarno na białym.

26 kwietnia 1908 roku

Spędziłam z Angeliną cały dzień na Coney. Poszliśmy do jasnowidzącej i Angelina dała jej się nabrać. Zastanawiam się, dlaczego straciła serce do sklepu z kapeluszami. Czy się na mnie gniewa? Pewnie jestem głupia. Każdy miewa lepsze i gorsze dni. Daisy i ja także sprzeczałyśmy się ze sobą. Mój Boże, od wieków nie miałam od niej żadnej wiadomości. Czy o mnie zapomniała? Chyba za długo byłam na słońcu. Kręci mi się w głowie. Muszę iść spać. Może przyśni mi się coś miłego.

Joe Spinelli trzymał mnie w ramionach i całował tak namiętnie, że niemal krwawiły mi usta, ale odpowiadałam mu tym samym. Ludzie po drugiej stronie szyby

gapili się na nas z otwartymi ustami. I cóż z tego, że całujemy się na wystawie sklepowej? Niech sobie patrzą! Nagle włączył się alarm przeciwpożarowy. Zawyły policyjne syreny. Całowaliśmy się dalej. Czy chcą nas aresztować? Proszę bardzo!

Otworzyłam oczy obudzona porannym dzwonkiem. Co za dziwaczny sen! Publiczne pocałunki z Joem Spinellim to ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę.

Robiłam właśnie porządek na półkach, gdy zjawiała się panna Cohen.

– Czy mogłaby pani przespacerować się ze mną po sklepie?

– Oczywiście.

Sadie ze zdumieniem patrzyła, jak opuszczam stoisko. Nie miałam powodów do niepokoju, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Gratuluję znakomitych wyników sprzedaży – powiedziała panna Cohen, gdy szłyśmy razem sklepowymi alejkami. – Zwróciłam uwagę na pani zaangażowanie i wrodzoną umiejętność obsługi klientów. Pomysł z próbkami znakomicie się sprawdził. Najwyraźniej ma pani talent do handlu.

– Dziękuję – odparłam z nadzieją w sercu.

– Chciałam porozmawiać z panią o produktach upiększających. Stosunek do nich zaczyna się zmieniać. Niektórzy wciąż uważają, że makijaż wygląda wulgarnie, ale według mnie niedługo zobaczymy na ulicach przyzwoite kobiety z umalowanymi twarzami i nikt nie będzie w tym widział niczego złego.

Czy chce mi zaproponować sprzedawanie kosmetyków do makijażu? Sama ich nie używałam i moim zdaniem wyglądały tandetnie.

– Sprzedałam róż pewnej damie, która mieszka w bardzo eleganckiej kamienicy przy Piątej Alei.

– No właśnie. Nawet pan Vogel w końcu przyjął tę modę do wiadomości. Postanowiliśmy przenieść stoisko z koronkami do sutereny, żeby zrobić miejsce dla kosmetyków.

– To wspaniały pomysł.

– Cieszę się, że tak pani uważa, ponieważ chciałabym, żeby to pani je poprowadziła. Czy zna pani salon Madame du Jardin?

– Przechodziłam obok niego na Piątej Alei.

– W takim razie wie pani, że oferuję produkty najwyższej klasy. Mamy zamiar sprzedawać je w osobnym stoisku. Oprócz kremów do twarzy, balsamów do ciała i perfum oferuję też linię kosmetyków upiększających: puder, róż, kredki do warg, tusz do rzęs, kredki do oczu, a nawet kolorowe lakiery do paznokci.

– Brzmi wspaniale, panno Cohen. Chyba właśnie o to nam chodzi.

– I jeszcze jedno. Oczekujemy, że będzie pani używać tych produktów. Przedstawicielka Madame du Jardin pokaże, jak je właściwie nakładać, aby potem mogła pani uczyć tego klientki. Wiem, że nie ma pani zwyczaju się malować, ale zapewniam, że te kosmetyki podkreślają naturalny, zdrowy wygląd. Czy będzie to dla pani problem?

Mam stać na widoku wypacykowana jak ladacznica? I uczyć inne kobiety, jak się malować? Ciotka Ida byłaby przerażona. Ojciec nigdy by mi na to nie pozwolił. Ale skoro tylko w ten sposób mogłam zadowolić pannę Cohen, nie miałam wyboru.

– Wygląda na to, że otrzymam bardzo odpowiedzialne stanowisko. Czy w związku z tym dostanę podwyżkę?

– Jeszcze o tym nie wspomniałam? Naturalnie. Będzie pani zarabiać dziewięć dolarów tygodniowo. Do tego otrzyma pani trzy procent prowizji od sprzedaży. To znacząca podwyżka, ale pani zdolności nie były dotąd w pełni wykorzystywane, a nie chciałabym stracić tak wykwalifikowanej pracownicy. Poza tym jest pani dokładnie taką osobą, na jakiej zależy Madame du Jardin. To bardzo ważne, żeby nowe produkty sprzedawał ktoś o pani aparycji i charakterze. Nasze klientki przekonają się, że kobieta z makijażem nie musi być łatwa. Czuję, że jeśli przeprowadzimy wszystko jak należy, czeka nas spory sukces.

Dziewięć dolarów tygodniowo i prowizja!

– Chyba jakoś przyzwyczaję się do makijażu. Ale... – zawahałam się. Bałam się targowania, lecz jednocześnie miałam świadomość, że może to moja jedyna szansa. Jeśli przynajmniej nie spróbuję, będę potem na siebie zła. – Słyszałam, że w wielu działach przyznawane są prowizje w wysokości siedmiu procent.

W działach, w których zatrudniano mężczyzn.

– Ale nigdy od razu. Mogę porozmawiać z panem Voglem na temat pięciu procent, ale nie sądzę, żeby zgodził się na więcej.

– Na początek niech będzie pięć.

– Znakomicie. W przyszłym tygodniu zorganizujemy spotkanie z osobą, która pokaże pani produkty, a potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, stoisko zacznie działać. Muszę panią ostrzec, że inne dziewczęta, zwłaszcza te, które pracują tu dłużej, mogą być zazdrosne. Ma pani ogładę, której im brakuje, wytworne maniery, elegancję, pewność siebie. Tego nie zagra nawet najlepsza aktorka. Ludzie znajdujący się na rzeczy natychmiast rozpoznają fałsz.

– Dziękuję, panno Cohen. Doceniam pani wiarę we mnie.

– Proszę spojrzeć. – Panna Cohen zatrzymała się gwałtownie na środku szerokiego

przejścia przez dział krawiecki. Sprzedawczynie stały beczynn timer przed półkami, na których piętrzyły się bele materiałów. Ustawione wzdłuż kontuarów stołki dla klientów były puste. – Cały dział krawiecki powinno się przenieść na inne piętro. Ludzie wolą gotowe ubrania.

– To prawda. Nawet bogate kobiety rezygnują z krawcowych. Dużo rozsądniej będzie przeznaczyć to miejsce na sprzedaż artykułów toaletowych.

– Taki właśnie jest mój cel. Z pani pomocą pokażemy mężczyznom na górze, że trzeba iść z duchem czasu, a nie pozostawać w tyle. A teraz muszę panią przeprosić, mam zaraz spotkanie w magazynie próbek. – Szeleszcząc spódnicą, panna Cohen odeszła w stronę ruchomych schodów.

– Co się stało? – zapytała Sadie, gdy wróciłam do stoiska.

– Rozmawialiśmy o sprzedaży. Chce, żebym więcej uśmiechała się do klientów.

– Czy mówiła coś o mnie?

– Ani słowa. – Panna Cohen miała rację. Inne dziewczęta będą mi tylko zazdrościć awansu. Postanowiłam trzymać buzię na kłódkę i cieszyć się nowiną, zanim ktoś mi tę przyjemność popsuje.

Moja dyskrecja na nic się nie zdała. Dwa dni później, gdy stałam obok Sadie i podsumowywałam rachunki w książce sprzedaży, podeszła do nas Angelina z koszykiem ciągutek.

– Słyszałam coś nadzwyczajnego – powiedziała, gdy Sadie częstowała się cukierkiem. – Ktoś tu idzie w górę. Otwierają specjalne stoisko z kosmetykami do makijażu, a pannę Westcott poproszono, by je poprowadziła. Dostała też podwyżkę.

– Naprawdę? – Sadie popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami. – To już szczyt wszystkiego

– No cóż... – Zarumieniłam się, zupełnie nieprzygotowana na taką sytuację.

– A kiedy ja miałam się o tym dowiedzieć? – zapytała Sadie.

– Panna Cohen nie pozwoliła mi nikomu o tym mówić – wybrnęłam, zadowolona, że mam jakąś wymówkę.

Angelina udała skruchę.

– Ach, ten mój długi jęzor! Chyba popsułam jej plany.

Sadie wrzuciła cukierek do ust.

– To niesprawiedliwe. Pracuję tu dłużej.

– Może powinnaś się poskarżyć pannie Cohen – zaproponowała Angelina.

– Dużo mi to da.

Popatrzyłam ze zdziwieniem na Angelinę. Bawienie się w intrygi, żeby skłócić mnie i Sadie, nie pasowało do niej.

– Do diabła – rzuciła. – Nadchodzi pan McGillicutty. Lepiej będę zmykać.

– Zaczekaj! – zawołałam, bo coś jeszcze mnie zastanowiło. – Jak się o tym dowiedziałaś?

– Och, sama wiesz, jak łatwo plotki rozchodzą się po sklepie. – Angelina rzuciła mi przez ramię przesadnie niewinne spojrzenie. – Coś okropnego, prawda?

Rozdział 27

Amanda

Zwolniłam kroku i podeszłam do okna restauracji Home Cooking, żeby przed wejściem zajrzeć i sprawdzić, jak jest w środku. Mężczyzna za szybą wyglądał zupełnie jak Rob Kelly. Zamarłam. Idąca za mną kobieta wpadła mi na plecy.

To był Rob Kelly.

Kobieta zaklęła, po czym obeszła mnie naokoło, więc nie zawracałam sobie głowy przeprosinami. Rob Kelly uśmiechnął się, zachęcając gestem, żebym weszła. Odpowiedziałam uśmiechem, jakby to był świetny pomysł, i ruszyłam do drzwi. Cholera. Czy przed wyjściem w ogóle spojrzałam w lustro? I dlaczego on tak późno je obiad?

Jeżeli mieściła się tu kiedyś restauracja Childa, mogłyby to wykazać chyba tylko wykopaliska archeologiczne. Wnętrze poddano całkowitej renowacji, ściany obłożono drewnopodobną boazerią i postawiono tu i tam lampy lawowe. Rob siedział na dwuosobowej brązowej kanapie w kształcie podkowy.

– Cóż za zabawny zbieg okoliczności – powiedziałam, stając obok, jakbym chciała przyjąć od niego zamówienie.

– Co sprawiło, że o tak późnej porze wyszłaś z domu?

Los? Przeznaczenie? Duchy zmarłych kontrolujące podejmowane przeze mnie decyzje?

– Wybrałam się do sklepu – skłamałam, by nie pomyślał, że za nim chodzę. – Na Union Square jest świetny supermarket Whole Foods.

– Pocziwy stary Nowy Jork. Ludzie robią tu zakupy we dnie i w nocy. Może się przysiadziesz? Jeszcze nic nie zamówiłem.

Leżąca przed nim duża błyszcząca karta dań kuśiła zdjęciami pieczonego kurczaka i naleśników „jak u mamy” obłożonych złocistymi kawałkami masła i ociekających syropem klonowym.

– Chętnie. Dziękuję.

Usiadłam naprzeciwko Roba, a on przekreślił kartę w moją stronę. Zastanawiałam się nad „astroburgerem”, ale miałam też wielką ochotę na naleśniki. Podeszła kelnerka w jaskraworóżowej szmizjerce, żeby przyjąć zamówienie. Na widok jej figury w rozmiarze 34 ponownie przemyślałam sprawę naleśników. Nie mogąc w panice podjąć decyzji, poprosiłam o jajecznicę, a potem jeszcze o bułeczki oraz sos.

Rob zdecydował się na befsztyk i jajka.

– Jaki pan lubi? – zapytała kelnerka z takim błyskiem w oku, że nie wiedziałam, czy na pewno chodzi jej o mięso.

– Średnio wysmażony – odparł Rob.

– Gorący i czerwony w środku i lekko różowy na zewnątrz?

– No właśnie.

Zabrała menu. Uśmiechnęłam się uprzejmie do Roba. Zapytał, dlaczego zainteresowałam się ubraniami vintage, a ja wyjaśniłam, że to wina mamy.

– Gdy byłam mała, zabierała mnie na pchle targi. Pokazywała też, jak szukać okazji w sklepach ze starzyzną, na strychach, a nawet na chodnikach, gdzie ludzie przed przyjazdem śmieciarzy wystawiają różne rupiecie. Może to brzmi mało prawdopodobnie, ale znalazłam w ten sposób wspaniałe rzeczy.

– Wierzę. Wczoraj rano porządkowałam babciną piwnicę. Przypomina grobowiec i są w niej głównie śmiecie, ale nigdy nic nie wiadomo. Może znajdę zaginiony obraz Picassa albo nawet dwa.

– Jeśli trafisz na ubrania, daj mi znać.

– Będiesz pierwszą właścicielką butiku z ubraniami vintage, do której zadzwonię.

– Dzięki. A ty gdzie pracujesz?

– Mam sklep z rowerami tuż przy plaży. Sprzedaję i naprawiam.

– Więc też jesteś z branży handlowej. Nie wiedziałam. – Sklep z rowerami w Santa Monica? Przy plaży? Brzmi zachęcająco. Może jednak warto zainteresować się Robem. – Jak ci idzie?

– Całkiem nieźle. Myślę o otwarciu drugiego.

– Wspaniale. Zatem wychowałeś się w Santa Monica?

– Nie, tutaj. Mieszkaliśmy niedaleko Gramercy Park, a po studiach wynajmowałam mieszkanie w West Village.

– Ach tak. – To wyjaśniało czapkę z logo Yankees. Ale West Village? I ten brak obrączki. Może to gej?

– Tęsknię za Nowym Jorkiem – wyznał. – Ale nie powinienem marudzić. Santa Monica jest piękna, pogoda wspaniała. Mieszkam w bungalowu z lat trzydziestych, niedaleko plaży.

– Naprawdę? To musi być urokliwe miejsce. – Dlaczego powiedziałam „urokliwe”? Nigdy nie używam tego słowa. – A jak tam trafiłeś?

– Długa historia... – Spojrzał w okno i pogładził brodę. Najwyraźniej nie miał

ochoty o tym opowiadać.

– Skoro mowa o długich historiach... – zmieniłam temat. – Kiedy przeglądałam rzeczy twojej babki, znalazłam coś naprawdę interesującego. Stary dziennik z tysiąc dziewięćset siódmego roku. Właśnie go czytam, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– O ile nie ma w nim nic na mój temat – zażartował.

– Nie martw się, twoja reputacja jest bezpieczna.

Rob Kelly wyglądał całkiem nieźle. Gdyby zgolił brodę, mógłby uchodzić za przystojnego. A Santa Monica to nie najgorsze miejsce do życia. Na pewno spodobałby mi się uroczy staroświecki bungalow tuż przy plaży. I jest tam duży popyt na ubrania vintage.

– Pisała go niejaka Olive Westcott. – Dziwnie się czułam, mówiąc o niej głośno, jakby była kimś obcym. – Przypuszczam, że to twoja prababka. Kojarzysz nazwisko?

– Raczej nie, ale to o niczym nie świadczy. Babcia niewiele opowiada o przeszłości. Wielka szkoda. Kiedy umrze, zabierze wszystkie wspomnienia do grobu.

– Przecież jeszcze żyje. Spróbuj ją zapytać.

– To prawda. Rak nie uszkodził jej mózgu. Jest całkiem bystra jak na dziewięćdziesiąt osiem lat.

– Na pewno. – Pani Kelly mówiła mi, ile ma lat, ale zapomniałam, że jest już taka stara. Odjęłam jej wiek od 2007 roku i wyszło, iż urodziła się w 1909. Nic nie wskazywało na to, że Olive wyszła za mąż i miała dziecko, ale wszystko jest możliwe. – Zastanawiam się, czy w ogóle wie o istnieniu tego dziennika.

– Okropne, że rodzinne historie idą w zapomnienie.

Wróciła kelnerka, przynosząc ogromne porcje jedzenia.

– Podać coś jeszcze?

– Niczego nam nie brakuje – odparł Rob.

– Nie, dziękuję – dodałam, chociaż nie zwracała się do mnie.

– Bardzo proszę. – Kelnerka przed odejściem mrugnęła do Roba. Najwyraźniej nie uważała go za geja. Dzięki Bogu, że restauracyjna etykieta nie pozwala na przysiadanie się do stolików gości.

Zaczęłam jeść. Jajka były miękkie i kremowe – bułeczki puszyste i maślane. Niosły ukojenie, tyle że za cenę nieczystego sumienia.

– Pyszne – powiedziałam. – A jak twój befsztyk?

– Usmażony doskonale.

Już miałam wyrazić radość, że zaproponowałam tę właśnie restaurację, gdy przypomniałam sobie, że przecież Rob zaprosił mnie na obiad, a ja odmówiłam. Przez dłuższą chwilę jedliśmy w milczeniu, co zaczynało nam ciążyć.

– A więc – zaczęłam – jeśli chodzi o ten dziennik... Miałam zamiar... Oczywiście go zwrócę, ale jeśli można, bardzo bym chciała go dokończyć.

– Jasne, nie spiesz się. Nie wiem jak babcia, ale ja na pewno chętnie do niego zajrzę. I założę się, że moja córka także kiedyś będzie chciała go przeczytać.

Psiakrew!

– Masz córkę? – Z dwojga złego wolałam już geja niż żonatego. Uśmiechnęłam się i przestałam jeść, żeby zobaczyć, jak bardzo zachwyciła mnie wiadomość, że ma dziecko. Jego żona pewnie nie posiada się ze szczęścia, że mąż, pomagając wyprzedawać dobytek umierającej babci, zaprasza na obiad obce kobiety. Co za dupek. – Jak się nazywa?

– Betsy.

– Jedno z moich ulubionych imion. – Czy przyciągam żonatych mężczyzn? – Ile ma lat?

– Dziesięć.

– Najlepszy wiek – oceniłam, jakbym się na tym znała.

– Trochę się boję, co będzie dalej.

– Och, jakoś sobie poradzisz. Albo twoja żona. – Oczywiście, że jest zajęty. A ja, idiotka, już myślałam, co zmienić w jego wyglądzie, i planowałam z nim całą przyszłość. Dlaczego nie nosi pieprzonej obrączki? Założę się, że jest gejem i żona to tylko przykrywka. Coś w rodzaju drugiej brody.

– Niestety, moja żona przed paru laty zginęła w wypadku samochodowym.

– Och! – Jestem kretynką. – Bardzo mi przykro. – Dzięki Bogu, że nie potrafi czytać w moich bezdusznych, okrutnych, podłych myślach. – Twojej córce musi być bardzo ciężko.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, radzi sobie całkiem nieźle.

– Ty też pewnie wiele przeszedłeś. – Odłożyłam widelec i popatrzyłam na Roba ze współczuciem. Przynajmniej znów jest do wzięcia. I żaden z niego gej.

– Poznałem żonę w Kalifornii, tam mieszka większość jej rodziny, ale tęsknię za Nowym Jorkiem. Zastanawiam się nad powrotem, zwłaszcza że po śmierci babci odziedziczę jej mieszkanie. Oczywiście na spółkę z siostrą, ale ona lubi swój dwupoziomowy dom z basenem w New Jersey i nie planuje przeprowadzki.

Nie jest gejem, ma prężną firmę i będzie właścicielem cennej nieruchomości.

– To ładne mieszkanie.

– Nie wiem tylko, jak Betsy się tu zaadaptuje.

– Och, wiesz, jakie dzieci są odporne. – W każdym razie tak się mówi. – Wspominałeś, że dorastałeś w okolicach Gramercy Park. Do której szkoły średniej chodziłeś?

– Do Dalton.

– A kiedy ją skończyłeś?

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku.

A więc był dwa lata starszy ode mnie. Rzuciłam kilkoma nazwiskami i okazało się, że mamy wspólnych znajomych. Do końca obiadu wspominaliśmy szkołę. Całkiem możliwe, że tego samego wieczoru oglądaliśmy występ Debbie Harry w klubie CBGB. Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, Rob zaproponował, że odprowadzi mnie do domu.

– Mieszkaś po drodze, więc to ja cię odprowadzę – powiedziałam.

Wyjął portfel.

– Pozwól mi przynajmniej zapłacić za obiad.

– Nie wygłupiaj się.

– Przecież wcześniej cię zapraszałem.

– A ja odmówiłam. Teraz powinnam sama cię zaprosić, żebyśmy byli kwita.

– Nie żartuj. – Pomachał do kelnerki, prosząc o rachunek.

– Dziękuję, bardzo miło z twojej strony. – Chciałam dodać, że zapłacę następnym razem, ale czy będzie następny raz?

Rob otworzył przede mną drzwi i ruszyliśmy Trzecią Aleją.

– Długo będziesz w Nowym Jorku? – zapytałam.

– Jutro odlatuję.

– Tak szybko? A co z babcią?

– Dzięki Bogu ma na stałe dobrą pielęgniarkę, która właśnie wróciła z urlopu. A moja siostra często do niej zagląda. Ale niedługo znów przyjadę. Trzeba zająć się wieloma sprawami i nie wiadomo, jak długo babcia, no wiesz...

Skinęłam głową.

– Córka pewnie tęskni za tobą.

– Nie da się ukryć.

Kiedy doszliśmy do kamienicy, w której mieszkała Jane Kelly, zastanawiałam się, czy zechce mnie pocałować na pożegnanie. Stanęliśmy przed zakolem podjazdu zwróceniem twarzami do siebie. Jeszcze raz podziękowałam za jajecznicę.

– Nie ma za co. Pewnie odezwiesz się w sprawie ubrań.

– Tych wziętych w komis? Oczywiście. – Nagle myśl o pocałunku mnie przestraszyła. Choć przecież nie miałam powodu, by uważać, że on ma na niego ochotę.

– A więc... – Pochylił się lekko w moją stronę. Zrobi to? Nie, tylko skinął głową. – Dobranoc.

– Dobranoc.

I tak się rozstaliśmy. Może na myśl o pocałunku również się przestraszył.

Rozdział 28

Olive

Wrzuciłam kapsułę z rachunkiem do otworu poczty pneumatycznej, podniosłam wzrok i o mało nie wyskoczyłam ze skóry. Moje stoisko mijał właśnie Ralph Pierce. Zobaczył mnie w tej samej chwili, w której ja spostrzegłam jego.

– Dzień dobry, panno Westcott.

– Witam, panie Pierce.

Z twarzy Ralpha szybko spęłzył przyjacielski uśmiech. Zmarszczył brwi i zrobił pełną z troskania minę.

– Słyszałem o pani ojcu. Bardzo mi przykro.

– Och... Dziękuję.

– Kiedy tato zawiadomił mnie o tym, co się stało, od razu chciałem przekazać pani wyrazy współczucia. Dzwoniłem do hotelu Mansfield, ale powiedzieli, że się pani wyprowadziła i nie zostawiła adresu.

– Przykro mi. Okoliczności się zmieniły i... – umilkłam skrzepowana.

– Proszę nie przepraszać. Musiała pani przeżyć straszne chwile. Pan Westcott był taki młody i zauważyłem, że łączyła was szczególna więź.

– Było mi ciężko.

Obrzucił wzrokiem stoisko.

– Widzę, że zrealizowała pani swoje plany i podjęła pracę. Jestem pod wrażeniem.

– Ton głosu był uprzejmy, ale dawało się w nim wyczuć nutkę rozbawienia.

– O ile pamiętam, nie podoba się panu to środowisko.

– Zgadza się. Z drugiej strony wielu kobietom zabrakłoby odwagi, żeby pójść do pracy.

– Nie miałam wyboru.

– No tak. Cóż, pewnie nie powinienem odrywać pani od zajęć.

– Owszem – potwierdziłam, choć nie czekał na mnie żaden klient.

– Panno Westcott... – Ralph zawahał się. – Czy zgodziłaby się pani, abym niedługo złożył pani wizytę?

Wyobraziłam go sobie w obskurnym, zakurczonym saloniku pensjonatu. Pewnie wtedy moja odwaga nie robiłaby na nim takiego wrażenia.

– To raczej niemożliwe.

– Czy na pewno?

– Jestem bardzo zajęta.

– Może w sobotę wieczorem? Moglibyśmy zjeść razem obiad.

– Dziękuję, jest pan bardzo uprzejmy, ale w tę sobotę nie mogę. – Przypadkowo mówiłam prawdę. Producenci przedstawienia na Broadwayu ofiarowali sklepowym związkom kilka biletów, a Angelina znów zdołała oczarować sekretarkę.

– Może w następną?

Nie rezygnowałam. Zastanawiałam się, dlaczego to robi. Podczas pierwszego spotkania chyba nie wywarłam na nim dobrego wrażenia. Może się nade mną lituje?

– Nie chciałabym, żeby zapraszał mnie pan z poczucia obowiązku.

– Myślę, że nasza znajomość niefortunnie się rozpoczęła. Byłbym wdzięczny, gdyby dała mi pani drugą szansę. – Zwiesił głowę, a po chwili spojrzał na mnie niepewnie. – Szczerze mówiąc, przeżywam teraz ciężki okres, choć oczywiście trudno go porównywać z pani sytuacją. Widzi pani, byłem zaręczony z bardzo miłą dziewczyną z dobrej rodziny, znaliśmy się od lat. Niestety, w zeszłym tygodniu coś się w moich uczuciach zmieniło i z nią zerwałem.

– Ojej...

– Teraz wiele osób uważa mnie za skończonego łajdaka. Będzie to więc dla mnie zaszczyt, jeśli dotrzyma mi pani towarzystwa przy obiedzie. I – dodał – założę się, że pani ojciec byłby zadowolony, gdyby zachowała pani choćby luźne kontakty ze sklepem Woolwortha.

Mój opór stopniał i wyraziłam zgodę. Kiedy zapytał o adres, najpierw chciałam zaproponować, żebyśmy spotkali się na mieście. Potem jednak uznałam, że nie ma sensu go oszukiwać. Jeśli nie będzie umiał zaakceptować sytuacji, w jakiej się znalazłam, po co zawracać sobie nim głowę.

Zaraz po odejściu Ralpa podeszła do mnie Sadie.

– Kim jest ten przystojny dżentelmen, z którym właśnie flirtowałaś?

– Nie flirtowałam. To mój dawny znajomy. Zaprosił mnie na obiad.

– Zobaczysz, ani się obejrzyysz, a wyjdiesz za mąż i wszystkie twoje troski się skończą.

– Za niego? Nigdy. Nie możemy się porozumieć.

– Poczekaj, aż zapłaci za twoją kolację – Sadie się roześmiała. – Od razu się porozumiecie.

W sobotę wieczorem pojechałyśmy z Sadie do Empire Theatre na Broadwayu. Czułam ukrytą satysfakcję na myśl, że wszyscy widzowie musieli zapłacić za bilety, a my swoje dostałyśmy za darmo. Angelina czekała już na nas w holu. W kobaltowoniebieskiej sukni wykończonej czarną koronką wyglądała prześlicznie, choć nieco wyzywająco. Krój podkreślał jej figurę w kształcie klepsydry. Czy dostała suknię w prezencie od przyjaciela? Sama zrobiła sobie do niej wspaniały kapelusz, czarny, z szerokim miękkim rondem, przystrojony dwoma wdzięcznie opadającymi strusimi piórami.

Sadie wystroiła się w różową sukienkę z żółtymi falbankami i marynarski kapelusz z dużą różową kokardą. Serce mi się ścisnęło, gdy pomyślałam, jak oszczędzała każdy grosz, żeby kupić sobie to wszystko w tanim sklepie przy Czternastej Ulicy.

Ja miałam na sobie najładniejszą toaletę spośród rzeczy, które zostały mi ze starej garderoby. Tego dnia po raz pierwszy mogłam włożyć szytą na miarę zieloną atlasową suknię w stylu empire przepasaną wokół talii fiołkową szarfą. Do tego zielony kapelusz, którego główkę otaczały fioletowe różyczki. Po raz pierwszy od bardzo dawna czułam, że wyglądam ładnie.

Gdy weszłyśmy na salę, zauważyłam, że teatr, podobnie jak dom towarowy, zaprojektowano tak, aby klasa średnia mogła zaspokoić poczucie luksusu dostępnego dawniej tylko wyższym sferom. Przed wielką sceną stały obite czerwonym aksamitem krzesła, nad którymi górowały trzy piętra balkonów. Z sufitu ozdobionego figurkami złożonych amorków zwisał największy żyrandol, jaki kiedykolwiek widziałam.

Nasze darmowe bilety zapewniały nam miejsca w łoży drugiego piętra. Kiedy chodziłam do teatru z ojcem, zawsze siedzieliśmy tuż przy orkiestrze, najchętniej obok przejścia, tak by tatko mógł wyciągnąć swoje długie nogi. Angelina zajęła miejsce pomiędzy mną a Sadie. Wychyliłam się i spojrzałam w dół, na kanał dla orkiestry.

– Słyszałyście najnowsze wieści? – zapytała Sadie, gdy czekałyśmy na rozpoczęcie przedstawienia. – Evelyn Nesbit wyrzucono z apartamentu w hotelu Prince George. Podobno goście skarżyli się, że przyciąga za dużo uwagi.

– Nadal? – zapytałam ze zdumieniem. Od procesu minęły już przynajmniej dwa miesiące.

Angelina powachlowała sobie twarz programem.

– W przyszłym tygodniu sędzia ma zdecydować o unieważnieniu jej małżeństwa.

Sadie, wyraźnie rozczarowana, pokręciła głową.

– Nie rozumiem, dlaczego chce porzucić Harry’ego Thawa, nawet jeśli zwariował. Jego rodzina ma fortunę.

– Pewnie matka Thawa ją zmusiła – orzekła Angelina.

– Myślicie, że oni ciągle się kochają? – zapytała Sadie.

Na to pytanie żadna z nas nie potrafiła odpowiedzieć. Zaczęło się przedstawienie i wkrótce zapomniałam, że siedzę na gorszym miejscu. Sekretarka, grana przez sławną Eleanor Robson, wyszła za bogatego szefa, w którego roli wystąpił pulchny aktor w średnim wieku o nieznanym mi nazwisku. Przeprowadziła się do jego rezydencji przy Piątej Alei i zaraz potem straciła głowę dla przystojnego szofera. Czarujący młody aktor, który go grał, skradł też serca większości kobiet na widowni.

Po przedstawieniu poszliśmy do taniej restauracji, która obsługiwała bywalców teatru. Niewidoczna orkiestra grała motywy ze sztuki tak głośno, że słyhać je było w całej sali. Goście, chcąc prowadzić rozmowę, musieli się więc przekrzykiwać, co im jednak specjalnie nie przeszkadzało. Kierownik sali zaprowadził nas do stolika w bocznej salce przeznaczonej tylko dla kobiet. Było tam gorąco i parno.

Angelina i Sadie zachwyciły się kartą dań jeszcze bardziej niż aktorem. Sama miałam wielką chęć na befszytk z ziemniakami, choć wiedziałam, że niska cena oznacza jedzenie średniej jakości. Po złożeniu zamówienia, nie tracąc ani chwili, sięgnęliśmy do koszyka z pieczywem.

– Jak się wam podobała sztuka? – zapytałam, smarując bułkę cienką warstwą masła.

Angelina posmarowała swoją dużo hojniej.

– Największy błąd tamtej dziewczyny to wyjście za męża. Wcześniej miała wszystko, czego chciała.

– Chyba żartujesz. – Sadie rozerwała bułkę na pół i po prostu zanurzyła ją w maselnicy. – Gdyby bogaty facet poprosił mnie o rękę, wyszłabym za niego w jednej chwili. Zmęczyła mnie już ta cała zabawa.

Jałam powoli, po raz pierwszy od tygodni rozkoszując się smakiem prawdziwego masła.

– Ty? Zmęczona zabawą? – Angelina wybuchnęła śmiechem. – Randkami?

– Lubię umawiać się z chłopcami – przyznała Sadie – ale każdego roku robię się starsza i mam coraz mniejsze szanse na zamążpójście. Jestem już gotowa na to, by związać się z jednym facetem i wychowywać mu dzieci. Powiedziałam nawet mojemu przyjacielowi maklerowi, żeby przestał mnie odwiedzać.

Przełknęłam kęs i zapytałam dlaczego.

– Bo nie znoszę całować się z mężczyzną, który nie ma wąsów – uśmiechnęła się szeroko.

– Ja też – przytaknęła Angelina. – Zupełnie jakby się całowało pupkę niemowlaka.

Chociaż wciąż nie wiedziałam, jak to jest całować kogoś – z wąsami lub bez – w usta, uśmiechnęłam się z udawaną aprobatą.

– Mężczyźni to zwierzęta – oświadczyła Sadie, nabierając więcej masła. – On mnie pragnął, ale nie myślał o ślubie. A mnie wcale nie zależało na łóżku, za to chciałam za niego wyjść.

Pomyślałam o ojcu. Nie był zwierzęciem – tak przynajmniej uważałam. Możliwe jednak, że pielęgnowałam w sobie dziecinne, wyidealizowane wspomnienie. Ostatecznie nasze bankructwo zachował w tajemnicy. Kto wie, jakie jeszcze ukrywał sekrety?

Zjawił się kelner, przynosząc dla mnie napój imbirowy, a dla koleżanek dzbanek z piwem. Z ulgą wypiliśmy łączywie po szklance chłodnego napoju.

– Moim zdaniem – Sadie cicho beknęła i poklepała się po dekolcie – autor sztuki miał nie po kolei w głowie. Gdyby ta sekretarka przez tydzień żyła tak jak my, nawet by nie spojrzała na żadnego szofera.

– I pokażcie mi szofera, który byłby chociaż w połowie taki przystojny – dodała Angelina.

– Albo bogatego dżentelmena żeniącego się z sekretarką – wtrąciłam.

Angelina objęła dłońmi chłodną szklankę.

– Małżeństwo zawsze jest interesem i ktoś musi przegrać.

– Piąta Aleja to wygrana. – Sadie popatrzyła na mnie z wyraźną zazdrością. – Gdybym miała tyle ogłady co ty, przyciągałabym odpowiednich mężczyzn.

– Czy odpowiedni mężczyźni w ogóle istnieją? – zapytałam. – Mam wrażenie, że wszyscy moi klienci kupują perfumy dla dziewcząt, z którymi romansują na boku. Przykro mi, gdy pomyślę, że może zachęcam ich do zdradzania żon.

– Co cię to obchodzi? – odrzekła Angelina. – I tak robiliby swoje, bez względu na to, czy sprzedajesz im perfumy, czy nie.

– Ale to okropne, że muszę być miła dla tych indywidualistów.

– Mężczyźni mają swoje potrzeby. – Sadie otrzepała okruchy ze stanika sukni. – Tak było, jest i będzie.

Nie mogłam się z nią zgodzić.

– To nie usprawiedliwia uganiania się za jakąś lafiryndą. A gdyby ich biedne żony się o tym dowiedziały?

– Żony wiedzą to, co chcą wiedzieć – odparła Angelina i pociągnęła solidny łyk piwa.

– A co z dziećmi? – zapytałam. – Dlaczego dzieci muszą cierpieć z powodu błędów rodziców?

Angelina odstawiła szklankę.

– Gdyby żony przestały sypiać w osobnych sypialniach, możesz być pewna, że perfumy nie trafiałyby do lafirynd.

– Obwiniasz żonę o postępowanie męża? – Wytrzeszczyłam ze zdumieniem oczy.

– Jasne. – Rzuciła mi dziwne spojrzenie. – Jeśli uważa, że jest za dobra, żeby z nim to robić.

Zaczerwieniłam się, a Sadie wybuchnęła śmiechem.

– A jak myślisz, dlaczego przy Siódmej Alei jest tyle burdeli?

– Właśnie – przytaknęła jej Angelina. Stuknęły się szklankami.

Dopiero wtedy pojęłam: przyjaciel Angeliny... musi być żonaty. Dlatego broniła zdradzających mężów i kobiet, które właśnie nazwałam lafiryndami.

– Angelino, jeśli cię czymś uraziłam, bardzo przepraszam. Daję słowo, że nie chciałam sprawić ci przykrości.

Uniosła tylko lekceważąco brwi, zachowując milczenie.

– Nie chciałam cię obrazić ani powiedzieć nic głupiego.

– Dlaczego miałabym czuć się obrażona?

– Bo... – zająknęłam się. – Nie wiem... Może twój przyjaciel przypadkowo jest żonaty.

– Jeśli nawet, cóż z tego?

Sadie zatrzymała przebiegającego obok kelnera.

– Czemu tak długo czekamy na jedzenie?

– Za dużo zamówień.

– W takim razie prosimy o więcej bułek. – Podała mu pusty koszyk.

– Będę je musiał dopisać do rachunku.

– To rezygnujemy – powiedziała, odprawiając go. – Rachunek za chleb? Mają tupet.

– Mówiłam ogólnie – próbowałam załagodzić sprawę. – Nie chcę, żebyś uważała, że cię osądzam. Nie pomyślałam...

– *Nie pomyślałaś.*

– Poza tym przecież osądzasz – wtrąciła Sadie. – Ludzie z twojej sfery zawsze patrzą z góry na takie jak my. Tylko wiesz co? Mnie nikt nie posłał do szkoły

z internatem. Ledwie zaczęłam naukę, a już rodzice kazali mi iść do pracy w sklepiku, choć miałam tylko dziesięć lat.

– Przykro mi – powiedziałam, ale dla nich to nic nie znaczyło.

– Uważa, że takie dziewczyny jak my nie zasługują na trochę zabawy – Sadie zwróciła się do Angeliny, a ta pokiwała głową.

– Przyjemności są tylko dla bogaczy, my powinniśmy zaharowywać się na śmierć.

– Nie to miałam na myśli.

– Wiem, o co ci chodziło. – Angelina poczerwieniała z oburzenia. – Uważasz, że jestem zła. Że upadłam najniżej, jak można. Jestem obrazą boską i pójdę do piekła.

– Nie! Źle mnie zrozumiałaś! Po prostu wszystko powinno wyglądać inaczej.

– To znaczy jak? – zapytała drwiąco Angelina.

– Zamieniamy się w słuch – dorzuciła Sadie.

– Nie twierdzę, że to łatwe – zaczęłam. Wpatrywały się we mnie z udaną ciekawością. – Jesteśmy inteligentnymi kobietami. Po co przeznaczать całą energię na zaspokajanie męskich potrzeb? Powinniśmy pracować, zarabiać i stać się niezależne.

– Przecież pracujemy. – Angelina pozostała niewzruszona. – A ile możemy zarobić?

– Siedem na tydzień – odparła Sadie. – Osiem, jeśli komuś dopisze szczęście.

– Można awansować – upierałam się. – Jeśli naprawdę się postaramy. Mam nadzieję, że pewnego dnia zostanę specjalistką do spraw zakupów. One świetnie zarabiają, czasem tyle samo, co mężczyźni.

– To może się udać pannie z wyższych sfer, jak ty – powiedziała Angelina. – Proste dziewczyny nie mają takich możliwości.

Czy to nie ona zmieniła zdanie w sprawie sklepu z kapeluszami?

– Mnie też nikt niczego nie zagwarantował.

– Nie bądź taka skromna – Angelina się skrzywiła. – Wszyscy wiedzą, że jesteś ulubienicą panny Cohen.

– Uważa cię za swoją pupilkę – dorzuciła Sadie. – Prawdziwy skarb.

Właśnie w tej nieprzyjemnej chwili zjawił się kelner z talerzami. Angelina i Sadie rzuciły się na jedzenie, wołając, że wszystko smakuje przepysznie. Ja ledwie mogłam przełknąć żyłaste mięso. Obzerały się i paplały, a ja udawałam, że paskudny posiłek sprawia mi przyjemność. Zdziwiło mnie, jak bardzo boli mnie ich wrogość. Nigdy nie przypuszczałam, że przyjaźń z dwoma prostymi dziewczynami będzie tyle dla mnie znaczyć. Nawet jeśli rzeczywiście zadzierałam nosa, to one wyrzuciły mnie ze

swojego grona.

Po obiedzie wróciłyśmy tramwajem do śródmieścia. Wszystkie trzy wyglądałyśmy w milczeniu przez okna, jakby każda z nas podróżowała samotnie. Na przystanku na Czternastej Ulicy ja i Sadie zawołałyśmy „Do widzenia!” i wysiadłyśmy pospiesznie z wagonu, żeby złapać tramwaj jadący w naszą stronę. Gdy tylko wskoczyłyśmy na platformę i chwyciłyśmy się pasków, konduktor zadzwonił i motorniczy ruszył.

Sadie paplała, że w teatrze nie jest nawet w połowie tak wesoło jak w tancbudzie.

– Pewnego wieczoru jakiś cwaniak poprosił do tańca cudzą dziewczynę i jej chłopak wyciągnął nóż!

– Boże święty! I co się stało? – Przynajmniej przestała mówić o tym, jaka jestem podła.

– Zanim gliny ich rozdzielili, połamali dwa stoliki i krzesło i zachlapali krwią podłogę. Trzeba było zamknąć lokal – opowiadała wesoło Sadie.

– Okropne!

– Okropne było tylko to, że musiałam wcześniej wracać do domu. Daję słowo, mogłabym tańczyć całą noc, choć od sterczenia przez tyle godzin za ladą bardzo bolał mnie nogi.

Dopiero gdy wysiadłyśmy z tramwaju, udało mi się zmienić temat.

– Czuję się okropnie z powodu Angeliny.

– Naprawdę nastąpiłaś jej dzisiaj na odcisk.

– Pewnie uznałyście mnie za naiwną idiotkę.

– Raczej za nadętą damulkę. Nie zaszkodzi trochę zejść na ziemię.

– I nie gadać za dużo. Pewnie nie wiesz, kim jest jej przyjaciel? – spytałam, bo musiałam zaspokoić swoją ciekawość.

– Słyszałam tylko, że jest nadziany i właśnie skończył pięćdziesiąt pięć lat.

– Pięćdziesiąt pięć? – Przecież to starzec. Starszy od mojego ojca. Jak Angelina może pozwalać, żeby robił z nią takie rzeczy?

– Wyobrażałaś sobie, że to księżę z bajki?

– Nie – zaprzeczyłam, chociaż właśnie coś takiego chodziło mi po głowie.

Gdy wspinałyśmy się po schodach na ganek, Sadie wróciła do swojego ulubionego tematu.

– Byłaś kiedyś w tancbudzie?

– Nie.

– Powinnaś się wybrać z nami w przyszłą sobotę. Joe urządza pożegnanie. Następnego dnia wyjeżdża do San Francisco.

Weszłam za nią do środka, zastanawiając się, dlaczego Angelina nic mi o tym nie wspomniała.

– Chyba nie będę mogła, ale dziękuję za zaproszenie.

– Twoja sprawa. – Wzruszyła ramionami.

Sadie dołączyła do dziewcząt grających w saloniku w karty, a ja udałam się do swojego pokoju. Przecież umówiłam się w sobotę na obiad z Ralphem Pierce'em, więc nie mogłabym pójść z nimi, nawet gdybym chciała.

23 maja 1908 roku

Angelina mnie nienawidzi. Czuję się okropnie.

Kilka dni później poszłam na lunch do jadalni w nadziei, że się pogodzimy. Gdy usiadłam nad swoją kanapką z jajkiem, Angelina ledwie skinęła mi głową. Wszyscy rozmawiali o tym, że Evelyn Nesbit postanowiła jednak nie unieważnić swojego małżeństwa.

– Chce się dostać do jego pieniędzy – stwierdził Joe.

– O czym pan mówi? – zapytała dziewczyna z działu zabawek. – Przecież już je dostała.

– Musi mieć ustanowione sądownie prawo do ochrony jego interesów – wyjaśnił Joe. – Myślicie, że rodzina Thawów na coś takiego pozwoli? Przecież Nesbit wyszła za mąż tylko dla majątku...

– Ty tak sądzisz – wmieszała się Angelina. – A to nic nie znaczy. Dopóki mąż siedzi w domu wariatów, powinna mieć prawo do zarządzania jego pieniędzmi.

– Jego pieniądze to pieniądze pani Thaw – przypomniał prezydent odkurzaczy. – Zresztą rodzina obiecała płacić młodszej pani Thaw tysiąc dolarów miesięcznie, żeby nie robiła kłopotów.

– Przecież teściowa ją wydziedziczy, jak tylko będzie mogła – odparła Angelina.

Joe spojrział na siostrę, jakby to ona zwariowała.

– Chyba nie wierzysz, że tej zdzirze naprawdę zależało na Thawie? Na litość boską, to jedna z girls, które we *Florodorze* tańczyły półnago na scenie!

– Jej uczucia dla Thawa nie mają znaczenia – upierała się Angelina. – Wzięli ślub.

– Uczucia nie mają znaczenia! – wykrzyknął Joe. – Nie wierzę własnym uszom.

Czy to nie ty ciągle gadałaś, że Thaw jest niewinny, bo zabił z miłości? Więc dlaczego ta dziewczyna ma dostać jego pieniądze, skoro nigdy go nie kochała? – W tym momencie Joe spojrział na mnie. – Zapytajmy o zdanie jedynej inteligentnej osoby w towarzystwie. Co pani o tym sądzi?

Ponieważ chciałam przeprosić Angelinę, a wyglądało na to, że nasze poglądy w tej sprawie się różnią, wzruszyłam ramionami i nie odezwałam się ani słowem.

– Zgadza się pani ze mną, prawda? – Joe nachylił się ku mnie.

– Nie mam zdania na ten temat – odparłam spokojnie, choć jego bliskość sprawiała, że krew szybciej krążyła mi w żyłach.

– Myślałam, że masz na każdy – powiedziała Angelina.

– Nawet jeśli tak jest, nie udaję nieomyślnej.

– No, dalej, powiedz, co o tym myślisz, a my zdecydujemy, czy się mylisz, czy nie.

Moje umiejętności dyplomatyczne się wyczerpały. To prawda, postąpiłam nietaktownie, ale ona upajała się swoim gniewem.

– Sądzę, że tysiąc dolarów miesięcznie to wystarczająca rekompensata za to, co ją spotkało. I po co upiera się, by pozostać w rodzinie, która jej nie chce? Najlepiej zrobi, jeśli przyjmie miesięczną pensję i zajmie się swoim życiem.

– Jak grzeczna kurewka? – rzuciła ze złością Angelina.

W ciszy, która zapadła przy stole, odsunęła krzesło i odeszła szybkim krokiem. Dlaczego nagle wszystko wymknęło się spod kontroli? Zostawiłam niedojedzoną kanapkę, przeprosiłam towarzystwo i dogoniłam koleżankę na chodniku.

– Angelino, żałuję, że się pokłóciłyśmy. Przepraszam, że cię obraziłam. Czy możemy znów być przyjaciółkami?

– Nie potrzebuję przyjaciół, którzy mnie osądzają.

– Ależ ja cię nie osądzam. Jeśli ktoś tu jest winny, to twój przyjaciel. On popełnia cudzołóstwo.

– Myślisz, że jego żona cierpi? Ma piękny dom na przedmieściu, futra i przyjęcia.

Zapaliło się zielone światło i Angelina przebiegła przez ulicę. Przyspieszyłam kroku, żeby ją dogonić. Pozdrowiła strażnika stojącego przed wejściem dla personelu.

– A ty? – zapytałam, gdy go minęłyśmy. – Przecież to twój los mnie obchodzi. Jak długo będzie trwał wasz romans? Może cię rzucić w każdej chwili. A wtedy...

– Będę zużytą lafiryndą? – dokończyła, a wychodząca z szatni dziewczyna obejrzała się za nią.

– Nie to miałam... Nie widzisz, że on cię wykorzystuje?

Angelina wybuchnęła śmiechem.

– A jeżeli ci powiem, że świetnie się z nim bawiłam? Nie tylko z powodu eleganckiego hotelu i restauracji. Gdybyś nie była taką świętoszką...

– Nie jestem świętoszką. Po prostu...

– Czujesz się od nas lepsza?

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś.

Zatrzasnęła z hukiem drzwi szafki i wyszła, a ja zostałam. Czułam się jak idiotka. Pulsowały mi skronie. Zastanawiałam się, czy nie pobiec do pielęgniarki po proszek od bólu głowy, ale wtedy groziła mi kara za spóźnienie. Wyszłam z szatni i niemal zderzyłam się z Joem.

– Hej, co się stało? Moja siostra pani dokuczyła?

– Chciałam się z nią pogodzić, ale ciągle mówiłam nie to, co trzeba.

– Proszę się nią nie przejmować. Angie ma gorący temperament.

– Naprawdę? Nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam.

– Wybucho jak fajerwerk i równie szybko gaśnie. – Otworzył drzwi prowadzące na schody. – Przyjdzie pani w sobotę? Choćby po to, by uczcić, że widzi mnie po raz ostatni.

Nasze kroki dudniły głucho w pustej klatce schodowej.

– Przykro mi, ale nie mogę.

– Znów mówi pani nie to, co trzeba – powiedział, robiąc przesadnie zmartwioną minę.

– Na pewno do wieczora dojdzie pan do siebie – zażartowałam. – Albo jeszcze przed końcem rozmowy.

– Czy to Angelina nastawiła panią przeciwko mnie? Proszę jej nie słuchać – nie jestem takim rozpustnikiem, jak opowiada.

– Czyżby? – Zatrzymałam się przed drzwiami prowadzącymi na parter sklepu.

– Olive, mówię poważnie. Niech pani przyjdzie w sobotę.

– Nie umiem tańczyć. – Nauka walca czy menueta w szkole panny Hall się nie liczyła. Nie w tancbudzie.

– Żartuje pani sobie ze mnie, prawda? Wystarczy włożyć ładne szmatki i dobrze się bawić. Spotkanie będzie w Majesticu na Bowery, niedaleko mojego mieszkania.

– Dziękuję, ale naprawdę nie mogę. Mam nadzieję, że spodoba się panu Kalifornia.

Sięgnęłam po klamkę, ale on złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Cofnęłam się. Zrobił krok i zagroził mi drogę.

– Od pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem...

Stał bardzo blisko. Podobało mi się, że góruje nade mną wzrostem, nie każdy mężczyzna był na tyle wysoki. Zadrżały mi kolana.

– *Bella ragazza*, tak sobie wtedy pomyślałem. Dziewczyna pierwsza klasa. Koło takiej warto się zakręcić.

Zajrzałam mu w oczy. Nie potrafiłam odgadnąć, czy mówi szczerze.

– Nie przyjdiesz? – zapytał, odpowiadając mi spojrzeniem.

Zacisnęłam dłoń, żeby nie sięgnąć i nie odsunąć mu z czoła kosmyka czarnych włosów.

– Przykro mi. Naprawdę mam już inne plany.

– To je zmień. – Pochylił się nade mną, opierając dłoń o ścianę. Mogłam się roześmiać, spoliczkować go lub uciec, ale ja zamarłam – nie licząc dreszczu przebiegającego przez moje ciało. Ostatecznie najwyższy czas, żebym dostała pierwszy pocałunek.

Jego usta lekko dotknęły moich. Ledwie poczułam drapanie wąsów i już się odsunął. Rozczarowana, że pocałunek trwał tak krótko, zanurkowałam pod ramieniem Joego i wbiegłam do środka.

– Nie spóźnij się! – zawołał, gdy zamykałam za sobą drzwi.

Czy miał na myśli stoisko czy tancbudę? Wszystko jedno.

Stałam za ladą i dziwnie radośnie przywitałam się z Sadie. Podeszła klientka, pytając o jakiś krem wybielający. Sięgnęłam po produkt, który właśnie był przeceniony, i uśmiechnęłam się. Pierwszy pocałunek. Krótki, ale słodki. W końcu go dostałam. A przy okazji minął mi ból głowy.

Rozdział 29

Amanda

Po spotkaniu z Robem byłem zbyt podekscytowana, żeby iść spać, więc zajęłam się dwoma workami z ubraniami, które przyniosłam ze sklepu. Postanowiłam dokładnie przejrzeć wszystkie rzeczy i sprawdzić, czy nie mają plam i dziur. Usadawiłam się na kanapie, przechyliłam lampę, żeby mieć dobre światło, i zaczęłam opróżniać powłoczki na poduszki. Z zadowoleniem zauważyłam, że konieczne będą tylko drobne naprawy. Ubrań z plamami najwyraźniej nie przechowywano, bo nie znalazłam ani jednej.

W drugim worku znalazłam zieloną atlasową suknię z fioletową szarfą, która spodobała mi się w mieszkaniu pani Kelly. Wyglądała tak samo jak suknia opisana przez Olive w dzienniku. Zakładałam, że wszystko w kufrze należało do niej, teraz byłam już tego pewna. Potem wyciągnęłam nocną koszulę, pięknie uszytą i w idealnym stanie. Dekolt ozdabiała koronka przepleciona cienką czerwoną wstążeczką. Z przodu od góry do dołu biegł rząd maleńkich białych guziczków. Postanowiłam ją przymierzyć, ciekawa, jak będę wyglądać w roli zmartwychwstałej dziewczyny.

Przykładając ją do siebie przed lustrem, czułam się delikatna i ładna. Słodka i niewinna. Dziewczęca. Byłam przejęta na myśl, że ten sam materiał, który dotykał ciała Olive, teraz dotyka mojego. Postanowiłam się nie przebierać. Może w klasycznym nocnym stroju lepiej będzie mi się spało niż w garniturowej koszuli wyrzuconej przez byłego kochanka.

Zgasiałam światło i wślizgnęłam się do łóżka. Cóż może być lepszego od pójścia spać, gdy jest się zmęczonym? Zamknęłam oczy i już po kilku chwilach zaczęłam odpływać w stan cudownej nieświadomości.

Zadzwoiła komórka. Otworzyłam oczy. O Boże. Czy to Jeff odpowiedział na mój pijacki SMS, mimo próśb, żeby tego nie robił? Ależ tak.

Naprawdę powinniśmy porozmawiać. Jutro wieczorem. U mnie. Przyjdź po zamknięciu sklepu, okej? Tęsknię za Tobą. xoxo

U niego to znaczy w biurze, a nie w domu w Katonah. Przed ślubem Jeff miał mieszkanie na rogu Trzynastej Ulicy i Park Avenue. Zatrzymał je i przerobił salon na biuro, a reszta służyła mu jako *pied-à-terre*. Okazało się bardzo dogodnym miejscem na nasze małe schadzki.

Senność zupełnie mnie opuściła. Wstałam z łóżka, przeszłam na kanapę

i popatrzyłam na wyświetlacz telefonu. Nie chciałam się zgodzić, ale także nie chciałam odmówić, więc odłożyłam komórkę na bok i włączyłam telewizor. Jediną rzeczą wartą oglądania okazał się film *Panowie w cylindrach* z Fredem Astaire'em, który widziałam już kilka razy. Siedząc po turecku na kanapie, patrzyłam, jak Fred stepuje w pokoju hotelowym Ginger, żeby pomóc jej zasnąć. W szkole średniej Jeff i ja często chodziliśmy na stare filmy. Na festiwale kina niemego w Lincoln Center, filmu noire w Thalia Theatre, kina niezależnego w Theatre 80 przy St. Marks Place... Snobistycznie odrzucaliśmy wszelkie nowe śmiecie produkowane w Hollywood.

Moja znajomość mody pogłębiała się dzięki pomocy Joan Crawford, Katharine Hepburn, Marilyn Monroe, Audrey Hepburn. Gdyby w szkole uczyli historii Ameryki, używając filmów zamiast podręczników, byłabym prymuską. Fred Astaire poruszał się cudownie, nie mogłam oderwać od niego wzroku. Pod koniec tańca Ginger zasnęła. Postanowiłam jeszcze raz spróbować taśmy z hipnozą. Wyłączyłam telewizor, wymieniłam Michaela Jacksona na doktora Markoffa i położyłam się do łóżka.

Proszę patrzeć w sufit.

Gdyby tak nade mną mieszkał Fred Astaire! Mógłby co wieczór stepować, żeby pomóc mi zasnąć.

Proszę się skoncentrować na płaskiej białej powierzchni i nie mrugać.

Nieważne, że jest za chudy i trochę łysieje. Tańczy jak najwspanialszy kochanek na świecie.

Bardzo chce pani mrugnąć...

Jeff jest dobrym kochankiem.

...ale proszę się pohamować.

A Rob?

Powieki są ciężkie, pragnie je pani zamknąć. Teraz można to zrobić.

Do diabła. Znowu ona. Ta jęcząca kobieta.

Proszę się skoncentrować na rozluźnianiu poszczególnych części ciała. Stóp... łydek... ud...

Może powinnam zadzwonić na policję? A jeśli ona po prostu uprawia seks? Sytuacja byłaby krępująca.

Niech do podświadomości dotrze to...

Może te odgłosy są nagrane na taśmie.

...co powinno, podczas gdy pani będzie rozmyślać o związkach z innymi ludźmi.

Może kiedy doktor Markoff mnie zahipnotyzował, jakaś kobieta jęczała

w sąsiednim pokoju?

Życie nie zawsze toczy się po linii prostej.

Usiadłam i wyłączyłam magnetofon. Jęki wciąż było słychać. Chyba oszaleję. Poszłam do łazienki, żeby przynieść sobie z apteczki zatyczki do uszu. Kiedy wróciłam, w pokoju były dwie kobiety ubrane w długie spódnice i bluzki. Olive i Angelina?

Może włożyłabyś ten?

Olive przymierzała kapelusze.

Oba są śliczne.

– Hej! – zawołałam. – Słyszycie mnie? Skąd się wzięłyście w moim mieszkaniu?

Może włożysz jeden, ja drugi, a podczas lunchu się zamienimy?

Jednak to już nie było moje mieszkanie, tylko Angeliny, i wyglądało tak, jak opisała je Olive. Piecyk na węgiel i żelazny zlew. Łóżko w tym samym miejscu co moje i najładniejsza tapeta, jaką w życiu widziałam – fioletowe róże pnące się po zielonych kratkach.

A teraz lepiej się zwijajmy, bo nie zdążymy wszystkiego obejrzeć.

Wyszły z mieszkania.

– Zaczekajcie na mnie! – wrzasnęłam i pobiegłam za nimi, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Choć szarpałam, ciągnęłam, pchałam i przekręcałam gałkę na wszystkie strony, ani drgnęły. Próbowалам wołać pomocy, ale dławilo mnie w gardle i choć bardzo się starałam, nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Te próby krzyku w końcu mnie obudziły.

Leżałam, patrząc w sufit. Serce mi waliło. Ręce miałam zaciśnięte w pięści, jakbym rzeczywiście histerycznie tłukła nimi w drzwi. Usłyszałam męski głos, usiadłam i rozejrzałam się dookoła.

Zamiast więc wstydić się swojej przeszłości, powinna być pani dumna z każdego doświadczenia, jakie stało się pani udziałem.

Taśma. Wciąż mówił doktor Markoff. Musiało mi się przyśnić, że ją wyłączyłam.

Ponieważ być żywym, to znaczy angażować się, korzystać z szans i żyć w teraźniejszości.

Nacisnęłam guzik i wyłączyłam magnetofon. Jęki w końcu ucichły. Może naprawdę były nagrane na taśmę. Rano to sprawdzę, przy dziennym świetle. Nie teraz.

Znów włączyłam telewizor. Chociaż tyle się wydarzyło – albo to sobie wyobraziłam – nie straciłam wiele z *Panów w cylindrach*. Fred udawał woźnicę

dorożki, którą jechała Ginger. Patrzyłam, jak wiezie ją do parku. Tańczyli razem w altanie i się w sobie zakochali.

Sięgnęłam po pudełko z przyborami do szycia. Przyglądałam się, jak Ginger opiera się urokiem Freda, a jednocześnie naprawiałam szwy, przyszywałam nowe guziki, wyrównywałam zamki błyskawiczne. Gdy skończyli się *Panowie w cylindrach*, rozpoczęło się *Zatańczymy?*. Okazało się, że trafiłam na maraton filmów z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers. Potem pokazano *Lekkoducha* i po raz trzeci tej nocy oglądałam, jak Fred podbija serce swojej partnerki. Zasnęłam, dopiero gdy pokazały się początkowe napisy *Karioki*, najmniej lubianego przeze mnie filmu z udziałem słynnej pary. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam Jimmy'ego Stewarta w roli młodego Lincolna. Na zegarku była ósma rano. Spałam w sumie może trzy godziny. Wielkie dzięki, doktorze Markoff, za jedną z najgorszych nocy w moim życiu.

Rozdział 30

Olive

Grupka zebranych w salonie dziewcząt gapiła się na Ralpha Pierce'a, podczas gdy ja przypinałam szpilkami kapelusz. Ralph miał na sobie granatowy garnitur w białe prążki. Ja odprasowałam zieloną atłasową suknię. Ubieranie się jest dużo prostsze, jeśli człowiek nie ma wielkiego wyboru.

Ralph otworzył przede mną drzwi, udając, że nie słyszy, jak jedna z dziewczyn nazywa go „zabójczym przystojniakiem”. Posłała mu też uśmiech sugerujący, że nie miałyby nic przeciwko temu, by stać się jego kolejną ofiarą. Udawałam, że nie dostrzegam jego przerażenia na widok mojego upadku.

- Nie była pani ze mną szczerą – powiedział, gdy wyszliśmy już na ulicę.
- Co pan ma na myśli?
- Była pani w dużo trudniejszej sytuacji, niż mówiła. Trzeba było zwrócić się do mnie o pomoc.
- Przecież ledwie się znamy.
- Mimo to. Mieszka pani w tak strasznych warunkach...
- Zdziwiłby się pan, do czego można się przyzwyczaić.

Ralph zszedł z chodnika na jezdnię i bez zastanowienia zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Chociaż nie był tak uderzająco przystojny jak Joe, wyglądał całkiem nieźle w nieskazitelnym wełnianym płaszczu, skórzanych rękawiczkach i filcowym kapeluszu. Jednak nie wzbudzał we mnie podniecenia i nie wiedziałam, czy czuję z tego powodu rozczarowanie, czy też ulgę.

Wsiadłam do taksówki i wygładziłam spódnice, nie zdradzając, że taka jazda jest teraz dla mnie zakazanym luksusem. Gdy mknęliśmy przez miasto, świat za oknem wydawał się znacznie mniej obojętny i groźny. Ogarnęło mnie poczucie bezpieczeństwa, którego od śmierci ojca właściwie nie zaznałam.

- Czasem moja przeszłość wydaje mi się snem – powiedziałam, opierając głowę o fotel. – Zapominam o niej i o tym, jaka wtedy byłam.
- Może mógłbym pani przypomnieć? – uśmiechnął się łagodnie.
- Już pan to zrobił, panie Pierce.
- Proszę mi mówić po imieniu.
- Pod warunkiem że pan też będzie się do mnie tak zwracał. A swoją drogą, dokąd jedziemy?

- Myślałem o Café Martin.
- Naprawdę?
- Zgadzasz się?
- Z przyjemnością. Zawsze chciałam tam pójść.

W mojej pamięci powróciły echem słowa Sadie. Ralph już zapłacił za taksówkę, a potem zapłacił za posiłek, w dodatku drogi. Postanowiłam nie zwracać na to uwagi i dobrze się bawić.

Szef sali odsunął dla mnie krzesło. Kiedy nadszedł kelner, Ralph zaproponował, żeby zamówić butelkę wina, ale odmówiłam.

- Poproszę wodę sodową.
- W takim razie sam wypiję kieliszek, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, nie krępuj się. – Zdjęłam rękawiczki i rozejrzałam się po wytwornym wnętrzu. Wysokie łukowate okna, kolorowe żarówki rozwieszane wokół białych kolumn, ciasno ustawione stoliki. Zewsząd rozbrzmiewał gwar ożywionych rozmów, niemal zagłuszając kwartet smyczkowy, który grał na balkonie. Podobno w Café Martin często bywali Charles Dana Gibson i Ethel Barrymore, ale nie wypatrzyłam w tłumie żadnych znanych twarzy.

– Słyszałam, że Stanford White jadł tutaj swój ostatni posiłek – powiedziałam. – Biedaczysko.

– Tylko biorąc pod uwagę sposób, w jaki zginął – stwierdził Ralph. – Ten człowiek przepuścił fortunę na jedzenie i kobiety.

Na lewo od nas popijała kawę jakaś atrakcyjna para. Mężczyzna palił papierosa i miotał gromy na aktorów „potwornej” sztuki granej właśnie na Broadwayu i zbierającej entuzjastyczne recenzje. Kobieta śmiała się jadowicie, ukradkiem zaciągając się schowanym za wachlarzem papierosem. Miała mocno uróżowane policzki i pomalowane usta. Nosila jedwabną rdzawoczerwoną suknię z ogromnym dekoltem. Stanowiła tak zajmujący widok, że postanowiłam nie psuć sobie przyjemności dezaprobatą.

Kelner przyniósł nam napoje. Potem podszedł do naszych sąsiadów, jednak zwrócił się tylko do mężczyzny, jakby kobieta nie mówiła po angielsku.

– W naszej restauracji paniom nie wolno palić. Czy może pan poprosić swoją towarzyszkę, żeby zgasiła papierosa?

– I tak zaraz wychodzimy – odparł mężczyzna. – Poproszę o rachunek.

– W jednej chwili – oznajmił kelner i rzeczywiście wrócił z nim prawie

natychmiast. Potem znów podszedł do nas, a Ralph powiedział, że oboje zdecydowaliśmy się na piezzonego homara ze szparagami w sosie vinaigrette.

Odchodząc, kelner obrzucił kobietę niechętnym spojrzeniem. Dalej paliła papierosa, ale teraz nie zadawała już sobie trudu, by to ukrywać. Pochwyciłam jej spojrzenie i uśmiechnęłam się, dając do zrozumienia, że jestem po jej stronie. Ona także się do mnie uśmiechnęła, a mnie zrobiło się miło, że nawiązałyśmy porozumienie.

Spojrzałam poprzez stół na Ralpa Pierce'a i postanowiłam dowiedzieć się, dlaczego nic nie wyszło z jego ślubnych planów.

– Mam nadzieję, że nie będziesz się gniewał, iż poruszam ten temat – zaczęłam ostrożnie – ale ciekawi mnie, co sprawiło, że odwołałeś swój ślub.

– Nie jestem pewien – odparł, pociągając łyk białego wina.

– Na pewno długo się nad tym zastanawiałeś.

– Odwołanie ślubu wydaje się bezsensowną decyzją. Moja narzeczona jest ładna i słodka – najmiłsza dziewczyna, jaką można sobie wyobrazić. Znamy się od zawsze. Jedyne, czego pragnęła, to wyjść za mnie i założyć rodzinę.

– Pewnie masz straszne wyrzuty sumienia?

– Musiałem to zrobić. Dzień ślubu się zbliżał, a ja zrozumiałem, że postąpiłbym podle, gdybym dalej oszukiwał ją lub siebie. – Zmarszczył brwi i wbił wzrok w stół. – Choć oczywiście nikt nie wierzy, że zrobiłem jej przysługę.

– W jaki sposób oszukiwałeś siebie? – Doprawdy, żeby poznać uczucia mężczyzny, trzeba go przesłuchiwać jak złodzieja.

Wypił kolejny łyk wina.

– Małżeństwo z nią wydawało mi się zbyt nudne i przewidywalne, zupełnie jakby całe moje życie już się dopełniło. Nie mogłem pozbyć się uczucia, że jest coś więcej, coś jeszcze do odkrycia. Czy to brzmi sensownie?

– Najzupełniej.

Sąsiedzi wstali od stolika, rozmawiając o planach obejrzenia przedstawienia w teatrze Hipodrom. Po ich odejściu kelner podszedł i nas przeprosił.

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziło państwu niegrzeczne zachowanie tamtych gości.

Ralph podziękował mu z uprzejmym uśmiechem. Gdy kelner się oddalił, stwierdziłam, że to raczej on stwarzał problemy.

– Dlaczego tak mówisz? Wykonywał tylko swoją pracę.

– Zgodzisz się jednak, że to niesprawiedliwe?

– Ale co?

Słyszałam w myślach głos Sadie nakazującej mi, żebym się zamknęła. Postanowiłam nie zwracać na niego uwagi.

– Dlaczego mężczyznom wolno palić w restauracji, a kobietom nie?

– Rozumiem, co masz na myśli. Jednak przyznasz chyba, że kobieta z papierosem nie wygląda ładnie.

– Po prostu nie jesteś do tego przyzwyczajony. – Chyba mogę wyrazić swoje zdanie, nawet jeśli to on płaci za obiad?

– Po prostu uważam, że kobiety różnią się od mężczyzn, więc nie powinny pretendować do tego, by żyć tak samo.

– Oczywiście, że się różnią, ale to nie oznacza przecież mniejszych praw? Pozwól, że coś ci opowiem. Zaraz po śmierci ojca kazali mi wyprowadzić się z hotelu Mansfield. Samotnym kobietom nie wolno tam mieszkać. Dyrektor nie pozwolił mi nawet zostać do końca miesiąca.

– Przykro mi. – Ralph nachylił się ku mnie. – To podłe i niesprawiedliwe.

– Co prawda i tak nie byłoby mnie stać na ten hotel. Gdy ojciec zginął, byliśmy całkowicie zrujnowani, więc czułam wdzięczność do losu, gdy znalazłam pensjonat, w którym teraz mieszkam. To naprawdę całkiem przyzwoite miejsce. Właścicielka wynajmuje pokoje tylko pracującym kobietom.

Popatrzył na mnie z prawdziwym współczuciem.

– Na pewno trudno ci było stanąć na nogi.

– Nawet sobie nie wyobrażasz.

– Jednak, Olive, powinnaś się stamtąd wyprowadzić. To naprawdę nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie. Bród, zarazki, brak higieny...

– Jeszcze ani razu nie zachorowałam.

– To dobrze. I nie wątpię, że twój ojciec byłby dumny, gdyby wiedział, jak świetnie sobie radzisz. Ale na pewno chciałby także, żeby jego córka miała w życiu wszystko to, co najlepsze. Nie sądzisz, że byłby przerażony, widząc, w jak nędznych warunkach musisz teraz żyć?

– Raczej byłby wstrząśnięty, że tak mało zarabiam. Nie uwierzysz, co niektóre dziewczyny robią, aby przeżyć.

– Uwierzę i dlatego bardzo się o ciebie martwię. Naprawdę nie masz dokąd pójść? A twoja rodzina w Cold Spring?

– Mam tam ciotkę, ale ona także jest w trudnej sytuacji. Poza tym w Cold Spring

nie znajdę pracy. Nie rozumiesz? Właśnie dostałam awans, a wkrótce pewnie czeka mnie następny. W końcu zostanę specjalistką do spraw zakupów, tak jak zawsze pragnęłam.

– Być może. Ale teraz nie mogę patrzeć, jak się marnujesz.

– Ja się nie marnuję! – Nawet nie zwrócił uwagi na wiadomość o awansie, zupełnie jakbym była dzieckiem snującym marzenia, że odwiedzi je cukrowa wróżka.

– Na pewno w to wierzysz – powiedział – ale brak ci odpowiedniego dystansu, by ocenić swoją sytuację. Nic dziwnego, spotkała cię przecież straszna tragedia. Uważam po prostu, że powinnaś żyć w warunkach odpowiednich dla młodej kobiety z twojej sfery. Jeżeli mógłbym ci jakoś pomóc...

Gdybym Ralpa nie znała, pomyślałabym, że proponuje mi, abym została jego kochanką.

– Nie bardzo wiem, w jaki sposób.

– Na przykład udzielając pożyczki, żebyś mogła przenieść się do lepszego pensjonatu i przebywać wśród osób ze swojej sfery.

– Nie miałabym jak ci jej zwrócić.

– Przecież w końcu, jak sama mówisz, możesz wysoko awansować...

– Nie chcę zaciągać długów. Byłabym bezbronna wobec osób, które pragnęłyby mnie wykorzystać.

– Wybacz, nie chciałem być niegrzeczny. Zapewniam, że nie miałem na myśli nic niewłaściwego. Przecież musi się znaleźć jakieś wyjście.

– Niestety, świat nam niczego nie gwarantuje. Jesteś zaszokowany, że tak nisko upadłam, a przecież udało mi się przystosować i dobrze sobie radzę.

– Wolałbym raczej, żebyś się nie przystosowywała. Kobiety z twojego otoczenia mogą mieć na ciebie zły wpływ. Czasem wystarczy chwila słabości, żeby człowiek się stoczył.

– Masz bardzo złe mniemanie o kobietach zarabiających na swoje utrzymanie.

– Nie sądzisz, że usprawiedliwione? Te dziewczęta dorastały w innym środowisku niż ty lub ja. Wszyscy wiedzą, że są dużo bardziej skłonne do angażowania się... – umilkł.

– W co? – chciałam, żeby dokończył.

– Przepraszam. Nie powinniśmy rozmawiać o tak delikatnych sprawach.

– Mężczyźni ze wszystkich sfer cały czas „angażują się” w tego rodzaju „delikatne sprawy”. Wytłumacz mi, dlaczego, jeżeli mężczyzna pożąda kobiety, uważa się to za normalne, jeśli zaś ona pożąda mężczyzny, jest to złe?

Policzki Ralpa poczerwieniały.

– Czy naprawdę muszę ci wyjaśniać, jakie grożą jej niebezpieczeństwa?

– Bzdura – powiedziałam tonem osoby świetnie poinformowanej. – Są sposoby, żeby tego uniknąć. Poza tym, czy owe niebezpieczeństwa nie dotyczą także i mężczyzn? Chyba do tańca trzeba dwojga.

Ralph gapił się na mnie wstrząśnięty. Ja sama byłam zdumiona kierunkiem, jaki obrała nasza rozmowa, ale nie mogłam się powstrzymać i mówiłam dalej:

– W każdym razie nie ma to związku z pytaniem, dlaczego kobieta, która pożąda mężczyzny, jest wyuzdana.

– Czy ty aby na pewno wiesz, co mówisz? Jeżeli tego nie rozumiesz, obawiam się, że jest już za późno.

– Żeby ocalić mnie przed losem nierządniczy? – Nie dałam mu czasu na odpowiedź.

– A może od ciasnoty umysłowej typowej dla większości społeczeństwa, a zwłaszcza wyższych sfer?

Rzuciłam serwetkę na stół i zaczęłam nakładać rękawiczki.

– Gdzie się, do licha, wybierasz?

– Przepraszam, ale nie mogę jeść z tobą obiadu i udawać, że jest miło.

– Bo wiesz, że mówiłem prawdę.

– Swoją prawdę, nie moją.

– Byłem nietaktowny. Wybacz. Możemy rozmawiać o czymś innym.

Każdą cząstką ciała pragnęłam pozostać przy stole i, tak jak było planowane, zjeść w przyjaznej atmosferze smaczny posiłek. Wstałam.

– Przepraszam. Niestety, nie potrafię udawać, że wszystko jest w porządku, nie wiem czemu, ale nie leży to w mojej naturze. Proszę, przekaż wyrazy szacunku swojemu ojcu.

Wymaszerowałam z restauracji i przeszłam obok Ralpa siedzącego po drugiej stronie szyby. Zdobyłam się na dumną minę, ale w duszy czułam się jak idiotka; żałowałam też, że nie zjadłam homara.

Pobiegłam ulicą. Świat wokół wydawał się rozmazany, a myśli galopowały mi w głowie. Wyszło na to, że zgadzam się z Angeliną, gdy przebywam w towarzystwie Ralpa, a z Ralphem, kiedy jestem z Angeliną. Tymczasem on myśli, że schodzę na złą drogę, a ona uważa mnie za świętoszkę. Sadie na pewno uznałaby, że robię głupio, odrzucając propozycję Ralpa, i być może moja reakcja była nieco przesadna. A jeśli właśnie nie pozwoliłam dobremu człowiekowi naprawić tego, co mi uczynił zły los?

Jednak większość mężczyzn, oferując kobiecie pomoc finansową, oczekuje czegoś w zamian. Przyjęcie propozycji Ralpa zapewne postawiłoby mnie w sytuacji osoby mającej wobec niego zobowiązania i zależnej od jego dobrej woli. W dodatku zerwał właśnie z ukochaną z dzieciństwa. Wygląda na to, że Ralph Pierce to prawdziwy łajdak. Nie miał prawa traktować mnie protekcjonalnie. Jak śmiał przemawiać w imieniu mojego ojca?

Mijałam kolejne przecznice tak szybko, jakby chodnik niósł mnie niczym ruchome schody. Gdy weszłam do pensjonatu, jedna z dziewczyn zapytała, dlaczego wróciłam tak wcześnie. Przemknęłam obok, tłumacząc się bólem głowy, wbiegłam do pokoju, zatrzasnęłam drzwi i padłam na łóżko, żeby się wypłakać. Jednak łzy nie popłynęły. Wyciągnęłam dziennik. Musiałam pomyśleć.

30 maja 1908 roku

Kto wymyślił zasady postępowania dla mężczyzn i kobiet? Bóg? Ta sama niesprawiedliwa reguła sprawia, że mężczyźni mogą palić w restauracji, wynajmować pokoje w hotelach, nie narażając swojej reputacji na szwank, dostawać lepiej płatne prace i cieszyć się prawem głosu! Nie sądzę, żeby Bóg miał coś wspólnego z paleniem w restauracjach, raczej stoją za tym mężczyźni. Ustanowili takie zasady, bo są dla nich korzystne. Dlaczego mam żyć według reguł, które moim kosztem przynoszą korzyść ich twórcom? Angelina ma rację. Kobiety powinny stworzyć własne zasady. Niesłusznie ganiłam ją za to, że sama decyduje o tym, jak chce żyć. Muszę z nią porozmawiać. Muszę jej powiedzieć, że zrozumiałam. Dziś wieczorem będzie w tancbudzie. W Majesticu na Bowery, tak powiedział Joe. Czy odważę się pójść tam sama?

PIĄTEK
15 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 31

Amanda

- Dziękuję, ma pani piękne ubrania – powiedziała klientka, kierując się do wyjścia.
- To ja dziękuję – odparłam słodko.

Musiałam się przygotować do wieczornego spotkania z Jeffem. Bez opracowanego z góry planu działania istniało zbyt duże ryzyko, że zmięknę i mu wybaczę.

Weszła następna klientka – przeraźliwie chuda, z długimi blond lokami, w wielkich kwadratowych ciemnych okularach, których nie zdjęła z nosa. Kiedy przystanęła na dłużej przed półką z butami, zapytałam, czy nie potrzebuje pomocy.

- Nie, dziękuję, tylko oglądam.

Niestety potrzebowałam jego pomocy finansowej. To nie w porządku. Choć mojej firmie groziło bankructwo, nie potrafiłam się zdobyć na to, by znów poprosić go o pożyczkę. Nie dlatego, żeby żałował mi pieniędzy, po prostu było to diabelnie upokarzające. Nieważne, czy Jeff naprawdę mnie kochał, ani to, że służył mi pomocą i tak dalej, najważniejszym powodem wzięcia ślubu jest wspólnota majątkowa małżonków.

O Boże, kiedy stałam się taką romantyczką?

– Wyglądają świetnie – powiedziałam. Klientka włożyła właśnie żółto-zielone sandały z paskiem na pięcie. – Dobry rozmiar?

– Tak. Nie jestem tylko pewna, czy to odpowiedni kolor.

– Są ciekawe i zabawne. Bardzo w stylu lat siedemdziesiątych.

– Ach tak – wydeła usta. – Myślałam, że osiemdziesiątych.

– Koniec siedemdziesiątych. – Miałam ochotę powiedzieć, że lata siedemdziesiąte były pod każdym względem bardziej odjazdowe niż następna dekada. – Wtedy weszła w modę marszczona lakierowana skóra i ciężkie obcasy.

– Nie wiem tylko, co by do nich pasowało.

Powinnam jej zaproponować, żeby zdjęła okulary. Wtedy będzie to mogła lepiej ocenić.

– Moim zdaniem żółć. Niektóre odcienie ciemnoniebieskiego. I zawsze będą dobrze wyglądały z bielą.

– To prawda.

– Są w świetnym stanie.

– Biorąc pod uwagę ich wiek.

Wciąż oglądała się w lustrze, ale wiedziałam, że sandałów nie kupi.

– Proszę wołać, jeśli będzie miała pani jeszcze jakieś pytania.

Postawię mu ultimatum. Koniec z nami – chyba że zostawi żonę i ożeni się ze mną. Nie za pięć lat, tylko teraz.

Klientka miała już na nogach własne buty.

– Jeszcze się zastanowię. Dziękuję.

– Do widzenia.

Albo zamiast bawić się w ultimatum, po prostu go rzucę. Nie będę się z nim spotykać, usunę jego numer z komórki i zostawię za sobą ten cały bałagan.

Poprawiłam krzywo stojące sandały na półce. Popołudnie się wlokło. Przypadkowi klienci wchodzili i wychodzili, nie mierząc niczego. Usiadłam przy komputerze i starałam się wystawić jak najwięcej ubrań na eBayu. Ucieszyłam się, kiedy zjawilo się trzech niemieckich turystów szukających marynarek z lat pięćdziesiątych w stylu Elvisa Presleya na clubbing w śródmieściu. Udało mi się znaleźć dla każdego z nich coś odłotowego. Ku swojej radości zdołałam namówić jednego na wyjątkowo ekstrawagancką marynarkę ze złotej lamy wykończoną czarnym aksamitem. W końcu wyszli i nadeszła pora, by zakończyć pracę. Wywiesiłam na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”, opuściłam metalową żaluzję i przekręciłam klucz w zamku.

Przed wizytą u Jeffa musiałam pójść na górę się przebrać. Miałam ochotę włożyć seksowną sukienkę, ale taki niejasny sygnał mógł zmylić jego albo, co gorsza, mnie samą. Lepiej jeśli postawię ultimatum ubrana w coś mało wyzywającego, tak by Jeff wiedział, że myślę poważnie o zakończeniu romansu. Strój powinien być jednak na tyle atrakcyjny, by mój żonaty kochanek miał ochotę zadzwonić do prawnika od spraw rozwodowych, gdyby nasze negocjacje poszły w tym kierunku. Zdecydowałam się na wąskie czarne rybaczki w stylu Laury Petrie, zielony wydekoltowany top w fioletowe wiatraczki firmy Marimekko i czarne wygodne baleriny. Jeff podświadomie zobaczy we mnie idealną żonę z nutką seksapilu.

Na ulicach panował niezwykle spokój: niewielki ruch, puste chodniki, żadnych męczących ciszę syren karetek pogotowia. Zupełnie jakby nowojorczycki wspólnie podjęli decyzję, że dziś wieczorem pozostaną w domu. Idąc Bowery, próbowałam wyobrazić sobie tramwaje, konie, automobile i wiadukt kolei nadziemnej. Widziałam oczyma duszy tłumy ludzi wychodzące z teatrów, restauracji, sklepów i saloonów. Nie było to łatwe. Nudna ulica zachowała niewiele z dawnej atmosfery.

Wędrując Czwartą Aleją, wkrótce dowiedziałam się, gdzie przebywa połowa

populacji: na Union Square. Obwoźni sprzedawcy oferowali T-shirty, kiepskie obrazy i zdjęcia World Trade Center. Minęłam wejście do stacji metra, tej samej, z której pewnego deszczowego dnia przed wielu laty wyruszyła w swoją pierwszą podziemną podróż Olive wraz z Angeliną. Niektóre budynki z tamtych czasów wciąż stały, ale łatwo było je przeoczyć w beładnej mieszaninie wieżowców zbudowanych tu w latach dziewięćdziesiątych i wielkich sklepów, które pojawiły się nieco później.

Skręciłam w Broadway i doszłam do rogu, na którym wznosi się Flatiron. Ten trójkątny budynek z obłożoną terakotą fasadą jest naprawdę wyjątkowy. Jego architekt zapewne patrzyłby z pogardą na ohydny apartamentowiec z lat siedemdziesiątych wybudowany dokładnie naprzeciwko, koszmarek, który chyba nawet z upływem czasu nie nabierze charakteru.

Powędrowałam dalej Piątą Aleją. Na ścianie mijanego biurowca zauważyłam pamiątkową tabliczkę. Głosiła, że budynek wzniesiono w 1909 roku na miejscu wyburzonego hotelu Fifth Avenue. Aha. Zatem ojciec Olive miał rację, gdy mówił o jego rozbiórce. Gdyby Charles Westcott żył dzisiaj, byłby przerażony, widząc, jak bardzo miasto się zmieniło. Nawet Olive poczułaby przyływ nostalgii za swoją dawną dzielnicą.

Kiedy doszłam do rogu, na którym kiedyś mieściła się Café Martin – obecnie jest tu bank – nie mogłam się oprzeć i odwróciłam się, by jeszcze raz spojrzeć na Flatiron. Z miejsca, w którym stałam, widziałam fasadę budynku. Podobno przypomina dziób statku, ale moim zdaniem to przesada. Może budynek fascynuje ludzi tak bardzo, bo coś z nim jest nie tak? Wydaje się nieharmonijny. Asymetryczny. Jak trójkąt miłosny.

Ruszyłam na wschód przez Madison Square Park. W odróżnieniu od Union Square, w parku można było odpocząć od miasta – nikt tu niczego nie sprzedawał, nie licząc baru z hamburgerami Shake Shack. Jeff i ja chodziliśmy tam często, zanim budka stała się sławna i zaczęły się do niej ustawiać niewytłumaczalnie długie kolejki. Umyślnie nawet nie spojrzałam na budynek pod numerem jedenastym, gdzie miałam zjeść urodzinowy obiad. Za to pogapiłam się na Metropolitan Tower. Zawsze był jednym z moich ulubionych drapaczy chmur, bardziej przypominał włoską kampanilę niż biurowiec. Przechodząc przez ulicę, minęłam wielki gmach w stylu art déco, siedzibę towarzystwa ubezpieczeniowego New York Life. Stoi dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś wznosiła się hala widowiskowa Madison Square Garden projektu Stanforda White'a. Pomyślałam o Olive i Angelinie oglądających pokaz elektryczności. Niektórzy, jak Angelina, odrzuciliby z niesmakiem pomysł, by zastąpić służbę elektrycznością. Inni uznaliby, że to ludzkość oddała się w służbę elektryczności.

Po kilku minutach doszłam do Park Avenue. Gdy zbliżałam się do budynku, w którym miał biuro Jeff, przypomniał mi się koszmarne sen z poprzedniej nocy.

Rzuciłam okiem, by upewnić się, że nie jestem nago. Drzwi kamienicy otworzyły się bez kłopotu, w holu nie stały meble z salonu, nie powitała mnie także żona z karabinem. Za biurkiem siedział strażnik, jak zwykle pogrążony w lekturze „The Washington Post”. Znał mnie z widzenia i choć miał minę pokerzysty, zawsze potrafił sprawić, że czułam się jak prostytutka. Kiwnęliśmy sobie głowami, wsiadłam do windy i pojechałam do penthouse’u.

Zadzwoiłam. Drzwi się otworzyły, a za nimi stał Jeff. Uśmiechał się niepewnie.

– Cześć.

Cholera. Ten facet się nie starzeje.

– Cześć.

Wysoki, szczupły, z falującymi brązowymi włosami, wyglądał prawie tak samo jak chłopak, z którym umawiałam się na randki w szkole średniej, tylko że teraz wydawał fortunę na ubrania od Toma Forda czy Marca Jacobsa. Noszone w liceum metalowe lenonki zamienił na oprawki Olivera Peoplesa.

Podszedł i przytulił mnie tak mocno, jakby chciał wycisnąć ze mnie cały lęk. Pozwoliłam mu, choć to właśnie przez niego się bałam. Bliskość Jeffa sprawiła, że mój opór zaczął słabnąć. A przecież musiałam choć w części przejąć kontrolę nad sytuacją. Do licha, to nie mogła być kolejna kłótnia zakończona buziakiem na zgodę. Nie wolno mi na to pozwolić.

Cofnęłam się, a gdy Jeff wypuścił mnie z objęć, nie umiałam spojrzeć mu w oczy. Nie wiedziałam, co powinna wyrażać moja twarz. Gniew? Czułość? Smutek? Poczucie winy?

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Masz zmarszczone brwi.

Rozluźniłam mięśnie czoła i potarłam powieki.

– Po prostu się nie wyspałam.

– Przepraszam. – Pocałował mnie delikatnie w policzek, a potem w usta. – Mam nadzieję, że jesteś głodna, bo zamówiłem jedzenie.

Podeszłam za nim do stołu.

– Ojej, wygląda wspaniale.

Rozstawił już talerze i otworzył butelkę wina. Między nimi stało sześć czy siedem okrągłych pojemników z makaronem i przystawkami. Poznałam, że pochodzą z pobliskiej drogiej włoskiej restauracji. Każdy kosztował co najmniej dwadzieścia dolarów – tyle samo ile w menu, ale bez obsługi kelnerskiej i włoskiej atmosfery. Jeff nie interesował się też winami w cenie niższej niż pięćdziesiąt dolarów.

Gdy nalał mi kieliszek caberneta, poczułam, że moja wola słabnie. Przebywanie

z rzeczywistym człowiekiem to coś zupełnie innego niż obcowanie z wymyślonym fantomem, którego łatwo jest sobie podporządkować. Powinnam napisać wcześniej scenariusz. Listę zagadnień, które musimy omówić, i żądań do spełnienia. Ale ja wolałam tego wszystkiego unikać. Nie wspominać o nasieniu, komórkach jajowych, ścięgnach, łzach. Pomyśl, by powiedzieć Jeffowi o grożącym mi bankructwie, wydawał się nie tylko żaloszny, lecz także prostacki.

– Jak twoja żona?

– Nic jej nie będzie, miło, że pytasz. Ciągle czuję się strasznie z powodu tamtego wieczoru. Wszystkiego najlepszego. – Sięgnął do kieszeni i położył prezent na stole. – Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Wpatrywałam się w znajome niebieskie pudełeczko od Tiffany’ego.

Podsunał je bliżej.

– Nie otworzysz?

Lepiej się nie łudzić, że znajdę w środku pierścionek zaręczynowy.

– Tak, jasne.

W pudełku była złota bransoletka ozdobiona serduszkami wysadzonymi brylantami.

– Śliczna – powiedziałam. I na pewno droga. Czemu nie kupił mi czegoś vintage?
– Zaraz ją założę.

– Naprawdę ci się podoba?

Uniosłam nadgarstek, udając, że podziwiam prezent.

– Tak, jest piękna. Dziękuję. – Dostałam na urodziny już drugą bransoletkę nie w moim guście. Jeff musiał wiedzieć, że wolałabym coś w stylu secesji lub art déco zamiast tego marzenia gimnazjalistki. Nie chodziliśmy już do szkoły średniej i prezenty od Tiffany’ego nie robiły na mnie wrażenia. Jednak nie chciałam być niewdzięczna. W odróżnieniu od bransoletki otwierającej czakrę serca biżuteria od Jeffa miała przynajmniej realną wartość rynkową. Gdybym zastawiła wszystkie drobiazgi, jakie od niego dostałam, mogłabym zapłacić czynsz za rok – albo przynajmniej zacząć zwracać dług.

– Jeszcze raz dziękuję. Jest bardzo ładna.

– Nie ma za co. To ja jeszcze raz przepraszam za tamten wieczór.

– No wiesz, doprawdy – udałam urażoną – jak ona śmiała wylądować na ostrym dyżurze w moje urodziny?

– Bardzo nietaktowne z jej strony, nieprawdaż? – odparł z lekkim uśmiechem.

– Zastanawiam się jednak... czy to naprawdę był przypadek.

Jeff przestał się uśmiechać.

– Myślisz, że zrobiła to celowo?

– No cóż. – Popatrzyłam mu w oczy. – Przez przypadek celowo.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Może dowiedziała się o nas, była zła i zamiast wyrazić gniew wprost, rozegrała to w ten sposób.

– Amando, ona kroїła cebulę. To był wypadek. Jesteś zła i wcale się nie dziwię, więc proszę, pozwól, żebym ci to wynagrodził, dobrze?

Nałożył mi jedzenie na talerz. Popijałam wino i starałam się cieszyć dobrymi intencjami Jeffa. Co za ulga – pozwolić, by ktoś mnie otoczył opieką, rozpieszczał i natychmiast rekompensował wszystkie przykrości niesione przez zmienne koleje losu. Przy obiedzie Jeff opowiadał o wystawie Warhola w Muzeum Guggenheima, w pewnym momencie stwierdził, że postmodernizm umarł, hiperrealizm zrobił się modny i nic już nie jest autentyczne.

– Tym lepiej dla ciebie – dodał.

– Dla mnie?

– Dla twojej firmy. Wiem, że uważasz się za alternatywę dla mainstreamu, ale myślę, że jesteś bardziej modna niż kiedykolwiek.

– Cóż – stwierdziłam. – Pewnie jest w tym trochę prawdy. – *Ale właściciel mnie wyrzuca, wkrótce ogłoszę bankructwo i nie będę miała za co żyć. Jestem zmęczona ciągłymi upokarzającymi prośbami o pożyczkę. Stawiam ci więc ultimatum: albo się zaraz rozwiedziesz i ożenisz ze mną, albo cię zostawię. Nie żartuję.* – Muszę koniecznie zobaczyć tę wystawę.

– Spodoba ci się. Powinnaś na nią pójść.

– Powinnam. – Jednak dużo istotniejsze wydało mi się to, czego nie powinnam. Nie powinnam myśleć o tym, jak bardzo pragnę go pocałować. Nie powinnam wybaczyć, że znów wystawił mnie do wiatru, i nie powinnam paść mu w ramiona tylko dlatego, że wstał od stołu, przyciągnął mnie do siebie i objął.

– Tęskniłem za tobą – mruknął, całując mnie.

Stałam bez ruchu ze zwieszonymi po bokach rękami. *Powinnam mu powiedzieć, że nie może robić mnie w balona w dniu urodzin, a potem oczekiwać, że na jedno gwizdnięcie przylecę uprawiać z nim seks.*

Delikatne czułe całusy zmieniły się w jeden długi ciepły pocałunek.

Powinnam mu powiedzieć, że więcej tego nie zrobię!

Pod czułym dotknięciem opór stopniał. Objęłam Jeffa w pasie. Przywarliśmy

mocno do siebie, zaczęłam oddawać pocałunki, cała drżałam.

Wziął mnie za rękę i poprowadził do sypialni.

– Nie powinniśmy tego robić – wyszeptałam, ale ton mego głosu mówił coś innego.

Tyle wyszło z mojego ultimatum.

Położyliśmy się na łóżku Jeffa, jedynym miejscu na świecie, gdzie poświęcał mi całą swoją niepodzielną uwagę. Żadnych telefonów, rodziny, pracy, elektronicznych urządzeń, tylko my. Znow zaczęliśmy się całować, jego ręce odnalazły wszystkie znane mu tak dobrze miejsca, a palce pieściły mnie, póki nie poczułam, że umieram z żądy. Przyłgnęłam do niego. Chciałam poczuć go w środku, na sobie, tak żeby nic nas nie rozdzielało. Zsunął mi bieliznę. Rozpięłam mu spodnie. Kiedy je z siebie zrzucił, zdjęłam bluzkę i biustonosz.

– Jesteś bardzo piękna – powiedział, patrząc na moje nagie ciało, jakby dopiero to odkrył.

Wyjął prezerwatywę z szuflady szafki nocnej. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć, by tym razem dał sobie z nią spokój i pozwolił działać naturze, ale wymagało to siły woli, której nie mogłam w sobie odnaleźć. Kiedy prezerwatywa była już na miejscu, zdjął okulary – uwielbiałam tę chwilę, jego twarz wydawała się wtedy łagodna i bezbronna. Przetoczyliśmy się, teraz Jeff leżał na plecach, a ja byłam na górze. Kiedy wszedł we mnie, ledwie to poczułam, nie potrafiłam rozróżnić, gdzie ja się kończę, a on zaczyna. Jęknął z rozkoszy, a ja też jęknęłam, bo chociaż byłam bardzo niegrzeczną dziewczynką, czułam się wreszcie bardzo dobrze. A nie gorzej niż źle, jak zero. Było mi niebiańsko i pragnęłam, by trwało to wiecznie. W końcu nie mogłam wytrzymać i wybuchła we mnie czysta rozkosz, która skończyła się zbyt szybko.

Stoczyłam się z Jeffa i leżałam na plecach. Moje piersi wznosiły się i opadały w rytm oddechów. Bransoletka uwierała w nadgarstek. Jeff przytulił się, wsunął twarz w moje włosy i dyszał w poczuciu zaspokojenia. Serce biło mi coraz wolniej. Próba okazania asertywności zakończyła się właśnie całkowitą porażką.

Rozdział 32

Olive

Z sutereny saloonu na Bowery buchał ragtime. Ujrzałam wypisany ręcznie nad drzwiami szyld i wiedziałam, że trafiłam do Majestica. Po betonowych stopniach zesłam do dużego mrocznego pomieszczenia wypełnionego tańczącymi parami. Wstęp był za darmo, ale szatnia kosztowała pięć centów. Duszący zapach tytoniu, alkoholu i potu sprawił, że pożałowałam, iż muszę oddychać.

Stałam pod ścianą i rozglądałam się wokół, próbując zrozumieć, co się tu dzieje. Angelina siedziała w towarzystwie znajomych ze sklepu. Obok mnie przemknęła Sadie tańcząca z młodzieńcem, który demonstrował odkurzacze. Nie widziałam Joego, ale musiał tu gdzieś być. Kelner zapytał, czy podać mi coś do picia.

– Nie. To znaczy tak. – Wszyscy pili alkohol, żeby się dobrze bawić. – Poproszę whiskey.

Obok mnie wirowały tańczące pary. Zapatrzyłam się na dziewczynę w błyszczącej czerwonej atlasowej spódnicy. Przodem ciała wykonywała koliste ruchy, ocierając się o partnera. Jak mogła robić coś podobnego publicznie, w miejscu, gdzie każdy mógł ją zobaczyć? Odwróciłam wzrok, wstrząśnięta niczym Ralph Pierce na myśl, że mogę ujrzeć coś podobnego. Teraz miejsce Angeliny było wolne. Rozejrzałam się za nią i napotkałam wzrok mężczyzny, który się na mnie gapił. Był niski, nieogolony, ubrany w łachmany. Gdy się uśmiechnął, okazało się, iż brak mu z przodu dwóch zębów. Udałam, że go nie widzę, i modliłam się, by skierował obleśne spojrzenie na kogoś innego.

Kelner podał mi szklaneczkę whisky. Pociągnęłam łyk, napój był cierpki i gorzki. Równie smaczny jak benzyna. Zmusiłam się i wypięłam odrobinę. Niestety, najwyraźniej w tancbudzie nie podawano żadnego jedzenia. Jadłam dziś tylko lunch, w dodatku niewielki. I pomyśleć, że ominął mnie homar! Obleśny mężczyzna ruszył w moją stronę, przeszłam więc na drugi koniec sali. Stałam w ciemnym kącie i wychyliłam whisky do dna – do diabła z konsekwencjami. Sadie znów minęła mnie w tańcu. Śmiała się, a jej kręcone włosy wysuwały się z koka. Nigdy dotąd nie widziałam jej tak szczęśliwej.

Jeszcze raz przebiegłam wzrokiem pomieszczenie i odnalazłam Angelinę. Siedziała przy stole i rozmawiała z Joem. Na jego widok poczułam trzepotanie w brzuchu. Angelina wstała z krzesła. Po chwili podniósł się także Joe, świetnie wyglądający w ciemnych spodniach i kamizelce, która odsłaniała szerokie ramiona. Angelina złożyła mu na policzku siostrzany pocałunek, powiedziała coś, co wyraźnie

go rozbawiło, i ruszyła do drzwi. Pospieszyłam przez salę na jej spotkanie.

– Angelino, zaczekaj!

Odwróciła się i zobaczyła, że to ja.

– Już wychodzę.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Dobrze, tylko szybko. – Zatrzymała się, by odebrać rzeczy z szatni. Stałam obok.

– Zachowałam się jak idiotka – powiedziałam niezadowolona, że muszę zwracać się do jej profilu. – Miałaś rację, osądzając cię, postąpiłam podle. Czy przyjmiesz moje przeprosiny?

– Chcesz, żebym ci przebaczyła? – zapytała, patrząc prosto przed siebie. – Zgoda.

– Mówisz serio?

– Jasne – odparła, przyglądając się, jak szatniarka grzebie w stosie kapeluszy i płaszczy.

Żałowałam, że nie mogę ująć Angeliny za podbródek i obrócić jej twarzy w moją stronę.

– Więc znów jesteśmy przyjaciółkami?

– Tego nie powiedziałam.

– W takim razie mi nie przebaczyłaś.

– Za bardzo się różnimy i tyle.

Lepiej by było, gdybyśmy mogły porozmawiać same, w jakimś spokojnym miejscu.

Szatniarka w końcu przyniosła Angelinie jej rzeczy. Ruszyłam za nią do drzwi, gdzie przystanęła, żeby przypiąć szpilkami kapelusz.

– Zrozumiałam pewną rzecz – powiedziałam i pomyślałam, że powinnam odebrać także własny kapelusz. Teraz, po wyjściu Angeliny, nie miałam tu po co zostawać. –

Zasady zachowania, te reguły, których powinniśmy przestrzegać, nie mogą nas obowiązywać w każdej sytuacji.

– Pewnie masz rację – zgodziła się. – Dobranoc.

Wyszłam za nią na ulicę. Wiedziałam, że jeśli wrócę po kapelusz, już jej nie dogonię.

– Nie tylko nie da się ich przestrzegać – ciągnęłam. – Wymyślono je po to, by nas podporządkować, a jeśli je ignorujemy, słyszymy, że jesteśmy złe. A kto ma prawo sądzić innych, skoro życie potrafi być tak strasznie ciężkie?

Angelina się zatrzymała i w końcu odwróciła głowę w moją stronę.

– Proszę, nie staraj się wszystkiego naprawić. To nie ma znaczenia.

– Ależ ma. Wszystkie słowa, którymi cię zraniłam lub obraziłam, wynikały z ignorancji. Powiedziałaś kiedyś, że chciałabyś się ode mnie uczyć, ale tak naprawdę to ja powinnam uczyć się od ciebie.

– Żartujesz – roześmiała się bez wesołości.

– Mówię poważnie.

– Piękne słówka, ale jakoś ci nie wierzę.

– Dlaczego? – Nie mogłam zrozumieć, czemu jest taka uparta.

– Bo jak przyjdzie co do czego, osądzisz następną dziewczynę dokładnie tak samo jak mnie.

– Nieprawda. Ludzie się zmieniają.

– Tak uważasz? Muszę już iść. – Ruszyła dalej ulicą.

Dogoniłam ją.

– Dlaczego mi nie wierzysz?

– Nigdy naprawdę nie zrozumiesz takiej dziewczyny jak ja. Nawet jeśli ułożysz sobie wszystko dokładnie w głowie, nie poczujesz tego w swoich trzewiach.

– Uważasz, że brak mi wrażliwości?

– Jak na osobę z tej sfery i tak jesteś nie najgorsza.

– No więc dlaczego?

Doszliśmy do rogu. Przejeżdżał furgon i Angelina musiała się zatrzymać. Blask latarni oświetlił jej twarz, miała smutne oczy. Chciałam ją przytulić i rozweselić.

– Dlaczego? – zapytałam jeszcze raz.

Spojrzała na mnie.

– Dlatego – skrzyżowała ręce na piersiach – że za bardzo się boisz.

Zajrzałam w jej ciemne oczy, jakbym mogła przeniknąć przez nie w głąb umysłu.

– Czego?

Także popatrzyła na mnie.

– Być kobietą.

Stałam, mrugając oczami, a ona tymczasem odwróciła się i przeszła przez ulicę.

Przypomniałam sobie o kapeluszu i wróciłam do Majestica. Nie miałam ochoty zostawać, ale czułam się zbyt słaba na pieszą wędrówkę do domu. Musiałam coś zjeść. Spostrzegłam wolne krzesło obok Sadie, podeszłam i opadłam na nie, jakby to

była moja ostatnia deska ratunku.

– Co się stało? – zapytała Sadie. – Uspokój się. Napijesz się czegoś?

– Nie mają tu nic do jedzenia?

– Myślisz, że to restauracja?

Jakiś młody człowiek poprosił ją do tańca. Wypiła łyk ze szklanki i oddała mi ją.

– Masz, dokończ.

Młodzieniec pociągnął Sadie na parkiet.

Zawahałam się i zaczęłam pić. Każdy łyk palił mnie w gardle. Wkrótce widziałam wszystko jak przez mgłę. Czerwone usta, uróżowane policzki, splecione ze sobą ciepłe ciała. Muzyka opływała mnie falami, mięśnie drżały przepełnione pragnieniem ruchu. Po co się opierać? Chęć tańca jest rzeczą ludzką. Przecież niczym nie różnię się od innych.

Joe siedział po drugiej stronie sali z Billem z działu meblowego. Skoro go widziałam, on także musiał mnie zauważyć, a jednak nie poprosił mnie do tańca. Oczywiście słodkie słówka i pocałunek na schodach nic nie znaczyły dla tego brutala. Z drugiej strony nie tańczył także z żadną inną dziewczyną. Ruszyłam ku niemu, nie zwracając uwagi na zawroty głowy i chwiejącą się pod stopami podłogę.

Mój widok chyba go zaskoczył, ale się uśmiechnął.

– Więc jednak przyszłaś?

Może mnie przedtem nie zauważył. Wyciągnęłam do niego rękę.

– Zatańczymy?

– Piłaś alkohol?

– Tylko trochę.

– Trochę za dużo – powiedział ze śmiechem, ale wziął mnie za rękę i pociągnął na puste miejsce na parkiecie. Gdy stanęliśmy naprzeciwko siebie, ogarnęła mnie panika. Nigdy nie poruszałam się kierowana własnym instynktem – nawet w zaciszu sypialni, a co dopiero w sali pełnej ludzi. Ale Joe otoczył mnie ramionami i musiałam tańczyć. Naśladowanie innych kobiet nie miało sensu. Moje ciało po prostu nie nadążało za synkopami muzyki. Kręcąc głową i szurając stopami to w jedną, to w drugą stronę, śmiałam się z własnej nieudolności.

– Nie umiem! – Próbowałam ściągnąć Joego z parkietu, ale się nie dawał.

– Przestań myśleć! – odkrzyknął. – Po prostu zacznij się ruszać.

Już miałam zawołać, że przecież się ruszam – schodzę z parkietu, gdy nagle w sali zgasło światło. Początkową ulgę, że nikt mnie nie widzi, zastąpił lęk, że stało się coś

złego. Czy zaraz strątuje mnie tłum biegnący do drzwi? Potem jednak usłyszałam chichoty i szepty. Zrozumiałam, że światło zgaszono specjalnie. Joe przyciągnął mnie do siebie. Czułam pod palcami gładki jedwab kamizelki. Muzyka była teraz spokojniejsza, wolniejsza, lecz moje serce biło tak mocno, jakbym właśnie kończyła długi bieg. Kołysaliśmy się do taktu.

– *Sei così bella* – szepnął mi do ucha. – *Così bella...*

Oczywiście próbował mnie uwieść, mówiąc po włosku. To nie było konieczne. Bliskość jego ciepłego ciała stanowiła pokusę nie do odparcia, a moja ciekawość była zbyt wielka, bym mogła ją przewyciężyć. Okryta ciemnością, objęta ramionami Joego, pozwoliłam, by jego usta odnalazły moje i już na nich pozostały. Jego wąsy przypominały w dotyku jedwabiste futro zdobiące mój stary kapelusz i na myśl o tym niemal się roześmiałam. Nasze wargi, ciepłe i śliskie, stopiły się ze sobą i żałowałam, że nie mogę połknąć Joego w całości. Nigdy nie robiłam czegoś tak podniecającego. Pragnęłam, żeby to trwało wiecznie.

Jego ręce zaczęły błądzić po miejscach, których nikt dotąd nie dotykał. Czy odkrył, że nie noszę gorsetu? Kiedy obejmował i pieścił moją talię i biodra, czułam się tak, jakbym naprawdę miała kobiece kształty. Wewnętrzny głos nakazywał, żebym nie pozwalała Joemu na wszystko. Zdaniem doktor Galbraith powinnam teraz użyć siły woli. Tylko że coraz mniej wiedziałam, co jest jego, a co moją wolą. Przyłgnęliśmy do siebie i wstrząśnięta poczułam, jak jego wypukłość ociera się o dół mego brzucha. Gdybyśmy tak mogli precyzyjnie przesuwać się przez ubrania, stopić warstwy materiału dzielące nas od siebie... Powinnam wreszcie poznać coś, co znają chyba wszyscy? Miałam dość niewinności, czułam się przez to głupia. Ten mężczyzna mógł mi wszystko wyjaśnić dużo lepiej niż książka, a potem go już nie zobaczę, więc nikt się o niczym nie dowie.

Rozbłysły światła. Mrużyłam powieki w nagłym blasku, nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy, nie chciałam nikogo widzieć ani być widziana.

– Chodźmy – mruknął zduszonym głosem Joe.

Ujął mnie za rękę i pociągnął przez salę. Znowu nie odebrałam z szatni kapelusza. Wyfrunęliśmy z sutereny i pobieглиśmy chodnikiem, jakby uciekając przed samymi sobą. Zanim świeże powietrze zdążyło oczyścić mi płuca, stanęliśmy przed drzwiami domu Joego. Pamiętałam, jak poprzednim razem wchodziłam na ten sam korytarz. Zabawne, wtedy także nie miałam na głowie kapelusza.

Kiedy wspinaliśmy się po schodach oświetlonych drżącym płomykiem gazowej lampy, liczyłam, ile dni upłynęło od ostatniego periodu. Czternaście, dwa tygodnie, jestem w środku cyklu. Według doktor Galbraith nie miałam więc się czego obawiać. Oczywiście nie zamierałam dopuścić, by sprawy zaszły za daleko – byłoby głupotą

podejmowanie nazbyt wielkiego ryzyka. Ale, tak na wszelki wypadek, dobrze wiedzieć, jak wygląda sytuacja.

Joe otworzył kluczem drzwi obok mieszkania Angeliny i weszłam za nim do środka. We wpadającym przez okno świetle ulicznej latarni dojrzałam stojące pod ścianą dwa kuferki. Pokój stanowił lustrzane odbicie pokoju siostry, był jednak niemal pusty. Zanim zdążyłam powiedzieć słowo, Joe objął mnie w talii i znów przyciągnął do siebie.

– *Bella ragazza* – szepnął mi do ucha, delikatnie muskając ustami moją szyję. – *Stasera sei mia. Tutta mio.*

Wypuścił mnie z objęć i zaczął ściągać buty. Usiadłam na jednym z kufereków i rozpięłam własne, zastanawiając się, co właściwie robię. Chcę, żeby było mi wygodniej, to wszystko. Joe zdjął kamizelkę, potem koszulę, a ja ledwie zdążyłam spojrzeć z podziwem na jego muskularne ramiona i szeroki śniady tors zwężający się w cienką talię, gdy zaraz uniósł mnie z kufierka, porwał w ramiona i zaczął całować.

Zamknęłam oczy i jeszcze raz zatonęłam w jego uścisku. Palące pragnienie dotyku Joego, które przywiodło mnie do tego pokoju, pojawiło się niemal natychmiast. Wciąż pożądałam jego ust i ciała, a ubranie tylko w tym przeszkadzało. Podciągnął mi do góry spódnicę i halkę i dotykał wszędzie, gdzie mógł dosięgnąć. Nigdy nie przypuszczałam, że potrafię się tak bardzo otworzyć, że zapragnę zaspokoić szalone pragnienie. Śniłam o tym, ale po przebudzeniu wypierałam ze świadomości. Tak, Angelina miała rację, naprawdę się bałam.

Teraz lęk zniknął. Joe zaczął niezdarnie rozpinać mi guziki sukienki. Zastanawiałam się, czy ma przy sobie jedną z owych gumek. Nie mogłam go jednak zapytać, nie tylko dlatego, że zabrzmiałoby to wulgarnie. Nie chciałam, by sądził, iż pozwolę mu posunąć się tak daleko. A jeśli jej nie ma? W takim razie muszę zażądać, żebyśmy natychmiast przestali, i nigdy nie dowiem się, co się dzieje dalej.

Joe stracił cierpliwość i zamiast rozpiąć resztę guzików, ściągnął mi suknię przez głowę. Czulałam się zupełnie naga w koszuli, halce i pantalonach. Jeżeli zdziwił się, że nie noszę gorsetu, nie okazał tego. Wyjęłam z włosów grzebienie i szpilki i loki opadły mi aż do pasa. Przynajmniej tworzyły rodzaj zasłony. Joe zdjął mi koszulę. Rozpięłam halkę i pozwoliłam jej opaść na podłogę. Choć bez ubrania mogłam swobodniej oddychać, gardło zaciskał mi strach. Gdzie moja siła woli? Muszę położyć kres temu, co się tu dzieje, inaczej nigdy sobie nie wybaczę. Jedynym miejscem, w którym mogłam się schronić, było łóżko, czy raczej to, co z niego pozostało – materac na podłodze.

– Jesteś bardzo piękna – powiedział Joe, gdy wślizgnęłam się pod koc. Nie mogąc oderwać wzroku, patrzyłam, jak zdejmuje skarpetki, spodnie, a potem gatki. Po raz

pierwszy zobaczyłam na żywo nagiego mężczyznę.

A więc to tak.

Chyba był dumny, że może mi się pokazać. Nie spodziewałam się, że to... coś... tak sterczy i jest takie duże. Jakim cudem mieści się w kobiecie? To chyba niemożliwe. Zazdrościłam Joemu, że nie wstydzi się swojej nieprzyzwoicie sterczącej części ciała. Ja krępowałam się na myśl, że gdy wsunie się pod koc, dojrzy moje małe piersi.

Delikatnie pocałował mnie w usta. Dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Powstrzymam go. Za chwilę. Ale najpierw muszę wyobrazić sobie, jak jego ręka pełnie po krzywiźnie moich bioder, zsuwa się na talię i otacza pierś.

– *Come lo fai?* – szepnął mi do ucha. – Jak to robisz, że masz taką miękką skórę?

Nie zawdzięczałam tego kosztownym balsomom, które sprzedawałam, ale nie mogłam sobie na nie pozwolić. Cieszyło mnie jego uznanie dla mojej skóry, biednej skóry dotykanej dotąd tylko przez ubrania, mydło i wodę. Bardzo wiele dzieliło mnie od innych ludzi.

Pochylił się nade mną, a ja przekręciłam się na plecy. Odrzucił koc i położył się na mnie, oplatając moje ciało nogami. Jak dobrze było przyłgnąć do drugiej ludzkiej istoty!

Zamknęłam oczy. Coś twardego wsunęło mi się między nogi. Joe ocierał się o mnie, czułam na twarzy gorący oddech, na podbródku i policzkach mokre pocałunki, w ustach język – co za obrzydlistwo! Odsunęłam się. Siła woli. Może jakieś resztki jej zostały.

– Musimy przestać – szepnęłam. – Zanim będzie za późno.

– Oczywiście – odparł. – Nie martw się. Przystaniemy.

Zanurzył nos w moich włosach i zaczął wsuwać się we mnie. Nie zrozumiał. Nie powiedziałam nic więcej, moje mieszane uczucia uległy w starciu z jego pożądaniem. Zanurzał się coraz głębiej w moje ciasne wnętrze, zaczął wysuwać się i wsuwać – najpierw niepewnie, potem w określonym rytmie. Nie mogłam za nim nadążyć, chciałam powiedzieć, żeby przestał, zwolnił, robił to zbyt szybko, wyprzedzał mnie, wchodził za głęboko, a jednak milczałam. Wszystko to było dziwne i ciekawe. Nagle poczułam ból. Przypomniałam sobie ostrzeżenie ciotki Idy dotyczące nocy poślubnej. *Za pierwszym razem boli i jest krew.* Oczywiście to nie była noc poślubna. Nigdy więcej Joego nie zobaczę.

Moje rozmyślenia przerwał przeszywający ból. Jęknęłam, a Joe dźgnął ukrytą gdzieś w głębi przeszkodę, przebił ją i połączyliśmy się ze sobą tak całkowicie, jak tylko mogą dwie ludzkie istoty. Wciąż pchał, ale coraz lżej, a we mnie znów pojawiło

się poządanie. Czy to już wszystko? Teraz nie chciałam, żeby się skończyło. Jęknęłam jeszcze raz, tym razem zachęcająco, a on, wciąż poruszając się we mnie, zaczął stękać i pomrukiwać jak dzikus. Stłumiłam śmiech, ale czułam się raczej dumna, że moje chude ciało zainspirowało go do takich wyczynów – dopóki nie dotarło do mnie, że to musi być orgazm i że zaraz będzie za późno!

– Joe! – z moich ust wydarło się coś pośredniego między krzykiem a szeptem. Chyba w ostatniej chwili się wycofał, a potem znów przycisnął się do mnie i rozsmarował na moim brzuchu lepka ciecz, jednocześnie drgając w paroksyzmie rozkoszy, jakiego nie widziałam nigdy w życiu. Z pewnością kobiety tak się nie zachowują – nie mogłam sobie tego wyobrazić. W końcu opadł na mnie wyczerpany. Leżałam pod nim, rozgniewana i pełna ulgi, nasze mokre od potu ciała skleiły się ze sobą.

– Wszystko w porządku? – wyszeptał.

– Trudno mi oddychać, kiedy na mnie leżysz.

Zsunął się i położył obok na plecach. Powietrze chłodziło lepka wilgoć na skórze. Pod udami czułam mokrą plamę. Leżeliśmy obok siebie, nieruchomi, zmęczeni, w końcu Joe przerwał ciszę.

– Chcesz pójść do klozetu? – zapytał.

Wiedziałam, że powinnam się umyć, ale myśl o wyjściu nago z łóżka była zbyt okropna. Chciałam zwinąć się w kłębek i zasnąć.

– Idź pierwszy.

Otworzyłam oczy dopiero wtedy, gdy usłyszałam trzask zamykanych drzwi. Macając po podłodze, znalazłam koszulę Joego i szybko ją włożyłam, a ona mile otuliła mnie i zakryła.

Joe wrócił i jeszcze raz zapytał, czy dobrze się czuję.

Postanowiłam nie narzekać, że omal nie zapomniał się wycofać. Podał mi klucz od wygodki i wyszłam cicho na korytarz. Szukając dziurki od zamka w niebieskim świetle gazowego płomyka, wyobraziłam sobie, że drzwi Angeliny się otwierają, a ja stoję tu w koszuli jej brata. Przynajmniej przekonałaby się, że się zmieniłam.

Po najkrótszym, jak się dało, pobycie w klozecie wróciłam do łóżka i od razu obróciłam się plecami do Joego. Otoczył mnie ramieniem. Było mi błogo. Mogłabym tak leżeć do końca świata.

Nie byłam już dziewicą.

Nie mogłam uwierzyć, że na to wszystko pozwoliłam.

Nie mogłam uwierzyć, że tego nie żałuję.

Mężczyzna pragnął mnie, a ja jego.

Dzięki Bogu, że jutro wyjeżdża.

Nie wiem, jak rano spojrzę mu w twarz.

Przynajmniej mogę już zasnąć.

Kiedy się obudziłam, Joe był ubrany i właśnie robił kawę. Gdybym tak mogła pstryknąć palcami i w magiczny sposób przenieść się do swojego pokoju w pensjonacie! Zamknęłam oczy, jakby to mogło sprawić, że mój towarzysz zniknie, ale nic z tego.

– Czy możesz mi podać ubranie? – zapytałam.

– *Buongiorno*.

– Moje ubranie.

– Dobrze spałaś?

– Bardzo bym chciała dostać ubranie.

Leżało na podłodze poza moim zasięgiem. Podał mi je.

– Proszę, *signorina*.

– Czy mógłbyś poczekać na zewnątrz?

– Oczywiście. – Skłonił się jak służący.

Gdy tylko wyszedł, zaczęłam się ubierać. Zauważyłam zaschnięte smugi krwi między udami i, o zgrozo, na prześcieradle. Zakryłam plamę kocem, nic więcej nie mogłam z nią teraz zrobić. Zapięłam suknię i z ulgą – kolejny krok zbliżał mnie do ucieczki – otworzyłam drzwi.

– Możesz już wejść.

– Dziękuję. Wszystko w porządku?

– Muszę tylko pójść do...

Wskazałam w stronę korytarza. Wręczył mi klucz i otworzył drzwi pokoju. Podczas drugiej wizyty w okropnej klitce starałam się doprowadzić do porządku najszybciej, jak tylko mogłam, by wreszcie pójść do domu. Nawet lustro nad zlewem nie skusiło mnie, by poświęcić więcej czasu na upinanie włosów.

Kiedy wróciłam do pokoju, Joe siedział na jednym z kufereków, popijając kawę z blaszanego kubka.

– Muszę już iść – powiedziałam, rozglądając się po pokoju za grzebykami i szpilkami do włosów oraz za kapeluszem.

Pierwsze znalazłam na podłodze obok materaca, a jednocześnie przypomniałam sobie, że kapelusz nie opuścił tancbudy.

– Boli mnie głowa. Nie jestem przyzwyczajona do alkoholu.

– Kawa ci pomoże. – Joe wskazał drugi kuferek, na którym stał przygotowany dla mnie kubek.

Może aż tak strasznie mi się nie spieszy? Bardzo starannie upięłam włosy i przysiadłam na kuferku.

– Dziękuję.

– Przepraszam, że nie ma nic do jedzenia. Mogę coś przynieść.

– Nie trzeba. Trochę mnie boli żołądek. – Gorący napój rozjaśnił mi w głowie, co niekoniecznie było przyjemne. – Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło.

– Uspokój się – powiedział. – Co się stało, to się nie odstanie. Było dobrze, prawda?

– Zależy, co przez to rozumiesz.

– *Grande*. Pierwsza klasa. Byczo. Przynajmniej ja się tak czułem. A ty? Może chociaż trochę? – Joe wpatrywał się we mnie z nadzieją, jakby moja opinia miała dla niego jakieś znaczenie. Nie ma co, przystojny z niego łobuz. Uśmiechnęłam się z wysiłkiem. – Po co się tak przejmować? – zapytał.

– Ludzie widzieli nas razem.

– Nie wiedzą, dokąd poszliśmy.

– Powiesz Angelinie.

– Będę milczał jak grób.

– Obiecujesz? Chybabym umarła, gdyby się o tym dowiedziała.

– Jest ostatnią osobą, której bym się zwierzył. A co do innych, to właściwie już mnie tu nie ma.

– To prawda – powiedziałam, robiąc weselszą minę, by nie pomyślał, że będę umierać z tęsknoty. – Dzisiaj twój wielki dzień. Pewnie nie możesz się doczekać.

– Marzę, żeby już płynąć łodzią po Zatoce San Francisco. – Odchylił się do tyłu, jakby kołysał się na falach. – To dużo lepsze, niż dusić się w sklepie.

– Jedziesz w nowe miejsce, zaczniesz wszystko od nowa... brzmi wspaniale. Szkoda, że sama nie mogę tak zrobić.

Nachylił się ku mnie, opierając łokcie na kolanach.

– A chciałabyś?

– Och, to niemożliwe. Po prostu spodobał mi się sam pomysł.

- Więc czemu nie pojedziesz?
- Twoi rodzice nie byliby zadowoleni.
- Jedź ze mną! – Joe się roześmiał. – Będzie przygoda.

Uważałam Joego za doroślejszego ode mnie, ale teraz spostrzegłam, że nie jest zbyt dojrzały. A może ja go dogoniłam?

- Nie miałyby to żadnego sensu.
- Olive, nie żartowałem, gdy mówiłem, że szaleję za tobą.
- To urocze...

– I nie traktuję lekko tego, co zrobiliśmy. Wiem, że jesteś dziewczyną z wyższych sfer, za dobrą dla takiego gościa jak ja.

– Bzdura. Ale zastanów się. Co byśmy zrobili? Powiedzielibyśmy wszystkim, że jesteśmy zaręczeni? Wzięlibyśmy ślub?

- Jeśli tego właśnie chcesz.
- Teraz mówisz głupstwa. To pierwsza prawdziwa rozmowa, jaką prowadzimy. Na pewno bardzo szybko zaczęlibyśmy działać sobie na nerwy.
- Może ja tobie, ale ty mnie nigdy. *Potrei quasi innamorami di te.*
- Co to znaczy?
- Pewnego dnia...

Zajrzał mi w oczy, a ja przeraziłam się, że spróbuje mnie pocałować. Nie mogłam na to pozwolić.

– Muszę już iść. – Wstałam, niechcący przewracając kubek. Kawa wylała się na kuferek. Eleganckie wyjście, nie ma co. – Przepraszam.

- Nic się nie stało. – Wytarł płamę chusteczką. – *Di niente.*

Odnalazłam buty. Kiedy je zapięłam, byłam gotowa do wyjścia. Joe odprowadził mnie do drzwi. Uścisnął mi ręce i złożył na moim czole niewinny pocałunek.

- *Ciao.*
- *Ciao.*

Na korytarzu minęłam zamknięte drzwi do mieszkania Angeliny. Moje kroki dudniły po schodach. Brzmiały jak odgłos młotka zabijającego trumnę gwoździami.

SOBOTA
16 CZERWCA 2007 ROKU

Rozdział 33

Amanda

Obudził mnie głos Jeffa.

– Potwierdziłem wszystko z pracownikiem towarzystwa ubezpieczeniowego.

Był w spodniach, lecz bez koszuli, i rozmawiał przez komórkę, wyglądając przez okno na ulicę. Zegar na szafce nocnej wskazywał dziesięć po ósmej.

– Pokrywają wszystkie koszty, nawet przejazd karetką.

Zastanawiałam się, z kim rozmawia. Czy chodzi o żonę? Słuchałam, ale nie otwierałam oczu.

– Świetnie, w takim razie wszystko ustalone.

Bardzo źle spałam. Na szczęście nie miałam dziwacznich snów – a przynajmniej żadnych nie zapamiętałam.

– W porządku. Dziękuję za pomoc.

Rozłączył się i wystukał następny numer. Wciąż miałam zamknięte oczy.

– Załatwione – rzucił do telefonu. – Powiem jej dzisiaj wieczorem.

Powie komu, żonie? Czekałam, co będzie dalej.

– Mam nadzieję, że się zgodzi.

Może chce od niej odejść.

– Tak będzie lepiej dla Denise. I dla nas wszystkich.

Może nie muszę stawiać mu ultimatum. Sam już o wszystkim pomyślał.

– Dzieci zrozumieją, że to najlepsze wyjście.

Właśnie. Kto chce mieszkać z rodzicami, którzy się nie kochają?

– W najgorszym razie po prostu sobie odpocznie.

Zaraz, zaraz. Rozwód to nie odpoczynek.

– Miejsce wygląda na przyzwoite – ocenił. – I sporo kosztuje.

Wakacje? Wysyła ją gdzieś na wycieczkę? Otworzyłam oczy. Jeff stał teraz tyłem do okna i zobaczył, że się obudziłam.

– Słuchaj, zadzwonię później. Muszę kończyć. – Włożył telefon do kieszeni i usiadł na brzegu łóżka. – Wezmę szybki prysznic, zgoda?

– W porządku, bierz.

– Jak chcesz, to zaparz kawę – powiedział, głaszcząc mnie po włosach. – Mam trochę dobrego pieczywa, a w lodówce dżem, który lubisz.

– Dzięki. Z kim rozmawiałaś?

– Z teściem.

– Twoja żona dokądś się wybiera?

– Tak, może popłynie z rodzicami w rejs.

– Naprawdę? Dokąd?

– Na Barbados. Nigdy tam nie byłem, ale podobno to piękne miejsce.

Sztucznie obojętny ton głosu upewnił mnie, że kłamie, lecz nie naciskałam.

– Brzmi fajnie.

Zdjął spodnie i rzucił je na łóżko.

– Zaraz wracam.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi łazienki, zaczęłam się ubierać. Ależ ze mnie dziwka, czy może raczej lafirynda. Wskoczyłam Jeffowi do łóżka, chociaż miałam być asertywna, a teraz co? Podeszłam do okna, oparłam czoło o szybę i patrzyłam na biegnącą w dół Park Avenue. Jakie inne miasto mogłoby się pochwalić stadem dwunastu żółtych taksówek czekających jednocześnie na czerwonym świetle? Pomyślałam o Angelinie, która z apartamentu swojego „przyjaciela” w hotelu Plaza przyglądała się przez okno dorożkom.

Jeff zawiózł żonę do szpitala taksówką. Dlaczego więc rozmawiał przez telefon o ubezpieczeniu pokrywającym przejazd karetką pogotowia? Czyżby Denise przewieziono potem do innego szpitala? W takim razie rana musiała być dużo poważniejsza.

Zza drzwi łazienki wciąż dochodził szum lejącej się wody. Nigdy nie grzebałam w rzeczach Jeffa. Dlaczego zawsze muszę być taka honorowa? Z bijącym sercem sięgnęłam do kieszeni jego spodni i wyjęłam komórkę. Ostatnią rozmowę odbył z osobą o imieniu Bob, pewnie z teściem. Wcześniej nie wyświetliło się żadne imię, ale dzwonił na kierunkowy 203. Connecticut. Postanowiłam zatelefonować pod ten numer i sprawdzić, kto odbierze, lecz nie z tego aparatu. Pobiegłam do jadalni po własną komórkę, zapisałam w niej nieznaną numer i włożyłam telefon Jeffa z powrotem do kieszeni spodni. Prysznic wciąż szumiał. Zadzwoiłam.

– Tu Silver Hill – rozległ się kobiecy głos.

– Silver Hill?

– Tak, czym mogę służyć?

– Dzień dobry. Zastanawiam się... czy mogłaby mi pani udzielić jakichś

informacji na temat... Silver Hill?

- Recepcja zaczyna pracę od dziewiątej.
- Rozumiem, zadzwonię później. Dziękuję.

Rozłączyłam się, usiadłam przed komputerem Jeffa i włączyłam go. Teraz nie dbałam już o to, że może mnie przyłapać na gorącym uczynku. Czekając, aż komputer się załaduje, przyglądałam się stojącemu na biurku zdjęciu w ramce. Przedstawiało dwóch przystojnych synów i żonę Jeffa – miała jasne włosy z ciemnymi odrostami i dosyć ładną twarz. Bez uśmiechu.

Gdy już się połączyłam z internetem, wpisałam w wyszukiwarkę „Silver Hill, Connecticut”. Na początku listy wyników pojawiła się strona szpitala Silver Hill. Kliknęłam.

Szpital psychiatryczny. Przywraca do zdrowia od 1931 roku. Osiedziesiąt lat nienagannej działalności.

No proszę. Ładne Barbados. Wpatrywałam się w zdjęcie żony Jeffa. Ona nie miała wypadku podczas krojenia cebuli. Ona... podcięła sobie żyły?

Zanim Jeff wyszedł z łazienki, ubrałam się, zaparzyłam kawę i zjadłam grzanekę. Pochylił się i pocałował mnie w czubek głowy. Pachniał lekko cytryną, był gładko ogolony i wyglądał jak uosobienie niewinności.

- Musimy porozmawiać – zaczęłam.
- Teraz? – Jeff wiedział, że zwykle nie mam ochoty na rozmowę przed przeczytaniem porannej gazety.
- Teraz. – Czekałam już wystarczająco długo.
- Muszę się napić kawy. – Wyjął kubek z szafki.
- Chodzi o twoją żonę. Tak naprawdę to nie był wypadek, prawda?
- Amando – rzekł, nalewając sobie kawy – przecież już o tym rozmawialiśmy.
- Chodzi ci o to, że już mnie w tej sprawie okłamałeś?

Bez słowa poszedł do lodówki po mleko.

– Ona nie wybiera się na wakacje, prawda, Jeff? Tylko do szpitala psychiatrycznego.

W milczeniu wlewał mleko do kawy, a robił to tak, jakby mieszał ze sobą dwie niebezpieczne substancje chemiczne.

- Próbowwała się zabić?

Nie zapytał, skąd o tym wiem. Nie zaprzeczył. A więc to prawda?

Popijał kawę ze wzrokiem wbitym w podłogę, oparty plecami o blat. Miał zacięty wyraz twarzy. Czuł gniew? Urazę? Nie wiedziałam.

– Czy to prawda?

Popatrzył w sufit i westchnął.

A więc prawda.

– Nie rozumiem – powiedziałam. – Jak możesz mieć romans, skoro twoja żona...

Nie wiedziałam, jak to wyrazić, więc umilkłam. Zwariowała? Jest w depresji? Ma skłonności samobójcze?

Przestał gapić się w sufit i znów spoglądał na podłogę.

– Jeff! Powiedz coś! Co się stało? Dowiedziała się o nas? Czy dlatego próbowała się zabić?

Pokręcił głową.

– Masz bujną wyobraźnię.

– A co mi pozostało? Nigdy nie opowiadasz o swoim małżeństwie.

– Nie pytałaś.

– Teraz pytam.

– No dobrze. – Podeszedł do stołu, ale nie usiadł, tylko stanął po przeciwnej stronie, za krzesłem. – Tak. Masz rację. Próbowała się zabić.

– O Boże!

– Nie zrozum mnie źle, jestem tym bardzo zmartwiony. Ale próbowała już wcześniej. I tym razem nie było najgorzej... Powiedzmy, że jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Byłem w domu. Wiedziała, że ją znajdzie.

– Dowiedziała się o nas, prawda? I nie mogła tego znieść. Chciała zatrzymać cię w domu, zwrócić na siebie uwagę.

– Nasz związek, Amando, nie ma z tym nic wspólnego. Denise o nas nie wie. Uwierz mi, nie mogła się dowiedzieć. Pieniądze na twoją firmę pochodzą z konta, do którego nie ma dostępu. Dzwonię do ciebie z osobnego telefonu. Denise nie wie o jego istnieniu. I nigdy nie przyjeżdża do miasta – Nowy Jork działa jej na nerwy.

– Może zatrudniła detektywa?

Pokręcił głową.

– Ona o mnie nie myśli. Myśli tylko o sobie.

– Jak to? Nie rozumiem.

Spojrzał na mnie, zawahał się, a potem westchnął tak żałośnie, że pomyślałam, iż

może lepiej byłoby o niczym nie wiedzieć.

– Jest chora psychicznie – wyjaśnił. – Cierpi na chorobę dwubiegunową.

– Dwubiegunową? To znaczy na psychozę depresyjno-maniakalną?

Skinął głową.

– Przyjmuje mieszankę leków. Lekarz wciąż próbuje nowych pigułek, specjalnych diet, nawet elektrowstrząsów... nic nie pomaga. Nie mam dużych nadziei.

– Och! – Elektrowstrząsy? Wciąż je stosują? – Boże, masz bardzo ciężką sytuację. Przykro mi. Naprawdę. Ale nadal nie rozumiem. Kiedy się z nią ożeniłeś... – Nie wiedziałam, jak to powiedzieć. – Czy już wtedy czuła się źle?

Roześmiał się krótko, z goryczą.

– Wtedy nie. Miewała okresy przygnębienia, ale nie działo się nic poważnego. Wszystko zmieniło się po urodzeniu dzieci. Cierpiała na straszną depresję poporodową. Za pierwszym razem jakoś doszła do siebie. Za drugim było gorzej. Nie chciała wstawać z łóżka ani wychodzić z domu. To trwało miesiącami.

– Poszła na terapię?

– Tak, zgłosiła się do psychiatry. – Usiadł naprzeciwko mnie. W końcu powiedział to, co powinien był wyznać wtedy, gdy po raz pierwszy odwiedził mnie w sklepie na Mott Street i zaprosił na obiad. – Przepisał jej antydepresanty. Wtedy jakby oszalała. Była zbyt szczęśliwa. Wpadła w manię. Nagle oświadczyła, że zostanie dekoratorką wnętrz. Zaczęła nachodzić znajomych, ludzi, których domy projektowałem, i oferowała im swoje usługi.

– Czy to nie był dobry pomysł?

– W ogóle się na tym nie znała. Nie miała żadnego wykształcenia, umiejętności, nie rozumiała, co robi ani w co się pakuje. Jednak udało jej się zainteresować parę osób. Wtedy zaczęła chodzić na aukcje, latać do Europy na zakupy, kupować na chybił trafił drogie meble i dzieła sztuki, które gromadziła w jakimś magazynie. Jednocześnie nie przychodziła na spotkania z klientami. Nie potrafiła z nimi rozmawiać, nie umiała sobie z tym poradzić. Skończyło się katastrofą. Znowu wpadła w depresję. – Pokręcił głową. – Amando, Denise traktuje mnie jak opiekuna. Nie dociera do niej, że mógłbym mieć własne potrzeby albo uczucia. Nie ciekawi jej moje życie. Najbardziej lubi... czy ja wiem... siedzieć w łóżku i wpatrywać się w przestrzeń.

– Nie wiem, co o tym myśleć, Jeff. Naprawdę bardzo ci współczuję. Ale nie mogę uwierzyć, że przez cały czas trzymałeś wszystko w tajemnicy przede mną. – Miałam romans z duchem.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie czułeś potrzeby, żeby o tym porozmawiać?

Pokręcił głową.

– Od tego mam terapeutę. I jej rodzinę.

– Jasne, ale czy nie chciałeś porozmawiać o tym ze mną? – Zawsze gratulowałam sobie, że potrafię nie wtrącać się w małżeńskie sprawy Jeffa. Teraz zastanawiałam się, czy to nie był po prostu egoizm. Nie zauważyłam, że on cierpi i potrzebuje pocieszenia.

– Cieszyłem się, że mogę o tym na chwilę zapomnieć. Okropne, jaki wpływ ma na wszystko jej choroba. Próbowałem trzymać nas od tego z daleka.

– Ale przecież to musiało oddziaływać także i na nas. – Chyba zawsze wyczuwałam, że w małżeństwie Jeffa dzieje się coś, o co nie powinnam pytać. I że jeśli zmuszę go, by mi o tym powiedział, nie będziemy mogli być razem. Teraz prawda wyszła na jaw i nie dało się jej zignorować.

– Starłem się być cierpliwy – ciągnął. – Pomagać jej na wszystkie sposoby. Ale po tylu latach daremnych prób, nie widząc żadnej poprawy, sam zacząłem wpadać w depresję. A potem znów spotkałem ciebie. Inaczej chyba nie wytrzymałbym w małżeństwie. Gdy jestem z tobą, mogę przynajmniej się oderwać... na chwilę zapomnieć o Denise, mieć własne życie.

Jego słowa bardzo mnie zabolaly.

– Czy ty słyszysz, co właśnie powiedziałeś? Beze mnie nie wytrzymałbyś w małżeństwie. – Wstałam i spojrzałam na niego przez stół. – Kim niby jestem, osobą niosącą ci pomoc małżeńską? Po co zawracać sobie głowę terapią dla par? Wystarczy po prostu wdać się w romans!

– Daj spokój, nie to miałem na myśli.

– Owszem, właśnie to. Jezu Chryste! Pomagam przetrwać twojemu małżeństwu! Jak długo jestem w pobliżu, nie musisz zostawiać żony. A tymczasem sama trwam w zawieszeniu. – Szarpnęłam za bransoletkę. Złote kółko wbiło mi się w rękę jak obręcz kajdanek. – Wiesz, Jeff, nigdy nie wiedziałam, że o to w tym wszystkim chodziło. A teraz... Boję się, że pewnego dnia obudzę się jako zupełnie samotna osoba, która nikogo naprawdę nie obchodzi.

– Mnie obchodzisz. Wiesz o tym. Kocham cię, Amando. I zawsze będę przy tobie.

– Przecież naprawdę wcale cię przy mnie nie ma. Denise jest na pierwszym miejscu. I tak być powinno. Ona cię potrzebuje. A ty masz romans!

– Nie wiesz, jak to jest. – Popatrzył na mnie z gniewem. – Nawet sobie nie wyobrażasz! Nikt, kto takiej sytuacji nie przeżył, nie potrafi sobie jej wyobrazić.

– Na pewno jest ci ciężko. I bardzo ci współczuję. Naprawdę. Ale to nie w porządku. – Podeszłam do okna i wyjrzałam. Nie umiałam spojrzeć Jeffowi w twarz. Oczy zaszyły mi łzami, bo w głębi duszy już wiedziałam. Nikt nie musiał mi tego mówić, ani Molly, ani terapeuta, żaden hipnotyzer, jasnowidz czy mechaniczny wróżbita. To był koniec.

– Uważasz, że jestem złym człowiekiem, bo ją zdradzam.

– Nie, Jeff. – Oparłam czoło o szybę. Łzy płynęły mi po policzkach. – Jesteś dobrym człowiekiem. Nie to miałam na myśli.

– Mogłem odejść dawno temu, ale zostałem. Dbam, żeby miała dobrą opiekę.

– Wiem.

– Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał, to sprawić ci przykrość. Przepraszam. Próbowałem to jakoś rozwiązać, ale nie umiałem. Przecież nie wiem, co Denise by zrobiła, gdybym ją porzucił.

Prawda była zbyt okropna, by wypowiedzieć ją głośno. Zabiłaby siebie. Albo jego. A gdyby dowiedziała się o romansie, nawet mnie.

– Tak. Poświęciłeś się dla niej. – Otarłam łzy z policzków i odwróciłam się w stronę Jeffa. – Dla niej, nie dla mnie. Jesteś z nią także ze względu na synów i tak być powinno. Tymczasem ja może nigdy nie będę miała dzieci, ponieważ do czterdziestki liczyłam, że mężczyzna, którego kocham, odejdzie od żony, chociaż tak naprawdę to nigdy nie wchodziło w grę.

Skulił się na krześle i popatrzył na mnie.

– Przepraszam. Powtórzyłbym to milion razy, gdyby mogło coś pomóc. Przepraszam.

Nie pomogło. Ani trochę. Zdjęłam z ręki bransoletkę i położyłam na stole.

– Nie mogę jej przyjąć.

– Amando, nie bądź śmieszna.

– Muszę już iść.

– Wiem, że jesteś w szoku. Dowiedziałaś się wielu rzeczy. Potrzebujesz czasu, by to przetrwać.

– Czas nic tu nie pomoże. – Przeszłam do sypialni, żeby poszukać butów. Ruszył za mną.

– Tak ci się teraz wydaje – powiedział. – Ale przynajmniej prawda wyszła na jaw. A to znaczy, że będziemy mogli o tym porozmawiać i coś razem ustalić. Wymyślimy jakieś rozwiązanie, obiecuję.

Włożyłam baleriny.

– Nic nie wymyślimy. – Teraz wiedziałam już, że moje ultimatum było bez znaczenia. Moje potrzeby się tutaj nie liczyły. – Nie ma nad czym dumać, Jeff. – To akurat niezupełnie było prawdą. – Została tylko kwestia pieniędzy, które jestem ci winna.

– Tym się nie przejmuj.

– Obiecuję, że jakoś je oddam.

– Pieniądze nie mają znaczenia. Zapomnij o nich – rzucił gniewnie i podał mi bransoletkę. – Proszę, weź. To twój prezent urodzinowy. Chcę, żebyś ją miała.

Pokręciłam głową.

– Przepraszam.

Był bardzo smutny, wyglądał jak mały chłopiec. Miałam ochotę pocałować go i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Z wysiłkiem zrobiłam krok do tyłu.

– Muszę iść. – Poszłam do salonu, zabrałam torbę i ruszyłam do drzwi.

Jeff, ciągle boso, odprowadził mnie korytarzem aż do windy.

– Zadzwoń później.

– Nie. Proszę.

– Nie możemy tak nagle przestać się widywać.

– Wcale nie nagle. Podjęcie tej decyzji zajęło mi wiele lat.

Wsiadłam do windy, nie pozwalając się pocałować. Staliśmy naprzeciw siebie, dwoje smutnych ludzi w sytuacji bez wyjścia. Czekałam, aż drzwi między nami się zamkną.

Rozdział 34

Olive

Wracając od Joego, wstąpiłam do piekarni i kupiłam jeszcze ciepłe bułeczki. Jedną spałaszowałam od razu na ulicy. Na rogu gazeciarz sprzedawał prasę. Moje oczy przyciągnął nagłówek: WNIOSEK O ZWOLNIENIE THAWA ODRZUCONY. SĄD UZNAŁ, ŻE WIĘZIEŃ JEST OBLĄKANY. Kupiłam gazetę, żeby potem przeczytać ją w pokoju.

Im większy dystans dzielił mnie od Joego, tym bardziej głupio było mi z powodu wczorajszego zachowania. Martwiłam się też ewentualnymi konsekwencjami. Co będzie, jeśli źle zapamiętałam, kiedy przypada okres płodny? Wszystko mogło mi się pomieszać, tak jak wtedy, gdy starałam się zapamiętać słowa Angeliny. A może to ona coś przekręciła? Albo odwrotnie – miała rację, a informacja podana w książce była błędna? Nie, doktor Galbraith zasługuje na zaufanie. Teraz nie mogłam sobie jednak przypomnieć, czy według niej kobieta podczas menstruacji jest *najbardziej* czy też *najmniej* płodna. O Boże! Przecież właśnie mogę być w ciąży. Cóż to byłaby za katastrofa! Wszystkie moje plany ległyby w gruzach. Jak mogłam być taka nieostrożna? Resztę drogi pokonałam niemal biegiem.

Zaraz po wejściu do pokoju wyciągnęłam z dna kufra *Cztery epoki w życiu kobiety* i zaczęłam przerzucać strony. Joe w ostatniej chwili się wycofał, świadczyła o tym leпка maź na moim brzuchu, ale przecież...

Rzeczywiście, tak jak zapamiętałam, według doktor Galbraith jest faktem powszechnie uznanym, że kobieta najłatwiej zachodzi w ciążę w dniach tuż przed menstruacją i tuż po niej. Cóż za uspokajająca wiadomość. „Faktem powszechnie uznanym”. Zamknęłam książkę. Mój period zakończył się osiem dni temu. Wszystko powinno być w porządku.

Umyłam się, a potem, czytając gazetę, zjadłam jeszcze jedną bułkę. Sędzia, który przewodniczył w procesie Thawa, powiedział, że uważa wyrok za słuszny. Thaw jest paranoikiem i powinien pozostać w odosobnieniu tak długo, aż przestanie stanowić zagrożenia dla społeczeństwa.

Angelina powiedziała kiedyś, że nie rozumiem Thawa, bo nigdy nie przeżyłam prawdziwej miłości. Może miała rację. Po raz pierwszy w życiu zrobiło mi się go żal. Zrozumiałam, że namiętność popycha nas do szaleństwa. Pocałunki Joego sprawiły, że na pewien czas straciłam głowę. O tym, co robię, decydowało moje ciało, nie umysł. Rozum się nie liczył. W głębi serca chciałam opowiedzieć Angelinie o tym, co się stało – może wtedy zmieniałaby zdanie na mój temat. Ale nigdy nie potrafiłabym

się przyznać, że to jej brat mnie uwiódł.

Zafundowałam sobie porządne śniadanie u Childa na Czternastej Ulicy. Jedząc jajka ze smażonymi ziemniakami, wspominałam, jak bardzo samotna czułam się tutaj podczas ostatniej wizyty, tuż po śmierci ojca. Teraz przynajmniej byłam częścią miasta, nie stałam z boku, zaglądając niepewnie do środka. Po śniadaniu postanowiłam przespacerować się w stronę hotelu Mansfield. Choć mój pierwszy nowojorski dom był niedaleko, wydawał się należeć do innego świata.

Przed drzwiami hotelu stał ten sam rudowłosy odźwierny, który wtedy sprowadził Matildę. Przeszłam obok i zajrzałam do środka, ale nie zauważył mnie albo udał, że nie zauważa. Hol wyglądał tak samo, za to ja stałam się innym człowiekiem. A może po prostu byłam teraz bardziej sobą.

Skręcając w Czwartą Aleję, spojrzałam na uliczny zegar. Pociąg Joego odjeżdżał dopiero za godzinę. Zamiast wałęsać się bez celu po ulicach, mogłam pognać na stację na spotkanie z kochankiem. Czy postąpiłam głupio, nie jadąc z nim do Kalifornii? Uśmiechnęłam się na myśl, że oto mieszkam w San Francisco, jestem żoną rybaka, rodzę stadko włoskich *bambini* i uczę się od teściowej, jak gotować spaghetti. Od Grand Central Station dzieliło mnie zaledwie dwadzieścia przecznic. Wystarczy piętnastominutowy spacer i moja przyszłość może być zupełnie inna.

Szkoda zachodu. Joe szybko by mnie rzucił albo sama bym się nim znudziła. Jego matka nigdy nie zaakceptowałaby cudzoziemki, a ojciec przepędziłby mnie na cztery wiatry.

Weszłam do parku. Stalowy szkielet Metropolitan Tower pięł się coraz wyżej. Osiągnął już niemal pełną wysokość. Fasadę obłożono marmurem prawie do dwudziestego piętra. Przy smukłym drapaczu chmur budynek Madison Square Garden wydawał się mały i staroświecki. Miasto się rozwijało, zostawiając za sobą Stanforda White'a.

Poniedziałkowy poranek spędziłam w stoisku z koronkami. Robotnicy rozebrali starą ladę i wstawili na jej miejsce nowe gabloty zaprojektowane specjalnie na kosmetyki Madame du Jardin. Pan McGillicutty pokazał mi zamontowane w środku specjalne lampki, których światło miało przyciągać uwagę klientów.

– Jakie to sprytne – pochwalałam. – Jak pan sądzi, kiedy stoisko będzie gotowe?

– Spodziewam się, że otworzymy je pod koniec tygodnia – powiedział. – Podobno w środę ma przyjść osoba, która zapozna panią z kosmetykami. Nie wiem tylko, czy będzie to najpopularniejsze czy też najbardziej krytykowane stoisko na piętrze.

– Proszę się nie martwić. Poradzę sobie.

Miniony tydzień znakomicie przygotował mnie zarówno na przejawy sympatii, jak i na krytykę.

– Dobrze się bawiłaś w Majesticu? – zapytała Sadie, gdy stanęłam obok niej za ladą.

– Nieźle.

– Chyba lepiej niż nieźle.

– Nie sądzę. – Czy ona coś wie? To niemożliwe.

– Skoro tak mówisz...

Dotąd ani trochę nie tęskniłam za Joem. Co prawda nie było go dopiero jeden dzień. I muszę przyznać, że wciąż wracały do mnie wspomnienia chwil, gdy mnie dotykał, a nasze ciała łączyły się ze sobą. Przynajmniej w końcu się dowiedziałam, czym jest to coś, co wszyscy inni wyszydają, potępiają lub uwielbiają...

Nie. Muszę zapomnieć.

– Czym mogę służyć? – zwróciłam się do pierwszej tego dnia klientki.

Pani Maytell, atrakcyjna dama z nienagannym brytyjskim akcentem, przysłała pokazać mi, jak się robi makijaż kosmetykami Madame du Jardin. Rozłożyłyśmy wszystko na szklanym blacie pięknej nowej mahoniowej gabloty. Zestaw ładnych blad różowych pudełeczek malowanych w żółte irysy zawierał po trzy odcienie pudru, różu, szminek i ołówków do brwi. Pani Maytell chciała, żebym przed wykorzystaniem jednej ze sprzedawczyń w charakterze królika doświadczałnego sama wypróbowała wszystko na własnej skórze. Przycupnęłam na wysokim stołku na końcu stoiska. Pani Maytell pochyliła się nade mną i upudrowała mi policzki i czoło. Poczułam zapach jej lawendowych perfum.

– Jeśli chodzi o kosmetyki, nie mam absolutnie żadnego doświadczenia – wyznałam.

– Szybko się pani nauczy. A kiedy już zacznie pani używać naszych produktów, bez nich będzie się pani czuła jak bez ubrania. – Nałożyła mi róż na policzek. –

Proszę go zawsze dwoma palcami rozcierać ku górze, tak walczymy ze skutkami grawitacji.

Miałam nadzieję, że makijaż nie będzie zbyt mocny, ale nie odważyłam się tego powiedzieć. Ostatecznie to specjalistka. Delikatny dotyk działał uspokajająco. Klientki pewnie się ucieszą, że poświęca się im tyle uwagi.

– Jaki jest skład kosmetyków? – zapytałam.

– Madame du Jardin nalega, by pozostało to pilnie strzeżoną tajemnicą. Ciekawym proszę odpowiadać, że receptury kosmetyków znaleziono w zamkniętej szafie pochodzącej sprzed Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

– Musi być ciekawą osobą. Czy będę miała okazję ją poznać?

– Niestety, nie. Madame się starzeje i stroni od ludzi. Kiedyś była wielką pięknoscią i nie wyobraża sobie, że ktoś mógłby ją teraz zobaczyć.

– To smutne.

– Proszę nikomu nie mówić – dodała pani Maytell, zniżając głos – ale słyszałam, że próbowała się raz otruć arsenikiem. Taka bogata kobieta! No, gotowe. – Cofnęła się, by ocenić efekt swej pracy. – Cudownie. Zaraz pani sama zobaczy.

Sięgnęła po lusterko. Miałam nadzieję, że zdołała uczynić moją twarz piękniejszą, lecz patrząc na swoje odbicie, zobaczyłam tylko kobietę, która za bardzo stara się udowodnić, że jest kobietą.

W dniu otwarcia nowego stoiska przyszedłam wcześniej. Chciałam dopilnować, żeby wszystko było gotowe. Zwłaszcza moja twarz. Umalowałam się delikatnie, starając się uzyskać możliwie naturalny efekt. Panna Cohen zjawiała się w chwili, gdy chowałam kasetkę z kosmetykami.

– Wszystko wygląda doskonale – powiedziała. – Z wyjątkiem pani. Czy nałożyła pani makijaż?

– Tak. Chciałam, żeby był delikatny.

– Ale nie niewidoczny. Musi pani umalować się mocniej.

– Tak, panno Cohen. – Wyjęłam z powrotem kasetkę. Przełożona przyglądała się, jak nakładam więcej szminki, różu i mocniej się pudruję.

– Teraz lepiej.

Z uśmiechem skinęłam głową, jednak czułam się jak ladacznica. Panna Cohen życzyła mi powodzenia, a w tej samej chwili pan McGillicutty dał znak odźwiernemu, by wpuścił czekających przed sklepem ludzi. Niedługo potem stanęła przede mną pierwsza klientka.

– Szukam pudru, który nie zrobi mi skorupy na twarzy.

Natura obdarzyła tę młodą kobietę różową zdrową cerą, gładką i nieskazitelną. Zastanawiałam się, po co chce ją zakrywać.

– Może ma pani suchą skórę. – Postawiłam na ladzie pudełeczko. – Proponuję położyć pod puder warstwę kremu Madame du Jardin. Ma piękny zapach geranium.

- Próbowałam różnych kremów, ale mi nie pomagały.
- Proszę użyć tylko odrobinę. Kiedy zupełnie wtopi się w skórę, niech pani lekko oprószy twarz pudrem i wygładzi całość giemzą. – Położyłam obok pudełeczka kawałek różowej giemzy przewiązany złotą wstążeczką.
- Sama nie wiem... Nakremowana twarz wygląda tłusto.
- Nie z tym kremem. Oto próbka. – Otworzyłam słoiczek, a klientka zanurzyła w nim czubek palca. – Tajemnica polega na tym, by nie nakładać zbyt wiele. Jeden słoiczek wystarcza na cały rok. Sprawia cuda – jest jak pokarm dla skóry. Zapobiega także powstawaniu zmarszczek.
- Coś podobnego!
- Przez pewien czas klientki, które kupią i krem, i puder, dostają dwadzieścia pięć procent rabatu.
- W takim razie wezmę jedno i drugie.
- Może zechce pani obejrzeć inne kosmetyki? Mamy szminki do ust w trzech odcieniach, najjaśniejszy świetnie by pasował do pani karnacji.
- Nie, dziękuję. Uważam, że kosmetyki są okropne.
- Kiedyś też tak myślałam, ale cieszą się coraz większym powodzeniem. Może innym razem. Czy mam dołączyć giemzę? Kosztuje tylko piętnaście centów.
- Niech będzie.

Przez cały dzień kobiety tłoczyły się przy moim stoisku. Większość nie zdecydowała się na zakup różu czy szminki, niepewna, czy Bóg akceptuje podobne wymysły. Nie żałowały jednak pieniędzy na kremy i pudry. Najwyraźniej ich modlitwy o młodość i urodę zostały wysłuchane przez Madame du Jardin. Szkoda, że ona sama czuła się zbyt brzydka i stara, by cieszyć się sukcesem.

8 czerwca 1908 roku

Od wyjazdu Joego minęło osiem dni. Przez cały tydzień nie widziałam się z Angeliną. Pewnie jest zajęta przygotowaniem do następnego pokazu mody. Chyba doskwiera mi samotność. Powinnam nawiązać bliższe kontakty z dziewczynami z pensjonatu. Ostatnimi czasy moją jedyną koleżanką jest Sadie, za którą właściwie nie przepadam. Mam trochę cerowania. Chyba zejść z tym na dół, tam jest lepsze światło.

Wetknęłam głowę do saloniku. Chwilowo bezrobotna girlsa z teatrzyku rewiowego śpiewała, niezbyt udolnie akompaniując sobie na pianinie, piosenkę z przedstawienia, a wtórowało jej kilka dziewcząt, ale zagłuszał je krzykliwy głos tamtej. W szwalni jak

zwykle drzemały beczynnie dwie maszyny do szycia. Bawialnia była pusta. Usiadłam przy lampie naftowej na woniejącej stęchlizną kanapie, a obok na stoliku postawiłam pudełko po cygarach taty, w którym trzymałam przybory do szycia. Musiałam koniecznie zaszyć dziurę w jedwabnej podszewce mufki. Dziennik zaczepiał o materiał i rozrywał go coraz bardziej. Kiedyś zawsze oddawałam takie naprawy do szwaczki albo prosiłam o pomoc ciotkę Idę. Nie miałam zdolności krawieckich i jeszcze się nie zdarzyło, żebym nie pokłuła się igłą.

Jakimś cudem nawleczenie nitki zajęło mi tylko dziesięć minut. Starłam się szyć drobnym, równym ścięciem, ale wciąż wychodził krzywo. W uszach brzęczał mi głos ciotki Idy, nakazującej, żebym się nie spieszyła i bardziej uważała.

Trzasnęły drzwi frontowe. Podniosłam wzrok, a do pokoju wbiegła Sadie.

– Potrzebuję odmiany. – Klapnęła na kanapę obok mnie w chwili, gdy właśnie miałam wbić igłę w materiał. Zamiast tego ukłułam się w palec i podskoczyłam z bólu, upuszczając szycie.

– Odmiany? – spytałam, wyciągając z kieszeni chusteczkę i przyciskając ją do lśniącej kropelki krwi.

– Mam dosyć sklepu. Chyba rzucę tę pracę.

– A co będziesz robić?

– Ojciec pracuje w szwalni. Może załatwić mi tam posadę za lepsze pieniądze, niż wyciągam teraz.

– Dlaczego nie zaczniesz od prośby o podwyżkę? Praca w szwalni może być strasznie ciężka.

– Co tam. Żebym tylko wieczory miała wolne. Zresztą teraz, gdy odeszła Angelina, w sklepie nie jest już tak jak dawniej.

– Odeszła?

– Nie słyszałaś? Zrezygnowała.

– Dlaczego?

– Znalazła coś lepszego.

– Gdzie?

– Przysięgłam, że nikomu nie powiem. Nie chce, żeby cały sklep o niej plotkował. Muszę coś zrobić – podjęła przerwany wątek. – Inaczej skończę jako stara panna.

– Nie bądź niemądra – odparłam, szukając igły. – Masz młodość, urodę i jeśli tak bardzo pragniesz wyjść za mąż, to kogoś sobie znajdziesz.

– Pięknie powiedziane, ale nie jestem tego taka pewna.

Igła gdzieś przepadła, a ja nie mogłam znieść myśli o nawlekaniu następnej. Odłożyłam przybory krawieckie do pudełka po cygarach.

– Chyba już pójdę spać.

– Tak wcześniej?

– Jestem wykończona – uśmiechnęłam się ciepło, żeby Sadie nie poczuła się zlekceważona.

– Może poproszę o podwyżkę. W końcu tobie dali awans, chociaż ja pracuję tu od trzech lat.

– Na pewno na nią zasłużyłaś. A zapytać nigdy nie zaszkodzi.

Gdy wstawałam z kanapy, dobiegł mnie brzęk spadającej na podłogę igły. Udałam, że go nie słyszę, i życzyłam Sadie dobrej nocy.

15 czerwca 1908 roku

Minęły dwa tygodnie i jeden dzień. Joe nie napisał. Co prawda list i tak by jeszcze nie doszedł. Zresztą Joe nie obiecywał, że napisze, nie należy też do ludzi piszących listy. Chyba nikt w sklepie nie wie, gdzie pracuje Angelina. Ale cóż to mnie właściwie obchodzi? Sama jasno dała mi do zrozumienia, że nic dla niej nie znaczą.

Staralam się wyglądać na bardzo zajętą i właśnie wycierałam ladę, chociaż była idealnie czysta, gdy nagle obok na szkle oparła się para łokci.

– Życz mi szczęścia – powiedziała Sadie.

– Dlaczego?

– Dziś rano uznałam, że masz rację, więc wmaszerowałam do gabinetu panny Cohen i poprosiłam o podwyżkę.

– I co ona na to?

– Usłyszałam starą śpiewkę o tym, że nie może nic zrobić bez zgody pana Vogla, więc złożyłam wypowiedzenie.

– Rzuciłaś pracę? Sadie, czemu nie zaczekałaś, aż on wróci? To tylko kilka tygodni.

– Tak ci się wydaje. Nie będzie go przez dwa miesiące, byczy się w Paryżu!

– Skąd wiesz?

– A jak myślisz? Od panny Cohen! Zresztą mam dosyć tej budy. W szwalni już na dzień dobry dostanę dolara więcej. Po raz pierwszy w życiu zostanie mi trochę pieniędzy w kieszeni. Poza tym ojciec mówi, że szybko awansuję na brygadzystkę,

i wtedy to ja będę mówić innym, co mają robić.

– Cóż, jeśli ci się nie powiedzie, na pewno w sklepie przyjmą cię z powrotem.

– Zgłupiałaś? Tu nie ma przyszłości. – Rzuciła mi chłodne spojrzenie. – To znaczy nie dla wszystkich.

Odeszła, a ja dalej wycierałam czystą ladę. W sklepie panował coraz większy zastój. Każdy nowojorczyk, który mógł sobie na to pozwolić, uciekał przed upałem z miasta. Mój urlop wypadł w sierpniu i już nie mogłam się go doczekać. Miałam zamiar pojechać nad ocean do New Jersey, gdzie sklep miał letnie domki dla pracowników. Wszyscy mówili, że to urocze miejsce, i można było tam mieszkać za darmo przez dwa tygodnie.

Jakie to dziwne, że Sadie i Angeliny już tu nie będzie.

A jeszcze dziwniejsze, że panna Cohen powiedziała Sadie o przedłużonych wakacjach pana Vogla, a mnie nic o tym nie wspomniała.

Przestałam wycierać ladę, gdyż uderzyła mnie pewna myśl: przypomniałam sobie, jak Angelina dokuczała mi z powodu mojego awansu. Jedynymi osobami, które mogły o tym wiedzieć, były panna Cohen i pan Vogel.

Czy pan Vogel powiedział jej o awansie? Czy to on był żonatym przyjacielem Angeliny? To by wyjaśniało, dlaczego trzymała jego nazwisko w takiej tajemnicy. Kiedyś powiedziała mi, że jej kochanek błagał, aby wyjechała z nim do Paryża. Może w końcu się zgodziła i teraz są tam razem? Może porzucił dla niej żonę i już nie wróci do sklepu? Pewnie dlatego Angelina zerwała ze mną kontakty. Uznała, że nigdy nie wybaczę jej tego, że rozbiła małżeństwo.

Wróciłam do wycierania lady. Pewnie to tylko moje przywidzenia, niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Choćby nawet układały się w logiczną całość.

26 czerwca 1908 roku

Nie mogę się doczekać periodu. Nigdy wcześniej tak bardzo nie pragnęłam jego nadejścia. Nie zaznam spokoju, dopóki nie zobaczę krwi.

Rozdział 35

Amanda

Zaledwie przed pięcioma minutami wyszłam od Jeffa, a już zadzwoniła komórka. Na wyświetlaczu rozbłysło dobrze znane mi imię. Wzdrygnęłam się, ale nie odebrałam. Po kolejnej minucie przyszedł SMS. Swędziały mnie palce, żeby otworzyć wiadomość, jednak się powstrzymałam. Skupiłam całą uwagę na skrzyżowaniu Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i Madison i starałam się z całych sił wyobrazić sobie hotel Mansfield. Stał dokładnie w tym miejscu.

Na południowo-zachodnim rogu dominował neoklasycy budynek z czerwonej cegły. Tabliczka obok wejścia głosiła, że mieścił się tu kiedyś hotel Seville. Olive wspominała, że stał dokładnie naprzeciwko Mansfielda, a zatem... Odwróciłam się pełna nadziei i ujrzałam wysoki, nijaki wieżowiec z lat osiemdziesiątych. Co gorsza, na markizie nad wejściem widniała jego nazwa: Ascot. Miała kojarzyć się z kulturą i wyrafinowaniem, lecz w tym kontekście brzmiała idiotycznie. Apartamentowiec miał trzydzieści pięter i zapewne składał się z identycznych mieszkań bez wyrazu.

W jednym z lokali użytkowych na parterze budynku mieściło się bistro. Może urządzono je w miejscu dawnej hotelowej restauracji. Było dopiero piętnaście po dziewiątej, ale miałam wrażenie, że już od wielu godzin jestem na nogach. Musiałam się posilić. Najlepsze byłyby jajka z ziemniakami. Weszłam do środka.

W sali było pustawo i dostałam stolik przy oknie. Złożyłam zamówienie u kelnera, wlałam do kawy cztery pojemniczki śmietanki i wyciągnęłam dziennik. Otwierając coraz szerzej oczy, czytałam opis burzliwego wieczoru zakończonego w łóżku z Joem. Coś podobnego. Nie mogłam uwierzyć, że Olive posunęła się tak daleko. Byłam z niej dumna, jednak niepokoiło mnie to, że miała błędne informacje na temat antykoncepcji.

Swoją drogą pani Kelly wspomniała, że ma dziewięćdziesiąt osiem lat. A Olive spędziła noc z Joem 30 maja 1908 roku. Zamknęłam dziennik i wyjęłam długopis. Bazgrząc po serwetce, zaczęłam obliczać, pamiętając o tym, że ciąża trwa dziewięć miesięcy, a dziecko, które ma rok, jest od dwunastu miesięcy na świecie. Z moich zestawień wynikało, że chyba właśnie przeczytałam o poczęciu Jane Kelly.

Kelner przyniósł jajka. Dwa żółtka łypały na mnie z talerza, a ja zastanawiałam się nad nową informacją, że ojcem Jane Kelly był Joe Spinelli. Ale on przecież wyjechał do San Francisco. Czy Olive wychowała córkę zupełnie sama? Wolałam myśleć, że Joe wrócił i „zrobił z niej porządną kobietę”.

Dźgnęłam widelcem żółtko, które rozlało się po talerzu. Nie chciałam nawet

myśleć o tym, że Olive mogła umrzeć podczas porodu. Pochłonęłam śniadanie, nie czytając więcej ani słowa. Zapłaciłam rachunek i ruszyłam dalej przed siebie. Musiałam zobaczyć jeszcze jedno ważne miejsce. Na rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy skręciłam na zachód i doszłam do Szóstej Alei, gdzie kolejny raz spróbowałam wyobrazić sobie wznoszące się nad ulicą tory kolei nadziemnej. Ale obraz nie nabrał realnych kształtów. Jeszcze kilka przecznic i dotarłam do celu: wspaniałego budynku w stylu neoklasycznym, w którym kiedyś mieścił się dom towarowy Siegel-Cooper.

Zajmujący cały kwartał ogromny gmach swą wspaniałością przywodził na myśl budowlę starożytnego Rzymu, chociaż teraz wynajmowały go na spółkę sieci handlowe Bed Bath & Beyond, T.J. Maxx i Filene's Basement. Fasadę zdobiły balkони, kolumny oraz płaskorzeźby w formie wieńców i lwich głów. Strop nad głównym wejściem podpierały kolumny z brązu. Olive, Sadie i Angelina używały wejścia dla personelu przy Osiemnastej Ulicy, a jednak... to było tutaj. Aż sama musiałam sobie przypomnieć, że w rzeczywistości nie znam owych kobiet, które przed laty pracowały tu w domu towarowym.

Pod samym dachem ujrzałam coś, co sprawiło, że opadła mi szczęka. Tarczę przypominającą herb, z wrytymi na niej literami S i C. Siegel-Cooper! Po chwili dostrzegłam więcej takich tarcz rozmieszczonych w równych odstępach. Nigdy wcześniej ich nie zauważyłam, choć przechodziłam tędy milion razy. Uznałam to odkrycie za wiadomość przeznaczoną specjalnie dla mnie. Kto w dzisiejszych czasach zwraca uwagę na inicjały dawnych właścicieli? Kogo one obchodzą? Miałam ochotę usiąść na krawężniku i zapłakać. Przeszłość! Jest tu, wśród nas, a my nie zwracamy na nią uwagi, pochłonięci kultem terażniejszości, tak jakby liczyło się tylko pokolenie „dnia dzisiejszego”.

Weszłam przez obrotowe drzwi, czując dreszczyk emocji, jakby na parterze czekała na mnie za ladą Olive. Wnętrze całkowicie mnie rozczarowało. Holl był nowoczesny, surowy i jasny. Niemal nic nie pozostało po oryginalnym wystroju. Po lewej stronie ludzie wchodzili do Bed Bath & Beyond. Po prawej wychodzili, popychając wózki wypełnione artykułami gospodarstwa domowego. Pośrodku ruchome schody zwoziły klientów na dół do Filene's Basement. Kilka oryginalnych kolumn podtrzymujących strop oraz złożone gzymsy wzdłuż ścian, to wszystko, co zostało z przeszłości. Musiałam stąd wyjść. Nie chciałam przez to sterylne wnętrze stracić owego cudownego domu towarowego z mojej wyobraźni.

Na ulicy poraził mnie wszechobecny brak harmonii. Z zaparkowanej w pobliżu furgonetki dudnił rap, z wózka z hot dogami dolatywał ostry zapach musztardy, uliczni sprzedawcy oferowali tanie skarpetki i pokrowce na telefony komórkowe. Tłum ubrany bez fantazji w uniformy z Gapa podłączony był do iPodów lub sprawdzał e-maile na BlackBerry. Marzyłam, by zastąpić to wszystko tramwajami

i dorożkami. Stukaniem końskich kopyt o bruk ulicy. Kobietami w kostiumach i kapeluszach. Mężczyznami w melonikach i kamizelkach.

Co prawda Ameryka w epoce Olive nie była krainą szczęśliwości. Czy mogłabym z ręką na sercu przysiąc, że chciałabym żyć w tamtych czasach? Mieć do czynienia z mężczyznami takimi jak Ralph Pierce, według których kobieta schodzi na złą drogę już przez sam fakt, że zamieszkała z osobami z niższej sfery? Jakim szczęściem jest wolność traktowana przeze mnie jak coś oczywistego! Olive ryzykowała, łamiąc zasady, którymi ja nigdy nie musiałam się przejmować. Żyła w okresie przejściowym, gdy wiktoriańska mentalność ustępowała nowoczesności. Z pewnością była dzieckiem swojej epoki. Najwyższy czas, żebym poszła w jej ślady.

A może już to robię? Tylko dowiem się o tym dopiero w przyszłości, patrząc z odpowiedniej perspektywy? Mogę okazać się typowym przykładem kobiety z pierwszej dekady nowego tysiąclecia, jako właścicielka bankrutującej małej firmy przepełniona nostalgią za idealizowaną przeszłością, wieczna singielka, która nie ma dzieci i żyje w społeczeństwie zachęcającym ludzi, by zastępowali prawdziwe kontakty wirtualnymi.

Przystanąłam na czerwonym świetle. Zadzwoniła komórka. Znowu Jeff. Pewnie cierpi. Jak mogłam go porzucić? Czy jestem nieczułą suką? A jeśli żaden inny mężczyzna mnie nie zechce? Nie. Trzeba mieć nadzieję. I myśleć pozytywnie. Nigdy nie wiadomo, kto wkroczy w moje życie. Tuż obok, kilka centymetrów od mojej twarzy, przemknął rowerzysta. A co z Robem Kellym? Dzisiaj odleci do Santa Monica. Gdybym tak miała jakąś wymówkę, żeby do niego zadzwonić!

A może mam?

Ruszyłam w stronę Washington Square Park, żeby móc we względnym spokoju porozmawiać przez telefon. Robiło się coraz goręcej, ale wciąż było wystarczająco przyjemnie, by posiedzieć na dworze. Podeszłam do ławki z widokiem na Łuk Waszyngtona, tej samej, na której siedziałam przed wizytą u doktora Markoffa. Czy to się wydarzyło zaledwie przed pięcioma dniami? Miałam wrażenie, że minął rok.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w telefon, walcząc ze strachem, że Rob Kelly wcale nie chce się ze mną widzieć, po czym wybrałam numer Jane Kelly. Dlaczego życie składa się z kolejnych upokorzeń? Gdy staruszka odebrała, nie przedstawiając się, poprosiłam Roba. Odłożyła ze stuknięciem słuchawkę. Już zaczęłam myśleć, że zapomniała, i zamierzałam się rozłączyć, z ulgą, że tym razem przynajmniej nie ucierpiała moja duma, kiedy odezwał się Rob.

– Halo!

– Rob? Cześć, mówi Amanda.

– Cześć – przywitał się ze zdziwieniem. – Jak się masz?

– Dobrze – odparłam i poszłam za ciosem. – Pamiętasz, jak wspominałeś, że musisz uporządkować piwnicę? Pomyślałam sobie... chociaż pewnie już to zrobiłeś i spieszysz się na samolot... ale jeżeli nie, to mogłabym ci pomóc, bo sama chętnie bym tam zajrzała. Prawie skończyłam czytać dziennik i mam wrażenie, jakbym naprawdę znała te kobiety. Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby przeglądać rzeczy w towarzystwie... – urwałam. Aż się skrzywiłam ze złości na siebie. Chyba nie mogłam powiedzieć tego bardziej zawile?

– Nie – odparł. – Jeszcze się do tego nie zabrałem. I, owszem, przyda mi się towarzystwo. Mogłabyś przyjść tutaj około wpół do dwunastej?

– Tak. Jasne.

– To do zobaczenia.

Rozłączyłam się, odłożyłam telefon i czekałam, aż mi serce przestanie walić. Wtedy do mnie dotarło. Oczywiście. Cudowna oliwkowa cera i ciemne kręcone włosy Roba. Odziedziczył je po tym przystojnym byczku, Joem Spinellim.

Wyjęłam dziennik i już miałam go otworzyć, ale się zawahałam. Nie chciałam, żeby Olive zaszła w ciążę, to znaczy pragnęłam, żeby urodziła Jane, ale wolałam, żeby nie umierała. Z drugiej strony, gdyby Jane nie przyszła na świat, Rob by nie istniał. Zaczęłam czytać. Może tym razem dopisze mi szczęście i nie przysiądzie się do mnie żadne płaczące dziecko.

Rozdział 36

Olive

– Jak pani wie – powiedziała panna Cohen, gdy usiadłam na krześle przed jej biurkiem – mamy imponujące wyniki sprzedaży.

Nie wiedziałam, dlaczego wezwała mnie do gabinetu, ale liczyłam, że usłyszę dobre wieści. W czerwcowej gazetce pracowniczej zostałam uznana za jedną z najlepszych ekspedientek miesiąca. Nie miałam żadnych prawdziwych przyjaciółek, z którymi mogłabym rozmawiać, więc łatwo mi było poświęcić się wyłącznie pracy.

– Szminki – ciągnęła panna Cohen – sprzedają się lepiej, niż przypuszczaliśmy, i chociaż róż nie cieszy się spodziewanym powodzeniem, to kremy do twarzy znajdują mnóstwo nabywców.

– Moglibyśmy sprzedawać dużo więcej Wiecznej Młodości, gdyby nie wieczny brak towaru – dorzuciłam.

– Porozmawiam jeszcze raz z naszymi dostawcami. – Panna Cohen skinęła głową i zanotowała coś sobie, a potem odłożyła ołówek. – A więc przejdźmy do rzeczy. W końcu przekonałam kierownictwo, żeby przenieść dział krawiecki na piętro. Jego miejsce zajmą kosmetyki i artykuły toaletowe.

– Wspaniała wiadomość!

– To znaczy, że jeszcze bardziej rozszerzymy dział i wprowadzimy kolejne towary. Oprócz kremów przeciwzmarszczkowych nowych marek zaczniemy sprzedawać lakiery do paznokci, farby do włosów i toniki. W związku z tym będę musiała częściej wyjeżdżać na wystawy przemysłowe i muszę mieć tu na miejscu kogoś zaufanego, kto pilnowałby sprzedaży, zaopatrzenia i ustalania cen. – Urwała na chwilę, po czym przeszła do rzeczy. – Czy jest pani zainteresowana awansem na stanowisko mojej asystentki?

Staralam się zachować spokój.

– Tak.

– Wiąże się z tym więcej pracy i odpowiedzialności.

– Rozumiem.

– Niekiedy trzeba zostawać po godzinach.

– To mi nie przeszkadza, panno Cohen. Nie mam żadnych prywatnych zobowiązań. – Oczywiście o ile nie jestem w ciąży. Lada dzień powinnam dostać periodu.

– Znakomicie. W takim razie od tej pory będzie pani otrzymywać pensję w wysokości pięciuset dolarów rocznie, ale proszę pamiętać, że nie przysługuje już pani prowizja ani płatne nadgodziny.

Nie będę też musiała odbijać karty zegarowej.

– Zgadzam się na takie warunki.

Podniecona awansem nawet nie pomyślałam, żeby się targować.

– Zatrudnimy nową osobę do pracy w stoisku, żeby miała pani więcej czasu na zamawianie towaru, kontakty z działem reklamy i dekoratorami wystaw. Nawet pani nie wie, jaka to dla mnie ulga, że będę miała kogoś, na kim mogę polegać, zwłaszcza teraz, gdy pan Vogel uparł się, że weźmie taki długi urlop. Jak się pani domyśla, większość jego obowiązków spadła na mnie.

– To z pewnością irytujące. Mam nadzieję, że nic mu nie dolega.

– Och, nie o to chodzi – zawahała się. – Naprawdę nie jestem upoważniona do rozmów na ten temat.

– Doszło do mnie... – odchrząknęłam i poważnym tonem mówiłam dalej. – Krążą plotki, że pan Vogel się rozwodzi.

Prawdę mówiąc, niczego podobnego nie słyszałam, chciałam jednak skłonić pannę Cohen do potwierdzenia lub sprostowania rzekomych pogłosek. Uniosłam brwi i wymownym milczeniem próbowałam zmusić zwierzchniczkę do wyjawienia prawdy.

– No cóż... – zniżyła głos. – Proszę obiecać, że zachowa pani dyskrecję.

– Oczywiście.

Panna Cohen wstała, zamknęła drzwi do gabinetu, a potem, zamiast wrócić na krzesło, przysiadła przede mną na skraju biurka.

– Proszę przysiąc, że nikomu pani nie powie.

– Przysięgam.

– Jedna z naszych pracownic złożyła skargę, że pan Vogel wpędził ją w kłopoty – powiedziała cichym głosem, pochylając się ku mnie.

– O Boże. – Angelina? Więc to pan Vogel był jej przyjacielem? Niemożliwe, żeby spotkało ją coś takiego, przecież się zabezpieczała.

– Oczywiście wszystkiemu zaprzeczyłam.

– Czy sprawa miała jakieś reperkusje?

– Powiedzmy, że nie podjęto przeciwko niemu żadnych oficjalnych kroków.

– A co się stało z tą kobietą?

– Została wyrzucona.

– Ojej!

– Cóż, szkoda, że wpakowała się w kłopoty. Ale zemściła się na nim, opowiadając o wszystkim jego żonie.

– I co zrobił pan Vogel?

– Zabrał żonę do Europy. A potem dostaliśmy telegram, że wróci dopiero pod koniec sierpnia.

– Więc żona mu przebaczyła?

– Pierwszorzędne hotele bardzo w tym pomogły.

– Wyobrażam sobie.

– Tymczasem jednak – panna Cohen znów usiadła za biurkiem – mam jeszcze trochę pracy, a pani pewnie chce iść do domu. Dopilnuję, żeby przy następnej wypłacie otrzymała pani nową pensję. Swoją drogą, wiem, że w przyszłym tygodniu planowała pani wyjazd do Long Branch.

– Tak. – Modliłam się, żeby nie poprosiła mnie o rezygnację z urlopu. – Czy będę wtedy potrzebna w sklepie?

Chyba odczytała moją minę.

– Jakoś sobie poradzę. Ale po powrocie z urlopu musi mi pani poświęcić całą swoją uwagę.

– Proszę się o to nie martwić, panno Cohen. Będę do dyspozycji. Bardzo pani dziękuję.

– Zasłużyła pani na to, panno Westcott. Życzę miłego wieczoru.

Idąc Piątą Aleją, próbowałam cieszyć się z awansu, ale strach, że jestem w ciąży, tłumił moją radość. Do tego dochodziła tajemnica, czy kobietą w kłopotcie jest Angelina. Jakie to byłoby dziwne, gdybyśmy jednocześnie zaszły w ciążę. Może wtedy byśmy się ze sobą pogodziły i razem przeszły ciężką próbę. Myśl o tym stanowiłaby pewną pociechę, gdyby nie zżerały mnie niepokój i smutek.

Tego samego wieczoru, przebierając się w nocną koszulę, poczułam w brzuchu skurcz. Boże, błagam cię, niech to będzie period. Leżałam w łóżku i czekałam na następny. Tak czuwając, zasnęłam.

Rankiem obudził mnie ten okropny dzwonek. Otworzyłam oczy. Czy mi się zdaje, czy też czuję między nogami chłód i wilgoć? Spojrzałam i zobaczyłam czerwoną plamę na koszuli i drugą na prześcieradle. Krew! Moje serce przepełniła radość.

Dzięki Ci, Boże, że nie zesłałeś na mnie kary. Zaciskając uda, by powstrzymać krwawienie, wstałam z łóżka i wesoło sięgnęłam po pasek i przepaski. Nigdy w życiu nie witałam krwawego przekleństwa z taką radością.

10 lipca 1908 roku

Jedyny sposób, by dowiedzieć się prawdy o Angelinie, to pójść i zapukać do jej drzwi. Mogę ją odwiedzić w ten weekend. A jeżeli znów mnie zignoruje? Poczuję się głupio, że dałam jej drugą okazję do tego.

W niedzielny ranek siedziałam w salonie, czytając w gazecie ogłoszenia o wynajmie mieszkań. Na tej samej stronie umieszczono dużą reklamę nowej kamienicy na Upper West Side, w której zapewniano lokatorom ogrzewanie parowe, ciepłą wodę, osobną sypialnię i prywatną łazienkę. Napisali nawet, ile wynosi czynsz. Był zaskakująco przystępny i po podwyżce mogłabym sobie na to mieszkanie pozwolić. W odległej dzielnicy będę się pewnie czuła nieco samotna, za to metro dowiezie mnie praktycznie pod sam sklep. I jak cudownie byłoby mieć własną łazienkę! Miałam nadzieję, że właścicielom nie będzie przeszkadzało, że jestem samotną panną.

Tymczasem postanowiłam zajrzeć do kolumny towarzyskiej. Gdy ją przeglądałam, mój wzrok przykuło znajome nazwisko.

Państwo Fultonowie Winthrop mieszkający pod numerem 107 przy Wschodniej Sześćdziesiątej Piątej Ulicy rozesłali zaproszenia na ślub swojej córki, panny Vivian Winthrop, z panem Ralphem Pierce'em. Przyjęcie weselne odbędzie się w hotelu St. Regis. W sierpniu młoda para, która darzy się uczuciem od dzieciństwa, uda się na miesiąc miodowy do Niagara Falls, a potem w podróż pociągiem po zachodniej części kraju.

A więc Ralph wrócił do dziewczyny, z którą zerwał. Ogarnęło mnie poczucie klęski. Dzięki naszemu nieudanemu spotkaniu Ralph na nowo przekonał się, jak bardzo kocha swoją słodką, posłuszną narzeczoną. Tymczasem ja, która podważyłam słuszność jego decyzji, wciąż byłam sama. Czy wszystkie kobiety domagające się równych praw są skazane na samotność? Cóż, wcale nie muszę się na to godzić. Żałowałam, że Daisy jeszcze nie wróciła z Europy. Ostatni list dostałam od niej przed Bożym Narodzeniem i nie zdobyłam się na to, by na niego odpisać. Może właśnie dlatego milczała.

Złożyłam gazetę. Od Daisy dzielił mnie ocean, ale Angelina mieszkała piętnaście minut od mojego pensjonatu. A przecież to ona wyciągnęła do mnie rękę, gdy przechodziłam najtrudniejsze chwile mojego życia. Nie mogę pozwolić, by moja duma nas rozdzieliła.

*

– Cóż za niespodzianka. – Angelina nie wyglądała na specjalnie uradowaną moim widokiem.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Stałyśmy naprzeciwko siebie w otwartych drzwiach. Nie zaprosiła mnie do środka. Całą siłą woli powstrzymałam się, by nie zerknąć na jej brzuch. Podałam jej toczek, który pożyczyła mi przed naszą wyprawą na pokaz elektryczności.

– Przyszłam, żeby ci oddać twój śliczny kapelusz.

– Mogłaś go sobie zatrzymać – odparła, ale wzięła go ode mnie.

– Miałam też nadzieję, że chwilę porozmawiamy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– O czym?

– Chciałam sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

– A czemu miałabym czuć się źle? – Zmrużyła oczy.

– Myślałam, że może... Martwiłam się... – W końcu musiałam spojrzeć na jej brzuch. Rysował się wyraźnie pod srebrzystoniebieskim kimonem haftowanym w kwiaty wiśni. – Nie wpuścisz mnie, żebyśmy mogły porozmawiać?

Jej policzki lekko poczerwieniały.

– Jeśli przyszedłaś tu, żeby się nade mną litować... – Zaczęła zamykać drzwi.

– Angelino, przyszłam, bo strasznie za tobą tęsknię. Proszę – powiedziałam świadoma, że robię to po raz trzeci – pozwól mi wejść.

Przyglądała mi się uważnie, a ja zastanawiałam się, czy teoria ojca się potwierdzi. W końcu odsunęła się i wpuściła mnie do środka. Teraz mogłam dokładnie jej się przyjrzeć. Kiedy widziałyśmy się ostatnio, przed niemal dwoma miesiącami, jeszcze zdołała ukryć ciążę. Teraz byłoby to niemożliwe.

– Chcesz herbaty? – zapytała niechętnie.

– Nie rób sobie kłopotu.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy małym drewnianym stoliku. Rozejrzałam się po pokoju. Wydawało się, że od nocy, kiedy tu spałam, minęły wieki.

– Mogłam się domyślić, że Sadie wszystko wypaple – powiedziała.

Nie potwierdziłam ani nie zaprzeczyłam.

– A więc ojcem jest pan Vogel.

Skinęła głową.

– Nie przyznał się?

– Nie słyszałaś? Zostawił żonę, żeby się ze mną ożenić. Zaraz po urodzeniu dziecka pojedziemy na miesiąc miodowy do Paryża. Potem kupi mi rezydencję przy Piątej Alei i wyprawimy tam elegancki bal, żeby mógł mnie przedstawić wszystkim swoim znajomym.

Skrzywiłam się.

– Musi być sposób, żeby ten mężczyzna zapłacił za swoje winy.

– Robiłam, co mogłam. Ale wygląda na to, że za wszystko zapłacę ja.

– A twoja rodzina?

– *Madonna mia!* – Poszła nalać wody do imbryka. – Chyba nie sądzisz, że coś im powiem? Matka udawałaby, że umarłam. A ojciec by mnie zabił, żeby nie musiała udawać.

– Pan Vogel to skończony łajdak, jeśli pozwala ci samej przez to przechodzić.

– Kiedy zawiadomiłam go o tym, co się stało, powiedział, że na pewno spotykałam się z innym mężczyzną, bo my się zabezpieczaliśmy. Ale ja go nie zdradzałam, przysięgam.

– Co za bydlę. Naturalnie obawia się skandalu. I odpowiedzialności.

Angelina usiadła na krześle i popatrzyła na mnie błagalnie.

– Myślałam, że nic mi nie grozi. Przecież wysłał mnie do swojego lekarza. Powinnaś zobaczyć jego gabinet – w eleganckiej kamienicy na Upper East Side, z wielkim marmurowym holem. Słuchałam wszystkich zaleceń, chodziłam na wizyty, nawet robiłam płukanki, tak jak kazał. I co mi to dało?

– Musi być jakiś sposób, by udowodnić, że ojcem dziecka jest pan Vogel – powiedziałam. – Ten lekarz wie o wszystkim...

– Przede wszystkim wie, kto mu płaci rachunki. Nic nie zwojujemy.

Przypomniałam sobie reklamę pistoletu w katalogu Searsa i Roebucka.

– Możemy kupić pistolet i go zastrzelić.

– To żadne rozwiązanie.

– Ale byśmy się lepiej poczuły.

– Zrobiłabyś to dla mnie?

– Widziałam całkiem ładny model, z rączką wykładaną masą perłową.

– Dobrze by pasował do naszyjnika z pereł.

– Ukradnę jeden ze sklepu.

– Złapią cię.

– Powołałam się na niepoczytalność. Harry’emu Thawowi się upiekło.

– Na pewno będę cię odwiedzać w domu wariatów.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie nieśmiało. Znow byłyśmy przyjaciółkami. Angelina spojrzała na wzgórek pod szlafrokiem.

– Razem z dzieckiem.

Uśmiechy spłynęły nam z twarzy. Zagotowała się woda i Angelina wstała, żeby zaparzyć herbatę.

– Pozwól, że ja to zrobię. – Podniosłam się z krzesła.

– Nie jestem kaleką.

Usiadłam z powrotem.

– Długo trzymałaś wszystko w tajemnicy.

– Podejrzewałam, że coś jest nie tak, już podczas wycieczki na Coney Island, ale nie chciałam w to wierzyć.

– Już wtedy? – Nic dziwnego, że nie interesowały jej dzieci w inkubatorach.

– A potem ta wróżka... pamiętasz?

– Nigdy jej nie zapomnę. *Nie żałuj przyszłości* – wyrecytowałam złowrogo – *ani nie bój się przeszłości!*

– Dla mnie to brzmiało sensownie – powiedziała Angelina. – Właśnie wtedy postanowiłam pogodzić się z sytuacją. Zrozumiałam, że muszę przez to przejść, inaczej nigdy sobie nie wybaczę.

– Mnie zabrakłoby odwagi.

– Czy to odwaga, jeśli nie ma się wyboru? – zapytała, nalewając herbatę do kubków.

Przypomniałam sobie, że coś podobnego powiedziałam Ralphowi Pierce’owi.

– Chyba zawsze mamy wybór, tylko nie taki, jak byśmy chcieli. Przykro mi, że tak się stało. Nie zasłużyłaś na to.

– Przepraszam, że byłam dla ciebie taka okropna. Nie zrobiłaś nic złego.

– Mówiłam różne głupstwa.

– A kto nie mówi?

– Tamtego wieczoru w Majesticu...

– Strasznie się wstydziłam. Myślałam, że umrę, jeśli się dowiesz o wszystkim.

– Dobrze cię rozumiem. – Jakże łatwo mogłam znaleźć się na jej miejscu!

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, popijając herbatę. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i wspomniałam o Joem.

– Czy twój brat wie o tym?

– Uchowaj Boże. Zaraz by mnie sychnął przed rodzicami. Do końca życia nie zaznałabym spokoju. Całe szczęście, że jest teraz na drugim końcu kraju.

– Nie możesz w nieskończoność tego ukrywać.

– Dlaczego nie? Zresztą może je oddam.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co ma na myśli.

– Zrobiłabyś coś podobnego?

– Mogę nie mieć wyboru. Jak wiesz, odłożyłam trochę pieniędzy, ale pewnie szybko się skończą.

– Angelino, pozwól, żebym ci pomogła.

– Sama raczej nie narzekasz na nadmiar gotówki.

– Właśnie dostałam podwyżkę – poinformowałam ją, starając się, by nie zabrzmiało to jak przechwałka. – Panna Cohen awansowała mnie na swoją asystentkę.

– To wspaniale – powiedziała Angelina. – Moje gratulacje.

– Dziękuję.

– Na pewno każdy grosz będzie ci potrzebny.

– Nie chodzi tylko o pieniądze. Kto ci pomoże, kiedy urodzi się dziecko?

– Mam lekarza.

– Potrzebujesz osoby, która zaopiekuje się tobą podczas porodu i przynajmniej przez kilka pierwszych tygodni. – Nie odważyłam się tego powiedzieć, ale przecież coś mogło pójść źle.

– Dam sobie radę. Przyjaciółki mi pomogą.

– Czy mnie też do nich zaliczasz?

– Oczywiście.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Słuchaj. Zamierzałam obejrzeć mieszkanie do wynajęcia na Upper West Side. Róg Osiemdziesiątej Szóstej i Broadwayu. To zupełnie nowy budynek – karaluchy jeszcze nie zdążyły się wprowadzić. Mogłabyś zamieszkać tam ze mną.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Ma osobną sypialnię. I prywatną łazienkę. Z wanną! – Jeżeli to jej nie skusi, to

już sama nie wiem co.

– Nigdy nie zgodzą się wynająć mieszkania dwóm kobietom. Zwłaszcza jeżeli jedna jest w ósmym miesiącu ciąży.

– Powiemy, że jesteśmy siostrami. A nasi mężowie pracują za granicą.

– Nikt nas nie weźmie za siostry.

– No to szwagierkami. Twój mąż jest moim bratem.

– Szybko się uczysz. – Angelina się roześmiała.

– Byłaś dla mnie bardzo dobra, gdy umierałam z samotności. Pozwól mi się odwdziaczyć.

– Dziękuję ci, ale ja nigdzie się stąd nie ruszę. Po pierwsze, lekarz, który ma odebrać poród, mieszka na Cherry Street. Nie mogę wynieść się gdzieś daleko. Poza tym tutaj nie płacę czynszu.

– Dlaczego?

– Właścicielem budynku jest pan Vogel.

– No tak, jasne. – Teraz przypomniałam sobie, jak opowiadała mi, że jej przyjaciel załatwił Joemu mieszkanie. – Pozwolił ci tu zostać?

– Chyba jednak czuł się winny i nie chciał wyrzucić mnie na ulicę. Albo po prostu nie miał czasu się tym zająć.

– Jednak może to zrobić w każdej chwili. Po powrocie z Paryża.

– Kto wie? Nigdy nie płaciłam za wynajem. Według mnie to on zaciągnął u mnie dług i mieszkanie nawet w części go nie pokrywa.

– No dobrze. W takim razie ja wprowadzę się do ciebie.

– Tutaj? Oszalałaś.

– Tylko do czasu, póki dziecko się nie urodzi i znowu nie staniesz na nogi. Nie pozwolę, żebyś w takiej chwili była sama. Wszystkiego dopilnuję i dopiero potem wprowadzę się ze śródmieścia.

– Nie bądź niemądra. Nic mi nie będzie. Mama urodziła bez kłopotu całą naszą szóstkę.

– Ale miała przy sobie męża.

– Chyba nie myślisz, że w czymś jej pomógł?

– Angelino! Skoro mieszkałaś tu za pieniądze pana Vogla i twoja duma nie ucierpiała, to tym bardziej nie ucierpi, gdy ja się tobą zaopiekuję.

Ściągnęła brwi. Ależ mam długi jęzor. Znowu ją obraziłam. Sięgnęła po kapelusz, który jej oddałam, i wręczyła mi go.

- Możesz go sobie zatrzymać – oznajmiła. – Bo jeśli się uprzesz i tu wprowadzisz, nigdy nie zdołam ci odpłacić za tyle dobroci.
- Uczciwa wymiana – odrzekłam i wzięłam kapelusz.

13 lipca 1908 roku

Moje podejrzenia się potwierdziły. Angelina jest w ciąży. Dzięki Bogu, że ją odwiedziłam. Nie tylko znów jesteśmy przyjaciółkami, lecz także postanowiłam, że wprowadzę się do niej na czas porodu. Ale moje prawdziwe poświęcenie polega na czym innym. Zamiast jechać nad morze do New Jersey, będę urabiać się po łokcie, szorując wodą z mydłem pokój w czynszówce na East Side.

Rozdział 37

Amanda

Zatem to Angelina była w ciąży, a nie Olive? Jezu Chryste. W dzienniku zostało jeszcze tylko kilka wpisów, lecz było już piętnaście po jedenastej, więc z żalem odłożyłam zeszyt. Nie chciałam się spóźnić na spotkanie z Robem, a musiałam przecież pokonać szybkim krokiem pięć czy sześć przecznic dzielących mnie od mieszkania pani Kelly.

Swoją drogą ucieszyłam się, że mam wymówkę, by przerwać lekturę. Potrzebowałam czasu, żeby przetrwać zaskakującą informację. A więc to Angelina była matką Jane Kelly. Na pewno nie pomyliłam się w obliczeniach, nawet jeśli dziecko urodziło się kilka miesięcy wcześniej. Lecz w takim razie skąd kufer Olive wziął się u pani Kelly?

Zrobiło mi się gorąco. Czarne rybaczki były za grube, a bluzka zwilgotniała od potu. Przystanąłam i kupiłam butelkę wody. Niestety, nie miałam czasu, by wrócić do domu i się przebrać.

Wreszcie dotarłam do Stewart House i z ulgą weszłam do lśniącego, klimatyzowanego holu. Portier, ten sam, który powitał mnie tu za pierwszym razem, zadzwonił na górę i poprosił, żebym zaczekała. Przycupnęłam na białej skórzanej kanapie i wtedy dotarło do mnie, że raczej nie zdołam dotrzeć do sklepu na godzinę pierwszą. Na szczęście była sobota i przychodziła moja pomocnica. Wysłałam więc Bettinie SMS, że się spóźnię i żeby otworzyła beze mnie. Odpisała natychmiast, że to żaden problem. Znakomicie, miałam jeden powód do zmartwienia mniej.

Rozsiadłam się wygodniej i pomyślałam, że w tym miejscu stał kiedyś dom towarowy Wanamakera, w którym Olive kupiła książkę niedoinformowanej lekarki. Znajdowałam się na parterze sklepu.

Otworzyły się drzwi windy i wysiadł Rob z paczką dużych worków na śmiecie. Ten prawnuk Angeliny, a nie Joego, miał dziś na sobie džinsy i dobrze w nich wyglądał.

– Wiedziałem, że cię tu zwabię – powiedział, gdy szliśmy do portiera po klucz od piwnicy.

– W soboty zatrudniam pracownicę, więc mogę się spóźnić do sklepu.

– Cóż za szczęśliwy traf. Przynajmniej dla mnie.

Winda zjechała na dół i znaleźliśmy się w obskurnym szarym korytarzu. Po stromych metalowych schodach zeszliśmy na niższy poziom, mijając po drodze

olbrzymi bojler. Potem kolejnym korytarzem dotarliśmy do drzwi z tabliczką PIWNICE. Rob przez chwilę wiercił kluczem w zamku i w końcu udało mu się otworzyć. Żeby drzwi się nie zatrzasnęły, założył na klamkę pętlę z przybitego do ściany sznurka.

- Mają tu na dole najbardziej wyszukane systemy zabezpieczeń – stwierdził.
- Jestem pod wrażeniem.

Zapalił światło i naszym oczom ukazał się loch bez okien podzielony na klatki ze ściankami z metalowej siatki, sięgające od podłogi do sufitu. Ruszyłam za Robem wąskim korytarzykiem, mijając kolejne zamknięte na kłódki schowki wypełnione cennym dobrem: maszynkami do robienia popcornu, rozłożonym na części sprzętem do ćwiczeń, zardzewiałymi szafkami na segregatory. Rupieciami, których ludzie nie chcieli albo nie potrafili wyrzucić, spychając ten problem na barki przyszłych pokoleń.

Skęciliśmy w prawo, Rob przystanął, spojrzął na pomietą kartkę z rzędkiem cyfr i oznajmił, że dotarliśmy do celu.

– Siostra ostrzegła, że w piwnicy jest bałagan – powiedział, marszcząc brwi. Rzeczywiście schowek wypełniały przedmioty jakby na chybił trafił wrzucone do środka i spiętrzone w bezładne sterty.

– W ostatnich latach babcia kazała jej tu chować różne rzeczy – wyjaśnił, wybierając szyfr na kłódce. Pociągnął za nią, ale się nie otworzyła. Spróbował innego układu cyfr. – Nie był to ulubiony sposób siostry na spędzanie wolnego czasu, zwłaszcza że, jak lubi podkreślać, nie ma go wcale.

Rob wreszcie trafił na właściwą kombinację i otworzył drzwi, po czym stanął jak wryty, przytłoczony czekającym go zadaniem. Ja zaś, będąc osobą, której sens życia stanowi buszowanie po ogromnych prowincjonalnych pchlich targach i hurtowniach używanej odzieży, ruszyłam naprzód i przejęłam dowodzenie.

– Po pierwsze, musimy oddzielić śmiecie od rzeczy, które mają jakąś wartość. – Wyciągnęłam ze sterty gratów jogurtownicę, maszynę do pisania z lat pięćdziesiątych i trzy stare drewniane rakiety tenisowe. Rob dołączył do mnie i powoli przekopywaliśmy się przez zgromadzone w piwnicy rupiecie. Próbował mnie przekonać, że kiczowaty abażur musi zabrać do Santa Monica. Ja namówiłam go, by zatrzymał stary telefon z tarczą numerową z lat czterdziestych. Wszystkie zgromadzone tu rzeczy należały pewnie do jego rodziców oraz Jane i jej męża, biznesmena, który zmarł, zanim Rob przyszedł na świat.

– Wygląda na to, że nie ma żadnych ubrań – stwierdził. – Nie zdziwię się specjalnie, jeśli zechcesz już sobie pójść.

– Chyba żartujesz? Jest wspaniale. Kto wie, co możemy tu znaleźć. A swoją drogą, w dzienniku przeczytałam właśnie o pewnej nieplanowanej ciąży i wywnioskowałam, że matką Jane Kelly nie była Olive Westcott, tylko kobieta o imieniu Angelina.

– Naprawdę? Jej też nie kojarzę.

– Miałam nadzieję, że dzisiaj oddam ci dziennik – powiedziałam, choć nie do końca było to prawdą – ale jeszcze nie skończyłam go czytać.

– Nie ma pośpiechu. Odbiorę, kiedy przyjadę do Nowego Jorku.

– Świetnie, dzięki. – Otworzyłam pudło, które kryło dość przewidywalne skarby: egzemplarze „Life’a” z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Chyba nie było w Ameryce Północnej pchlego targu, na którym jakiś sprzedawca nie próbowałby ich komuś wcisnąć. W drugim pudle znaleźliśmy plakaty broadwayowskich przedstawień z tego samego okresu. Rob sądził, że są bezwartościowe, ale ja znałam kolekcjonerów takich pamiątek, więc odłożył je na bok.

Sortowaliśmy dalej, aż w końcu w przejściu stało tak wiele worków ze śmieciami, że trudno się było ruszyć. Rob wziął tyle, ile mógł udźwignąć, i poczłapał do windy. Pod jego nieobecność ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Było już piętnaście po pierwszej, a przed pójściem do sklepu powinnam jeszcze wziąć prysznic i się przebrać. Mogłam postąpić rozsądnie i wyjść, ale wtedy musiałabym rozstać się z Robem. A jeśli gdzieś w piwnicy kryje się coś należącego do Olive, czego nie chciałabym przeoczyć?

Szukałam dalej. Rob zrobił jeszcze kilka rundek do śmietnika. W końcu w naszej klatce zostało tylko tekturowe pudło i dwa duże, oparte o ścianę, zwinięte dywany.

– Bardzo mi przykro – powiedział Rob. – Wygląda na to, że nic dla siebie nie znalazłaś.

– Możesz nie wierzyć, ale ja lubię robić coś takiego. Zresztą nigdy nie tracę nadziei, dopóki nie przeszukam wszystkich kątów i zakamarków.

– Chyba zostały nam tylko ze dwa kąty i jeden zakamarek.

Rob wyciągnął spod ściany jeden z dywanów, a ja otworzyłam ostatnie pudło. W środku były zardzewiałe stare garnki i patelnie w towarzystwie plastikowych pojemników, elektrycznego otwieracza do konserw i tarki do sera. Do diabła. Lecz gdy podniosłam oczy, aż krzyknęłam ze zdumienia.

– Zobacz, co się schowało za dywanami!

Na podłodze, częściowo zasłonięte przez drugi dywan, stało okrągłe pudło w białoczarne paski. Kiedyś w czymś takim przechowywano kapelusze. Może w środku kryło się jedno z dzieł Angeliny? Kucnęłam obok i uniosłam wieko.

To nie był kapelusz.

Na wierzchu leżały drobiazgi nadające się tylko do kosza na śmieci. Jadłospisy z restauracji na wynos, zapisane notatniki i ulotki reklamowe, takie jak kupony zniżkowe na wynajem limuzyn albo czyszczenie dywanów. Najwidoczniej tamtego dnia siostra Roba naprawdę nie miała czasu. Pod spodem znalazłam dużą żółtą kopertę. Otworzyłam ją i ze środka wysypały się ulotne skarby: broszura reklamująca naukę francuskiego fono-rytmiczną metodą Yersina, paragon ze sklepu Louis Goldzeiger i Syn. Dekoracja Wnętrz z 1914 roku, rozkład rejsów parowcem po rzece Hudson z 1919 roku. Czy należały do Olive? A może do Angeliny?

– Wreszcie rozbiliśmy bank. – Podałam Robowi program rozgrywek baseballowych z 1912 roku. Zdaje się, że mąż którejś z pań lubił chomikować różne szpargały.

– Proszę, proszę. New York Giants grają z Boston Red Sox. World Series. Ile to jest warte, jak myślisz? Stówę?

– Więcej. Dużo więcej.

Kiedy przerzucał kartki programu, znalazłam w kopercie coś jeszcze, pożółkłą pierwszą stronę „New York Timesa” z 26 marca 1911 roku. Opatrzona była ponurym nagłówkiem: 141 MĘŻCZYŹN I KOBIET ZGINEŁO W POŻARZE SZWALNI NA GÓRNYCH PIĘTRACH BUDYNKU PRZY WASHINGTON SQUARE. CIAŁA LEŻĄCE NA ULICY, STOSY ZWŁOK W ŚRODKU. Wstałam, żeby mieć lepsze światło, bo chciałam przeczytać coś więcej. Całą stronę zajmowały smutne opisy pożaru w szwalni Triangle oraz zeznania naocznych świadków. Na dole zamieszczono listę ofiar. Ktoś zakreślił jedno z nazwisk: Sadie Bernstein. Na jego widok doznałam wstrząsu. Była rzeczywistym człowiekiem, nie jakąś wymyśloną postacią z mojej wyobraźni. Wpatrywałam się w zdjęcie budynku, w płomienie buchające z okien na górnych piętrach. Co za okropna śmierć. Biedna Sadie.

– Coś ciekawego? – zapytał Rob, odkładając program rozgrywek baseballowych.

– Tak. Ale smutnego – odparłam, unosząc w górę „New York Timesa”. – Pożar w szwalni Triangle. Pewnie matka pani Kelly zachowała sobie tę gazetę.

– Słyszałem o tym. Coś okropnego.

– Może twoja babcia chciałaby przejrzeć rzeczy z pudła? – Jeszcze sporo tego zostało.

– Nie. Postawiła sprawę jasno. Mam wszystko wyrzucić. No, chyba że ma jakąś wartość. Wtedy sprzedać.

– A sam nie chcesz rzucić okiem? Może jest tam coś wartościowego.

– Na przykład koperta, a w niej milion dolarów gotówką? Nie mam czasu. Jak chcesz, to weź sobie to pudło.

– Bardzo chętnie. Obiecuję, że jeśli znajdę milion, dam ci znać.

– Wiem, że masz dobre serce – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Dzięki. – Wsunęłam papiery z powrotem do żółtej koperty. – Domyślam się, że pani Kelly nie należy do osób sentymentalnych.

– Ano nie, chociaż do sprzedaży ubrań wybrała twój sklep właśnie z powodu wspomnień.

– Jak to?

– Mieszkała w tej samej czynszówce.

Przykucnęłam na podłodze, by zamknąć pudło.

– Słucham, co powiedziałaś?

– Babcia zajmowała kiedyś mieszkanie nad twoim sklepem. Zwróciła uwagę na adres, kiedy szukała komisju w internecie, i dlatego zadzwoniła do ciebie.

Raptownie podniosłam głowę i popatrzyłam na Roba z niedowierzaniem. Gwałtowność ruchu sprawiła, że się zachwiałam i wylądowałam pupą na betonowej podłodze. Dobrze, że miałam na sobie spodnie.

– Nad moim sklepem? Jesteś pewien?

– Tak, na pierwszym piętrze. Okno wychodziło na ulicę. – Podał mi rękę.

Chwyciłam ją.

– Ja też mieszkam w tym domu. – Pomógł mi wstać. Czułam, jak splatają się nasze dłonie. – Dokładnie nad sklepem.

– Żartujesz? A więc zajmujesz jej dawne mieszkanie.

– No właśnie.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Nic mi nie jest, ale trochę mnie to zaskoczyło. – Postanowiłam nie wspominać o dziwnej atmosferze panującej u mnie w domu, odkąd zaczęłam czytać dziennik Olive. Pewnie i tak uważał, że za bardzo interesuję się jego przodkami. – Swoją drogą, chyba musisz przygotować się do podróży. A ja powinnam wracać do sklepu.

Spojrzał na zegarek.

– No tak. O szóstej mam samolot.

Podniosłam pudło, które okazało się bardziej nieporęczne, niż się spodziewałam, i oboje pojechaliśmy windą na parter. Pod czujnym spojrzeniem portiera pożegnaliśmy się ze sobą.

– Cieszę się, że znaleźliśmy ten program rozgrywek baseballowych – powiedziałam.

– Jeśli go sprzedam, dostaniesz prowizję.

– Daj spokój.

– To przynajmniej pozwól się zaprosić na obiad, kiedy znów będę w Nowym Jorku.

– Z przyjemnością.

– Trzymam cię za słowo.

– Obiecuję, że tym razem pójdę na pewno.

Nie odważyłam się zapytać, kiedy przyjedzie. Staralam się nie oczekiwać zbyt wiele. Przynajmniej umówiliśmy się na coś w rodzaju randki.

– Dzięki, że przyszłaś mi pomóc – rzekł i nachylił się lekko, jakby chciał mnie pocałować.

– Nie ma za co – odparłam, rumieniąc się niczym jakaś przeklęta dziewczica.

– A więc... do następnego razu.

Nachylił się jeszcze bardziej. Zrobiłam niedbałą minę, jakbym chciała powiedzieć: „Przecież wiem, że pragniesz mnie pocałować”. Ponad pudłem na kapelusze lekko dotknął ustami mojego policzka. Broda podrapała mi skórę, a po plecach przebiegł dreszcz. Tym razem jednak nie z powodu istoty z zaświatów – lecz prawdziwego mężczyzny, który stał przede mną.

Rozdział 38

Olive

24 lipca 1908 roku

Pejsaty Żyd wciągnął nas do sklepiku. Pokazał składane łóżko i zażądał za nie dolara i osiemdziesiąt pięć centów. Angelina stargowała do półtora dolara razem z dostawą. Potem zabrałyśmy moje rzeczy od pani Almond. Gdy wróciłyśmy, przed drzwiami czynszówki czekał na nas chłopiec ze sklepu z moim nowym łóżkiem. Pomógł wnieść wszystko na górę i dałyśmy mu pięć centów napiwku. Teraz piszę, siedząc pod oknem na łóżku polowym, i patrzę na czynszówkę po drugiej stronie ulicy.

Mój kuferek spełniał funkcję podnóżka, biurka, szyfoniery i szafy. Mimo obskurnego wnętrza i tęsknoty za własną łazienką czułam się w mieszkaniu Angeliny dziwnie swojsko, zwłaszcza gdy wyszorowałyśmy podłogę, umyłyśmy okna i wytarłyśmy do czysta ładną tapetę. Ciotka Ida powinna być dumna, że się tak przykładam do prac domowych. Na razie jednak tylko wyraziła dezaprobatę z powodu mojej przeprowadzki do dzielnicy imigrantów, gdyż przesłałam jej nowy adres, dodając, że to tymczasowe mieszkanie. Nie wspomniałam o awansie w obawie, by nie uznała, że moje dziwne zachowanie wymaga wizyty w celu sprawdzenia, czy nie postradałam zmysłów.

Obecnie najważniejszym zadaniem była walka z karaluchami. Za radą pracownika sklepu żelaznego posmarowałam wszystkie rury, szczeliny i otwory odpływowe terpentyną. Potem w całym mieszkaniu porozstawiałam naczynia z boraksem i cukrem. Każdego dnia zmiatałyśmy stertę zdechłych karaluchów i z satysfakcją paliłyśmy ją w piecyku.

Piecyk ten stanowił zresztą źródło poważnych kłopotów. Wciąż trzeba było doglądać ognia, a popiół wszystko brudził. Pewnego dnia na Bowery zauważyłam starą kobietę handlującą używanym sprzętem kuchennym. Przystanęłam, obejrzałam towar i znalazłam to, o co mi chodziło. Nie targując się ze staruszką, kupiłam i z dumą przyniosłam do domu nowy nabytek: kuchenkę spirytusową w bardzo dobrym stanie.

Pod nadzorem Angeliny przygotowałam swój pierwszy posiłek. Najpierw udusiłam na maśle cebulę z groszkiem z puszki. Potem usmażyłam kilka cienkich plastrów wołowiny i przyrządziłam sos: do gotującej się na wolnym ogniu śmietanki z solą i pieprzem dodałam żółtko. Prosty posiłek okazał się zdumiewająco smaczny.

– Na litość boską! – zawołała Angelina, gdy spałaszowałyśmy już wszystko. – Kiedy pozwoliłam ci się wprowadzić, nie wiedziałam, że przy okazji zyskam gospodynię.

– Ja też nie. – Byłam dumna z tych skromnych osiągnięć w dziedzinie kulinarnej, lecz mój triumf miał odcień smutku. Nigdy nie sprawię ojcu przyjemności samodzielnie przyrządzonym posiłkiem.

27 lipca 1908 roku

Muszę się zmusić i przeczytać opis porodu w Czterech epokach. Cała moja wiedza na ten temat pochodzi z opowieści Tessie o tym, jak pomogła matce urodzić dziecko na prerii. Doktor Galbraith opisuje w swojej książce trzy etapy porodu, lecz gdy zaczynam o tym czytać, nie mogę znieść przerażających szczegółów i porzucam lekturę.

Kilka dni później, gdy znów stałam przy kuchence, Angelina przeczytała głośno list od Joego. Właśnie dodałam do potrawy świeże pomidory, a od zapachu wołowego gulaszu aż ciekła mi ślinka.

Moja najdroższa, jedyna Siostró!

Podobno podczas trzęsienia ziemi wszystko tu się zawaliło, ale trudno się tego domyślić. Włosi pierwsi wzięli się do odbudowy i, daję słowo, teraz nasza dzielnica wygląda najładniej w mieście. Wszystko jest nowe i czyste.

Mieszkamy przy North Beach. Niektórzy nazywają tę okolicę Dzielnicą Łacińską, a mamie wydaje się, że trafiła do rajy albo z powrotem do Włoch – co na jedno wychodzi. Niebo jest takie niebieskie, a góry takie brązowe, że człowiek ma wrażenie, jakby żył na jakimś obrazie. Głupio zrobiłaś, zostając w Nowym Jorku. Ani trochę nie tęsknię za tym paskudnym miastem.

Miło byłoby pomyśleć, że Joemu choć odrobinę mnie brakuje, ale oczywiście od naszej wspólnej nocy minęły wieki.

Wszystko, czego pragnie mama, to stado wnucząt. Pamiętasz tego kuzyna, z którym próbowali Cię swatać? Mama zmusiła mnie, żebym zaprosił jego siostrę na przedstawienie. Ma wielki nos i żółte zęby. Ma che! Poznałem dziewczynę, która pracuje w sklepie z cukierkami. Najładniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałem. Nie spocznię, dopóki się we mnie nie zakocha.

– Ten chłopak nic się nie zmienił – stwierdziła Angelina.

– Aha. – Posoliłam gulasz, udając, że jestem całkowicie pochłonięta doprawianiem

potrawy.

Jeśli Cię to ciekawi, z aktorką już skończyłem. Okazało się, że to dziwka, poza tym za bardzo zależy jej na karierze.

Angelina uniosła wzrok znad listu.

- Może powinnam was ze sobą wyswatać? Miałybyś na niego dobry wpływ.
- Albo on miałby zły wpływ na mnie. – Nie zarumieniłam się, tylko poczerwieniałam od unoszącej się znad garnka pary.
- Zawsze wiedziałam, że czujesz do niego miętę.
- A ja zawsze temu zaprzeczałam. Napisał coś jeszcze?

Mają tu w śródmieściu wielki dom towarowy, który nazywa się Emporium. Bez trudu dostaniesz pracę. Żal mi Cię, że tak się tam męczysz w upale. Tutaj jest wielu mężczyzn, którzy zrobiliby z Ciebie porządną kobietę. Powiedz tylko słowo, a prześlę Ci bilet na pociąg.

Całuję mocno

Joe

Nalałam piwa do szklanki.

- Czy wyjechałabyś stąd, gdyby sprawy ułożyły się inaczej?
- Nie lubię wzgórz – odparła Angelina. – Ani trzęsień ziemi.
- Ja też nie. – Pociągnęłam łyk i wlałam resztę piwa do gulaszu. Miałam nadzieję, że wszystko zawsze będzie wyglądało tak jak teraz.

4 sierpnia 1908 roku

Okropnie gorąco. Nie zamierzam się nigdzie ruszać przez całe niedzielne popołudnie. Jeśli dziecko Angeliny ma choć trochę oleju w głowie, to urodzi się dopiero wtedy, gdy minie fala upałów.

Siedziałam przy stole i próbowałam czytać broszurę, którą Angelina przyniosła od lekarza. Na moim łóżku wyciągnęła się Sadie, a Angelina leżała na swoim. W weekendy Sadie często wpadała do nas, by ponarzekać na nowe zajęcie, którego nie znosiła, i poopowiadać o pracującym z nią Harrym Katzenbergu, w którym była zakochana.

- Tym razem rozegram wszystko jak należy – oświadczyła. – Ani się obejrzycie, a zostanę panią Katzenbergową.

– Moje gratulacje dla pana Katzenberga – uśmiechnęłam się szeroko.

– A kiedy będę się spodziewać pierwszego dziecka – ciągnęła Sadie, ignorując mój komentarz – zamierzam omijać z daleka lekarzy. Rosie to najlepsza akuszerka na całej East Side. Przyjęła na świat ponad tysiąc dzieciaków i żaden jej nie umarł.

Angelina się roześmiała.

– Tak opowiadają te wszystkie starsze panie z wąsami.

Wciąż nie zdołałam przeczytać opisu porodu u doktor Galbraith, a opatrzona szczegółowymi ilustracjami broszura budziła we mnie taki lęk, że jeszcze jej nie otworzyłam. Angelina męczarniami porodu martwiła się dużo mniej ode mnie. Była przekonana, że przejdzie go równie lekko jak jej matka, tak jak ja bałam się, że podzielę los swojej rodzicielki.

– Ja tam zostanę przy doktorze Singerze – oznajmiła. – Dostałam jego adres od dziewczyny z księgowości. To miły młody pan. Nigdy nie potraktował mnie źle.

Nie mogłam się zdecydować, jak sama chciałabym urodzić dziecko. Łatwiej mi było sobie wyobrazić, że odsłaniam intymne części ciała przed kobietą, z kolei lekarze znali wszystkie najnowsze metody. Co prawda mnie przyjmował na świat właśnie lekarz, więc może bezpieczniej jest zdać się na akuszerkę?

– Cóż, ja skorzystam z usług Rosie – zawiadomiła nas Sadie. – Ma dużo więcej doświadczenia niż jakiś tam doktor z mlekiem pod nosem.

– Doktor Singer poda mi chloroform, jeśli będzie bardzo bolało. I w razie potrzeby użyje kleszczy, by pomóc dziecku przyjść na świat. Czy twoja akuszerka to potrafi?

– Jeśli pojawią się komplikacje – powiedziała Sadie – ten cały doktorek po prostu wyśle cię do szpitala, gdzie pewnie zarazisz się czymś i umrzesz.

– Wtedy przynajmniej nie będę musiała przyznawać się do wszystkiego rodzinie – roześmiała się Angelina.

– Na litość boską! – przerwałam im. – Przestańcie mówić takie okropne rzeczy! Możemy zmienić temat?

– Wybrałaś już imię? – zapytała Sadie.

– Zastanawiam się nad Alice dla dziewczynki.

– A dla chłopca?

– Wypluj to słowo, nie zamierzam rodzić chłopców.

– Żal mi biedaka, który będzie miał taką matkę. Jeśli o mnie chodzi, lubię długie imiona – poinformowała nas Sadie. – Moje ulubione imię dla dziewczynki to Elizabeth. A dla synka Benjamin. A ty, Olive, jakie podobają ci się najbardziej?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Dałam sobie spokój z broszurą

i odłożyłam ją na bok. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieć dziecko.

– Jak nazywała się twoja matka? – zapytała Angelina.

– Jane.

– Strasznie zwyczajnie – Sadie się skrzywiła. – Na twoim miejscu wybrałabym coś innego.

– Całkiem ładne imię – odparła Angelina. – Krótkie i słodkie.

Dokładnie takie, jak jej życie, pomyślałam, sięgając po „Dry Goods Weekly”, choć zdążyłam już wcześniej przeczytać wszystkie ciekawe artykuły.

7 sierpnia 1908 roku

Dziecko może urodzić się w każdej chwili. Na samą myśl o tym ściska mnie w żołądku ze strachu. Angelina jednak wydaje się spokojniejsza niż zwykle. Żeby uciec przed upałem, śpimy na dachu. Za pierwszym razem nie byłam pewna, czy mam ochotę spędzić noc na dworze z obcymi ludźmi, ale świeże powietrze jest cudowne i teraz wolę tam spać. Uwielbiam szeptać w ciemnościach z Angeliną, która leży obok, i patrzeć przed zaśnięciem na gwiazdy. Gdybym tylko nie musiała się martwić o przyszłość! Bez względu na to, co się stanie, modłę się, aby Bóg ją oszczędził.

Rozdział 39

Amanda

Przyciskając pudło do brzucha, wdrapałam się mozolnie po schodach do mieszkania. Nie miałam odwagi wcześniej zajrzeć do sklepu. Za bardzo się wybrudziłam, by pokazać się ludziom. Było już wpół do trzeciej, ale Bettina nie dzwoniła, postanowiłam więc przed zejściem na dół wziąć długi prysznic i coś zjeść.

Przez całą noc okna były zamknięte i w mieszkaniu panował zaduch. Poszłam prosto do klimatyzatora i włączyłam go na pełen regulator, a idąc pod prysznic, zrzuciłam z siebie przepecone ubranie. Z ulgą spłukałam pokrywający moją skórę brudny pot, kurz ze Stewart House i lepkie ślady miłości. Miło byłoby pofantazjować o Robie, ale wciąż wracałam pamięcią do wcześniejszych wydarzeń poranka i Jeffa. Próbowałam wbić sobie do głowy, że już go nie ma w moim życiu, zupełnie jakby umarł. Odkręciłam gorącą wodę i porządnie się wyplakałam. Potem powiedziałam sobie, że nie powinnam ronić łez z tęsknoty za facetem, który zwodził mnie przez sześć lat. To zaś skłoniło mnie do rozważań, czy moja menstruacja jeszcze się pojawi. Na myśl, że „ciotka” także może wkrótce zniknąć z mego życia, znów zaczęłam płakać, dopóki nie przyszła mi do głowy inna opcja. Test ciążowy zapewnia tylko 99-procentową skuteczność, a zatem istnieje jednoprocetowe prawdopodobieństwo błędu. Może „ciotka” wyjechała po prostu na dziewięciomiesięczny urlop? Tylko jak mam powiedzieć Jeffowi, że spodziewam się jego dziecka, skoro mu oznajmiłam, iż nigdy nie będziemy razem?

Od gorącej wody zaczęło mi się robić słabo. Wyszłam spod prysznica i owinęłam się w ręcznik. Czesząc włosy, przyglądałam się sobie w lustrze. Błada cera o żółtawym odcieniu, podkrążone i przekrwione oczy. Z lewej strony pod nosem zaczynał robić się pryszcz. Resztką sił przesuwalam grzebieniem po włosach, a żołądek domagał się pokarmu. Włożyłam luźny podkoszulek i zajrzałam do lodówki. Choć umierałam z głodu, nic mnie nie skusiło, więc stojąc przy blacie, zjadłam tylko kilka łyżek masła migdałowego i wypłam szklankę soku jabłkowego. Potem zadzwoniłam do sklepu. Bettina natychmiast podniosła słuchawkę.

– Astor Place. Ubrania vintage.

– Cześć, to ja. Jak leci?

– Pomału. Pewnie ludziom nie chce się w taki upał wychodzić z domu.

– No dobrze. W takim razie przyjdę do sklepu za godzinę. – Albo za dwie. Wcześniej chciałam jeszcze zajrzeć do pudła na kapelusze.

– Nie ma sprawy.

Dziennik mógł poczekać. Pragnęłam odłożyć pożegnanie z Olive.

– Posłuchaj, jeśli chciałabyś mieć całe popołudnie wolne, to... – zaczęła Bettina.

Gdy to powiedziała, uświadomiłam sobie, że wspaniale byłoby w końcu się odprężyć i odpocząć. Zresztą niby dlaczego miałabym tego nie zrobić?

– Wiesz co? Zejdę do sklepu około piątej czy szóstej, w razie potrzeby daj mi znać.

Dzięki Bogu za Bettinę. Gdyby nie groziło mi bankructwo, byłby najwyższy czas, żeby dać jej podwyżkę.

Podeszłam do pudła i wyjęłam leżące na wierzchu ulotki reklamowe i karty dań. Powędrowały do kosza. Żółtą kopertę odłożyłam na bok. Pod nią znalazłam stos bezwartościowych, pożółkłych ze starości białych bawełnianych chustek do nosa, starannie złożony lniany obrus z dużą plamą, a na samym dole pudełko po cygarach. Na wieczku piękna kobieta z długimi ciemnymi włosami szeptała coś do ucha swojej towarzyszce.

Drżącymi rękami otworzyłam pudełko i poczułam cudownie zachowany przez tyle lat zapach tytoniu. Uśmiechnęłam się na widok resztek znienawidzonych przez Olive przyborów do szycia. Był tam komplet igieł, motek koronki, drewniane szpulki z nićmi i kartonik francuskich guzików z kości słoniowej, który odłożyłam dla Molly. A także garść innych drobiazgów: brudna, chyba skamieniała gumka do wycierania, szpilka do kapelusza w kształcie żółtego lizaka oraz kryte czerwonym aksamitem puzderko. Wyglądało, jakby zawierało coś cenniejszego niż wyjęte wcześniej rupiecie.

Rzeczywiście, był w nim złoty wisiołek. A ściślej mówiąc, medalion w kształcie serca z wyrytą na wieczku gwiazdą. Medalion Olive. Otworzyłam go, spodziewając się ujrzeć fotografię jej matki – smutną twarz z fryzowaną grzywką. Zobaczyłam jednak zdjęcia dwóch młodych kobiet, po jednym z każdej strony. Miały wysoko upięte włosy. Ta piękniejsza z ciemnymi lokami – to z pewnością była Angelina. A druga, roztaczająca aurę pewności siebie, to Olive. Obie się uśmiechały.

– Witajcie – powiedziałam.

Olive musiała być dla Jane bliską osobą, skoro przechowywała jej zdjęcie razem ze zdjęciem matki. Pewnie stała się dla niej przyszywaną ciotką. Może nawet kimś więcej. Przecież miała także jej kufer. Czyżby Angelina zmarła w czasie porodu? I malutką Jane wychowywała Olive? Odepchnęłam od siebie tę myśl i zatrzasnęłam medalion. Oddam go Robowi, gdy znów przyleci do Nowego Jorku, a tymczasem przechowam w bezpiecznym miejscu, na własnej szyi.

Miałam ochotę zwinąć się na łóżku i uciąć sobie drzemkę. Ale bałam się, że

prześpię resztę popołudnia i wtedy w nocy na pewno już nie zasnę. Usadowiłam się więc na kanapie i zabrałam do cerowania sukni z lat czterdziestych porozrywanej pod pachami. Obok postawiłam magnetofon, żeby przy pracy posłuchać muzyki. Michael Jackson mnie rozbudzi. Niezłym pomysłem wydawała się także filiżanka herbaty.

Nastawiłam wodę. Potem usiadłam nad pudełkiem z przyborami do szycia i włączyłam kasetę.

Teraz proszę pójść tam, gdzie czuje się pani silna i bezpieczna.

Do licha. Zapomniałam, że w środku jest doktor Markoff.

Do miejsca pełnego mądrości. Do domu towarowego.

Kaseta z *Thrillerem* leżała na szafce nocnej.

Spaceruje pani pośród stoisk, patrzy na sukienki... buty... torebki. Jest tu wszystko, czego pani potrzeba.

Przejdźcie przez pokój wydawało się wysiłkiem równie wielkim jak wędrówka piechotą z Battery na Bronx.

Cudowne miejsce, prawda? Tyle kuszących rzeczy, a wśród nich i mądrość.

Doktor Markoff i tak zaraz skończy gadać. Nastawię Michaela, gdy wstanę, żeby zrobić herbatę. Nawlekłam igłę, a przynajmniej spróbowałam to zrobić. Wszystko rozmazywało mi się przed półprzytomnymi ze zmęczenia oczami.

Gdzieś w domu towarowym Altmana jest dział mądrości. Znajdzie w nim pani całą potrzebną wiedzę.

Może nic się nie stanie, jeśli się położę. Tylko na chwilę, zanim zagotuje się woda.

Podczas wizyty w sklepie ogarnia panią spokój i wreszcie może pani zapaść w głęboki, pokrzepiający sen.

Poczułam w brzuchu ostry skurcz. Może to zaczyna się okres? Znów zrobiło mi się gorąco. Usiadłam i ściągnęłam podkoszulek. Pokrycie sofy drapało nagą skórę, więc przeszłam przez pokój i padłam na łóżko. A jeśli to nie okres, tylko uderzenia gorąca? Czy można mieć jednocześnie jedno i drugie? Byłaby to jawna niesprawiedliwość, choć ciotka Ida zapewne broniłaby tej podwójnej zniewagi jako kolejnego dowodu na przekleństwo Ewy.

Nagle do pokoju wpadł mężczyzna w czarnym garniturze i meloniku.

– Przepraszam za spóźnienie. Przyjechałem, jak mogłem najszybciej.

– Hej. – Zawstydzona, że w samym środku dnia przyłapał mnie nago w łóżku, pospiesznie wsunęłam się pod pościel. – Nie wolno panu tak po prostu tu wchodzić.

Może to tylko sen.

– Proszę rozłożyć nogi. Muszę panią zbadać.

To z pewnością sen.

– Niech pan posłucha. Jeśli zaraz pan stąd nie wyjdzie, to się obudzę.

– Przecież sama pani po mnie posłała. Odeszły wody.

– Przykro mi, ale na pewno chodzi o kogoś innego.

– Nie sędzę. – Wskazał na podłogę przy łóżku. Nachyliłam się. Zobaczyłam kałużę wody.

– Nawet nie jestem w ciąży. Zrobiłam test. Chyba że – dodałam ze znaczącym uśmiechem – należę do jednego procenta szczęściar.

Mężczyzna nie odwzajemnił uśmiechu.

– Boi się pani – stwierdził, nakładając gumowe rękawiczki. – To zupełnie naturalne. Ale gra na zwłokę nie ma sensu. I tak nie da się uniknąć bólu.

– Nie zrozumiał mnie pan...

– Proszę się uspokoić. Zaraz wyjmemy dziecko. Kleszcze na nic się tu nie zdadzą. Trzeba operować. – Wyciągnął z torby nóż. Wielki i przypominający raczej miecz lub maczetę.

– Niech pan się do mnie nie zbliża.

– Nie mamy wyboru. Proszę nie utrudniać sprawy. Czas ucieka. Nie chce pani tego dziecka?

Spojrzałam na swój brzuch. Był olbrzymi. Gigantyczny. O Boże, on miał rację. Rzeczywiście urodzę dziecko. Moje własne dziecko. Ogarnęła mnie euforia. Jeszcze nie jest za późno!

Lekarz przesunął kciukiem po ostrzu.

– Zaczynamy? Proszę położyć się na plecach, patrzeć w sufit i oddychać spokojnie. Kiedy doliczę do zera, pani zaśnie.

– Przecież ja już śpię.

– Dziesięć, dziewięć, osiem...

– Nic z tego nie będzie.

Uniósł nóż.

– Siedem, sześć, pięć...

Podkuliłam nogi.

– Niech pan tego nie robi! Proszę! Błagam pana!

– Cztery, trzy, dwa...

– Proszę przestać liczyć! Nie widzi pan? Przecież wcale nie śpię!

– Jeden!

Zaczął opuszczać nóż, a ja wyskoczyłam z łóżka i owinięta prześcieradłem pognałam do drzwi. Przekręciłam gałkę, ale były zamknięte na klucz. Doktor szedł w moją stronę, po drodze odrywając wąsik i zdejmując melonik. Okazało się, że to kobieta! Ładna blondynka o twarzy pozbawionej uśmiechu. Poznałam ją. To żona Jeffa. Przyszła mnie zabić.

– Skończyłam z nim! – wrzasnęłam, przyklejając się plecami do ściany. Kobieta podeszła bliżej. – Przysięgam na Boga, że to już skończone!

Stała naprzeciwko mnie i uniosła nóż – który teraz zmienił się w pistolet. Zamierzała mnie zastrzelić, tak jak Harry Thaw zastrzelił Stanforda White'a! Broń wypaliła, a ja krzyknęłam na cały głos. Mój krzyk zmienił się w gwizd czajnika. Poderwałam się z łóżka.

Ciągle naga rozejrzałam się za podkoszulkiem. Co za koszmar!

Włożyłam podkoszulek, wstałam i wyłączyłam gaz. Kiedy ucichł gwizd, znów ją usłyszałam. Jęczącą kobietę. Tylko nie to! Głos zdawał się dochodzić zza ściany mieszkania. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. Pusto. Może jest na drugim piętrze? Pewnie powinnam włożyć na siebie coś jeszcze, ale ciekawość popchnęła mnie w stronę schodów. Weszłam piętro wyżej, ale nikogo tam nie było. Jednak jęki słyszałam coraz wyraźniej. Ruszyłam dalej. Im wyżej, tym stawały się głośniejsze.

Na piątym piętrze wydawało mi się, że kobieta jest w agonii. Z walącym sercem, z trudem łapiąc oddech, wspinałam się po ostatnich stopniach prowadzących na dach. Idąc w stronę drzwi, nie odrywałam wzroku od zardzewiałej złotej gałki. Chwyciłam ją i przekręciłam. Drzwi z impetem otworzyły się na oścież. Poraził mnie blask słońca.

Zanim ruszyłam dalej, podparłam otwarte drzwi cegłą. Po kilku krokach pożałowałam, że nie mam butów. Chropawa powierzchnia dachu kłuła mnie w bosc stopy. Wokół nie było nikogo. Z dołu, z ulicy dochodził łoskot młota pneumatycznego. Jęki ucichły. Przeszłam dalej, a potem jeszcze dalej, ale nikogo nie zauważyłam. Za to z wysoka roztaczał się wspaniały widok na okoliczne domy i wznoszący się w oddali Williamsburg Bridge. Powinnam wykorzystać ten dach. Przez całe lato mogłabym się tu opalać.

Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem, stąpając ostrożnie po żwirowatej nawierzchni. Przyszłam tu na darmo, jak głupia, i jęki dalej będą mnie prześladować. Na progu przyklęłam, by odsunąć cegłę. I właśnie wtedy dostrzegłam coś kątem oka. Na skraju dachu ktoś leżał na materacu.

Wstałam i podkradłam się bliżej. To była kobieta. Z włosami uczesanyymi w jeden długi kasztanowy warkocz. Miała zamknięte oczy. Umarła? Nie, jej pierś wznosiła się i opadała w rytm oddechów. To musiała być Olive. Spała na dachu, tak jak opisała to w dzienniku. Wyglądała spokojnie i łagodnie i z pewnością nie jęczała. Dlaczego spała tu, na górze, zupełnie sama?

Nagie nogi owiał mi gorący wiatr, a w głowie zapaliła się czerwona lampka. Jane Kelly mieszkała kiedyś w moim mieszkaniu. Założę się, że właśnie tutaj się urodziła. Może to właśnie usłyszałam. Jęki bólu. Bólu porodu.

Lecz gdzie jest Angelina? Czy ona teraz rodzi? Przed stu laty? Na dole, w moim mieszkaniu, zupełnie sama? Może jej jęki przyciągnęły mnie tutaj po to, bym sprowadziła Olive.

Uklęknęłam i stanowczo, lecz spokojnie, starając się jej nie przestraszyć, powiedziałam:

– Olive? – Nie poruszyła się. – Olive, musisz się obudzić. – Nie zareagowała. – Już czas – nakazałam, ale ona nie otworzyła oczu ani nawet nie drgnęła. – Angelina cię potrzebuje. Właśnie rodzi – powiedziałam trochę głośniejszym głosem. Wciąż żadnej reakcji. Porzuciłam spokój. – Olive! Musisz iść na dół! – wrzasnęłam. – Teraz! Zaraz! Natychmiast!

Powieki Olive w końcu się podniosły, a mnie obudziły własne krzyki.

Stałam na dachu kamienicy. Sama. Ubrana tylko w podkoszulek.

Co, u diabła? Jezu Chryste. Dzieje się coś dziwnego. I założę się, że to wina doktora Markoffa.

Zbiegłam po schodach. Chciałam od razu zadzwonić do tego konowala i powiedzieć mu, co o nim myślę. Dotarłam na swoje piętro, wpadłam przez otwarte drzwi do mieszkania i stanęłam jak wryta.

Pokój był zupełnie pusty: żadnych mebli, książek, żadnych kłopotów. Wszystkie moje rzeczy zniknęły. Czy je skradziono? A ściany... rozejrzałam się wokół z niedowierzaniem. Wszystkie cztery ściany pokrywała tapeta. Po zielonej ozdobnej kracie pięły się fioletowe róże. Podeszłam i oparłam dłoń na chłodnej, płaskiej powierzchni. Tapeta Angeliny była tu przez cały czas, otaczała mnie, chociaż nie miałam o tym pojęcia. A to znaczy, że Jane Kelly zapewne urodziła się właśnie w tym pokoju.

Usłyszałam gwizd i odwróciłam się. Pewnie zagotowała się woda.

Otworzyłam oczy. Leżałam na kanapie. Jedna ręka zwisała z niej i dłonią opierała się o podłogę. Musiałam zasnąć pod koniec kasety doktora Markoffa. Więc nie przeniosłam się na łóżko? To był tylko sen. Także mężczyzna w meloniku. I pistolet.

Usiadłam i zobaczyłam, że wszystkie moje rzeczy są na swoim miejscu i jak zawsze panuje wśród nich bałagan. Niestety, nie było tapet. Nie poszłam także na dach. To wszystko mi się przyśniło. Do diabła.

Czajnik gwizdał coraz głośniej. Wstałam z kanapy, żeby wyłączyć gaz. Mokra strużka, niczym bardzo długa łąza, pociekła mi wzdłuż uda. Kropelki krwi rozprysnęły się po podłodze. Dostałam miesiączki.

Rozdział 40

Olive

Blask słońca zmusił mnie do otwarcia oczu. Przekreśliłam się na brzuch. Postanowiłam, że jeszcze chwilkę pośpię. Wokół mnie, głośno ziewając i mamrocząc przekleństwa, budzili się ludzie. Płakało jakieś dziecko. Ktoś nadepnął mi na warkocz i nawet nie przeprosił. Drzwi na dach trzaskały, gdy kolejna osoba schodziła, by zacząć dzień. Musiałam się najwidoczniej znowu zdrzemnąć, bo przyśnił mi się dziwny sen. Jakaś kobieta wrzeszczała, żebym się obudziła. Lecz kiedy otworzyłam oczy, obok mnie nie było nikogo, tylko z dołu dochodziło rytmiczne dudnienie młota pneumatycznego.

Usiadłam i zobaczyłam, że jestem na dachu sama. Wszyscy już sobie poszli. Zniknęła także Angelina, a wraz z nią jej posłanie. Która to może być godzina? Szybko wstałam i włożyłam szlafrok na domową sukienkę, w której sypiałam na dachu. Na pewno spóźnię się do pracy. Od trzech tygodni, czyli od zakończenia urlopu, tak jak zapowiadała panna Cohen, niemal codziennie pracowałam do późna. Zwinęłam materac i zbiegłam po schodach. Po prostu będzie musiała mnie zrozumieć.

Weszłam do mieszkania. Angelina leżała na łóżku, jęcząc z bólu. Jej zarumieniona twarz była mokra od łez i potu, a czarne włosy, matowe i potargane, spoczywały na poduszce.

– Angelino...

Popatrzyła na mnie błagalnie.

– Już czas.

– Teraz?

– Zaraz zacznę rodzić.

Wspaniały dzień sobie wybrałam, żeby zasnąć.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– Nie mogłam spać, więc zesłam do mieszkania. Tutaj też nie udało mi się zasnąć, ale nie chciałam wracać na górę. A potem już nie mogłam. Olive, ja rodzę!

– Lepiej wezwę pomoc...

– Nie zostawiaj mnie! – załkała boleśnie.

– Tylko zadzwonię po doktora i zaraz wrócę.

– Nie... błagam... – Angelina z jękiem uniosła kolana i wsparła stopy o materac. Jej nocna koszula zadarła się do góry. Pościel była mokra. – Nie ma czasu!

– Odeszły ci wody?

– Tak! Rodzę!

Zmusiłam się, żeby zajrzeć jej pomiędzy nogi, i wytrzeszczyłam oczy na widok wystającej odrobinę ciemnowłosej główki.

– Widzę je! – zawołałam, próbując entuzjazmem maskować przerażenie. – Wychodzi!

Jednak w tej samej chwili główka zniknęła w środku, a Angelina zaszlochała z rozpaczą.

– Chce się wydostać – jęknęła. – Ale nie może. Musisz mi pomóc!

Stęknęła z bólu, a kępka włosów znów pokazała się i schowała.

– Czy ty przesz?

– Nie wiem!

Nie wie, czy prze? Czy powinna to wiedzieć? I czy może tego nie robić, skoro główka wciąż się pokazuje? Boże wszechmogący, dlaczego nie przeczytałam dokładniej broszury od lekarza?

– Idę po pomoc.

– Daj mi pić – poprosiła.

– Oczywiście. Woda. – Spozregłam na stole szklankę. Obok leżał nóż do krojenia mięsa. Wzdrygnęłam się na samą myśl, że trzeba będzie go użyć. A jeśli ona umiera... tak jak moja matka... i to jedyny sposób, żeby ocalić dziecko? Nie. Nigdy.

Podtrzymałam Angelinie głowę, by mogła się napić, aż wreszcie odsunęła szklankę i stękając, zaczęła kręcić się na łóżku.

– Pomóż mi! Musisz mi pomóc!

– Idę po pomoc. Wrócę, zanim się obejrzysz.

– Nie zostawiaj mnie!

– Zaraz będę z powrotem!

Nie było czasu na ubieranie. Zbiegłam ze schodów i wpadłam do trafiki.

– Muszę skorzystać z telefonu! – Rządek staruszków siedzących na ławce pod drzwiami gapił się, jak w szlafroku wrzeszczę do słuchawki. Musiałam powtórzyć numer trzy razy, zanim telefonistka mnie zrozumiała. Na szczęście doktor Singer odebrał od razu.

– Błagam, niech się pan pospieszy! Odeszły jej wody! Widziałam kawałek główki!

– Zaraz biorę taksówkę.

– Co mam robić?

– Proszę zagotować wodę. I zachować spokój. Niech pani się postara, żeby jej było wygodnie.

– Ale dziecko próbuje się wydostać!

– To jego zadanie. Nie ma powodu do zmartwienia. Zaraz będę.

Odwiesiłam słuchawkę.

– Czy ktoś tu wie, jak odebrać poród?! – wrzasnęłam w stronę starszusków i wybiegłam.

Popatrzyli na mnie, jakbym zwariowała. Gnając na górę, słyszałam coraz głośniejsze krzyki Angeliny. Gdzie się podziały kobiety z tego budynku? Czemu nie wybiegły ze swoich mieszkań, by ruszyć na pomoc rodzącej sąsiadce?

– Zaraz będzie! – ogłosiłam z triumfem, wpadając do pokoju.

– Za późno!

Na chwilę ogarnęła mnie radość, bo pomyślałam, że dziecko się urodziło.

– Proszę, pomóż mi! – krzyczała Angelina. – Dłużej nie wytrzymam!

– Zachowaj spokój – powiedziałam do niej, a zarazem do siebie, i przyłożyłam zapalnik do palnika kuchenki spirytusowej. – Tylko spokój może nas uratować.

Nie wiedziałam, co mówić. Byłam do niczego! Doktor chciał, żeby Angelinie było wygodnie, ale nie miałam pojęcia, jak tego dokonać.

– Och, Boże, wyciągnij je ze mnie, błagam!

Kiedy nalewałam wody do czajnika, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Wstań!

Potrząsnęła głową i znów zaczęła jęczeć.

– Słyszałaś? Uważam, że powinnaś wstać.

– Nie mogę.

– Owszem, możesz. – Miałam nadzieję, że Tessie mówiła prawdę, gdy opisywała mi poród swojej matki.

– Przy tym się nie stoi – wykrztusiła Angelina.

– Dziecko nie wychodzi bokiem, ale dołem. Jak wodospad. Grawitacja mu pomoże.

Angelina znów podciągnęła kolana do góry i krzyknęła z bólu, bo zaczął się następny skurcz. Tak jak poprzednio zobaczyłam owłosiony czubek główki wyglądający ze środka i z powrotem znikający w głębi ciała.

- Zaraz umrę – jęknęła Angelina, gdy skurcz minął.
- Nie umrzesz. – Spomiędzy jej ud sączyła się krew.
- Boże, zlituj się...
- Wstawaj!
- Nie mogę! *Non ce la posso fare.*
- Pomogę ci!
- Jak?

Uklękłam przy łóżku, zwrócona tyłem do niej.

- Oprzyj się na moich plecach.

Używając mnie jako podpory, podciągnęła się i usiadła na brzegu łóżka. Podniosłam się powoli w taki sposób, żeby Angelina przez cały czas mogła się na mnie opierać. Kiedy już stałyśmy obie, objęła mnie w talii i położyła mi głowę na piersi. Czułam pod kolanami brzeg łóżka. Przynajmniej złagodzi upadek, jeśli przewrócę się pod ciężarem Angeliny. Przyłgnęła do mnie mokra od potu i krwi.

- No i co? Lepiej? – zapytałam.

Tylko stęknęła w odpowiedzi. Co teraz? Gdzie ten przeklęty doktor? Angelina, wciąż jęcząc, kołysała się na boki, a ja razem z nią, jakbyśmy tańczyły jakiś dziwny taniec. Była strasznie ciężka. Ledwie mogłam ją utrzymać.

Nagle jęki ucichły. Coś się poruszyło. Angelina uniosła głowę, zamarła i wbiła paznokcie w moje plecy tak mocno, że poczułam je przez szlafrok.

- Znów się zaczyna – wyszeptała bliska histerii. – Muszę przeć.

– To dobrze – powiedziałam, przypominając sobie jeszcze jedną informację od Tessie. – Udawaj przy tym, że korzystasz z toalety. – Angelina nie zareagowała. – Udawaj, że... no wiesz...

- Co?

– Że... – W głowie dźwięczało mi użyte przez Tessie wulgarnie słowo „srać”, ale nie mogłam się zmusić, żeby je wypowiedzieć. Zdecydowałam się na określenie, które usłyszałam od mężczyzny w pensjonacie pani Craven. – No wiesz, że załatwiasz dużą potrzebę. – Nawet jeśli Angelina wcześniej tego zwrotu nie słyszała, jego znaczenie było chyba oczywiste.

- Oszalałaś.

- Wiem to z najlepszego źródła.

Woda zaczęła bulgotać. Ale jak zakręcić palnik kuchenki? Znów przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Powinnaś kucnąć. To pomoże. – Chyba Tessie o tym wspominała? Zresztą nie miałam siły jej dłużej trzymać. – Pomogę ci.

Zaczęłam obniżać się do pozycji siedzącej, a Angelina razem ze mną, aż przycupnęłam na brzegu łóżka, a ona położyła mi głowę na kolanach. Klęcząc na podłodze, z szeroko rozwartymi udami, jęknęła chyba z pewną ulgą wymieszaną z bólem.

– Oooh...

Choć miło było wreszcie usiąść, wiedziałam, że jestem z niewłaściwej strony. Uniosłam głowę Angeliny, wysunęłam się spod niej i wstałam. Woda bulgotała coraz mocniej, więc pobiegłam zakręcić palnik.

– Kiedy przyjdzie następny skurcz, musisz przec... no wiesz... tak jak powiedziałam.

Oparła czoło na materacu i rozłożyła ręce szeroko na łóżku. Jęki przeszły w chrząkanie. Naprawdę pochrząkiwała teraz niczym świnia czy locha.

– Dobrze! Bardzo dobrze! – Ta pozycja wyglądała bardziej obiecująco. – Zrób miejsce dla dziecka... niech grawitacja pomoże mu się wydostać!

Zadarłam jej nocną koszulę, by nie przeszkadzała. Nie czas teraz na pruderię – w każdym razie na moją. Zresztą Angelina chyba nawet tego nie zauważyła. Stękała coraz głośniej. Jej wykrzywiona z wysiłku twarz była tak czerwona, że niemal fioletowa. Zrozumiałam, że nie ma co się gapić. Dziecko lada chwila mogło przyjść na świat. Uklękałam z tyłu na podłodze. To, co nastąpiło potem, napełniło mnie jednocześnie podziwem i przerażeniem. Z wnętrza ciała wyskoczyła główka dziecka i zawisła między nogami.

– Wyszła! – krzyknęłam. – Głowa wyszła! Zupełnie!

Angelina zaszlochała zmęczona wysiłkiem.

Włożyłam dłonie pod wysuniętą główkę.

– Dziecko zaraz się urodzi!

Szybko się jednak okazało, że to nie takie proste. Biedactwo utknęło w środku z główką na zewnątrz i resztą wewnątrz ciała. Angelina wrzasnęła, gdyż ból był coraz większy.

O Boże. Co teraz? Ramiona są szersze niż główka. Jak ona je z siebie wypchnie? Czy powinnam pociągnąć? Włożyć palce do środka? Spróbować obrócić dziecko? Bałam się, bo przecież nie odkaziłam rąk, i co będzie, jeśli tylko pomogę jej umrzeć?

– Przyj, zaraz koniec – powiedziałam, modląc się, żebym miała rację. – Przyj najmocniej, jak potrafisz!

Stęknęła i naprężyła się. Nie mogłam uwierzyć, że wciąż jeszcze zostały jej jakieś siły. Wokół główki sączyła się krew. Pewnie skóra się rozerwała, a dziecko wciąż tkwiło w miejscu.

Znowu zaczęła szlochać. Skurcz chyba minął. Oparła policzek na materacu.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie dam rady. *Non ce la posso fare.*

– Nie wolno tak mówić. Nie możesz się poddawać.

– Nie mam siły. Jestem za słaba. Musisz ocalić dziecko. Zapomnij o mnie.

– Nie mów tak.

– Zanim ono też umrze! Rób, co chcesz, ale niech się urodzi.

– Mówisz bzdury.

– Przepraszam.

– Angelino... – rozplakałam się. – Proszę...

Otworzyła szeroko oczy, ale jakby mnie nie widziała.

– Obiecuj, że zaopiekujesz się dzieckiem.

– Zaopiekuję się wami obojgiem.

– Nie mów nic mojej rodzinie. Błagam cię. Oni nigdy go nie zaakceptują.

– Przestań!

– Znów się zaczyna. – Uniosła głowę, a jej ciało wyprężyło się. – Boli! Och, boli!

– powtarzała jak oszalała z paniką w głosie. – Nie wiem, co robić! Co robić! – Z piersi wydarł się jej zdławiony szloch.

– Przyj! – wrzasnęłam, sama wpadając w histerię. – Przyj najmocniej, jak możesz! Jakbyś miała w środku dziesięć ton gówna i musiała wysrać je z siebie nieważne jak!
– Słowa wyrwały się ze mnie, jakby je wymówił ktoś inny.

Dzięki ukrytym gdzieś głęboko resztkom sił – a może z powodu szoku wywołanego moim wulgarnym językiem – Angelina trochę się uspokoiła i złapała oddech. Potem nabrała w płuca tyle powietrza, jakby zamierzała zejść na dno oceanu, wykrzywiła się, zacisnęła zęby i napięła tak mocno, że żyły na jej szyi omal nie popękały. Jej ciało nagle się zmieniło, stało się cudownym urządzeniem, maszyną zbudowaną specjalnie po to, by z całą siłą wypchnąć na świat dziecko. Angelina uniosła głowę, wbiła ręce w łóżko, a z jej ust wydobył się niski, gardłowy dźwięk. Patrzyłam z milczącym podziwem, jak wysuwa się z niej najpierw jedno, a potem drugie ramionko. W tym momencie dotarło do mnie, że muszę złapać rodzące się dziecko, zanim spadnie na podłogę, więc nadstawiłam dłonie, a ono, lśniące i zakrwawione, wyslizgnęło się z ciała matki prosto w moje ręce.

– Jest! – zawołałam. – Dziecko! Trzymam je!

Angelina, łapiąc oddech, opadła na brzeg łóżka. Siedziałam na podłodze i trzymałam w dłoniach śliską, pomarszczoną ludzką istotkę, do której przymocowana była pulsująca czerwona pępowina. Krew kapłała mi z palców na podłogę.

– Dziewczynka? – zapytała Angelina.

– Na to wygląda.

– Dzięki Bogu.

Rozdział 41

Amanda

Wyłączyłam gaz pod czajnikiem i stałam osłupiała. Co za szalony sen. Ciągnął się chyba w nieskończoność. Czy naprawdę poszłam na dach i widziałam tam Olive? Nie, to niemożliwe, lecz przecież wydawało mi się, że naprawdę z nią rozmawiałam i kazałam jej zejść na dół, by pomóc Angelinie.

Moje mieszkanie być może należało niegdyś do Angeliny, a Jane Kelly prawdopodobnie tu właśnie przyszła na świat. Sąsiedni pokój zajmował Joe. Składane łóżko Olive stało pod oknem. Czy patrzyła przez nie na te same czynszówki? A jeśli zeskrobieę ze ścian wieloletnie pokłady farby, czy znajdę pod nimi tapetę Angeliny?

Gdybym wierzyła w duchy, pomyślałabym, że kilka fruwa właśnie po moim mieszkaniu. Jednak nie wierzę, więc chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do doktora Markoffa. Dużo bardziej prawdopodobne było to, że sztuczki z hipnozą pomieszały mi w głowie.

Włączyła się sekretarka, więc zostawiłam wiadomość z prośbą, by do mnie oddzwonił. Była sobota i zastanawiałam się, czy zechce mu się odezwać przed poniedziałkiem. Tymczasem ja potrzebowałam odpowiedzi natychmiast.

Nie pozostało mi nic innego, jak dokończyć czytanie dziennika. Rozsiadłam się wygodnie i aż podskoczyłam, gdy z nienacka zadzwonił telefon. To był doktor Markoff.

– Dzień dobry – powiedziałam, starając się mówić spokojnie i rozsądnie. – Dziękuję, że pan oddzwonił. Dzieje się ze mną coś dziwnego. Wciąż mam niezwykle wyraziste sny, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzało. Ludzie w nich wydają się prawdziwi, wstają z łóżka i z nimi rozmawiam, a kiedy się budzę, okazuje się, że wszystko mi się śniło. Te wizje są bardzo intensywne, przypominają halucynacje i zastanawiam się, czy pod wpływem hipnozy nie zaszły w moim mózgu jakieś zmiany.

– Jak pani spała ostatniej nocy?

– Źle. I poprzedniej nocy również. Po wysłuchaniu pana taśmy obejrzałam jeden po drugim cztery filmy z Fredem Astaire'em. Nie pamiętam, kiedy się ostatnio wyspałam.

– To wszystko wyjaśnia. Od dłuższego czasu pani nie dosypia. Umysł płata pani figle, ale nie ma to nic wspólnego z hipnozą. Zapewne cierpi pani na niedostatek snu lub na zaburzenia fazy REM.

– Na co?

– Na rodzaj parasomnii. Chroniczne niewyspanie może wywoływać koszmary, wyraziste marzenia senne, w których sen miesza się z jawą. Jak się pani teraz czuje?

– Chyba dobrze.

– Proszę spróbować wytrzymać do wieczora, a potem zażyć lekarstwo, które pomoże zasnąć. Czy zna pani numer telefonu do swojej apteki?

A więc ostatecznie dostanę tabletki?

– Tak – odparłam.

– Zadzwoń i zamówię dla pani klonopin. To lek przeciwlękowy, który pomoże się pani rozluźnić. Często stosuje się go w przypadku podobnych problemów ze snem.

Czy lekarz, którego ledwie znam, powinien przepisywać mi środki uspokajające? Czy sam nie ostrzegał mnie, że można się od nich uzależnić?

– Przepisuję tylko trzy tabletki – ciągnął. – Proszę zażyć jedną wieczorem, tuż przed pójściem spać.

Trzy tabletki? A więc nie czeka mnie odwyk.

– W porządku.

– Jeśli objawy nie ustąpią, proszę zgłosić się do mnie w poniedziałek. Ale przypuszczam, że po jednej dobrze przespanej nocy poczuje się pani lepiej.

– Też mam taką nadzieję. Dziękuję.

Zaraz po zakończeniu rozmowy wróciłam do czytania dziennika. Nic nie mogło mnie już powstrzymać przed poznaniem zakończenia.

Rozdział 42

Olive

– Gdzie, na litość boską, jest doktor Singer? – zapytała Angelina, gramoląc się z wysiłkiem na łóżko.

Ostrożnie położyłam płaczące dziecko obok matki. Wciąż było z nią połączone pępowiną.

– Pewnie w drodze.

Zupełnie wykończona opadłam na podłogę, położyłam się na plecach i utkwiłam wzrok w suficie.

– Olive, czy powinniśmy przeciąć pępowinę?

Zastanawiałam się przez chwilę. Propozycja wydała mi się mało zachęcająca.

– Nie wiem.

– W broszurze napisali chyba, że tak trzeba zrobić.

Nie miałam ochoty przecinać czerwonego pulsującego sznura ani, prawdę mówiąc, podnosić się z podłogi.

– A może napisali, że nie wolno przecinać? Nie pamiętam.

– Gdzie jest broszura?

– Ostatni raz widziałam ją w rękach Sadie. Przeglądała ją na twoim łóżku i podśmiewywała się z ilustracji.

Spędziłam jeszcze jedną miłą chwilę na podłodze, po czym zmusiłam się, żeby wstać. Gdy szperałam w stosie papierów, które nagromadziły się na moim kufrze, ktoś załomotał do drzwi. Otworzyłam i do mieszkania wpadł doktor Singer.

– Przepraszam! – zawołał, idąc spiesznie przez pokój i podwijając rękawy. – Utknąłem w korku i resztę drogi musiałem biec.

Angelina wspominała, że jest młody, więc wyobrażałam sobie wysokiego, przystojnego bruneta. Tymczasem sięgał mi ledwie do ramienia. Choć rzeczywiście miał ciemne włosy.

– Dzięki Bogu, że już pan jest – powiedziałam z lekką nutką ironii w głosie.

– W tym mieście mieszka za dużo ludzi – stwierdził, przecierając okulary chusteczką. – Co my tu mamy? – Wreszcie zauważył. – Och. Mamy dziecko. Cóż, moje gratulacje. Wygląda na to, że większa część pracy za nami. Teraz trzeba tylko przeciąć pępowinę i urodzić łożysko.

Angelina przytaknęła i popatrzyła na niego z łagodnym uśmiechem. Można by pomyśleć, że minioną godzinę spędziła w uzdrowisku. Ja z kolei wyglądałam, jakbym wymagała dłuższego pobytu w sanatorium.

– Pomóc panu w czymś, doktorze? Zagotowałam wodę, tak jak pan kazał.

– Bardzo dobrze – odparł, otwierając torbę. – To wszystko, czego mi potrzeba. Spisała się pani znakomicie. Pewnie lepiej, niż się pani spodziewała.

Kiedy Angelina przechodziła pod kierunkiem doktora przez ostatni etap porodu, ja zajęłam się własną toaletą. Pobiełam do klozetu, a potem ukryta za różową zasłonką zdjęłam wilgotne poplamione ubranie. Kiedy wyszłam przebrana w czystą sukienkę, doktor już kończył.

– Wygląda na to, że wszystko jest w najlepszym porządku – mówił właśnie do Angeliny. – Zgodnie z przewidywaniami jest pani stworzona do rodzenia dzieci, tak jak pani matka. Czy zdarzyło jej się urodzić przed czasem?

– Przed czasem, po czasie, na czas... – Angelina wzruszyła ramionami.

– Wybrała pani już imię?

– Myślałam o Jane. – Spojrzała na mnie.

Tego się nie spodziewałam.

– Angelino, jesteś pewna?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. Byłoby cudownie – wyszeptałam z wdzięcznością.

– Przez dzień lub dwa może pani krwawić – wyjaśniał doktor Singer. – Proszę jak najwięcej odpoczywać, żeby wszystko się zagoiło. Czy ma pani przepaski periodyczne?

– Tak. Olive, mogłabyś je podać? Są w komodzie, w ostatniej szufladzie. Z tyłu.

– Oczywiście. – Uklękłam przed komodą, odsunęłam na bok bawełnianą bieliznę i znalazłam pas, przepaski oraz jeszcze jeden drobiazg ukryty tam przez Angelinę: tekturowe pudełeczko z napisem PESSARIUM.

Doktor Singer właśnie udzielał mojej przyjaciółce rad w sprawie karmienia piersią, więc zajrzałam do środka. W pudełku leżał dziwny okrągły przedmiot: druciany pierścień z gumowym kapturkiem. Do niego dołączona była złożona karteczka z wypisanym u góry nazwiskiem i adresem lekarza: *Doktor Ernest Litwack, Pięta Aleja 100, Nowy Jork*. A także instrukcja wyjaśniająca, że pessarium należy zgiąć, a po wsunięciu do środka rozłożyć i umieścić we właściwym miejscu. Po stosunku pacjentka powinna dodatkowo wprowadzić strzykawką płukankę z wody i kwasu karbolowego.

Gdyby można było wykorzystać to urządzenie wbrew przeznaczeniu – jako dowód na to, że pan Vogel jest ojcem dziecka...

– Dopóki będzie pani karmić piersią – tłumaczył doktor Singer – menstruacja się nie pojawi. Ale proszę nie sądzić, że w związku z tym nie można zajść w ciążę. Zdarzały się już dziwniejsze przypadki.

Angelina tylko się skrzywiła.

– Niech się pan nie martwi. To ostatnie, na co miałabym ochotę.

Też miałam dość, wydarzenia dzisiejszego poranka sprawiły, że cieszyła mnie perspektywa zostania bezdzietną starą panną.

Odłożyłam pessarium do szuflady i zniosłam Angelinie pas i przepaski. Przyjęła je bez entuzjazmu.

– Miło było choć na trochę o nich zapomnieć.

Doktor Singer pomógł jej wstać z łóżka.

– Jest pani bardzo opuchnięta. Proszę się nie zdziwić, jeśli opróżnienie pęcherza zajmie trochę czasu.

Pomógł jej przejść korytarzem do klozetu. Miałam nadzieję, że dziecko się nie obudzi. Chciałam skorzystać z okazji i porozmawiać z doktorem w cztery oczy. Kiedy wrócił, przeprosiłam, że taka okropna ze mnie gospodyni, i zaproponowałam herbatę.

– Proszę spocząć. Pewnie jest pan bardzo zmęczony. Przebiegł pan kawał drogi.

– Lwią część pracy wykonała wcześniej pani – odparł, zajmując miejsce przy stole.

– Całe szczęście, że pani tu była i mogła pomóc przyjaciółce.

Usiadłam naprzeciw niego.

– Niedługo się wyprowadzam i czeka mnie dużo pracy, więc Angelina zatrudni dziewczynę na przychodne. Tylko nie wiem, jak długo będzie ją na to stać. To wstyd, bo ojciec dziecka jest bogaty, ale uchyla się od odpowiedzialności. Szkoda, że nie ma sposobu, żeby udowodnić mu ojcostwo.

– Może kiedyś będzie to możliwe. Musimy się jeszcze wiele nauczyć o prokreacji.

– Czy mogłabym zadać panu w związku z tym pewne pytanie?

– Oczywiście.

– W książce napisanej przez lekarzkę przeczytałam, że najłatwiej zajść w ciążę w dniach tuż przed periodem i tuż po nim. Angelinie zaś powiedziano, że to okres najmniej płodny. Która wersja jest prawdziwa?

Nigdy bym nie uwierzyła, że będę szczerze rozmawiać o podobnych sprawach z mężczyzną, choćby nawet z lekarzem, ale po tym, czego dziś doświadczyłam,

wydawało mi się to zupełnie naturalne.

– Większość uczonych obecnie się zgadza, że środek cyklu, czyli około czternastego dnia, licząc od początku menstruacji, to okres, gdy najłatwiej dochodzi do zapłodnienia.

– Najłatwiej. Nie najtrudniej?

– Zgadza się.

– Zatem miałam mylne informacje. – Popatrzyłam w okno i pomyślałam, jak niewiele brakowało, żebym teraz sama była w ciąży. Straciłabym pracę, znosiła upokarzające wytykanie palcami i cierpiałaby tortury podczas porodu, który nie wiadomo czym by się zakończył.

Chociaż kto wie? Może doktor Singer się myli i rację ma doktor Galbraith?

– Jednakże – ciągnął – muszę dodać, że nie da się dokładnie określić tego momentu. Komórka jajowa może być zapłodniona w każdym dniu miesiąca, a plemniki potrafią przeżyć w ciele kobiety nawet tydzień.

– Naprawdę? Nie wiem, dlaczego te wszystkie informacje nie są dostępne dla kobiet.

– Powinny być. – Doktor pokiwał głową. – Zbyt wielu ludzi uważa, że stosunek przerywany to skuteczny sposób na uniknięcie ciąży. Chciałbym porozmawiać na ten temat z pani przyjaciółką.

– Ona zna się na tych sprawach – wyjaśniłam. – Dlatego się zabezpieczała.

– Rozumiem. Prezerwatywy są zwykle dość skuteczne, ale nie dają całkowitej gwarancji.

– Używała czegoś innego. – Wyjęłam z szuflady pudełeczko i podałam mu.

Doktor otworzył je, a potem pokręcił głową.

– Litości!

– Coś nie tak?

– To na nic. Pessarium jest zupełnie nieskuteczne.

– Czy na pewno? Dostała je od lekarza. Na tej karteczce jest jego nazwisko.

Doktor Singer rzucił okiem na bilecik.

– Ernest Litwack. Znam tego starego głupca. Ktoś powinien go zmusić do przejścia na emeryturę.

– Dał jej także przepis na jakąś płukanekę. – Wskazałam leżącą w pudełku drugą karteczkę.

Przeczytał i westchnął.

– Jeśli mogła coś wywołać, to głównie stan zapalny.

– Naprawdę? Bardzo ciekawe.

– Niestety w moim zawodzie jest wielu ludzi, którzy nigdy nie poszerzyli swojej wiedzy ponad to, czego nauczyli się w ubiegłym wieku.

– Właściwie to całkiem dobra wiadomość. – Pomyślałam, co to może oznaczać, i serce zabiło mi mocniej. – Panie doktorze, jak pan sądzi... Czy można wytoczyć proces mężczyźnie, który nie chce się przyznać, że jest ojcem dziecka?

– Tak, ale matka musiałaby zeznawać przed sądem i przedstawić jakiś dowód na ojcostwo.

– To znaczy świadków?

– Ludzi, którzy za nią poręczą. Także listy albo dokumenty, czy coś w tym rodzaju. Wszystko, co pomoże przekonać sędziego.

– Przypuszczam, że doktor Litwack nie chciałby, żeby wmieszano go w skandal, który mógłby zaszkodzić jego reputacji. Zwłaszcza że do całej sytuacji doszło dlatego, iż wierzył w przestarzałe metody zapobiegania ciąży. Jak pan sądzi?

– Jest członkiem zarządu Polikliniki Nowojorskiej, więc z dużym prawdopodobieństwem można to założyć. – Doktor Singer od razu zrozumiał, o co mi chodzi. – Proces byłby strasznie krępujący dla wszystkich zamieszanych osób. Możliwość dogadania się po cichu, bez udziału sądu, powinna się więc im wydać bardzo atrakcyjna.

– Czy mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Zna pan może jakiegoś dobrego prawnika... takiego, który nie byłby zbyt drogi?

Doktor Singer zastanawiał się przez chwilę.

– Prawdę mówiąc, znam. I w razie konieczności sam z przyjemnością zeznam, że żaden lekarz, który jest cokolwiek wart, nie zalecałby dziś stosowania pessarium ani płukanki z kwasu karbolowego.

– Och, panie doktorze, to brzmi fantastycznie! – Uśmiechnęliśmy się do siebie jak dwoje spiskowców. Nagle Jane wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Podeszliśmy do łóżeczka. Policzki dziecka były jaskraworóżowe, a wykrzywione usteczka zdawały się protestować przeciw całej niesprawiedliwości tego świata.

– Co jej się stało? – zapytałam.

– Jest głodna. Dalej, proszę ją wziąć na ręce. Przyniosę wody.

– Ja mam ją wziąć? – Popatrzyłam na Jane jak na bombę zegarową. – Nie umiem.

– To nic trudnego – zapewnił, nalewając trochę przegotowanej wody do jednej z przygotowanych przez Angelinę butelek. – Trzeba tylko podtrzymać główkę.

Ostrożnie wyjęłam dziecko z łóżeczka, zdumiona, jak bardzo jest lekkie i kruche. Maleństwo wyczuło chyba mój brak pewności siebie, bo wrzasnęło jeszcze głośniej.

Doktor Singer wyciągnął w moją stronę butelkę. Spróbowałam podać mu dziecko.

– Może lepiej pan?

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Trzymanie dziecka to drobiazg w porównaniu z odebraniem porodu.

Widziałam, że bawi go mój przestach i że nie zamierza mi pomóc. Podtrzymując Jane jedną ręką, drugą wzięłam od niego butelkę i wsunęłam smoczek w usta małej. Gdy tylko zorientowała się, że jest tam coś dla niej, od razu się do niego przyssała. Patrzyłam w milczeniu, jak ssie ze wszystkich sił.

18 września 1908 roku

Dziś wypada pierwsza rocznica mojej przeprowadzki do Nowego Jorku. Kto by pomyślał, że to będzie taki burzliwy rok. Pracuję jeszcze więcej niż zwykle, ale Angelina wciąż mnie potrzebuje, a ja przywiązałam się do małej Jane. Teraz, gdy przybrała na wadze, jest najładniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałam. Nawet nie zaczęłam się jeszcze rozglądać za własnym mieszkaniem.

Powinno nam być teraz nieco łatwiej, przynajmniej taką mam nadzieję. Angelina zatrudniła prawnika poleconego przez doktora Singera. Doktor Litwack odmówił zeznawania w procesie i pan Vogel zdecydował się pójść na ugodę. Choć ja wolę myśleć, że w głębi serca pragnął postąpić jak uczciwy człowiek. Jane będzie co miesiąc otrzymywać określoną kwotę na życie, a pan Vogel dodał do testamentu kodycył, zgodnie z którym córka ma odziedziczyć po nim część nieruchomości. Nalegał tylko, by aż do jego śmierci pozostało to tajemnicą. Prawnik zaś ostrzegł nas, że gdyby inni spadkobiercy pana Vogla dowiedzieli się o zmianie, mogliby podważyć testament.

Ponieważ opisałam w dzienniku wszystkie te wydarzenia, postanowiłam powiedzieć Angelinie o jego istnieniu. Zdaniem prawnika moje zapiski mogłyby pomóc w udowodnieniu powiązań pomiędzy Jane i panem Voglem. Angelina była mi wdzięczna i obiecała, że nigdy nie zajrzy do dziennika. Cierpnie mi skóra na myśl, że ktoś mógłby go przeczytać – zwłaszcza ona. Wciąż nie wie o mojej nocy z Joem. Dlatego postanowiłam ukryć dziennik w bezpiecznym miejscu, z dala od ciekawskich oczu, zachowując go jednak, na wypadek gdyby okazał się potrzebny.

Jest to więc mój ostatni wpis. Czuję, że powinnam się pożegnać. Ale komu mam

powiedzieć do widzenia? Zastanawiam się, co osoba z przyszłości pomyślałaby sobie o nas, zwykłych ludziach żyjących na przełomie wieków. Może nadejdzie dzień, gdy kobiety będą cieszyły się na świecie takimi samymi prawami jak mężczyźni. Jakże bym chciała tego dożyć!

Rozdział 43

Amanda

– Zapomniałam czegoś – powiedziałam, wchodząc szybkim krokiem do holu znajomej kamienicy. Portier tylko skinął głową, nie zadając sobie trudu, by zadzwonić na górę. Drzwi windy rozsunęły się, jakby tu na mnie czekała, i pojechałam prosto na piętro, na którym mieszkała Jane Kelly. Zadzwołam do drzwi. Raz, a potem drugi. Otworzyła niska kobieta w stroju pielęgniarki. Zapytałam, czy mogłabym zobaczyć się z panią Kelly.

– Właśnie śpi – odpowiedziała pielęgniarka.

– Może zastałam jej wnuka?

– Pana Kelly? Już pojechał na lotnisko.

– Ach tak. – Nagle z całą siłą dotarł do mnie fakt nieobecności „pana Kelly”. Nasza obiecująca relacja teraz, z perspektywy czasu, wydawała się tylko znajomością na odległość bez większych nadziei na przyszłość. – Powinnam była wcześniej zadzwonić, ale naprawdę muszę się z nią zobaczyć.

– No dobrze... zaraz sprawdzę.

Pielęgniarka nie zaprosiła mnie do środka, ale zostawiła drzwi otwarte. Samowolnie poszłam więc za nią do salonu. Pani Kelly siedziała na kanapie z zamkniętymi oczami i odchyłoną do tyłu głową.

– Śpi – stwierdziłam rozczarowana.

Pielęgniarka odwróciła się zaskoczona, że stoję tuż za nią.

– Może chce jej pani zostawić wiadomość?

– Chyba nie. Mam pewien problem...

– Jaki problem? – przerwała mi pani Kelly.

Pogratulowałam sobie w duchu.

– Przepraszam, że panią obudziłam.

– Nie spałam – odparła, wciąż nie otwierając oczu. – O co chodzi?

Podeszłam nieco bliżej.

– O pewną niesamowitą historię. Wydaje mi się, że mogłaby mi pani pomóc ją wyjaśnić. Trudno to opowiedzieć – urwałam, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć. – Widzi pani, pomiędzy rzeczami w kufrze znalazłam dziennik.

– I po to mnie pani obudziła? – Powieki rozchyliły się odrobinę.

– Był zaszyty w mufce. Wiedziała pani o nim?

– Czy jest coś wart?

– W sensie materialnym? Może sto dolarów, ale nie dlatego tu przyszedłam. Przeczytałam go.

– Jeśli z tego powodu zawraca mi pani...

– Pani Kelly, proszę. To może być bardzo ważne.

– Chyba powinna pani przyjść później – wtrąciła pielęgniarka. – Pani Kelly musi odpocząć.

– Czy dostanę w końcu coś do jedzenia? – warknęła staruszka.

Gdy pielęgniarka wychodziła z pokoju, kiwnęłam jej ze współczuciem głową. Potem usiadłam na krześle obok kanapy.

– Domyślam się, że nigdy go pani nie przeczytała. Był pisany w roku tysiąc dziewięćset siódmym i dziewięćset ósmym.

Pani Kelly nie zareagowała. Błądziła gdzieś myślami. Dziwnie było pomyśleć, że to ta sama osoba, o której narodzinach właśnie przeczytałam w ostatnich zapiskach Olive. Na policzkach i pod brodą zwisały luźne fałdy skóry. Zapadnięte oczy były zaczerwienione i szkliste. Jak może się czuć kobieta, która codziennie, przeglądając się w lustrze, widzi staruszkę? Co prawda takie zmiany nie następują z dnia na dzień, lecz mimo wszystko... Nie mogłam sobie wyobrazić, że się do tego przyzwyczajam. – Początkowo sądziłam, że Olive Westcott, osoba, która pisała ten dziennik, była pani matką. Potem zdałam sobie sprawę z pomyłki.

– Posłuchaj, młoda damo, nie interesują mnie wspominki o dawnych czasach.

Komórka zawibrowała na znak, że przyszedł SMS. Bettina? Jeff? Nie chciało mi się sprawdzać.

– Przepraszam, jeśli poruszam niewygodny temat. Proszę mi wierzyć, mam ważny powód, by z panią porozmawiać. Czy wie pani, dlaczego dziennik zaszyto w mufce?

– O ile wiem, to nie pani sprawa.

– Owszem, moja. Właśnie dlatego muszę z panią pomówić. Chodzi o moją firmę. Pani wnuk powiedział mi dziś, że mieszkała pani kiedyś w tej samej kamienicy co ja. Początkowo sądziłam, że to dziwny zbieg okoliczności.

– Dlaczego? Szukałam w internecie sklepu, który kupiłyby moje ubrania. Zobaczyłam adres i wybrałam panią.

– Wiem, Rob mi to wyjaśnił, ale naprawdę zaskoczyła mnie informacja, że kiedyś mieszkała pani nad sklepem. Podejrzewam, że także się tam pani urodziła. Mam rację?

Skrzywiła się ze zniecierpliwieniem.

– Może wreszcie przejdziemy do rzeczy?

Nie zaprzeczyła, więc mówiłam dalej.

– Widzi pani, teraz ja tam mieszkam. – Znów żadnej odpowiedzi. – Kiedy przeczytałam dziennik do końca, dowiedziałam się, że właścicielem budynku był niejaki pan Vogel. Wtedy wszystko ułożyło się w spójną całość. Olive zaszyła dziennik w mufce, żeby nikt do niego nie zajrzał. Zachowała go jednak, na wypadek gdyby doszło do kłótni po otwarciu testamentu pana Vogla. Skoro dziennik wciąż był w mufce, przypuszczam, że testamentu nie podważono. A córka pana Vogla – czyli pani – odziedziczyła część jego nieruchomości. Przypuszczam, że zapisał pani kamienicę, w której mieszkam. Czy tak było?

– Jakie to ma znaczenie?

– Nie wie pani?

– Nie umiem czytać w myślach.

– Ale jest pani właścicielką kamienicy?

– Powinna pani dorabiać sobie jako detektyw.

– To od pani wynajmuję mieszkanie.

– Jeśli przyszła pani się na nie poskarżyć, to nic z tego. Proszę iść do Chucka. Zatrudniłam go właśnie po to, żeby lokatorzy nie nachodzili mnie z pretensjami we własnym domu. Miałam dość użerania się z wami. Karaluchy. Problemy z kanalizacją. Hałaśliwi sąsiedzi. To stary budynek! Nikt się nie spodziewał, że te czynszówki postoją choćby dziesięć, a co dopiero sto lat. Chce pani mieć nowe rury? Proszę się przeprowadzić do Trump Tower.

– Nie dlatego tu...

– Nic mnie to nie obchodzi! Jestem zmęczona – powiedziała i znów zamknęła oczy. – Proszę wezwać pielęgniarkę. Chciałabym się położyć.

– Rozmawiałam z Chuckiem. Nie chciał mi pomóc. A jeśli opuszczę lokal, czeka mnie bankructwo.

– To niech go pani nie opuszcza.

– Nie mam wyjścia. Pani mnie wyrzuca! Dostałam trzydzieści dni na wyprowadzkę!

– Nie płaciła pani czynszu?

– Oczywiście, że płaciłam. Zawsze na czas. I za sklep, i za mieszkanie. Jestem świetną lokatorką. Nigdy się na nic nie skarżyłam. A teraz za taką cenę nic innego w okolicy nie znajdę.

– W takim razie płaciła pani za mało.

– Pani Kelly, East Village to nie SoHo czy West Village. Naokoło stoi mnóstwo pustych lokali. I jeszcze jedno, jeśli zbankrutuję, nie będę mogła sprzedać pani ubrań.

Ta wiadomość sprawiła, że staruszka, po raz pierwszy, odkąd weszłam do pokoju, popatrzyła prosto na mnie. I zauważyła zwisające z mojej szyi błyszczące złote serduszko.

– Co to jest? – Wyprostowała się na tyle, na ile pozwalał jej kruchy szkielet, i włożyła na nos parę okularów z grubymi szklami.

– Znalazłam ten medalion w pudle na kapelusze. W pani piwnicy.

– Szukałam go od lat.

Rozpięłam zapięcie i podałam medalion pani Kelly. Palce jej drżały i nie mogła go otworzyć. Pospieszyłam z pomocą, ale nie zwróciła na mnie uwagi i w końcu zrobiła to sama. Kiedy spojrzała na zdjęcia, oczy zasły jej mgłą. Pomyślałam, że za chwilę się rozpłaczę.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – powiedziała łagodnym, miękkim głosem, o jaki nigdy bym jej nie podejrzewała – chciałabym go zatrzymać.

– Oczywiście – odparłam. – Należy do pani.

– Olive mi go dała. Cały czas ją o niego nudziłam. Drażniła się ze mną i mówiła, że muszę poczekać, aż umrze. – Jane Kelly uśmiechnęła się do własnych wspomnień. – Ale nie musiałam. Dała mi medalion w prezencie ślubnym, żebym mogła go włożyć w dniu, w którym wyjdę za mąż. Wyjęła nawet zdjęcie własnej matki i włożyła tam jedyne, jakie zostało jej po...

Głos się jej załamał. Czekałam, aż się rozpłaczę, ale z oczu staruszki nie popłynęły łzy. Za to jedna czy dwie stoczyły się po moich policzkach, taka już ze mnie sentymentalna idiotka. Otarłam je i zmusiłam się, żeby, skoro mam taką szansę, zapytać o pewne szczegóły.

– Czy może mi pani powiedzieć, jak umarła... pani matka... Angelina?

– Na hiszpankę. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku.

– Podczas epidemii. To musiało być straszne. Bardzo mi przykro.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Sama jedną nogą stoję w grobie! – Z trzaskiem zamknęła medalion.

Nachyliłam się ku niej.

– A pani ojciec... – odezwałam się łagodnie. – Pewnie nie wykazał zainteresowania? Więc Olive się panią zaopiekowała?

Westchnęła, jakby odpowiedź na moje pytanie oznaczała, że poniosła porażkę.

– Miałam wtedy dziesięć lat. Olive była dla mnie jak matka. Nie miała własnych dzieci.

– Pewnie skupiła się na karierze zawodowej?

– O tak. Przez całe lata pracowała jako specjalistka do spraw zakupów w domu towarowym Lord & Taylor. Kostiumy, płaszcze, suknie zwykłe i wieczorowe... – Pani Kelly zapatrzyła się w przestrzeń, gładząc kciukiem medalion. – Zawsze się bałam, że go zgubię, a potem nagle gdzieś zniknął. Nie myślałam, że go jeszcze zobaczę.

– Cieszę się, że go znalazłam – oznajmiłam cicho.

Pani Kelly położyła medalion na niskim stoliku. Potem spojrzała na mnie, jakby nie wiedziała, kim właściwie jestem.

– Czego pani ode mnie chce?

– Rozmawialiśmy o moim mieszkaniu. O eksmisji. – Temat wydawał się wielce prostacki.

– Jestem już starą kobietą. A stary człowiek nie powinien zaprzętać sobie głowy takimi sprawami.

– Przepraszam.

Zdjęła okulary, przetarła oczy, zawahała się, znowu włożyła okulary i wreszcie powiedziała z niechęcią:

– Proszę mi podać telefon.

Zerwałam się z miejsca i rozejrzałam wokół, ale żadnego telefonu nie dostrzegłam.

– Tam, na moim biurku.

Przechodząc przez pokój, spojrzałam w okno. Stary druh Flatiron stał na swoim miejscu. Chwyciłam telefon, czarny aparat z przyciskami z lat osiemdziesiątych ze sznurem sięgającym na długość pokoju, i postawiłam go na stoliku obok medalionu.

Pani Kelly wystukała numer, mamrocząc pod nosem coś o tym, że jeszcze nie umarła. Przysiadłam na brzegu krzesła i starałam się zachować spokój, podczas gdy w słuchawce dźwięczał sygnał. Bałam się, że zaraz włączy się sekretarka. W końcu ktoś odebrał.

– Chuck? – warknęła starsza dama. – Chodzi o Wschodnią Czwartą Ulicę. Co się dzieje z lokalem na parterze?

Słyszałam, jak jej odpowiada, ale nie mogłam rozróżnić słów.

– Ach tak... No dobrze... i...? Nie wiem, czy podoba mi się ten pomysł. Bo

restauracje stwarzają zagrożenie pożarowe, ot co. Więc kto to jest? Co? Dlaczego? Jesteś chciwy. W takim razie czemu trzydzieści dni? Znajdź kogoś!

Po drugiej stronie Chuck coś jej tłumaczył.

– No dobrze, więc jak już kogoś znajdziesz, daj mi znać. A tymczasem przedłuż z nią umowę najmu na kolejny rok i podnieś czynsz o siedem procent. Co? Słuchaj, Chuck, właśnie ktoś do mnie dzwoni, muszę kończyć. Zrób, jak powiedziałam! – Rzuciła słuchawkę. – Ciągłe jakieś problemy.

Z walącym sercem czekałam, aż powtórzy mi to, co chyba właśnie usłyszałam.

– Chuck chce, żeby się pani wyniosła – oznajmiła. – Uważa, że możemy dostać dużo więcej, zwłaszcza jeśli wynajmiemy lokal na restaurację, i pewnie ma słuszość. Jednak szczęśliwie dla pani nie znalazł dotąd chętnego. Gospodarka jeszcze się nie wydobyła z kryzysu, więc czemu lokal ma stać pusty? Podniosę pani czynsz o siedem procent i wynajmę na kolejny rok.

– Dziękuję – powiedziałam. – Naprawdę ocaliła mi pani życie. Co za ulga.

Zbyła moją wdzięczność machnięciem ręki.

– W okolicy otwiera się teraz wiele restauracji, więc czynsze idą w górę. Bar to niezły pomysł... Studenci lubią wypić. Powinna pani otworzyć bar.

– Nie znam się na prowadzeniu baru.

– Czasy się zmieniają – powiedziała. – Człowiek musi nadążać, inaczej zostanie w tyle.

– Ma pani rację. To prawda. – Wiedziałam, że absolutnie powinnam opanować swój wstręt do poliestru. Zacząć sprzedawać ubrania w stylu punk, grunge oraz kombinezony i suknie z poduszkami na ramionach w stylu Joan Collins. Bez względu na to, czy lubię takie rzeczy, czy nie, moda z lat osiemdziesiątych jest dla dwudziestolatków vintage, a dwudziestolatki stanowią główną część populacji mojej dzielnicy. Nie mogłam się z tą prawdą pogodzić pewnie dlatego, że nie chciałam czuć się staro, zupełnie jakby mój upór mógł zatrzymać czas.

– I, młoda damo, niczego nie obiecuję w przyszłym roku, kiedy umowa wygaśnie. Nie myśl też, że uda ci się otumanić słodkimi słówkami mojego wnuka. Jego siostra jest prawniczką i to ona będzie się zajmować tym całym bałaganem.

– Nie mam zamiaru więcej państwa prosić o żadne przysługi. – Już to przerabiałam z Jeffem. – Chciałam po prostu uczciwego załatwienia sprawy. A rok daje mi szansę na wprowadzenie zmian.

Wystawię więcej ubrań na eBayu. Będę pisać bloga, tweetować, założę nawet przeklętą stronę na Facebooku, jeśli ma mi to pomóc w sprzedaży online. I może powinnam zajrzeć na Brooklyn. Czas przestać być snobką. W końcu Olive potrafiła

przystosować się do nowych warunków.

– A skoro już o tym mowa – dodała pani Kelly – proszę sprzedać moje suknie za odpowiednią cenę.

– Sprzedam, niech się pani nie martwi.

Miałam ochotę ją uściskać, ale chyba nie lubiła czułości. Chciałam też uściskać Olive i Angelinę, ale to nie wchodziło w grę. Może przynajmniej kiedyś, w przyszłości, uda mi się uściskać Roba. Ostatecznie sama pani Kelly zauważyła, że między nami iskrzy – na tyle, by dał się nabrać na słodkie słówka.

– Och, i jeszcze jedno – powiedziałam, wyciągając z torby dziennik. – Miałam go oddać Robowi, ale pomyślałam, że może pani znajdzie tam coś ciekawego.

– Nie trzeba – warknęła, gdy chciałam położyć zeszyt na stoliku. – Usiłuję pozbywać się rzeczy, a nie przyjmować je z powrotem.

– Ale to zapiski Olive z jej pierwszego roku w Nowym Jorku. Jest tam dużo o Angelinie i o tym, jak zostały przyjaciółkami. Myślę, że dziennik panią zainteresuje, a jego lektura sprawi jej dużo radości.

– Kto w ogóle pozwolił pani czytać ten dziennik?

Najwyraźniej to już koniec naszej przyjaźni. Czas się z wdziękiem wycofać.

– Chyba powinnam wracać do sklepu.

– Jeszcze jedno.

– Tak? – Miałam nadzieję, że powie mi coś o Olive albo Angelinie. Na przykład jakąś plotkę z życia miłosego Olive, może o jej wyprawie do San Francisco i spotkaniu z Joem?

– Zechce pani zawołać pielęgniarkę?

– Oczywiście. – Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, czy kiedykolwiek poznała swoich włoskich dziadków. A sklep z kapeluszami? Czy plany jego otwarcia udało się wprowadzić w życie? Może dowiem się o tym kiedy indziej. A może te szczegóły pozostaną na zawsze jedną z wielu tajemnic przeszłości. Weszłam do kuchni, gdzie pielęgniarka wrzucała właśnie do wrzątku opakowanie mrożonego groszku.

– Pani Kelly panią woła – poinformowałam.

– Będę za minutę. – Skinęła głową.

Wróciłam do salonu.

– Pielęgniarka zaraz przyjdzie. Ja już wychodzę, ale będziemy w kontakcie. Jeszcze raz dziękuję za przedłużenie umowy. Naprawdę jestem wdzięczna.

– Dam ci pewną radę, młoda damo. Zaczynj więcej myśleć o przyszłości i przestań oglądać się za siebie.

– Na pewno ma pani rację. – Po chwili namysłu, bez słowa, położyłam jednak dziennik na stoliku obok medalionu. Pani Kelly zamruczała protestująco, ale tym razem nie próbowała mi go oddać. Zauważyłam, że nachyliła się, by zerknąć na okładkę.

Wyszłam z mieszkania. Czekając na windę, spojrzałam na komórkę. Ostatnia wiadomość nie pochodziła ani od Bettiny, ani od Jeffa, tylko z jakiegoś nieznanego numeru.

Czy znalazłaś milion dolarów w pudle na kapelusze?

Serce mi zadrzało, gdy pisałam odpowiedź.

Coś dużo lepszego.

Zapisałam w kontaktach numer Roba i przypomniałam sobie, że w drodze do sklepu muszę wstąpić do apteki, choć podejrzewałam, że moje problemy ze snem należą już do przeszłości. Potem uświadomiłam sobie, że dziś wieczorem mam się spotkać z Karin i Patricią. Może przy sushi opowiem im o Robie i o dzienniku. A one będą miały niezłą zabawę, dokuczając mi, że zadurzyłam się w facecie, który mieszka na drugim końcu kraju.

Nadjechała winda i weszłam do kabiny. Zjeżdżając, pomyślałam, jak by to było cudownie, gdybym po wyjściu z niej znalazła się na parterze domu towarowego Wanamakera. Mahoniowe kontuary, wspaniałe podwójne schody prowadzące na półpiętro, osiem kondygnacji galerii wznoszących się ku szklanej kopule... Wśród stoisk błądzą kobiety w długich spódnicach i bogato przystrojonych kapeluszach, w tle ktoś gra na organach. Czekałam, aż winda się zatrzyma, a kiedy drzwi się rozsunęły, wysiadłam.

Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność trzem „kalifornijskim dziewczynom”, które przyczyniły się do powstania mojej powieści o Nowym Jorku. Po pierwsze, dziękuję mojej mamie, Minnette Lehmann, pochodzącej z Sacramento, za to, że mnie motywowała i pomagała uwierzyć, że rękopis jest świetny, kiedy moja miłość do niego zaczynała przygasać. Po drugie, dziękuję mojej wiernej agentce Emmie Sweeney, rodem z San Diego, za to, że zwracała uwagę na niedoskonałości rękopisu, kiedy ja kochałam go za bardzo. Po trzecie, dziękuję mojej wspaniałej redaktorce Heather Lazare, pochodzącej z Carmelu, która pomogła mi poprawić rękopis tam, gdzie to było konieczne. Gdyby nie jej przenikliwość, entuzjazm i życzliwe rady, pochodząca z San Francisco autorka miałaby ogromne kłopoty z tą powieścią.

A oto inne osoby, których wiedza, entuzjazm i życzliwość bardzo mi pomogły: Elizabeth Kandall, Karin Sibrava, Amanda Selwyn, Patricia Kelley, Bill i Elaine Kosterowie, Ellen Twaddell, Julie Carpenter, Leah Pike, Richard Friedman, Marsha Levy Warren, Andres San Martin, Allison Dickens, Jennifer Quinlan i Lucia della Paolera.

Na koniec moja własna gromadka. Dziękuję Davidowi i Steve’owi Kronovetom za to, że dotrzymywali mi towarzystwa wtedy, gdy nie pisałam, i nie robili tego, gdy pisałam. Dziękuję też Madeleine Kronovet za to, że jest kwintesencją mieszkanki Nowego Jorku.

Rozmowa ze Stephanie Lehmann

Udziela się Pani na własnej stronie internetowej, na stronach internetowych poświęconych każdej z Pani książek, na Facebooku i Twitterze. Czy zdaniem Pani te media pozwalają nawiązać bliższy kontakt z czytelnikami?

Oczywiście. W mediach społecznościowych podoba mi się zwłaszcza to, że umożliwiają zamieszczenie dodatkowych materiałów dla czytelników, którzy pragną dowiedzieć się czegoś więcej. Kiedy zbierałam materiały do książki *Butik na Astor Place*, zainteresował mnie Nowy Jork w początkach dwudziestego wieku, ale nie mogłam wykorzystać wszystkiego, czego się dowiedziałam. W internecie jest dostęp do wielu wspaniałych źródeł. Cieszę się, że na swoich stronach mogę dzielić się historycznymi szczegółami i zdjęciami.

Czy spotyka się Pani osobiście ze swoimi fanami? Jeżeli tak, co jest dla Pani najważniejsze podczas takich spotkań?

Często czytam fragmenty książek i występuję w klubach czytelników. Przyjemność bycia popularną pisarką polega też na tym, że inni interesują się światem, który pochłaniał mnie latami i który z pasją tworzyłam. Jednak czytanie to czynność samotnicza i anonimowa. Jako autorka nie do końca mam pewność, czy bliska memu sercu opowieść zrobiła na kimś wrażenie. Osobiste spotkanie z czytelnikami może być cudownym sposobem na nawiązanie dialogu.

***Butik na Astor na Place* to Pani piąta powieść. Czy z czasem pisanie staje się łatwiejsze? Czy tym razem pojawiły się jakieś nowe wyzwania?**

Za każdym razem, gdy zaczynam nową powieść, czuję się tak, jakbym na nowo uczyła się pisać. Częściowo wynika to z nieśmiałości. Świadomość, że tworzy się duże „coś” z „niczego”, może przytłaczać. Trudność polega też na tym, że każda powieść jest inna i na swój sposób generuje problemy nieodłącznie związane ze światem przedstawionym. Lubię porównywać proces pisania do układania łamigłówek, której ostateczny kształt wciąż się zmienia w miarę dopasowywania do siebie kolejnych kawałków. *Butik na Astor Place* był szczególnym wyzwaniem, bo postanowiłam, że akcja rozgrywać będzie się równolegle w dwóch płaszczyznach czasowych i wprowadzę dwie bohaterki, których historie będą na siebie wpływać i w znaczący sposób splatać się ze sobą. Po napisaniu kilku szkiców zrozumiałam, że pomysł i wprowadzenie go w życie to dwie różne rzeczy. Zaczęłam od planu, który szybko okazał się niewystarczający. Napisanie powieści oddającej w całości moje intencje wymagało wielu prób okupionych wieloma błędami. Niemal każda zmiana

wywoływała efekt domina, powodując kolejne przekształcenia. Bardzo trudno było pamiętać o wszystkich szczegółach. Lubię mówić, że w tej powieści mieszczą się tak naprawdę trzy książki: historia Olive, historia Amandy i opowieść o nich obu, spleciona ze sobą.

Akcja każdej z Pani poprzednich książek toczy się współcześnie, natomiast *Butik na Astor Place* opowiada o Nowym Jorku z 1907 roku. Co sprawiło, że zdecydowała się Pani na powieść historyczną, i dlaczego wybrała Pani właśnie ten okres?

Szukając pomysłu na powieść, szperałam na półkach w pobliskiej bibliotece. Moją uwagę zwróciła książka Belli Spewack *Streets: A Memoir of the Lower East Side*. Moja babka miała na imię Bella i mogła być sąsiadką Spewack gdyby nie to, że prosto z Ellis Island pojechała do swojego ojca mieszkającego w Sacramento. Ja zaś mieszkałam na Lower East Side jako studentka Uniwersytetu Nowojorskiego. W tamtych czasach moje jednopokojowe mieszkanie uważano za cenną manhattańską nieruchomość w „cool i trendy” East Village. Co nie zmienia faktu, że było ono obskurne, ciemne, miało niski sufit, krzywą podłogę, małą łazienkę, brakowało kuchni i garderoby i, zwłaszcza w nocy, grasowały tam karaluchy. Wypożyczyłam to do książki.

Wspomnienia Belli Spewack przeniosły mnie do Nowego Jorku z początków dwudziestego wieku. A potem już nie chciałam stamtąd odejść. Przeczytałam mnóstwo innych osadzonych w tamtych czasach wspomnień i powieści, w tym: *81 Sheriff Street* Gertrude Ford, *Out of the Shadow* Rose Cohen, *Jews without Money* Michaela Golda, *Christ in Concrete* Pietra Di Donato, *The Rise of David Levinsky* Abrahama Cahana, *Empty Pockets* Ruperta Hughesa, *Susan Lennox: Her Fall and Rise* Davida Grahama Phillipa i *Bread Givers* Anzii Yezierskiej.

Pomysł, żeby napisać powieść, której akcja toczy się w Nowym Jorku na początku dwudziestego wieku, sam więc mnie wybrał. Jednak wciąż nie miałam pojęcia, co to ma być za powieść.

Potem odwiedziłam Tenement Museum na Orchard Street. Obejrzałam mieszkania urządzone dokładnie tak jak wtedy, gdy w latach 1863–1935 mieszkali w nich ludzie. Mimo woli zauważyłam, że niewiele się różnią od mojej kawalerki w East Village. Mieszkałam w miejscu, które nadawało się na ekspozycję muzealną, w prawdziwej historycznej czynszówce, która wciąż stoi i jest w użyciu. Proszę wybaczyć, jeśli mówię tak, jakbym wypila za dużo kawy, ale na swój sposób Nowy Jork to żywe muzeum. Na każdej ulicy można znaleźć różne historyczne ciekawostki, które, miejmy nadzieję, przetrwają niekończące się przeróbki budowlane.

Wciąż nie wiedziałam, jak z tego wszystkiego zbudować powieść. Zaczęłam

jednak zwracać większą uwagę na otaczające mnie ślady przeszłości i myśleć inaczej o swoim obecnym lokum, w którym mieszkam z mężem i dwojgiem dzieci. Budynek pochodzi z 1928 roku. Ile rodzin mieszkało w nim przez te wszystkie lata? Próbowałam wyobrazić sobie ludzi chodzących po pokojach lub przeglądających się w tych samych lustrach wbudowanych w drzwi łazienki. Kto spał w mojej sypialni? Czy łóżko stało pod tą samą ścianą? Czyje ubrania wisiały kiedyś w moich garderobach? Jakie tragedie i uroczystości miały miejsce w tych pokojach? Czy ktoś w nich umarł? Czy ktoś się urodził?

Wpadłam na pomysł, by napisać powieść rozgrywającą się w dwóch płaszczyznach czasowych. Ktoś z teraźniejszości będzie miał związek z kimś z przeszłości. Ale kim będą te osoby? Jakie będą ich historie? Co je połączy? Czy miejscem akcji powinna być Lower East Side? Wciąż nie byłam pewna. Wiedziałam jedno: to muszą być kobiety. Bardziej interesuje mnie życie kobiet. Wciąż jednak nie przychodziła mi do głowy żadna fabuła.

Wtedy właśnie zauważyłam stojącą na półce książkę, którą kiedyś pożyczyłam od matki: *Just Looking: Consumer Culture in Dreiser, Gissing and Zola* Rachel Bowlby. Próbowałam czytać ją wcześniej, zachęcona tematyką, ale uznałam, że jest zbyt naukowa. Teraz znów do niej zajrzałam i tym razem moją uwagę zwróciła jedna z analizowanych powieści, *Wszystko dla pań* Emila Zoli, opisująca życie ludzi pracujących w wielkim domu towarowym w Paryżu w latach sześćdziesiątych XIX wieku.

Domy towarowe. Mile wspominam wyprawy odbywane w dzieciństwie do domów towarowych w centrum San Francisco, do Macy's, Emporium, City of Paris i I. Magnin. Prawdę mówiąc, zawsze uważałam, że właśnie te wspomnienia przyciągnęły mnie do Nowego Jorku. Śródmieście San Francisco i nowojorskie ulice tworzą atmosferę, w jakiej czuję się najlepiej – otacza mnie wielu ludzi, a ja nie muszę z nimi rozmawiać.

Powieść Zoli zainteresowała mnie tak bardzo, że kupiłam ją sobie, zamiast poprzestać na wypożyczeniu z biblioteki. Zanim skończyłam ją czytać, wiedziałam już, że chcę, by historyczna część mojej książki toczyła się m.in. w domu towarowym. Jednak nie część współczesna – dzisiejsze domy towarowe są takie nudne w porównaniu z zakupami przez internet. Lecz skoro kocham vintage, dlaczego moja współczesna bohaterka nie miałaby być właścicielką sklepu z takimi właśnie ubraniami? To miało sens. Współczesna bohaterka będzie idealizować przeszłość, a bohaterka z przeszłości będzie dążyć do tego, by stać się nowoczesną kobietą.

Nadal jednak musiałam ustalić, kiedy będzie żyć moja bohaterka z przeszłości. Początkowo pociągała mnie druga dekada XX wieku, ponieważ noszono wtedy piękne sukienki – bez gorsetów, z empirową talią. Jednak w miarę jak fabuła

nabierała kształtów, zrozumiałam, że lepiej będzie, jeśli umieszczę akcję powieści dziesięć lat wcześniej, w czasie paniki bankowej roku 1907. Ówczesna moda mniej mi się podobała, lecz byłam na tyle dojrzała, by pogodzić się z tym, że strój moich bohaterek nie powinien być decydującym czynnikiem.

W końcu mogłam usiąść do pisania.

Pani bohaterka, Amanda, kocha ubrania vintage. Czy podziela Pani tę pasję? Na swojej stronie internetowej rozmawia Pani o polowaniu na „skarby ze śmietników”. Czy są dla Pani większą atrakcją niż nowe stroje?

Uwielbiam chodzić na pchle targi i do sklepów z używanymi rzeczami. Mam naturę zbieracza. Moją pierwszą obsesją były naczynia kuchenne z lat trzydziestych. Zaczęło się od kompletu misek, który odziedziczyłam po babci. Teraz w mojej jadalni stoi mnóstwo szafek wypełnionych naczyniami, których nie używamy podczas posiłków, kolekcją starych papierowych serwetek, którymi nie wycieramy ust, pocztówkami, których nigdy nie wysłamy, i książkami, które w większości przeczytałam. Lubię szyć, więc mam też całe stosy tkanin vintage i słoiki pełne starych guzików czekających, aż przestanę pisać i coś z nimi zrobię.

Jeżeli chodzi o ubrania vintage, to jedna z szaf w moim mieszkaniu jest zapchana sukienkami z lat czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nie zależy mi, by ubrania, które kupuję, na mnie pasowały. Większość jest zbyt wyzywająca, żebym czuła się w nich dobrze. Nie zależy mi też, by ktoś mnie w nich oglądał. Kupuję je, bo lubię na nie patrzeć. Czasem zwraca moją uwagę wzór na tkaninie, styl, sposób, w jaki dany strój wyraża swoją epokę... albo bawi mnie odgadywanie „Co projektant miał na myśli?”. Poza tym są tanie. Kupuję stroje vintage tylko wtedy, gdy trafię na dobrą okazję.

Pisze Pani o Nowym Jorku, zarówno z początków XX wieku, jak i współczesnym, z przenikliwością godną prawdziwej nowojorki. Co Panią, urodzoną w San Francisco, przyciągnęło do tego miasta? Co Panią tu trzyma?

Zostałam przyjęta na studia magisterskie na Uniwersytecie Nowojorskim i na Uniwersytecie Waszyngtońskim w Seattle. Wcześniej byłam kilka razy w Nowym Jorku, ale nie podobał mi się i uważałam, że tylko szalenię mógłby w nim zamieszkać. Z drugiej strony wiedziałam, że Seattle jest piękne, czyste i pełne podobnych do mnie luzaków. Wszyscy mówili jednak, że jeśli chcę być „prawdziwą pisarką”, powinnam jechać do Nowego Jorku. Odrzuciłam więc propozycję ze Seattle.

Podczas drugiego semestru na NYU zaczęłam umawiać się z kolegą z warsztatów pisarskich. Okazało się, że jest rodowitym nowojorczykiem, i dzięki niemu łatwiej mi było przyzwyczaić się do miasta. Rok później zamieszkaliśmy razem. W końcu

wzięliśmy ślub. Tymczasem zakochałam się w Nowym Jorku. Czasem się zastanawiam... Może gdybym poszła na studia na Uniwersytecie Waszyngtońskim, wyszłabym za drwala, zamieszkała w Seattle i pisała powieści, których akcja toczy się na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku?

Ma Pani męża i dzieci, a jednak dwie główne bohaterki powieści są bezdzietnymi singielkami, w przypadku Amandy może niekoniecznie, ale jeśli chodzi o Olive na pewno z wyboru. Każdą z nich interesuje jednak macierzyństwo. Czy Pani osobiste doświadczenia miały wpływ na ten aspekt książki?

Bardzo ciekawią mnie kwestie związane z płcią, które stanowią wyzwanie dla moich bohaterek. Nic więc dziwnego, że poświęciłam dużo miejsca temu, jak Olive i Amanda, każda na swój sposób, radzą sobie z możliwością bezdzietności.

To powieść o dwóch przedsiębiorczych kobietach. Ich pasją jest praca i nie są pewne, czy chcą zostać żonami i matkami. Ale każda kobieta potencjalnie może być matką. Ostatecznie nasze ciała są zdolne do rodzenia. Kobietom rosną piersi, które służą do karmienia niemowląt, i od okresu dojrzewania aż do menopauzy kobiety mają miesiączkę. To się dzieje bez względu na to, czy zajdą w ciążę, czy nie.

Zdumiewające, że menstruacja jest tak bardzo niewidoczna w naszym społeczeństwie. Można by pomyśleć, że w ogóle się nie zdarza. Ukrywamy krew i plamy pod ubraniem, nie widać ich. Ale krew jest stale obecna w codziennym życiu kobiety – dużo bardziej niż w życiu mężczyzny. Dlatego chciałam przedstawić oczekiwanie na comiesięczną krew, jej przybycie i obecność w życiu moich bohaterek.

Wprowadziła Pani do powieści elementy realizmu magicznego. Dlaczego?

Nie mam skłonności do mistycyzmu lub dopatrywania się w życiu działania sił nadnaturalnych i początkowo nie zamierzałam wprowadzać takich elementów do książki. Szczerze mówiąc, najpierw powieść miała dotyczyć głównie Olive, a historia Amandy była mniej ważna. Uzasadniała jedynie wprowadzenie opowieści z przeszłości. Lecz w miarę pracy nad książką rola Amandy rosła, ostatecznie rozdziały opowiadające o obu kobietach występują naprzemiennie.

Przeplatając te dwie historie, musiałam zapewnić im logiczne połączenie, rozwinęłam więc wątek Amandy „nawiedzanej” przez Olive. Dodaje to tajemniczości, a także dobitniej pokazuje czytelnikowi fascynację Amandy przeszłością i jej poczucie, że Olive „mówi do niej”, oddziałuje na nią na poziomie emocjonalnym.

Sama jako pisarka doświadczam takiego pomieszania rzeczywistości i fikcji. Stale przebywam w wymyślonym świecie powieści i moi bohaterowie zaczynają żyć

własnym życiem. Na przykład idąc Szóstą Aleją, patrzę na budynek domu towarowego Siegel-Cooper – teraz zajęty głównie przez sklep Bed Bath & Beyond – i muszę przypominać sobie, że tak naprawdę Olive i Angelina nigdy w nim nie pracowały, że one nawet nie istniały.

Zakończenie powieści jest właściwie otwarte, kilka pytań pozostało bez odpowiedzi. Czy uważa Pani, że takie trochę niejasne zakończenie jest prawdziwsze?

Tak, jest prawdziwsze i bardziej pasuje do tematyki powieści. Amanda, patrząc na zdjęcia w książkach wydawnictwa Time-Life, żałuje, że nie może zobaczyć, co się kryje za krawędzią. Pragnie dowiedzieć się więcej o ludziach ze zdjęć, poznać ich myśli. Dziennik Olive daje jej taką szansę. Lecz gdy dochodzi do ostatnich zapisków, obawia się przeczytać zakończenie. Boi się tego, czego może się dowiedzieć, a także nie chce żegnać się z Olive.

Gdy kończy lekturę, przekonuje się, że losy Olive nie zostały do końca wyjaśnione. Idzie do Jane Kelly w nadziei, że dowie się czegoś więcej. Próbuje powiązać ze sobą różne fakty, ale godzi się także z tym, że przeszłość jest przeszłością i nigdy jej do końca nie poznamy. Myślę, że to ważne, by czytelnik wraz z Amandą doświadczył takiego poczucia straty.

W pierwszych wersjach powieści próbowałam dać Amandzie szansę na wypytanie Jane Kelly o to, co stało się z Olive i Angeliną w czasach nieopisanych w dzienniku. Ale nie byłam zadowolona z efektu. Wyglądało tak, jakbym jako autorka podejmowała z góry decyzje o losach swoich bohaterów.

Uważam, że na ważne pytania udzieliłam odpowiedzi na tyle wyczerpujących, by usatysfakcjonować czytelnika.

Gdy historie Amandy i Olive łączą się ze sobą i akcja osiąga punkt kulminacyjny, historia powinna się zakończyć i niewiele więcej jest do powiedzenia. Można na podstawie opisu bohatera zgadywać, co mu się przydarzy, ale dostarczenie czytelnikowi zbyt wielu informacji traciłoby fałszem.

Czy pracuje Pani obecnie nad nową książką? Czy w przyszłych powieściach opowie Pani o dalszych losach Olive lub Amandy?

Mam pomysł na powieść historyczną i pracuję nad nią. Nie pojawia się w niej ani Olive, ani Amanda. Lubię jednak myśleć o różnych ciekawych ubraniach, na które Amanda mogłaby natrafić, więc nigdy nic nie wiadomo.

[1] Nieprzetłumaczalna gra słów; disaster (ang.) – klęska, katastrofa (przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz